

P. 9786 chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/268 - 2/269

1970



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **ROZMOWA Z DŻILASEM**

AI. HERTZ :

O BUNCIE MŁODYCH

W. GOMBROWICZ : **LIST DO FERDYDURKISTÓW**

J. KRAJEWSKI :

REFLEKSJE KATOLICKIE

J. MIEROSZEWSKI : **LEGAT LAT SZEŚĆDZIESIĄTYCH**

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Rozmowa z Dżilasem</i>	3
Aleksander Hertz:	<i>O buncie młodych</i>	11
Zbigniew Byrski:	<i>Rewizjonizm polityczny w Europie Wsch.</i>	31
Wiktor Weintraub:	<i>Kołaczkowski czyli krytyk jako eks-presjonista</i>	41



Czesław Miłosz:	<i>Zapísane wczesnym rankiem</i>	54
Zygmunt Haupt:	<i>El pelele</i>	57
Stanisław Wygodzki:	<i>Ja go znajdę</i>	70
Jadwiga Maurer:	<i>Area Code 415</i>	97

WIERSZE

Arnold Stucki:	<i>Do cieni — Z buszu — Azja — Modus</i>	111
----------------	--	-----

OBSERVATORIUM

Rzymianin:	<i>Włoski Manifest Komunistyczny</i>	114
------------	---	-----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Legat lat sześćdziesiątych</i>	119
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	129

SĄSIEDZI

E. Żagiełł:	<i>Stosunki polsko-litewskie w 1968 roku</i>	136
S. W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	140
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	143
Konrad Brodziński:	<i>Lenin za gumę do żucia (dok.)</i>	148

KRAJ

Józef Gidyński:	<i>Stanisław Hejnowski</i>	164
—	<i>Czarna lista</i>	174
—	<i>Z prasy krajowej</i>	175

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Jan Krajewski:	<i>Refleksje katolickie</i>	176
Ks. Viktor Jurik:	<i>Kościół wobec emigrantów</i>	182
—	<i>Zjazd duchowieństwa polonijnego w Rzymie</i>	188

SPRAWY I TROSKI

Jan Kowalik:	<i>W sprawie Muzeum Polskiego w Chicago</i>	189
Ks. Wojciech Sojka:	<i>Polska sinologia</i>	192

KRONIKA KULTURALNA

Witold Gombrowicz:	<i>List do Ferdynandów</i>	195
—	<i>Subskrypcja na „Dzieła” Gombrowicza</i>	197
Adam Sutkowski:	<i>Pożegnanie humanisty</i>	198
Adam Sutkowski:	<i>Muzyka w Europie Wschodniej (dok.)</i>	202
Piotr Jarzemski:	<i>Muzyka polska na Festiwalu Paryskim</i>	211
Czesław Seyfert:	<i>Festiwal Filmowy w San Francisco</i> ..	215
—	<i>Nieznana Maria Dąbrowska</i>	217
—	<i>Komunikaty</i>	218

KSIĄŻKI

Maria Danilewiczowa:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	221
—	<i>Nadchodzące nowości wydawnicze</i>	227



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	228
---	----------------------------------	-----



Dr. W. Borak, Zb. Byrski, B. Koprowski, inż. A. Jędr- kiewicz, M. Małachowska, T. Ullmann oraz J. W. Krantze i J. Nosel (w skrótce Red.):	<i>Listy do Redakcji</i>	234
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty-Janvier-Février 1970

INSTYTUT



LITERACKI

Redakcja „Kultury” dziękuje Przyjaciółom i Czytelnikom
za nadesłane życzenia świąteczne

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Helena Brzechwa, Los Angeles, Cal. (USA)	F. 25,00
Czytelnik z Polski, po raz ósmy	F. 40,00
Aleksander Grzonka, Gossau (Szwajcaria), po raz szesnasty ..	F. 30,00
Feliks Hasiński, Philadelphia, Pa. (USA), zamiast kwiatów na grób śp. Janiny Domaniewicz	F. 33,00
Maria Gisela Heyligers, Nicea, dla uczczenia pamięci Jerzego Stempowskiego	F. 50,00
M. Hospodaryk, Mount Druitt, NSW. (Australia)	F. 66,00
Alicja Iwańska, Santiago de Chile	F. 132,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz drugi	F. 100,00
S. Leszczyński, Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 36,00
Jerzy Lubiejewski, Caracas (Wenezuela), po raz drugi	F. 250,00
Czesław Miłosz, Berkeley, Cal. (USA), dla uczczenia pamięci Jerzego Stempowskiego	F. 1200,00
Polacy zrzeszeni w American Educational Society, Inc., Spring- field, Mass. (USA) — na fundusz wydawniczy w dowód uznania i poparcia dla akcji wydawniczej Kultury	F. 110,00
Wiktor Skiba, Meksyk, po raz dwunasty	F. 55,00
Ks. Wojciech Sojka, Brooklyn, N.Y. (USA)	F. 60,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, Ill. (USA), po raz dziewiąty ..	F. 38,00
Marian Turski, St. Anne de Bellevue, P.Q. (Kanada), po raz dwudziesty pierwszy	F. 330,00
Anonimowo, Rzym	F. 89,00
Beziemiennie z Harrisburg, Pa. (USA)	F. 40,00
Beziemiennie z Niemiec	F. 127,00
Beziemiennie z Mediolanu, po raz siódmy	F. 64,00
„Towarzystwo Przyjaciół paryskiej Kultury” z Melbourne na- desłało sumę	F. 247,12
na którą złożyły się dary: p. Kazimierza Skoczka \$A. 5,00 (po raz drugi) i Zarządu Stow. Lotników Polskich w Mel- bourne (\$A. 10), „symboliczny wyraz uczuć dla Instytutu Literackiego ogółu członków SLP, którzy indywidualnie po- pierają od lat ten symbol wolnego słowa polskiego”. — Na resztę sumy nadesłanej składa się dochód z wieczoru inż. W. Pławińskiego, zorganizowanego przez Two Przyj. parys- kiej Kultury 30. X. 1969.	
Łoża Polska „Kopernik” w Paryżu na fundusz Jerzego Stem- powskiego	F. 500,00

DZIĘKUJEMY!

Bieżący zeszyt „Kultury” jest jak zwykle podwójny (styczeń-luty 1970).
Zeszyt następny ukaże się 1 marca rb.

Imprimé en France

1970 W 1025

BN P. 97 86 chr. Arch.

Rozmowa z Dżilasem

Milovan Džilas mieszka przy ulicy Palmoticeva, blisko Skup-
sztiny (której był kiedyś przewodniczącym) i Bulwaru Rewolucji.
Przypominam sobie że o tym bulwarze, jako o symbolicznym
skrótce sytuacji w Jugosławii, mówiło się często podczas mojego
pierwszego pobytu w Belgradzie wiosną 1953 roku. Zaraz po
wojnie nazwano go na cześć Czerwonej Armii. Został przemiano-
wany na Bulwar Rewolucji, kiedy anatema moskiewska uczyniła
z wyzwolicielskiej i bratniej Armii Czerwonej potencjalnego agre-
sora. Nowa nazwa miała być świadectwem rewolucji samodziel-
nej, partyzanckiej, nie importowanej na obcych bagnietach. Moi
rozmówcy belgradzcy zapewniali jednak, że znacznie stosowniej-
sza byłaby ironiczna i wyzywająca nazwa Bulwar Rezolucji; cho-
dziło naturalnie o uchwaloną w Bukareszcie, 28 czerwca 1948
roku, rezolucję o wykluczeniu Jugosławii z Kominformu. Istotnie
miarą wszechrzeczy było wtedy w Belgradzie nie „przed rewolu-
cją, po rewolucji”, lecz „przed rezolucją, po rezolucji”. Do roku
1948: źle. Po roku 1948: lepiej. Pamiętam euforię jaka pano-
wała w Jugosławii wiosną 1953 roku, nazajutrz po śmierci Sta-
lina. W powietrzu wisiało przeczcucie odrzucenia przez obłę-
zieli blokadę ideologiczną, a tym samym triumfu obłączonych,
wydawało się prawie że to hardzi i twardzi Jugosłowianie wpę-
dzili do grobu swego Arcywroga. Oczekiwano Canossy ze stro-
ny jego następców. (I był nią, później, przejazd Chruszczowa
Bulwarem Rewolucji wśród milczącego dumnie tłumu). W wyda-
nej niedawno książce *Izgubljeni boj Stalina 1948-1953* Dedijer
opisuje reakcje jugosłowiańskich prominentów partyjnych i rzą-
dowych na żałobny komunikat Moskwy z 4 marca. Toasty, libacje,
radosne stypy pogrzebowe, promieniający Tito, Džilas ofiarowu-
jący Dedijerowi „dla upamiętnienia dobrej nowiny” złoty zega-

rek otrzymany niegdyś w prezencie od Tity, Kardelj i Ranković w siódmym niebie. Zwycięski taniec dokoła trupa Rezolucji odbywał się z udziałem ludu i jego władców. Tak, moi rozmówcy belgradzcy mieli wiele racji twierdząc że bulwar powinien się być wówczas nazywać inaczej. Prócz nuty ironii i wyzwania, w dowód wdzięczności dla bukareszteńskiego trybunału rewolucyjnego który swoją ekskomuniką zjednoczył Jugosławię pod znakiem suwerenności i „własnego socjalizmu”. Dziś są to stare dzieje? Trup Rezolucji zmartwychwstał groźnie w nowej postaci po inwazji Czechosłowacji; i chociaż wkrótce znikł, w Belgradzie nie brak kruków kraczących że nie na zawsze. Ale tak czy owak, nad problematyką współczesnej Jugosławii dominuje bardziej gorączka „własnego socjalizmu” (z jej wszystkimi pochodnymi) niż egzaltacja zagrożonej suwerenności. Magicznym słowem jest obecnie Reforma. Na dobrą sprawę, kontynuując grę historyczną w zmianę nazw, Džilasa mieszka teraz obok Bulwaru Reformy.

Palmoticeva jest ładną i cichą ulicą, zapadł już wczesny listopadowy zmierzch. Na drugim piętrze starej kamienicy tabliczka z nazwiskiem heretyka. Otwiera mi sam gospodarz, ale najpierw przez szparę uchylonych tylko drzwi sprawdza czy to właśnie ja. Przyjrzawszy mi się chwilę uważnie, zdejmuję łańcuch. W dużym pokoju na końcu korytarza masywne i nagie biurko pod oknem wychodzącym na ulicę, półki z książkami, niski stolczyk i dwa fotele. Džilas opuszcza w oknie roletę, wychodzi i natychmiast wraca z kawą. W jego szybkich i elastycznych ruchach jest coś z dyscypliny, jaką wdraża długie więzienie.

W dniu mojego odlotu z Rzymu do Belgradu miała się we Włoszech ukazać, zgodnie z zapowiedzią wydawcy, nowa książka Džilasa *Spółeczeństwo niedoskonałe*. Chciałem zabrać ze sobą egzemplarz, ale z winy opóźnienia w dystrybucji nie było jej jeszcze w księgarniach. Może to i lepiej, uśmiecha się Džilas. Rozporządzenie ogłoszone 20 października w *Gazecie Urzędowej* wciągnęło *Spółeczeństwo niedoskonałe* na indeks, co w praktyce oznacza zakaz wwozu i kolportażu. Kto wie czy podczas kontroli na lotnisku belgradzkim byłby to dobry bilet wstępu dla podróżnego z paszportem emigracyjnym.

Jaka jest sytuacja Džilasa w Jugosławii? Mieszka w dawnym mieszkaniu z żoną i dwojgiem dzieci, żyje wśród książek, bez przeszkód uprawia swoją pracę pisarską. Nie jest nadzorowany lub pilnowany, w każdym razie nie czuje tego. Nie potrafiłby też podać dowodów cenzury korespondencji i podsłuchu telefonicznego: ja sam, zaproponowawszy mu spotkanie w liście z Włoch i ustaliwszy godzinę mojej wizyty przez telefon w Belgradzie, nie miałem wrażenia że jestem na oku policji ani kiedy przyszedłem na Palmoticeva ani kiedy po trzech godzinach wyszedłem z ka-

mienicy na opustoszałą ulicę. Wyznaczono mu emeryturę państwową w wysokości trzech tysięcy dinarów miesięcznie (pensja miesięczna profesora uniwersytetu wynosi około 2.400 dinarów), otrzymuje normalnie przekazami na bank honoraria za książki i artykuły publikowane zagranicą. Nie może się więc skarżyć na kłopoty materialne, przeciwnie gotów jest pierwszy przyznać że powodzi mu się o ileż lepiej niż tylu innym. Ale poza obrębem królewskiej łaskawości Tity w sprawach „bytowych” i w stosunkach z zagranicą medal ma swoją odwrotną stronę w Jugosławii. Syn marnotrawny i buntowniczy starego marszałka jest we własnym kraju, jak to sam określa, czymś pośrednim między trędowatym i człowiekiem skazanym na orwellowskie „nie-istnienie”.

Widuje tylko najbliższych krewnych i nielicznych wiernych przyjaciół, rzadko wychodzi z domu. Kiedy go zwolniono z więzienia 31 grudnia 1966 roku na mocy wyroku zaopatrzonego w klauzulę pięcioletniego zakazu wszelkiej działalności publicznej, wiedział że nie ma po co kołatać do prasy, radia i wydawnictw. Podjął zatem próbę, z pomocą znajomych prawników, odebrania zakazowi jego zbyt sztywnego charakteru. Zgoda ostatecznie na rzeczy polityczne jak *Nowa klasa* czy *Rozmowy ze Stalinem*, ale jest przecież także literatem. Czemu miałby nie wydać w Jugosławii swoich powieści i opowiadań, książki o Niegoszu, autobiograficznej ewokacji *Ziemi bez sprawiedliwości*, serbo-chorwackiego przekładu *Raju utraconego* Milтона? Na jego prośbę jugosłowiańska Agencja Literacka wystosowała w tym sensie odpowiedź: podanie do sądu, który był autorem wyroku z klauzulą prohibicyjną. Sąd zainteresowany przez Agencję Literacką zainteresował z kolei sąd wyższej instancji. Sąd wyższej instancji wy mówił się „niekompetencją”. Podanie wróciło tam skąd przyszło, z zatwierdzeniem wyroku w jego pierwotnej postaci przez sąd niższej instancji uznany w ten sposób za jedynie kompetentny. Agencja Literacka złożyła odwołanie, nie dostała już jednak na nie żadnej odpowiedzi. Nie dając za wygraną, Džilas zwrócił się jeszcze bezpośrednio do dyrektora największego w Belgradzie wydawnictwa *Prosvjeta*, swego dawnego przyjaciela: mimo formalnego samorządu wydawniczego, okazało się że „w tym wypadku” konieczne jest specjalne zezwolenie „z góry”. Rozmawiamy po angielsku, Džilas używa zwrotu *secondary punishment* na oznaczenie próżni jaką wokół niego stworzono. I ilustruje groteskowość tej „dodatkowej kary” wymownym gestem. Wstaje z miejsca, odnajduje na półce grube tomisko i pokazuje mi je bez słowa komentarza. Jest to jego przekład *Raju utraconego* Milтона, opublikowany świeżo w Stanach Zjednoczonych dzięki wydawcy amerykańskiemu pochodzenia jugosłowiańskiego, niedopuszczany do księgarni w Jugosławii.

Lata więzienia (w sumie dwanaście: trzy przed wojną, dzieć z woli Tity) nie nadłamały go duchowo. Tylko niekiedy widać na jego twarzy jak gdyby cień zmęczenia i grymas gorczy, ale otrząsa się natychmiast, w otorbionych oczach zapala się płomień apostaty gotowego bronić za cenę nowej męki tego w co wierzy, całe ciało zdaje się wibrować od wewnętrznego napięcia. Chwilami, gdy przechadza się po pokoju gestykulując, były następcą tronu Tity przypomina przedrewolucyjnych studentów rosyjskich u progu całonocnych dyskusji o „przeklętych problemach zasadniczych”. Myliłby się jednak bardzo kto uważałby go za fantastę, zamkniętego w czterech ścianach przymusowej izolacji. Wyrzucony za burtę czynnej polityki, Džilas pozostał zwierzęciem politycznym o żywym instynkcie rzeczywistości; czego żąda od swoich antagonistów, to elementarnego wysiłku wyobraźni czy po prostu dalekowzroczności. Atmosferę w Jugosławii definiuje jako „sprężoną” (wykonując ręką gest naśladujący działanie tłoku) po „fakcie dokonanym” Czechosłowacji i wobec prób poprawienia stosunków z Rosją. Tito jest jego zdaniem politykiem niezrównanym w momentach śmiertelnego zagrożenia, zbyt chwiejnym i elastycznym w okresach względnego uspokojenia. Jugosławia była u szczytu jednolitości po sierpniu 1968 roku, zupełnie jak w latach Rezolucji, ale wystarczyła wizyta Gromyki by skazać na sześć miesięcy autora artykułu o „soldatesce sowieckiej” wydrukowanego w *Kněževnyh Novinach* w pierwszą rocznicę inwazji. Po co to, po co ten zamęt w głowach, uszczuplający kapitał oporu który będzie jeszcze kiedyś potrzebny? Bo dla niego, Džilasa, Czechosłowacja bardziej niż faktem dokonanym jest lekcja na przyszłość. Przywódcy „nowego kursu” czechosłowackiego popełnili kapitalny błąd, nie biorąc w rachubę ewentualności interwencji zbrojnej, ba odrzucając ją nawet *a priori*. Było rzeczą absolutnie nieodczowną oczyścić gruntownie na szczycie partię, rząd i wojsko z elementów prosowieckich, jak to zrobili Jugosłowianie w roku 1948; a potem, w momencie krytycznym konfliktu, ogłosić powszechną mobilizację. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby wojska Paktu Warszawskiego musiały się liczyć z tym że nie obejdzie się bez walki. A tak? Zostały w praktyce zaproszone do przejechania się czołgami po Czechosłowacji, do zdławienia biernego oporu niemal bez strzału. Tylko Kriegel rozumiał o co naprawdę chodzi. Może jeszcze Smrkovsky. Dubczek miał niestety do zaofiarowania niewiele więcej poza swoją dobrą wolą i naiwnością.

Pytam go co sądzi o artykule Mihajlo Mihajlova *Džilas i współczesna Jugosławia*: w nim właśnie, w Džilasie, Mihajlov upatrywał w roku 1966 potencjalną alternatywę dla Tity i nadzieję jugosłowiańskiego jutra. Pytam go o to i dlatego, że w Jugosła-

wii zaczyna się już otwarcie mówić o „sukcesji” i na jej temat krążą najprzeróżniejsze hipotezy. Odpowiada najpierw ze śmiechem że Tito cieszy się wyborem zdrowiem, potem poważnie i zamyśla się. Nie robi sobie nadmiernych złudzeń, wie że jest politycznie *out*. „Zwycięzą moje idee, a nie ja”. Jego idee wyłożone są w *Spółeczeństwie niedoskonałym*, dojrzewały w nim stopniowo podczas ostatnich lat uwięzienia, przybrały kształt definitywny gdy po zwolnieniu mógł je swobodnie zweryfikować czytając i obserwując. Za punkt wyjścia uważa „pewnik o nieuchronnej dezintegracji komunizmu”. Przywiązuje ogromną wagę do faktu że zamiast przewidywanej przez wielu polaryzacji — partii z jednej strony a społeczeństwa z drugiej — jesteśmy świadkami pęknięcia które od góry do dołu przebiega w równej mierze przez partię co przez społeczeństwo. To jest zadatek otwartej dialektyki społecznej, przejścia od utopijnych rojeń marksistowskich o społeczeństwie doskonałym do konkretnego społeczeństwa niedoskonałego, jedynego w jakim żyjemy i będziemy żyć usiłując je wciąż ulepszyć. Szczególnie w Jugosławii reforma gospodarcza wprawiła w ruch system, popychając go krok po kroku w kierunku „drugiego aktu politycznego”. Nie potrzeba już ani rewolucji ani wojny domowej, wystarczą pokojowe formy walki: demonstracje, strajki, marsze protestacyjne, deklaracje publiczne i, *last but not least*, odważna krytyka i nieustępliwość moralna. Zapewne, nie należy lekceważyć niebezpieczeństwa dyktatury wojskowej w wypadku śmierci Tity, oraz niebezpieczeństwa obumierania idei jedności Jugosławii w wyniku zaostrzania się separatyzmu chorwackiego i (w mniejszym nieco stopniu) słoweńskiego. Są to jednak niebezpieczeństwa rozwoju, które można z czasem zażegnać. Nie obawia się że drugie dałoby Rosjanom okazję do stawki na upokorzony nacjonalizm serbski, tradycyjnie prorosyjski? Džilas podrywa się w fotelu. Tak, wszystkiego wolno się spodziewać po imperializmie rosyjskim.

Trzy problemy proszą się w rozmowie o osobne potraktowanie: Reforma, prawdziwe lub urojone widmo dyktatury wojskowej po Ticie, odśrodkowe procesy narodowościowe. Z wypowiedzi innych moich rozmówców belgradzkich widzę, że uznanie nieodwracalności Reformy i jej pozytywnej w sumie roli nie pociąga za sobą bynajmniej optymistycznej jednomyślności. Argument „nieuniknionego kosztu eksperymentu” spotyka się z kontrargumentem „łańcuchowej eksplozji błędów”; argument „wyjścia ze ślepego zaułka centralizmu gospodarczego” z kontrargumentem „anarchoidalnego brodzenia w ciemnościach”. Nie rzadko występuje swoista schizofrenia: polityczna strona Reformy tak, gospodarcza nie; *laissez-faire* w polityce, silna ręka w gospodarce. Ci, którzy rozumieją że syjamskiego rodzeństwa nie rozrąbiesz to-

porem, żądają przynajmniej by jazda Bulwarem Reformy odbywała się na hamulcach. Ekonomia rynkowa, konkurencja między przedsiębiorstwami, odprowadzanie wpływów z produkcji do jednostek produkcyjnych, samorząd robotniczy? Bardzo pięknie, ale: wzrost cen szybszy od wzrostu płac, emigracja zarobkowa, bezrobocie, spekulacja, przewaga elementu technokratyczno-menedżerskiego nad robotniczym. W tej ostatniej sprawie, na przykład, *Borba* z 19 listopada przyznaje bez obłonek że świeża poprawka konstytucyjna o uprawnieniach dla dyrektorskich rad administracyjnych komentowana jest przez część opinii publicznej jako preludium do odebrania głosu radom robotniczym, do nadania im funkcji wyłącznie dekoracyjnej. Znamienna zbieżność: tego samego dnia *Politika* donosi, że sąd najwyższy skazał na dziewięć miesięcy więzienia profesora uniwersytetu belgradzkiego Dimitrije Živkovića za książkę o ekonomii politycznej socjalizmu, w której Reformie i systemowi samorządu stawia się zarzut zwęskowania Jugosławii na drogę restauracji kapitalizmu.

Džilas patrzy na ten chaotyczny obraz, nie tracąc zmysłu równowagi. Są to bóle porodowe transformacji, społeczeństwo niedoskonałe żyje nareszcie autentycznym życiem, stara się dopasować socjalizm do ludzi a nie ludzi do socjalizmu. W jego przekonaniu wątpliwości, niepokoje, alarmy w obozie zwolenników Reformy mają swe źródło w nienadążaniu zmian politycznych za zmianami gospodarczymi. Gorset monopartii wymaga rozluźnienia, jest ciągle jeszcze za ciasny mimo retuszy organizacyjnych dokonanych na IX zjeździe Ligi Komunistów, „centralizm demokratyczny” musi być bardziej ograniczony na rzecz demokracji *tout court*. Miko Tripalo, który uchodzi za faworyta Tity i wschodzącą gwiazdę Ligi, mówił ostatnio o dwóch przeciwstawnych koncepcjach partii: ośrodku skupiającego wszystko w swoich rękach lub *sui generis* klubu dyskusyjnego. Żadna z nich nie jest według Tripalo do przyjęcia, Liga więc trzyma się czegoś nawet nie pośredniego lecz całkiem nowego. Jaka, zastanawia się na głos Džilas, może być nowa koncepcja partii w systemie samorządu gospodarczego, który wyklucza istnienie innych partii? Prawdopodobnie oparta na wzmocnieniu i maksymalnym rozszerzeniu autonomii republikańskich organizacji partyjnych, prawie na ich przeobrażeniu w samodzielne partie. Polityczny ruch odśrodkowy rodzi narodowościowy ruch odśrodkowy, nie da się niestety tego ryzyka uniknąć. Jest to ryzyko bardzo poważne, jak zdążyłem się zorientować z rozmów w Belgradzie. Może w Zagrzebiu albo w Liublianie usłyszałbym inny dzwon, ale w Belgradzie powtarza się bez przerwy, że Chorwaci „stracili wszelkie poczucie miary”, że „w swoim niewyżytym nacjonalizmie zmierzają w prostej linii ku podkopaniu wspólnoty jugo-

słowiańskiej”, że „ich ciągoty separatystyczne grożą skompromitowaniem Reformy”. Wzmiankowany już numer *Borby* z 19 listopada przynosi wiadomość, że na apel naczelnych władz Ligi drukarnie w całej Chorwacji odmówiły drukowania tygodnika *Hrvatski Književni List*, oskarżonego o nacjonalizm i antykomunizm. Podobno inteligencja chorwacka ma za złe znanemu zagrzebskiemu czasopismu filozoficznemu *Praxis* nie tyle „platformę marksistowską”, co „przesadną jugosłowiańskość”.

Liga Komunistów na rozdwoju, policja zdezorientowana i osłabiona po defenestracji Rankovića, wielonarodowa struktura państwa podminowana, Tito choć w dobrym zdrowiu stary i bez następcy — byłoby dziwne gdyby nie dało o sobie znać wojsko. Przed wyjazdem do Belgradu czytałem artykuł profesora Matthew Mestrovicia, syna wielkiego rzeźbiarza, o spiskach i machinacjach generalskich w Jugosławii. Profesor Mestrovic, który wykłada w Stanach Zjednoczonych „bałkanistykę”, zacerpnął swoje informacje z poufnych wynurzeń „jugosłowiańskich przywódców komunistycznych o tendencji liberalnej”. Jego artykuł czytał również w prasie zagranicznej (nawiasem mówiąc, łatwo dostępnej w Belgradzie) Džilas. Wstęp brzmi tak: „Pucz wojskowy nie tylko podciąłby supremację Ligi Komunistów sprawującej obecnie władzę, ale przerodziłby się siłą rzeczy w nową dyktaturę i pchnąłby na powrót Jugosławię w orbitę sowiecką z której wyrwała się w roku 1948”. Potem następują informacje. Od roku 1966 po dzień dzisiejszy wykryto dwa spiski wojskowe: jednego generała rozstrzelano, kilku aresztowano, około tuzina przeniesiono w stan spoczynku. Pierwszy z tych spisków związany był z niejasną sprawą Rankovića. Drugi z inwazją Czechosłowacji. Prosowieckim generałom (od dawna niechętnym demokracji, zagrażającej ich zdaniem centralistycznej strukturze władzy państwowej) nie podobało się poparcie Tity dla Dubczeka. 21 sierpnia 1968 roku trzydziestu generałów jugosłowiańskich przebywało w Soczi, na zaproszenie sztabu sowieckiego. Podczas burzliwego posiedzenia komitetu centralnego Bakarić, ówczesny prezydent republiki chorwackiej, ujawnił że wschodnie granice Jugosławii były w momencie inwazji Czechosłowacji całkowicie odsłonięte i oskarżył generałów o zмовę z dowództwem sowieckim: czołgi sowieckie bez trudu mogłyby być w ciągu kilku godzin stanąć na przedmieściach Belgradu. Z obrad KC wyłoniła się również paradoksalna sytuacja, w której dwie trzecie wojska zmasowano w rejonie Zagrzebia i Splitu dla odparcia ataku NATO, a plany operacyjne generałów Gosniaka i Hamovića uzgodniono ze sztabem sowieckim w ramach wspólnej strategii sowiecko-jugosłowiańskiej na wypadek wybuchu wojny. Tito przeniósł bez rozgłosu w stan spoczynku parę Gosniak-Hamović

i szereg wyższych oficerów serbskich. Na jakiś czas do łask doszła strategia konkurencyjnej pary generalskiej Rukavina-Oreszczanin, oparta na wykorzystaniu oddziałów milicji ludowej i partyzantki działających w ramach dowództw terytorialnych sześciu republik. Poprawa stosunków z Moskwą usunęła ją do lodówki.

Džilas nie jest przekonany o ścisłości tych informacji. Ma do powiedzenia tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, jakby nawiązując do poprzedniego punktu naszej rozmowy, zwraca uwagę że sześćdziesiąt procent wyższego korpusu oficerskiego w Jugosławii stanowią Serbowie. Po drugie, przypomina że w *Spółeczeństwie niedoskonałym* zmienił pogląd, wyrażony w *Nowej klasie*, na dyktaturę wojskową jako postępowy taran w walce z dogmatyzmem i monopolem władzy biurokracji partyjnej. „Parafrazując Clemenceau, można powiedzieć że komunizm wykazuje jak dalece byłoby szaleństwem wzywać na pomoc generałów w rozwiązywaniu skomplikowanych zagadnień państwa i życia współczesnego”.

W dniu naszego spotkania prasa jugosłowiańska podała odpowiedź Sołżenicyna na werdykt Związku Pisarzy Sowieckich. „Jaki wspaniały człowiek — wykrzykuje Džilas — chciałbym mu móc powiedzieć że czuję się jego bratem!”. Wracam do hotelu z wizyty u Džilasa Bulwarem Czerwonej Armii-Rewolucji-Rezolucji-Reformy. Zatrzymuję się w wielkiej księgarni, przeglądam książki. Są powieści Sołżenicyna, jest *Rok 1984* Orwella, jest *Przegrana bitwa Stalina 1948-1953* Dedijera zadedykowana pamięci Jana Palacha. Brak jedynie książek pisarza „nie-istniejącego”, który bez przeszkód pracuje w rodzinnym zaciszu na Palmitce.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Belgrad, listopad 1969.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWO BIBLIOTEKI „KULTURY”

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

MOTORY I HAMULCE SOCJALIZMU

Str. 128

Cena egz. F. 12 (dol. 2,50; 20 sh.)

To książka, którą powinien przeczytać każdy czytelnik „Kultury”

O buncie młodych

I

Bunt młodych! A może nawet *Bunt Młodych*? Skąd ja znam te słowa? Dlaczego z nimi kojarzy mi się tyle wspomnień? Za lat mojej bardzo dalekiej młodości stateczny *Kurier Warszawski* pomstował na „pajdokrację”. Było to wtedy słowo bardzo modne. Jajko chciało być mądrzejsze od kury, młodzi chcieli pouczać starszych, ba — nawet prowadzić ich za sobą. I kurierkom owych czasów „pajdokracja” była równie obrzydliwa, jak jest nią dla wielu kurierków dzisiejszych „pajdokracja” naszych czasów. I jak nią była „pajdokracja” wszelkich czasów ubiegłych.

Młodzież dzisiejsza wyraża swój bunt w rzeczach bardzo zewnętrznych i w rzeczach bardzo zasadniczych. Jak i jej poprzednicy. Jeżeli baczki dziś są bardzo modne i jeżeli mają być wyrazem niezależności umysłu i ducha, to mnie się przypomina moda na baczki w Polsce mojej wczesnej młodości. Baczki — za wzór posłużył tu Książę Józef — były wtedy symbolem dążeń niepodległościowych i antyzaborczych (nawet w Galicji, wbrew bakom Najjaśniejszego Pana!). W Legionach baczki były bardzo modne, później zanikły z nastaniem niepodległości.

W jeszcze nieco wcześniejszych czasach długie włosy i niechlujna broda były świadectwami wyższych aspiracji artystycznych lub rewolucyjnego ducha. W Rosji studenci-rewolucjoniści — a szczególnie studentki-„kursistki” — ubraniem, fryzurą, niechęcią do mydła wykazywali swój protest i pogardę dla burżuazyjnych manier i porządków.

Wygląd zewnętrzny świadczył o odrzucaniu uznanych wartości starszego społeczeństwa. Ale szło to dalej. Protest w postaci swobody seksualnej? Oczywiście epoki wiktoriańskiej nie można

mierzyć miarą naszych czasów. I odwrotnie — mores naszej epoki nie można mierzyć miarą ocen epoki wiktoriańskiej. Ale na przełomie wieków XIX i XX hasło „wolnej miłości” było bardzo popularne wśród buntującej się młodzieży rosyjskiej i nierosyjskiej. I było nie tylko popularne. Jego wskazania były praktykowane.

Czy nie było aktywnych, zbiorowych wystąpień buntującej się młodzieży? Zaburzenia studenckie były na porządku dziennym w uniwersytetach rosyjskich. Ale czy tylko tam? W Krakowie doszło do całej rewolty studenckiej na tle sprawy księdza Feldmana. Strajk szkolny w Kongresówce może posłużyć za inny przykład buntu młodzieży. Nie bez przyczyny *Kurier Warszawski* pisał o „pajdokracji” i przed nią rozważnych ostrzegał.

Ale rewolty młodzieży, jej czynne i masowe wystąpienia, nie były rzeczą bez precedensu i na Zachodzie. Można tu się powołać na *Camelots du roi*. Były to wystąpienia skrajnie prawicowe, ale nie mniej wyrażające jakiś bunt, protest, niezadowolenie.

„Nihilizm” (do tej pory nie ustalono, co on właściwie znać), anarchizm, rewolucyjny socjalizm, sorelowski syndykalizm, różne gatunki nacjonalistyczne itd., itd. — wszystko to były formy gwałtownego odrzucania przez młodych obowiązujących systemów wartości, obowiązujących mores. Ale można iść jeszcze bardziej wstecz.

Zastanawiam się nieraz nad tym, którego ze świętych dzisiejsi *hippies* i *flower children* powinny wybrać za swego patrona. I sądzę — bez chęci obrażania niczyich uczuć — że na takiego patrona szczególnie nadaje się św. Franciszek. Przypuszczam, że ówczesne asyżkie *establishment* patrzyło na Il Poverello i jego towarzyszy nie lepiej niż *establishment* dzisiejsze patrzy na *hippies* i *flower children*. Św. Franciszek był buntownikiem przeciwko uznanym wartościom jego czasów i skupiał wokół siebie buntowników, którzy przeważnie byli bardzo młodzi. I niewątpliwie w jego buncie — *toutes proportions gardées* — były treści zrozumiałe dla naszych *hippies*. Takie jednak zdobycze naszej cywilizacji jak LSD i marihuana czasem Il Poverello szczęśliwie nie były znane.

Bunt młodych i *generation gap* są tak stare i tak znane jak pisana historia człowieka. Czytajcie uważnie „Katylinarki” Cyce-rona, a znajdziecie tam gorzkie słowa na temat „pajdokracji”.

Walka młodych ze starymi ma swe żywe odgłosy w folklorze wszystkich narodów, jest tematem literatury i sztuki. Pisał Turgiewicz o ojcach i dzieciach, przedstawiając *generation gap* właściwe ówczesnym czasom.

I porównując bunt dzisiejszy ze znanymi nam buntami dawnymi, natrafiamy na ciągłość, ciągłość w treściach i formach

zewnątrznych. Nieszczęściem ze starymi jest to, że nie zdolni są wyobrazić sobie siebie z lat młodości. Bo przecież i wśród tych starych muszą być tacy, którzy kiedyś się buntowali.

Jeżeli jednak bunt młodzieży jest tak stary jak dzieje człowieka, to z tego bardzo niewiele wynika dla oceny buntu współczesnego. Byłoby groźnym nonsensem zbyć dzisiejszych wydarzeń zdawkowymi uwagami w rodzaju „wszystko to już było”, „młódzież musi się wyszumieć”, „jak dojrzeją, to zmądrzeją” itp. Jest też rzeczą bardzo pomyślną, że takich głosów na ogół się nie słyszy (pomijając niektórych psychoanalityków!), że przeciwnie, bunt dzisiejszej młodzieży jest traktowany bardzo poważnie. Niezawsze bardzo mądrze, ale poważnie. Albowiem bunt ten nie jest zwykłą kopią buntów poprzednich. Pod wieloma względami jest on od nich bardzo różny.

I nad tym warto się zastanowić. Uwagi moje będą bardzo ograniczone. Na temat buntów młodych napisano i powiedziano bardzo dużo — w Ameryce i w innych krajach. Nie roszczę sobie wielkich ambicji w kierunku odkrywania nowych prawd. Chcę porobić pewne obserwacje, ograniczając się do terenu, który jest mi lepiej znany — do buntu młodzieży amerykańskiej.

II

Jak dotąd, buntująca się młodzież amerykańska to studenci wyższych — w bardzo odosobnionych wypadkach średnich — zakładów naukowych. Inaczej niż np. we Francji, bunt młodzieży studenckiej w Stanach Zjednoczonych nie dotarł do młodych, zatrudnionych w różnych działach gospodarki amerykańskiej. Nie oznacza to, by ze strony radykalnej studenterii nie było prób podciągnięcia i młodzieży robotniczej. To jest jednym z haseł S.D.S. (*Students for a Democratic Society*) i pokrewnych grup „Nowej Lewicy”, pozostającej pod wpływem filozofii profesora Marcuse. Próby te jednak wyników nie dają. Rewolucyjna koalicja młodzieży studenckiej i robotniczej w Ameryce jest wciąż hasłem dalekim od praktycznego urzeczywistnienia.

Wyjątkiem jest tu młodzież czarna, gdzie hasła buntu przenikają i do pewnych środowisk młodzieży niestudenckiej. Ale bunt czarnej młodzieży jest czymś specyficznym. Mieści się on w ramach ogólnej rewolty Czarnej Ameryki i nie da się podciągnąć pod ogólne tendencje i treści buntu młodzieży amerykańskiej. To uderza, gdy chodzi o czarną studenterię. W każdym razie stosunki między S.D.S. i *Black Panthers* wcale nie są harmonijne i radykalne grupy murzyńskie na ogół nie utożsamiają się ze swymi białymi kolegami. Nie wynika stąd jednak, by w S.D.S. nie było czarnych uczestników.

W wielu wypadkach amerykańscy młodzi robotnicy nie kryją się ze swą wrogością w stosunku do wystąpień i programów radykalnej studenterii. Są oni częścią amerykańskiego świata pracy, a ten jest usposobiony konserwatywnie i coraz bardziej konserwatywnie. Robotnik amerykański przyjmuje istniejący stan rzeczy, jest z niego zadowolony i uważa go za wysoce dla siebie korzystny. Filozofia ta jest wyraźnie podzielana przez amerykańską młodzież robotniczą czy w ogóle zaangażowaną w amerykańskim systemie produkcji i wymiany.

Jest to więc wciąż bunt studentów. A więc kontynuacja tych buntów młodzieżowych, jakie zachodziły w przeszłości? Możliwe że tak, ale w jakże zmienionych warunkach. I w Ameryce i w Europie.

Moje lata studenckie były związane z dwoma uniwersytetami — warszawskim i wiedeńskim. Nie były to małe uczelnie. W każdej z nich uczyło się przeszło dwa tysiące studentów. Wiele innych ówczesnych uniwersytetów były to uczelnie znacznie mniejsze. Głośne wyższe uczelnie Niemiec i Włoch miały poniżej tysiąca studentów.

Dzisiejszy New York z jego siedmioma wielkimi uniwersytetami i szeregiem innych wyższych uczelni ma prawdopodobnie więcej studiujących niż miała ich cała Europa przed pięćdziesięciu laty. W zawrotnym tempie wszędzie powstają nowe wyższe zakłady naukowe, a stare potężnie uwielokrotniają swoje zaludnienie. Eksplozja przyrostu ludności wybitnie ujawnia się w eksplozji przyrostu uczącej się młodzieży.

Ale przyrost tej ostatniej sięga znacznie dalej niż wyniki ogólnego przyrostu zaludnienia. Wzrost młodzieży studiującej idzie znacznie szybciej niż przyrost zaludnienia. Albowiem w żadnej epoce w dziejach człowieka nie było takiego jak dziś zapotrzebowania na ludzi z kwalifikacjami naukowymi.

W Stanach Zjednoczonych liczba obecnie studiującej młodzieży sięga ośmiu milionów. Za parę lat dojdzie ona do milionów dziesięciu. I w podobnej proporcji przedstawia się sprawa w innych krajach wysokiego uprzemysłowienia. Studiująca młodzież dziś to nie są nieliczne grupy wybranych, ale rzeczywiste masy sięgające w miliony. To jest czynnik ilościowy, który bardzo trzeba brać pod uwagę zastanawiając się nad buntem współczesnej młodzieży. Jeżeli bunt ten ma swoje odpowiedniki w przeszłości, to nie wolno zapominać, że przeszłość ta była pod znakiem rewolt bardzo nielicznych grup studenckich.

W parze z tym idzie zmiana w pozycji młodzieży studiującej w życiu zbiorowym. Dawna wyższa uczelnia produkowała medyków, prawników (z których znaczną część pochłaniał aparat biurokracji państwowej), nauczycieli i teologów. W wieku XIX

w miarę rozwoju nowoczesnej technologii dołączyli się do tego inżynierowie. Zapotrzebowanie na ludzi z kwalifikacjami nabytymi w wyższych uczelniach było bardzo ograniczone. W wielu krajach, gospodarczo słabo rozwiniętych, podaż przewyższała popyt. Jako przykład mogła tu posłużyć Polska przedwojenna. Co w krajach takich pchało młodzież do studiów wyższych, to były nie tylko nadzieje na gospodarcze wyzyskanie nabytych kwalifikacji. Dyplom wyższej uczelni był tu wartością samą przez się, niezależnie od jego gospodarczych następstw. Był podstawą prestiżu społecznego, formą swoistej nobilitacji. W ówczesnej stratyfikacji społecznej „inteligent” (nawet bez dyplomu) był osobistością wyróżniającą się i wyróżnianą, a jako grupa był stawiany bardzo wysoko. Następstwa gospodarcze nie miały w tym istotnego znaczenia.

Wiedza, jaką daje dzisiejsza uczelnia amerykańska — i uczelnie wzorujące się na amerykańskich — jest wybitnie zróżnicowana i wyspecjalizowana. I ma na względzie osiągnięcia praktyczne. Bardziej w gospodarce niż w biurokratycznym aparacie państwowym. Ale w Stanach Zjednoczonych ten ostatni coraz bardziej upodabnia się do aparatu gospodarczego i przejmując szeregi jego funkcji. Jeżeli w Ameryce dyplom staje się symbolem prestiżu społecznego, to jest to następstwem tych obiektywnych funkcji, jakie jego posiadacze spełniają w całokształcie życia zbiorowego, szczególnie — gospodarczego.

Astronomia była dawniej uważana za wiedzę raczej ezoteryczną i studiowanie jej pociągało tylko nielicznych entuzjastów. Ekonomiczne szanse astronomów były wielce ograniczone. Fantastyczne postępy technologii przestrzennej sprawiły, że w Stanach Zjednoczonych popyt na astronomów jest ogromny i że stale rośnie. Astronomia znajduje dla siebie zastosowanie wysoce praktyczne i ma wysoce pociągające aspekty zarobkowe. Nie inaczej jest w całej masie wszelkich innych dziedzin współczesnej wiedzy i technologii. Wszędzie jest tu kolosalny popyt na ludzi z wykształceniem nabytym na wyższych uczelniach. W Ameryce jest ich stale za mało. I stąd ów *brain drain*, przyciąganie ludzi wykształconych i utalentowanych ze wszystkich zakątków naszego świata.

W końcu każdego roku akademickiego wyższe zakłady naukowe Ameryki są widownią najazdu ze strony przedstawicieli agencji państwowych, gigantów przemysłowych, wielkich banków itd., starających się zwербować młodych a uzdolnionych dyplomantów. Jest tu jakaś licytacja o tych młodych ludzi. Werbownicy podbijają się w cenach, proponując coraz lepsze warunki pracy i płacy. A młodzi są wybredni. Znają swoją cenę i wiedzą, że bezrobocie w żadnym wypadku im nie grozi.

To jest jeden z najciekawszych momentów naszych czasów. Obiektywna społeczna pozycja studenta i obiektywna społeczna pozycja człowieka wykształconego stale się umacniają. Student i inteligent przestają być elementem marginesowym, jakim dawniej byli nie tylko w krajach takich jak przedwojenna Polska. Byli nim i w Stanach Zjednoczonych, gdzie tradycyjna ocena kwalifikacji nabytych w szkole była bardzo niska. Wzorem osobowym był tu *self-made man*, człowiek który osiągnął sukces życiowy bez kwalifikacji szkolnych. To się gwałtownie zmienia. Właśnie warunkiem osiągnięcia sukcesu staje się zdobycie odpowiedniego wykształcenia, posiadanie takich kwalifikacji, jakie dać może tylko nabyta wiedza.

Młodzież amerykańska ma bezspornie poczucie własnego znaczenia. Wie, że czekają ją ważne zadania i że w spełnieniu tych zadań jej nabyte wykształcenie odegra ważną rolę. *Self-made man* przestał być dla niej autorytetem. Przeciwnie, zaczyna się do niego odnosić z wyraźną pogardą. Do niego i do ideałów, którym służył.

To są zasadnicze momenty, które — w moim przekonaniu — muszą być pilnie brane pod uwagę przy obserwowaniu form i treści dzisiejszego buntu młodych. Jeżeli jest to nadal bunt studenterii, to studenteria ta dziś jest masą i obiektywna jej pozycja w społeczeństwie ulega zasadniczej zmianie.

III

Jak procentowo w masie studenterii amerykańskiej przedstawia się udział aktywnych buntowników, z demolującymi urządzeniami uniwersyteckie na czele? Odpowiedź na to jest niezmiernie trudna. Wskazanie ścisłych danych jest niemożliwością. Wiemy, że S.D.S., które zresztą niedawno przeszło przez rozłam, liczyło koło dziesięciu tysięcy członków. Prawdopodobnie wszystkie inne ugrupowania „Nowej Lewicy” razem wzięte nie liczą więcej. Przyпуска się więc, że odsetek aktywnych buntowników nie jest zbyt wielki.

Nie powinno to nas zaskakiwać. Wszelkie bunty były dziełem mniejszości, niekiedy bardzo niewielkiej. Istota sprawy stale się mieści w ustosunkowaniu się do tej aktywnej mniejszości całej reszty danej zbiorowości. A więc — większości.

Jeżeli chodzi o buntującą się studenterię Stanów Zjednoczonych, to niełatwo jest dać odpowiedź na to pytanie. Dużo jednak przemawia na rzecz przypuszczenia, że wśród obojętnej i nieaktywnej większości są — w stopniu większym czy mniejszym — sympatie dla buntu i buntowników. Może być nieuznawanie czy potępienie metod, mogą być takie czy inne zastrzeżenia, ale jest

duża doza zrozumienia dla buntu, jest w jakiejś mierze sympatyzowanie z wieloma jego hasłami i formami działania. Młodzież — a przynajmniej ogromna jej część — nie jest zadowolona, jest w stanie fermentu. Jest przeciwna wojnie w Wietnamie, jest życzliwa dla aspiracji Czarnej Ameryki, jest krytycznie usposobiona wobec starszej generacji. Niezawsze godzi się na formy buntu „Nowej Lewicy”, ale wyraźnie szuka jakichś symbolów swego niezadowolenia. O tym najwięcej mówiły sukcesy Senatora Eugene'a McCarthy wśród młodej inteligencji amerykańskiej. Podobnie masowo pociągały ją takie postacie, jak obaj bracia Kennedy i Dr Martin Luther King.

Nie są to jedyne przykłady wyrazów niezadowolenia tej młodzieży. Jej zainteresowania czytelnicze, jej styl życia, nawet jej rozrywki — wszystko to zdaje się świadczyć o głębokim fermentcie, ogarniającym masy amerykańskiej studenterii. „Nowa Lewica” i krańcowość jej wystąpień ilustrują jedynie nurty i postawy, jakie są wyraźnie właściwe dla olbrzymiej ilości młodych Amerykanów kształcących się na wyższych uczelniach. W moim przekonaniu, bunt młodych w Ameryce sięga głębiej niż ekstrawagancje najsłabszych elementów.

Byłoby rzeczą niezmiernie ciekawą ustalić, z jakich środowisk wywodzą się najbardziej zbuntowane elementy młodzieży amerykańskiej. Chcę tu jednak znów zaznaczyć, że celowo pomijam sprawę buntu czarnej studenterii. Jest to bowiem sprawa osobna, choć bardzo związana z całością. Będę mówił o buntującej się białej studenterii i o jej pochodzeniu społecznym. Ale i tu muszę zastrzec się przed zbyt dalekimi generalizacjami. Mówiąc o środowiskach buntowniczych, będę stale miał na myśli te, z których *głównie* wywodzą się młodzi rebelianci.

Podnoszono wielokrotnie, że ośrodkami buntu są przede wszystkim uczelnie, skupiające młodzież zamożniejszą, wywodzącą się nie tylko z *middle class* ale i z *upper middle class*. W New Yorku bunt przybrał najostrzejszą postać na Columbi, tej tradycyjnej pepinierze zamożnej Ameryki. Wypadł on natomiast błado na terenie Uniwersytetu Miejskiego (University of the City of New York), gdzie wiedzę zdobywa na ogół młodzież mniej zamożna. Były zajścia w niektórych jego oddziałach (zwłaszcza City College i Queens College), ale były to przede wszystkim wystąpienia czarnych studentów, do których przyłączyły się radykalne grupy ogólne z S.D.S. na czele. Bardzo mizernie wypadły próby buntu w katolickich Fordham i St. John's oraz w żydowskim Yeshiva University. W tych trzech uczelniach przeważa młodzież mniej zamożna i czarni są tam stosunkowo słabo reprezentowani. Nawiasowo dodając, że wyznaniowy charakter tych trzech wybitnych uczelni nie odnosi się ani do składu profesorów ani studen-

tów. Stosunkowo najdrastyczniej przedstawiała się sytuacja na terenie St. John's, gdzie chodziło o sprawę zakresu kompetencji czynników duchownych i świeckich.

Ogień buntu najżywiej płonął na uniwersytetach kalifornijskich, wchodzących w skład wielkiego systemu University of California. Tu przodowały Berkeley i San Francisco State College, uczelnie w których młodzież z *middle class* i *upper middle class* jest licznie reprezentowana. I to samo da się powiedzieć o innych ogniskach buntu. Złośliwiec mógłby zauważyć, że w rejonie New Yorku jedną z najbardziej buntowniczych uczelni był Sarah Lawrence College, tradycyjna pepiniera panienek z bardzo bogatych domów. Jedną z przywódczyni była tam Miss Firestone, wywodząca się z rodziny producentów słynnych opon samochodowych. W żadnym wypadku panienki tej nie można uważać za typową proletariuszkę!

Jak sądzę, nie będzie przesadą powiedzieć, że gros zbuntowanych i malkontentów reprezentuje środowiska należące do tzw. *suburbia*. Wielkie miasta amerykańskie są dziś otoczone wieńcem osiedli podmiejskich, zaludnionych przez elementy zamożne. Tu znalazła dla siebie mieszkanie zamożniejsza *middle class*. *Suburbia* to ładne, często bardzo ładne, jednorodzinne domki, ze starannie utrzymywanymi ogródkami, to czyste ulice, to dobrobyt i *respectability*.

Mieszkańcy *suburbia* nie są milionerami. Są to ludzie zatrudnieni w różnych dziedzinach ekonomiki, służby publicznej, działalności kulturalnej. Ich skala dochodu jest stosunkowo wysoka i stopa życiowa zgoła nie niska. Ogół mieszkańców *suburbia* to ludzie wykształceni i o żywych zainteresowaniach kulturalnych i politycznych. Choć wpływy republikańskie są tam znaczne, *suburbia* jest bardzo liberalna. Jest gorliwą czytelniczką takich publikacji jak *Saturday Review*, *Partisan Review*, *Commentary* itp. Nie ma sympatii dla wojny wietnamskiej i domaga się praw dla czarnych. Z tego ostatniego jednak nie wynika, by *suburbia* entuzjazmowała się perspektywą masowego osiedlania się czarnych na jej terenie. Chyba że są to ludzie bardzo wybitni i powszechnie uznani! W roku 1968 Senator Eugene McCarthy znalazł w *suburbia* mocną podstawę polityczną. Również wielką popularnością cieszył się tam Robert Kennedy. Pod względem pochodzenia etnicznego *suburbia* jest anglosaska, co jednak obejmuje ludzi o nazwiskach skandynawskich, holenderskich i niemieckich. I podobnie obejmuje Żydów, którzy nie są podrzędnym składnikiem *suburbia*. We wszystkich tych wypadkach chodzi o elementy, które — choć pochodzeniowo nieanglosaskie — dzięki swym osiągnięciom zdobyły dla siebie uznanie anglosaskiej klasy średniej i zostały przez nią niejako zaadoptowane.

Liberalizm *suburbia* często wyraża się w proteście. *Suburbia* nie jest zadowolona z wielu faktów życia amerykańskiego. Ale w całości życie to aprobuje i czuje się w nim bardzo dobrze. Ma też wszelkie podstawy do zadowolenia. Spełnia arcyważne zadania społeczne, jest wysoce *respectable*, ma mocne podstawy materialne. W całokształcie współczesnej Ameryki *suburbia* jest czynnikiem o wielkiej doniosłości, i o doniosłości która stale rośnie.

Ale tu dorasta nowe pokolenie. Jest to młodzież studiująca w wyższych zakładach naukowych. I ta jest mniej zadowolona. Niewątpliwie rodzicom swym zawdzięcza ona bardzo dużo, włącznie z tradycjami liberalizmu, protestu i żywych zainteresowań intelektualnych. Ale jest to mało, ale nie jest to wszystko. Co więcej, te domowe tradycje dają pewne ujście dla wyrażania buntu na szerszą skalę. Rodzice starali się być niekonformistycznymi. Młodzież uważa, że w stopniu nie wystarczającym — ale zarazem jest oswojona z nonkonformizmem, choćby tylko w postaci werbalizmu.

IV

Suburbia może być uznana za najlepsze uosobienie tego co się nazywa *affluent society* — społeczeństwa dobrobytu. Inaczej niż np. w środowiskach robotniczych, dobrobyt *suburbia* nie jest skojarzony z wysiłkiem i walką. Jest on bezpośrednim następstwem pozycji, jaką mieszkańcy *suburbia* zajmują w życiu zbiorowym, ich wykształcenia, ich funkcji publicznych i gospodarczych. Są tu wszelkie dane dla wytworzenia się atmosfery zadowolenia, pogodnego korzystania z dobrodziejstw życia. Ale właśnie z tych samych racji są tu podstawy dla niezadowolenia.

Jeden z moich znajomych — natura wysoce dynamiczna i buntownicza — tłumaczył mi dlaczego nie mógł wytrzymać w Kalifornii. Nużył go łagodny klimat kalifornijski, nużyła łatwość życia w tamtejszych warunkach. *Nothing to struggle against* — było podsumowaniem jego kalifornijskich doświadczeń i uzasadnieniem, dlaczego po kilku latach powrócił na Wschodnie Wybrzeże. Mam wrażenie, że owo *nothing to struggle against* jest żywo odczuwane przez młodzież *suburbia*. Walka z rodzicami? — Ale rodzice są zdecydowanymi liberałami i starają się dzieciom zostawiać zupełną swobodę. I są naszpikowani najnowszymi teoriami psychologii i pedagogiki. Jakże można krępować indywidualność dziecka i młodzieńca? Walka o dostęp do *establishment*? Był to bardzo ważny motyw dawnych buntów młodych. Ale młodzi *suburbia* już są w *establishment*. Ich przyszła pozycja społeczna jest zapewniona. Walka o dalsze zdobycze ekonomiczne? Znowu nie

blahy motyw jakże wielu dawnych buntów młodych. Ale młodzież *suburbia* jest częścią i beneficjentką *affluent society*. Sama nigdy głodu nie zaznała i głodu nie zaznali jej rówieśnicy.

Oczywiście są racje walczenia o coś poza obrębem *suburbia*. Jest 15 % Amerykanów, których stopa życiowa jest poniżej tego co w Stanach Zjednoczonych jest uznane za minimum. Jest sprawa Czarnej Ameryki. Jest sprawa wietnamska. Jest szereg spraw innych, o które również można i warto jest walczyć. Ale w sprawach tych cała liberalna *suburbia* jest jednolita. I głos jej ma nie mały ciężar gatunkowy. Coś jednak się robi w dziedzinie podniesienia poziomu życiowego upośledzonych. Ostatecznie w ciągu lat ostatnich odsetek ich z 20 % spadł na 15 %. Tylko ślepi nie dostrzegają tych zmian, jakie od roku 1954 zaszły w sytuacji Czarnej Ameryki. I na zmiany te nie mały wpływ wywarł nacisk liberalnej białej Ameryki, włączając w to oczywiście *suburbia*. I *suburbia*, dorosła *suburbia*, odegrała nie małą rolę w końcowej decyzji Johnsona.

Podnoszono niejednokrotnie, że ceną jaką się płaci za *affluent society* jest poczucie nudy. Ciekawie pisze o tym w *Kulturze* Paweł Zdziechowski, w swym bardzo cennym studium o buncie młodzieży francuskiej. Uczucie nudy, czy uczucie przesyty, czy wreszcie — nudy płynącej z przesyty. Sądzę, że najlepiej to wyraziła formułka mego znajomego zniechęconego do Kalifornii: *Nothing to struggle against*. Młodzież z natury rzeczy jest dynamiczna i buntownicza. Młodzież w zupełności zadowolona nie jest młodzieżą. Młodzież ma potrzebę walki. Ale z czym tu walczyć?

Najsilniej jest to odczuwane właśnie wśród tej młodzieży, która w najwyższym stopniu korzysta z dobrodziejstw *affluent society*. Z życia jej pilnie usuwane są wszelkie przeszkody na drodze do tego, o co trzeba by walczyć. Jeszcze jedno auto? Jeszcze jedna kolorowa telewizja? Jeszcze jedna podróż? Rzeczy te stały się częścią wzoru życia codziennego, są tak łatwe do osiągnięcia. Nie ma tu o czym marzyć i o co walczyć.

Byłoby jednak szalonym uproszczeniem twierdzić, że bunt młodych jest następstwem wyłącznie uczucia znudzenia, jakie odczuwa młode pokolenie *suburbia* i całego *affluent society*. Nuda, przesyta, *nothing to struggle against* — mogą się wyrażać w gwałtowności form zewnętrznych protestu, mogą pchać w kierunku skrajnych koncepcji rewolucyjnych i ideologii, mogą pociągać w kierunku Marcuse, Guevara czy Mao Tse-tunga, ale nie mogą tłumaczyć samego buntu, jego dynamiki, jego rozmiaru. Jeżeli młodzież jest znudzona, to niemniej jest ona niezadowolona i protestująca. I — jak wszelka młodzież — szukająca zasadniczej przemiany.

W młodzieży tej istnieje potężny nabój *oburzenia moralnego*.

Mierzi ją to, co nazywa ona hipokryzją starszych, ich obłuda, niezgodność ich słów z czynami. To oburzenie zawsze i wszędzie było właściwością młodzieży. Jeżeli go nie ma, nie ma młodzieży. Ale młodzież, o której mówię, jest młodzieżą amerykańską. Jest ona dzieckiem całej historii narodu amerykańskiego, jest spadkobiercą wielkich jego tradycji moralnych. I choćby najbardziej buntowała się przeciwko tym tradycjom, uwolnić się od nich nie może.

Od Purytanizmu przejęła ona ideę służby. Od nonkonformistycznego sekciarstwa — ideę niezależności osobistej, obowiązku protestu i walki z obłudą. Od Rewolucji i Pogranicza przekazane jej zostały hasła walki o swoje prawa. Posługuje się ona gwałtem, bo gwałtowne metody są składnikiem tradycji amerykańskiej. Postawy tych młodych nie są sprzeczne z zasadami etosu amerykańskiego. Są to rzeczy wspólne dla całej młodzieży, albowiem są wspólne dla całej Ameryki. W równej mierze z protestancką podziela je młodzież katolicka i żydowska. Młode duchowieństwo katolickie jest nie mniej bojowe niż młode duchowieństwo protestanckie czy żydowskie. I jakże łatwo znajduje wspólny język ze swymi kolegami innych wyznań.

A o obłudzie starych mówić jest nie trudno. Bronią praw czarnych, ale nie chcą mieszkać w ich sąsiedztwie. Ubolewają nad biedą Appalachie, ale nie wyrzekają się na jej rzecz swego dobrobytu. Pomstują na wojnę w Wietnamie, ale nie brzydzą się materialnymi zyskami z nią związanymi. To młodych oburza. Jak przed stuleciami obłuda starszych oburzała Św. Franciszka i jego młodocianych uczniów. Jak oburzała młodzież, która zorganizowała Krucjatę Dziecięcą. Nad tą krucjatą bardzo byłoby warto dziś się zastanowić.

Ta młodzież jest myśląca. Bez myślenia nie zaszłaby daleko w swych studiach. Cały system dzisiejszego nauczania wymaga samodzielnego myślenia, krytycyzmu, sceptycyzmu. Bez tego nie polecilibyśmy na księżyc. Zbuntowana młodzież amerykańska jest także dzieckiem epoki wyjścia człowieka poza naszą planetę. Aby stworzyć komputera, trzeba było myśleć. I jak jeszcze myśleć!

I młodzież buntuje się przeciwko moralności *establishment* i samemu *establishment*, szczególnie jego zawodowo-politycznemu skrzydłu. Ideały *affluent society* wydają jej się czymś jałowym i pełnym hipokryzji. I buntowi temu nadaje formy gwałtowne.

V

Trzeba pamiętać, że młodzież dzisiejsza, wchodząc w życie, weszła zarazem w pustkę ideologiczną, spowodowaną przez kryzys ideologii współczesnych. Prowadzi to ją do rozpaczliwego szu-

kania jakichś nowych koncepcji i filozofii, które by pustkę tę mogły jakoś wypełnić, a samej młodzieży dać jakieś moralne busole. Czy poszukiwania te są pomyślne — jest sprawą zupełnie inną.

Zbuntowana studenteria wieku XIX i pierwszych dziesięcioleci wieku XX była pod jednym względem w sytuacji znacznie pomyślniejszej od swych amerykańskich następców. Miała wyraźną filozofię, miała busolę w postaci sprecyzowanego systemu ideologicznego. Wierzyła w nacjonalizm, albo wierzyła w socjalizm, albo w jedno i drugie.

W oczach dzisiejszej młodzieży amerykańskiej nacjonalizm jako ideologia jest gruntownie skompromitowany. W latach trzydziestych naszego wieku komunizm cieszył się popularnością w tak nieproletariackich ośrodkach jak Harvard i Yale. Dziś moskiewska wersja komunizmu całkowicie tam zbankrutowała i jest pogardzana przez ogół studenterii. Ale bankructwo tradycyjnych ideologii nie oznacza zaniku potrzeby posiadania jakiejś ideologii.

W swych „Szkicach o ideologiach” starałem się wykazać, że jesteśmy dziś w okresie wielkiego kryzysu ideologicznego, ale że nie oznacza on końca wieku ideologii. Wypadki amerykańskie — a zapewne i gdzie indziej — zdają się przemawiać na rzecz mojej tezy. Młodzież jest w próżni ideologicznej, ale stara się ją jakoś wypełnić.

Szuka tego w takich systemach jak filozofia Profesora Marcuse’a, jak koncepcje Mao Tse-tunga, Guevary itp. Szuka w nich jakichś nowych treści, które mogłyby jej posłużyć za nowe busole.

Idee kalifornijskiego filozofa do mnie nie przemawiają. Uważam je za bardzo mętne, pełne sprzeczności, pełne nieprzemyśleń. Maksymy Mao Tse-tunga czytałem w tłumaczeniach angielskich i rosyjskich. Możliwe że w chińskim oryginale brzmią one lepiej. Może! Ale w tekstach, które są mi znane, uderzają one swoją banalnością i przygnębiającą naiwnością. I nie lepiej — dla mnie przynajmniej — wyglądają inni, do których zwraca się młodzież.

Ja jednak nie jestem młodzieńcem i nie mogę być w tych ocenach miarodajny. Oniś przecież młodzieńcem byłem i jakieś wspomnienia z tych czasów we mnie się zachowały.

Jeżeli wszystkie te koncepcje sprowadzimy do najprostszej formuły, to otrzymamy hasło, że aby coś nowego zbudować, trzeba najpierw zburzyć wszystko stare. Albowiem jest ono złe, zakłamane, pełne sprzeczności, niepociągające. Młodzież doskonale odczuwa schizofreniczny charakter cywilizacji, którą stworzyliśmy. Co zbudować i jak budować — jest znacznie mniej jasne. Ale teraz trzeba burzyć.

Idee te nie brzmią dla mnie nowo. Widzę w nich nawrót do dawnego rosyjskiego „buntarstwa”, w wersji chyba najbliższej

Bakuninowi. Pamiętam, że w latach mojej młodości hasło to miało pociągający urok dla mnie i wielu moich rówieśników. Czytaliśmy anarchistów, czytaliśmy Machajskiego, czytaliśmy Sorela. Trzeba burzyć, a później się zbuduje. Sądzę, że „buntarstwo” ma specjalny urok dla młodzieży i to bynajmniej nie dla najgorszej. Młodość jest burzycielska, młodość jest bardziej przeciwko niż za.

W tym — mam wrażenie — zawiera się urok filozofii Marcuse’a i innych ideologów „buntarstwa”. I w tym „Nowa Lewica” szuka dla siebie nowej ideologii. W tym też kierunku sięgają poszukiwania „Czarnych Panter”. Trzeba burzyć świat białych, aby zbudować nowy świat wyzwolenia czarnych.

Rozważniejsi starsi — choć sami zbuntowani i protestujący — mają poważne obawy w stosunku do takiej filozofii. Wiedzą oni, że „buntarstwo” może mieć bardzo nieprzewidziane konsekwencje praktyczne i że niekoniecznie prowadzi do zbudowania lepszej rzeczywistości. „Buntarstwo” było u podstaw zarówno hitleryzmu jak i stalinizmu. I jakże często prowadziło ono do beznadziejnego konformizmu! Warto by tutaj zapoznać się z wysoce przenikliwymi uwagami, jakie porobił jeden z najwybitniejszych przedstawicieli młodej i myślącej Afryki Tom Mboya. Porobił je na krótko przed swoją gwałtowną śmiercią.

Nie wdaję się w prorocтва na temat przyszłości tego ideologicznego „buntarstwa” i jego następstw. Nie wiem, przez jaką ewolucję ideową przejdą ci dziś młodzi ludzie w miarę postępujących lat. Wiem jedynie o ewolucji, przez którą sam przechodziłem. Ale wiem też, że następstwa „buntarstwa” mojej młodości i młodości wielu poprzednich pokoleń nie wypadały dla rodu ludzkiego najszybciej. To jednak jest sprawa zupełnie inna.

I nie potrafię też przewidzieć, jakie dalsze treści ideologiczno-filozoficzne rozwiną się z obecnego „buntarstwa”. Miejmy jednak nadzieję, że wyjdą one poza spekulacje Profesora Marcuse i Przewodniczącego Mao Tse-tunga.

„Buntarstwo” jest wymierzone przeciwko *establishment*, jego moralności, jego filozofii, jego instytucjom i metodom działania. Inaczej — przeciwko całej naszej schizofrenicznej cywilizacji. Jest ono tej cywilizacji produktem, jej nieuniknionym następstwem. Młodym chodzi tu przede wszystkim o zawodowo-polityczną część tego *establishment*. Zaryzykuję powiedzenie, że chodzi tu o walkę z aparaczkami.

Słowo „aparaczk” ma bardzo brzydki wydźwięk. Kojarzy się ono z najgorszymi stronami komunistycznego systemu rządzenia. Ale da się ono odnieść i do wszelkich innych systemów rządzenia. Albowiem żaden z nich nie może się obejść bez bardzo licznej grupy zawodowych techników rządzenia, opierających swoją pozycję

na racjach natury partyjno-politycznej. W demokracjach — dzięki systemowi kontroli społecznej — zespół ten jest znacznie mniej skostniały i skorumpowany niż w systemach totalnych. Do tego jest on wolny od uroszczeń ideologicznych, jest w wysokim stopniu w swych działaniach pragmatystyczny.

Polityczna część *establishment* składa się z zawodowych polityków, przeważnie o wykształceniu prawniczym. Wykształcenie to ma duże zalety praktyczne, ale w coraz mniejszym stopniu odpowiada wymaganiom współczesnej sztuki rządzenia. Dzisiejszy aparat państwowy takiego kraju jak Stany Zjednoczone ma do czynienia z niesłychanie złożonymi kombinacjami technologicznymi, gospodarczymi, społecznymi i politycznymi. Ma do czynienia z masami ludzkimi — w kraju własnym i na całym świecie — które są w stanie fermentu, które stoją wobec zagadnień obcych czasom dawnym. Konieczny jest tu wysoki stopień specjalizacji i wybitne kwalifikacje wiedzy.

W połowie wieku XIX Heine złośliwie pisał o Zgromadzeniu Frankfurckim:

*Vier und achtzig Professoren,
Vaterland, du bist verloren.
Hundert zwanzig Advokaten,
Vaterland, du bist verraten.*

Heine musiał być zdecydowanie niewysokiego zdania o kwalifikacjach w dziedzinie sztuki rządzenia intelektualistów, reprezentowanych przez prawników i profesorów. Wśród tych ostatnich przeważali zresztą filozofowie i teolodzy. Od tego czasu zašły zmiany zasadnicze. Prawnicy zapełnili część zawodowo-polityczną *establishment*, a profesorowie na ogół przestali być filozofami czy teologami. Kwalifikacje prawników zostały wybitnie zakwestionowane. Natomiast profesorowie i różni intelektualiści-fachowcy zaczęli być coraz bardziej potrzebni kierownictwu politycznemu.

Woodrow Wilson był w historii Stanów Zjednoczonych — jeżeli pominąć Jeffersona — pierwszym intelektualistą, który dotarł do Białego Domu. Był on zresztą również praktycznym politykiem. Nie była to próba zbyt udana. Nie tyle z winy samego Wilsona ile z winy społeczeństwa, niedojrzałego do intelektualizmu swego Prezydenta. Później dopiero Kennedy wprowadził do rządu wielki zespół fachowców-intelektualistów. Były to wydarzenia przełomowe, świadectwo zachodzących przemian. Bez pomocy i udziału wiedzy fachowej nie można było rządzić w epoce nowej rewolucji. W tym kierunku szedł dalej Lyndon Johnson, z wykształcenia nie-prawnik i zawodowy polityk *par excellence*. Nixon, którego trudno jest uważać za intelektualistę i który jest zarazem prawnikiem i zawodowym politykiem, nie zerwał z tą

tradycją. Ostatecznie jego najbliższym doradcą politycznym jest Henry Kissinger, wybitny przykład nowego intelektualizmu amerykańskiego.

Słowem, intelektualiści stali się częścią amerykańskiego politycznego *establishment*, i to częścią bardzo ważną, o funkcjach i zadaniach obejmujących najszersze dziedziny współczesnej rzeczywistości.

To niezmiernie podniosło polityczną (nie tylko społeczną) pozycję amerykańskiego intelektualisty. Do niedawna był on zaledwie tolerowany i traktowany lekceważąco. Dziś stał się autorytetem, dziś rozwija w sobie poczucie znaczenia własnej roli historycznej, własnej doniosłości.

Z wysoka też zaczyna patrzeć na polityczno-prawniczą część *establishment*. Prowincjonalny prawnik, który dzięki umiejętności gry politycznej na lokalnym terenie doszedł do Senatu, przestaje mu imponować. Wyjątkiem w tym są ci prawnicy, których uznaje za intelektualistów. Jak Goldberg, Douglas i cała plejada innych. Intelektualistów jest też coraz więcej w zespole zawodowo-politycznym. By wymienić tylko Senatora Eugene McCarthy.

Buntująca się młodzież w bardzo dużym stopniu wywodzi się ze środowisk intelektualnych. Jest usposobiona bardzo intelektualnie i wie, że przyszłość jej pójdzie w kierunku działalności, wymagającej wiedzy i wysokich kwalifikacji naukowych. W jej wrogości do polityczno-prawniczego *establishment* mieści się silna doza pogardy dla ludzi, którzy decydują o najbardziej złożonych zagadnieniach życia współczesnego, nic z nich nie rozumiejąc, będąc w nich zupełnymi ignorantami. Ośmielę się twierdzić, że *in nuce* istnieje tu zasadniczy konflikt między tradycyjnymi metodami rządzenia a aspiracjami nowej generacji intelektualistów, ludźmi, nabywającymi wiedzę współczesną i szykującymi się do pełnego zastosowania jej w życiu. Jeżeli tak jest, to dalsze konsekwencje takich nastawień mogą być niezmiernie doniosłe.

VI

Podniosłem, że ważnym momentem w buncie amerykańskiej studenterii jest odrzucenie przez nią tradycyjnych ideologii i szukanie ideologii nowych. Przypuszczam, że nie bez związku z tym jest sprawa postaci przywódczych, które by ją mogły za sobą pociągnąć.

Młodzież amerykańska — cała młodzież, nie tylko jej najbardziej skrajne skrzydło — miała kilku swoich bohaterów, w których widziała symbole własnych aspiracji. Byli to John F. Kennedy, Robert F. Kennedy, Dr Martin Luther King i Eugene

MacCarthy. Z tych czterech trzech zostali brutalnie zamordowani. Dwaj przez szaleńców, jeden przez zwykłego zbira. Nie można nie doceniać wstrząsu, jaki przeżyła młodzież amerykańska na tle tych wydarzeń.

Słusznie czy niesłusznie obwinia za nie starszych, obwinia *establishment*, obwinia całą cywilizację, w której takie rzeczy mogły się stać. Zamordowani zostali ludzie, którym wierzyła, za którymi stała, których podziwiała. A czwarty z nich — Eugene McCarthy — poniósł klęskę polityczną i zamierza zejść ze sceny politycznej.

Przypuszczam, że mordy te nie były bez wpływu na gwałtowność wystąpień amerykańskiej młodzieży. Trzeba zniszczyć porządek rzeczy, w którym takie wydarzenia były możliwe. Młodzież sama musi to wziąć w swe ręce, skoro jej bohaterowie i przywódcy ze starszego pokolenia zostali zbrodniczo usunięci.

Dawne bunt studenterii prawie z reguły łączyły się z postaciami przywódczymi ze starszego społeczeństwa. Dzisiejszy bunt młodzieży amerykańskiej takich przywódców nie posiada. Oczywiście są tu jednostki popularne, najczęściej ze świata młodszej profesury. Jak np. Lynd. Ale ani ideolog-Marcuse (pan to zgola starszy), ani przywódcy „Czarnych Panter” czy innych grup zbuntowanej Czarnej Ameryki, na wodzów rewolty studenckiej nie bardzo się nadają. Nie nadają się też różni bardzo popularni poeci i piosenkarze, w których młodzi widzą wyrazieli swego protestu. Tu i ówdzie występują lokalne jednostki przywódcze, jak np. Rudd na Columbii, ale jak dotąd brak jest wyraźnego przywództwa w skali ogólnonarodowej. To — obok mętności ideologicznej — jest ważnym źródłem słabości tego buntu. Przy najmniej — jak dotąd.

A i nie wzmacniają go formy zewnętrzne, jakie przybiera. Niszczenie urzędów uniwersyteckich, demolowanie bibliotek, wyrażanie profesorom — wszystko to nie są metody zbyt przekonujące. Oczywiście wynikają one z ogólnej koncepcji „buntarstwa” i można je rozumieć. Nie wynika stąd jednak, by można było je pochwalać i uważać za prawdziwie skuteczne.

Prowadzą one do sytuacji, która młodzież ośmiesza i ją kompromituje. Rebelia przybrała bardzo ostre formy na terenie San Francisco State College. Chodziło tam głównie o sprawę uprawnień (w rzeczywistości — specjalnych uprawnień) dla czarnych, osobnych studiów w zakresie kultury afrykańskiej i afro-amerykańskiej (ten postulat jest powszechnie wprowadzany w życie) itp. Na tym tle doszło do potężnych awantur.

Prezydent San Francisco State College — Sam Haykawa — wykazał twardą rękę. Był bardzo stanowczy, uciekał się do środków zgola drastycznych. Za to został okrzyknięty faszystą i rasistą.

Dr Hayakawa jest znakomitym językoznawcą, jednym z największych autorytetów w dziedzinie semantyki. Takie są jego kwalifikacje naukowe. Nazywanie go faszystą brzmiało mocno przesadnie. Hayakawa jest czynny w kalifornijskiej polityce i jest liberalnym Demokratą. Jak dotąd nikt jego liberalizmu nie kwestionował. I trudno posądzać o rasizm człowieka o kolorze skóry Hayakawy. Jest on Nisei, co znaczy że jest Amerykaninem japońskiego pochodzenia urodzonym w Stanach Zjednoczonych. Młodzież jest — rzecz jasna — gwałtowna w swoich oskarżeniach. Inaczej — nie byłaby młodzieżą. Jednakże wymysły, jakimi obrzucała wielkiego uczonego, na pewno jej sprawie nie pomogły.

I w tym jest niebezpieczeństwo tego buntu. Przypuszcza się, że Nixon — i w szczególności George Wallace — zawdzięczali mu sporą ilość głosów. Hasło „prawa i porządku” pociągnęło niejednego, przestraszonego gwałtownością wystąpień studenckich i oburzonego wybrykami w rodzaju Columbii czy San Francisco. Najsilniejsze antystudenckie reakcje były naturalnie wśród robotników i w *lower middle class*, konserwatywnych i w buncie młodych widzących zaprzeczenie ideału *respectability*.

Jeżeli więc w buncie amerykańskiej studenterii odbijają się elementy szerszego konfliktu między klasą liberalnych intelektualistów i zawodowo-politycznych *establishment*, to równocześnie jest tu i konflikt między światoburczą młodzieżą i konserwatywnym szerokich mas, korzystających z dobrodziejstw *economy of plenty* i *affluent society*. Masy te zaczęły uznawać autorytet wykwalfikowanych intelektualistów. Zawdzięczają im przecież wielkie zdobycze. Ale masy te antagonizuje rewolucyjny charakter wystąpień młodzieży, pragnącej zniszczyć wszystko, by budować nowe. Masy te aprobują istniejący porządek i gwałtownych zmian nie szukają. Oczywiście ich konserwatyzm nie idzie tak daleko, by przeciwwstawiać się wszelkim zmianom. Skrajnie konserwatywne *The John Birch Society* jest wciąż grupą raczej marginesową, bardziej hałaśliwą niż wpływową. Ogół Amerykanów należy przecież do świata, którego założeniem są zmiany. Owocem tych zmian jest właśnie *affluent society*. Ale ogół ten chce, by zmiany te zachodziły w ramach porządku, w którym żyje i który mu całkowicie odpowiada. W tym też jest sens amerykańskiego liberalizmu. Jest on reformistyczny, jest protestujący, jest dysydencki, ale nie jest rewolucyjny, ale przyjmuje tradycyjne wartości amerykańskiego etosu i całej przeszłości kulturalnej.

W tym jest zasadnicza cecha wielkiej rewolucji, jaka dziś zachodzi w Ameryce. Zachodzą tu zmiany na skalę olbrzymią. Obejmują one wszelkie dziedziny życia. Ale nie są odczuwane jako rewolucyjne, nie sprowadzają się do idei burzenia i zrywa-

nia z tradycjami. Są rewolucyjne w treściach, konserwatywne w formach.

Bunt młodych — podobnie jak bunt czarnych — stanowi jeden z aspektów tej rewolucji. Jest on z nią organicznie i silnie związany. Ale młodzież jest rewolucyjna nie tylko w treściach, ale i w formach. Jak wszelka młodzież, młodzież amerykańska jest w tym „buntarska”, jest irracjonalna i niezawsze mądra. Jest młodzieżą! Ale to prowadzi ją do konfliktu ze starszymi, dla których takie formy są nie do przyjęcia.

Od mych przyjaciół słyszę często słowa potępienia pod adresem zbuntowanej młodzieży. Ale — choć nieraz przyjaciółm moim musiałbym przyznać słuszność — zachowuję ostrożne milczenie. Albowiem żyją we mnie wspomnienia mojej własnej młodości. Zachowała się w mej pamięci koncepcja reorganizacji uniwersytetów, z jaką przed półwiekiem wystąpiłem na zjeździe kół naukowych uniwersytetów polskich. Była ona bardzo podobna do dzisiejszego programu *participation*, głoszonego przez studenterię amerykańską i nie tylko amerykańską. W rzeczywistości głosiłem wtedy plan autonomii studenckiej i wpływu uczących się na organizację i kierownictwo wyższych uczelni. Program ten — mniej radykalny niż programy dzisiejsze — wywołał wtedy wielkie oburzenie. I na pewno był niedowarzony i naiwny. Ale czy mogę potępiać bunt młodych, czy mogę odrzucać jego hasła, ja, który sam ongiś byłem nie lepszy? I dlatego wolę milczeć.

VII

Wszystko co było dotąd powiedziane nie wyczerpuje całości aspektów buntu studenterii amerykańskiej. Tak w Europie, jak i w Ameryce przedmiotem ataku jest organizacja wyższych uczelni i metody nauczania. W Stanach Zjednoczonych sprawy te nie przedstawiają się tak drastycznie, jak np. we Francji. Organizacja wyższych uczelni jest tu mniej skostniała, nieskończenie lepiej przystosowana do wymagań naszej cywilizacji. I tak samo lepiej są przystosowane metody nauczania.

Nie zmienia to sprawy, że uniwersytet amerykański jest dziś też gigantyczną maszyną, produkującą wszelkiego rodzaju fachowców. Te giganty straciły charakter ośrodków bliskiego współżycia — współżycia w ogóle i współżycia intelektualnego. I tu profesor nie może utrzymywać bliskiego kontaktu z masą swoich studentów. Uczelnia staje się czymś bezosobowym, zimnym, funkcjonalnym. Wygląda to w Stanach Zjednoczonych lepiej niż w Europie, ale nie wygląda dobrze.

Ten bunt młodych jest rzeczą bardzo ważną i poważną. Jeżeli powoływałem się na precedensy dawnych buntów, to bynajmniej nie z myślą o takich banałach, jak że młodzież musi się wyszumieć, że jak dorosną to zmądrzeją, że myśmy też byli tacy.

Prawdopodobnie młodzież ta się wyszumi, zmądrzeje, i naturalnie że i myśmy byli tacy. Ale zagadnienie nie jest w tym. Albowiem przy wszystkich analogiach z przeszłością, przy wszystkich odwiecznych formach i treściach, w buncie dzisiejszej młodzieży widzę coś nowego i coś większego.

Sądzę, że w tym buncie młodzieży odbija się głęboki kryzys całej naszej cywilizacji, którą nie waham się nazywać schizofreniczną.

Wciąga on wszystkie elementy społeczeństw. Jest procesem obejmującym najszersze masy ludzkie. Zachodzi w ramach największej w dziejach rewolucji technologicznej. Ba, w ramach rewolucji w ogóle, rewolucji przenikającej do wszystkich dziedzin naszego bytowania.

Tak jest szczególnie w Stanach Zjednoczonych, w tym najbardziej uprzemysłowionym kraju świata, gdzie rozwinęła się *economy of plenty* i ukształtowało się *affluent society*. Ale właśnie na tym podłożu szczególnie ostro rysują się kontrasty wszelkiego rodzaju: zamożność 85 % ludności i ubóstwo 15 %; *suburbia* i getto murzyńskie; *respectability* i obłuda; liberalizm przekonania i konserwatyzm działania. A razem z tym idzie poczucie jałowości życia, nudy, tego że *there is nothing to struggle against*.

Mówię tu wyłącznie o buncie młodzieży amerykańskiej. Nie czuję się powołanym do mówienia o buntach młodzieżowych innych krajów. Przypuszczam, że każdy z nich ma swoje odrębności lokalne, nieraz sięgające bardzo głęboko. By tylko wymienić bunt młodzieżowe krajów komunistycznych. Sądzę jednak, że wszystkie one mają pewne elementy wspólne i że elementy te są bardzo ważne i bardzo znamienne dla całej naszej epoki.

Jest to epoka powszechnego kryzysu i powszechnego zamętu. Jest to kryzys wartości moralnych, koncepcji ideologicznych, stosunków społecznych i ekonomicznych. I jest to głęboki kryzys idei religijnych. Podłożem tego kryzysu jest nieznaną dotąd w dziejach przewrót technologiczny. Jest on pod znakiem „eksplozji” ludnościowej i pod znakiem wchodzenia do historii olbrzymiej części naszego globu, dotąd będącej przedmiotem zainteresowań prehistorii i antropologii kulturalnej. Na taką skalę, w takich rozmiarach nic podobnego nie zachodziło w dotychczasowych dziejach człowieka.

Istota zagadnienia mieści się znacznie głębiej niż w awanturującej się studenterii. Mieści się ona w całej naszej cywilizacji wysokiego uprzemysłowienia. Problem jest wspólny dla krajów „ka-

pitalistycznych" i dla „socjalistycznych”. Dla krajów rządzonych przez aparaty demokracji i przez aparaty partii komunistycznych. W tych drugich może on być jeszcze groźniejszy niż w pierwszych. W każdym razie podstawowe elementy są tu wszędzie bardzo zbliżone.

Mocno razi mnie formy wystąpień młodych studentów. Bardzo sceptycznie patrzę na ich hasła. Ale nie mogę uwolnić się od uczucia sympatii dla nich, dla ich oburzenia, dla ich protestu. A przede wszystkim dla tragizmu, który się w nich uosabia.

Bo ta młodzież jest tragiczna. Jest osamotniona w tym schizofrenicznym świecie, jaki stworzyliśmy, i sama ulega jego szaleństwu. Ale szuka jakichś dróg wyjścia z niego. Możliwe, że nie są to drogi dobre. Możliwe, że mogą zaprowadzić na manowce. Nie lekceważę sobie perspektyw takich niebezpieczeństw. Ale jest też możliwe, że coś pozytywnego z tego wyjdzie. Ci młodzi są jakimś głosem sumienia. Są zarazem sygnałem, że coś jest nie w porządku i to nawet bardzo nie w porządku.

I słusznie robią ci, którzy nie lekceważą sobie rewolty studenterii, którzy próbują ją przemyśleć. Można walczyć z wybrykami, nie wolno przeczać istotnego. A tego istotnego jest tu niemało.

Aleksander HERTZ

Jeszcze są do nabycia

ALEKSANDRA HERTZA

TOM 139 BIBLIOTEKI „KULTURY”

REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE

Str. 260

Cena egz. F. 16,50 (dol. 3,50)



TOM 146 BIBLIOTEKI „KULTURY”

SZKICE O IDEOLOGIACH

Str. 160

Cena egz. F. 12 (dol. 2,50)

Rewizjonizm polityczny w Europie Wschodniej

We wczesnych latach pięćdziesiątych przyjechała do Polski grupa zachodnich kapitalistów. Oficjalnym celem wizyty było zawarcie jakiejś transakcji handlowej. Przy okazji zachodni byznasmeni mieli odwiedzić ważniejsze fabryki. Liczyli na to, że na własne oczy przekonają się o barbarzyńskiej eksploatacji robotnika w komunistycznych zakładach pracy. Odwiedzili wówczas fabrykę traktorów „Ursus” pod Warszawą. To co ujrzeli, rozbiło kompletnie ich wiarę w niewolniczy charakter komunistycznego ustroju. Zamiast eksploatowanych do ostatniego potu robotników zobaczyli hale fabryczne, po których snuli się senni ludzie. Wśród nich — ówczesny przodownik pracy Jaworski, który wykonywał 300 % dziennej normy, a plan 6-letni miał już dawno za sobą. Kręcąc niedbale papierosa, Jaworski wytłumaczył kapitalistom, że mógłby bez nadmiernego trudu wyrobić 400 % normy. — A jak zarobki? Jaworski machnął tylko ręką.

Dowcip, że robotnicy polscy udają, że pracują, a rząd udaje, że płaci, jest rzeczywiście bardzo stary. Pochodzi w każdym razie z epoki stalinowskiej.

Robotnicy z „Ursusa”, którzy kręcili się sennie po hali fabrycznej, byli prawdopodobnie wówczas również i niedożywieni. Obecnie, o ile rodziny ich nie są nadmiernie liczne, żądki mają pełne, ale pracują dawnym trybem. Osiągnięcie minimum kalorycznego ma Polska szczęśliwie za sobą, choć w roku 1969 nie jest to szczególny powód do dumy.

Wielu chłopom w Polsce powodzi się nienajgorzej, ale głównie dzięki temu, że rolnik polski ma w całym bloku komunistycznym, poza Jugosławią, pozycję wciąż unikalną. Prawdopodobnie nawet znacznie korzystniej mieć prywatną gospodarkę w komunistycznej Polsce niż być małorolnym w Południowych Włoszech, rozwiniętym kraju kapitalistycznym. Indywidualne rolnictwo w Polsce stanowi wyrwę w monopolu gospodarczym państwa. Być wyrwą w monopolu, nawet przy daleko idących ograniczeniach zawsze

się opłaca¹. Gdyby kołchoznikowi sowieckiemu znana była sytuacja podwarszawskich badylarzy albo nawet zwykłych średniorolnych z Podhala, którzy budują sobie murowane domki i kupują motocykle, czy wyszłyby im na wierzch z zawiści. Ten osobliwy zakątek polskiej ekonomii jest ostatnią redutą tzw. Polskiego Października. Redutą, której zresztą nikt nie atakuje — czymś w rodzaju zalegalizowanej herezji Gomułki. Sam Gomułka jest podobno szczególnie z tego dumny i w przyszłość kółek rolniczych absolutnie nie wierzy, w czym zdaje się mieć absolutną rację. Niemniej powód do dumy dla marksisty marny, jeśli się zważy, że wszelkie formy produkcji drobnotowarowej powinny po 25 latach socjalistycznej ekonomii zniknąć.

Istnienie w gospodarce indywidualnego sektora w rolnictwie ma doniosłe znaczenie, jeśli się zważy, że z hodowli i z produkcji płodów rolnych żyje w Polsce ponad 30 % ludności. Również dla oceny ekonomii całego Bloku Komunistycznego zjawisko to stanowi pewien charakterystyczny symptom. Od lat bowiem odbywają się we wszystkich państwach Europy Wschodniej i ZSSR uporczywe próby naprawiania kulejącej gospodarki komunistycznej, głównie przez nakładanie drobnych kapitalistycznych łatek. Ta łatanina odbywa się pod rozmaitymi nazwami: decentralizacji przemysłu, wprowadzania dochodowości przedsiębiorstw, większego uwzględnienia potrzeb rynku itd. Gdy sprawy posuwają się za daleko, bardziej twardogłowi biurokraci podnoszą protest. W efekcie następuje krótka hibernizacja, po czym po jakimś czasie — powtórna odwilż.

W istocie pierwszy sygnał w kierunku rewizjonizmu czy też reformizmu gospodarczego, z należytych podkreśleniem wyższości modelu socjalistycznego nad kapitalistycznym dał sam Stalin, gdy u schyłku swego życia napisał książeczkę „O problemach ekonomicznych socjalizmu”, w której dość nieoczekiwanie dla swych osłupiałych wyznawców „odkrył” prawa rynkowe.

Stalin nie wskazywał żadnych określonych dróg reform dla ekonomii państwa komunistycznego. Jego książka była po prostu wczesnym symptomem dążeń komunistycznej biurokracji, które stały się powszechne w latach późniejszych, a które doprowadziły do nabrzmiewającego z każdym rokiem konfliktu. Konflikt polega

1. Poza indywidualnym rolnictwem istnieje w Polsce nieznaczna ilość prywatnych zakładów rzemieślniczych, stanowiących, formalnie rzecz biorąc, również wyłom w monopolu Państwa. W istocie jednak warsztaty prywatne, niezapatrywane przez Państwo w surowce, które jest ich jedynym dystrybutorem, zmuszone są zdobywać je na drodze nielegalnej. W ten sposób warsztaty prywatne powiększają obszerny sektor istniejący we wszystkich krajach socjalistycznych, który pospolicie nazywa się „ekonomią produktu kradzionego” albo „podziemiem gospodarczym”, a które szczególnie sprawnie funkcjonuje w Związku Sowieckim, przodującym również i w tej dziedzinie. Podziemie gospodarcze powstaje w wyniku niezaspokojonych potrzeb rynku. Ponieważ niniejszy artykuł dotyczy gospodarki komunistycznej w jej legalnie istniejących formach, problematyka ta, niesłychanie zresztą fascynująca, wykracza poza ramy określonego tematu.

na sprzeczności między dążeniem do szybkiego podniesienia standardu życiowego coraz szerszych warstw komunistycznej biurokracji a przeszkodami, jakie stwarza niewydajnie funkcjonujący model gospodarczy komunizmu. Żeby usprawnić model, trzeba by zmienić zasadniczo jego strukturę, co w efekcie oznaczałoby koniec komunizmu i kres panowania komunistycznej biurokracji. Dlatego konflikt ten w istocie swojej jest nierozwiązalny.

Państwo komunistyczne sprawuje totalitarną władzę nad swymi obywatelami dwutorowo. Przy pomocy kontroli administracyjno-policyjnej i ekonomicznej. Polaka, Węgra czy Rosjanina można trzymać w posłuszeństwie w sposób najzupełniej wystarczający przy pomocy środków ekonomicznych. Pozbawiony pracy, nie otrzyma jej, albo otrzyma taką jaką zadecyduje lokalny organ partyjny. Partia, jeśli zechce, może przesiedlić obywatela w dowolne miejsce w kraju poprzez uniemożliwienie mu pracy w miejscu, w którym chciałby zarobkować. Żeby utrzymać obywateli w ryzach, nie trzeba bynajmniej uciekać się do środków terroru policyjnego. Ekonomiczne — w zasadzie wystarczają, chyba, że sytuacja staje się krytyczna i wzmagają się masowy opór ludności. Na tym właśnie polegał samobójczy, z punktu widzenia zachowania ustroju komunistycznego, absurd stalinizmu, który stosował masowy terror jako codzienną normę. W Polsce, w Rosji czy w jakimkolwiek komunistycznym państwie człowieka można uśmiercić cywilnie, bez udziału funkcjonariusza milicji, Sądu lub MSW.

Z niepełnego rozumienia tych właśnie spraw wynika błąd niektórych emigracyjnych publicystów, którzy powiadają, że w Polsce panuje obecnie faszyzm. Można wprowadzić rozmaite sytuacje określone arbitralnymi terminami, ale po co? Wydaje się, że dla unięknienia anarchii terminologicznej, wygodniej jest używać zwrotów z zachowaniem ich konwencjonalnego znaczenia. Faszyzm — czyli rządy policyjne z likwidacją swobód demokratycznych, stosowany był w państwach burżuazyjnych o rozwiniętej gospodarce i rozwarstwowanym społeczeństwie, w którym ferment społeczny zagrażał systemowi kapitalistycznemu. W takich państwach likwidowano swobody demokratyczne, żeby utrzymać ludność w ryzach, przy czym istotną cechą reżymów faszystowskich były stosowane wobec ludności środki policyjno-administracyjne².

Systemy komunistyczne nie potrzebują faszyzmu jako metody rządzenia, ponieważ totalitaryzm ekonomiczny nawet przy „normalnych”, nie beriowskich metodach policyjnych, jest absolutnie wystarczający dla zachowania kontroli nad ludnością i funkcjonuje znacznie sprawniej od jakiegokolwiek faszyzmu. Faszystowskie państwa, nawet w wydaniu Hitlera, przy całym swym barbarzyństwie, nie były w tym stopniu totalitarne co mocarstwo ko-

2. W państwach kapitalistycznych gospodarczo zacofanych lub w państwach półfeudalnych społecznie nierozwiniętych, o nielicznej klasie robotniczej, pozostających zwykle w zależności ekonomicznej od silniejszych gospodarczo partnerów, normalną formą, stanowiącą substytut faszyzmu, są mniósące się obecnie dyktatury wojskowe.

munistyczne, z tej prostej przyczyny, że Hitler i NSDAP nie mogły kontrolować ekonomii Niemiec w takim zakresie, jak to czynią partie komunistyczne w rządzonych przez siebie krajach. Z tego powodu terror hitlerowski wobec własnej ludności był okresami nawet bardziej barbarzyński niż w państwie Stalina. NSDAP starało się osiągnąć ten sam cel — bezwzględny posłuch metodami policyjnymi, który komuniści zapewnili sobie mogli poprzez totalitarną kontrolę ekonomii Państwa, wynikającą z samych założeń ustrojowych.

Omnipotencja państwa komunistycznego w dziedzinie ekonomicznej i jego wszechwładza nad obywatelami jest rzeczą oczywistą. Pożyteczne natomiast dla celów niniejszego artykułu będzie przeanalizowanie struktury monopolu Państwa z punktu widzenia jego skutków gospodarczych, kolidujących z interesami panującej warstwy społecznej-komunistycznej biurokracji, która w swej średniej kadrze staje się coraz liczniejsza i ambitniejsza, a co ważniejsze — pragnąca szybkiego podniesienia standardu życiowego.

Gospodarkę komunistyczną nazywa się pospolicie totalitarną, ponieważ władza centralna — rząd i kierownictwo Partii — kierują, poprzez rozgałęziony aparat, całością ekonomii. Gospodarkę zarówno kapitalistyczną jak i socjalistyczną można dzielić na rozmaite działy według rozmaitych kryteriów. Dla celów niniejszego artykułu wymienię chcę dwie dziedziny: produkcji towarowej i rynku. I jedno i drugie wygląda w obydwu ustrojach odmiennie z tym, że jak się wydaje, kluczem totalitarnej ekonomii, zwanej przez komunistów socjalistyczną ekonomią, nie są bynajmniej tzw. uspołecznione formy produkcji, na co szczególnie nacisk kładli klasycy marksizmu, ale fakt, że rynek i produkcja pozostają w ręku tego samego ośrodka dyspozycyjnego.

Produkowanie towarów lub dostarczanie usług ludności może z równym powodzeniem być funkcją Państwa jak i prywatnego przedsiębiorcy. Wszyscy od dawna wiedzą, że bez względu na to w czyich rękach pozostają te sektory, w państwach kapitalistycznych funkcjonują one na ogół na tym samym dość zadawalającym poziomie. Telefony są w USA prywatne, poczta — państwowa. Jedno i drugie działa sprawnie. Gdy fabryka „Volkswagen” należała do Państwa, produkowała w swoim rodzaju najlepsze samochody na świecie. Stała na przeciwnym biegunie w stosunku do FSO (Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu), która, według opinii bezstronnych ekspertów, wypuszczała z taśmy montażowej najgorsze samochody na świecie — „Syrenki”. Dlatego wydaje się, że nie typ społecznej produkcji decyduje o totalitarnych prerogatywach gospodarczych socjalistycznego państwa, ale produkcja w połączeniu z organizacją rynku. W państwach kapitalistycznych produkcja towarów, ich dystrybucja oraz kredyt pozostają w rękach wielu ugrupowań gospodarczych. Państwo poza tym że sprawuje pieczę nad całością ekonomii, głównie za pośrednictwem sądownictwa, zawiaduje pewnymi działami użyteczności

publicznej. Najważniejszą funkcją Państwa w dziedzinie ekonomii poza ściąganiem podatków jest emisja pieniędzy.

W systemach komunistycznych Państwo, które produkuje towar, dostarcza go na rynek, jest jednocześnie dostawcą środków obiegowych. Dzięki temu kontroluje ono całkowicie rynek, wprowadzając na niego tylko taki i w takich ilościach towar jaki odpowiada to jego interesom, określając dowolnie jego jakość, ustalając równocześnie i wartość pieniądza. Przy pomocy tych czynników Państwo komunistyczne może absolutnie kształtować rozmiary i typ spożycia. Jest to w istocie bez porównania rozleglejsza władza niż ta, którą jakkolwiek system sprawować może za pośrednictwem policji i środków administracyjnego przymusu. Jeśli się weźmie pod uwagę wszystkie jak najdalej idące konsekwencje tego systemu, w którego ekonomicznej wszechwładzy znajduje się niemal każdy obywatel, to łatwo pojąć dlaczego tak skutecznie można zmusić artystę do malowania obrazów jakich życzy sobie Partia, pisarza — do pisania powieści na zamówienie społeczne władzy, nie mówiąc już o nauczycielach, dziennikarzach i przedstawicielach wielu innych zawodów.

Jednym z najważniejszych czynników kontroli rynku jest niewymienna waluta. Niewymienna waluta jest środkiem obiegowym w krajach komunistycznych nie dlatego, że państwo nie może pozwolić sobie na wprowadzenie pieniędzy pełnowartościowych z braku rezerw, ale dlatego, że nie odpowiada to jego interesom. Pieniądz jest wszędzie środkiem w większym lub mniejszym stopniu umownym, ale w krajach komunistycznych jego wartość jest jeszcze bardziej arbitralnie określona niż gdziekolwiek indziej. Z punktu widzenia zasadniczego celu — całkowitej kontroli rynku, a w szczególności determinowania rozmiarów i typu spożycia — waluta niewymienialna poza granicami kraju, a w każdym razie Bloku Komunistycznego, jest jednym z warunków totalitarnej ekonomii. Obywatel państwa komunistycznego powinien kupować tyle i tylko to, na co władza zezwala. Gdyby samo państwo socjalistyczne, tak jak to planował rząd czechosłowacki w roku 1968, wprowadziło walutę wolną, nastąpiłaby niezwłoczna ucieczka kapitałów, ponieważ posiadacze pełnowartościowych pieniędzy szukaliby pełnowartościowych towarów, których nie mogli znaleźć na socjalistycznym rynku. Innymi słowy, żeby utrzymać całą ekonomię w ryzach, wartość pieniądza musi być zrelatywowana jakością towaru dostarczonego na miejscu. W przeciwnym razie cały system straci równowagę i stanie u progu katastrofy.

Zmonopolizowanie rynku towarowo-pieniężnego, stanowiąc fundament panowania politycznego i ekonomicznego komunistycznej biurokracji, powoduje z kolei ujemne skutki, które biurokracja chciałaby usunąć. Tymi ujemnymi skutkami jest niska wydajność, a raczej słaba jakość pracy ludzkiej i wynikająca stąd zła jakość towaru. Co najmniej od kilkunastu lat datuje się bezustanne biadolenie nad brakiem bodźców materialnych, które powodu-

ją złą pracę, a w efekcie zły towar. To socjalistyczne biadolenie nabiera cech tragikomedii.

Jeśli robotnik za swoją pracę może kupić tylko zły socjalistyczny towar i to w niedostatecznej ilości, to pracuje źle i niewydajnie. Innymi słowy wytwarza kiepski produkt. Zakłęte koło jest tu tak nieskomplikowane, że każdy pojmuje je bez trudu. To co dotyczy robotnika, w równym stopniu stosuje się do technika, architekta, funkcjonariusza państwowego lub komunalnego i pracującego w usługach. Wszyscy w Polsce i w innych krajach Bloku Komunistycznego wiedzą, że towar socjalistyczny jest lichy, że dystrybucja w handlu ustawicznie kuleje, a służba zdrowia, mimo, że prawie bezpłatna, ogólnie biorąc, jest niedbała³. Mówię tu o generalnych cechach systemu produkcji i usług, wynikających z zasadniczych właściwości natury ludzkiej. Nie wspominam o indywidualnościach obdarzonych wyjątkowym poczuciem obowiązku społecznego, którzy będą starać się pracować zawsze dobrze. To są wyjątki, na których nie można budować. Budować można tylko na przeciętnościach.

Nie jest wykluczone, że kierownictwo Chińskiej Partii Komunistycznej, które zrozumiało zasadniczą słabość socjalistycznej ekonomii, postawiło sobie jako czołowe zadanie nie przystosowanie modelu gospodarczego do potrzeb natury ludzkiej, ale natury ludzkiej do założonego przez klasyków marksizmu modelu. Motorem ludzkiego działania ma być, według założenia Pekinu, entuzjazm, absolutne wyzbycie się egoizmu oraz zredukowanie osobistych pragnień do minimum. Jest rzeczą wątpliwą czy taki cel można osiągnąć w ciągu jednego lub dwu pokoleń. Jeszcze większe wątpliwości budzić musi stosowana przez ChKP metoda osiągnięcia tego celu poprzez wtłaczanie do głowy ludziom cytat i sloganów, połączona z gloryfikacją Przywódcy. Ponieważ jednak, przy złudnych celach drogi racjonalne i nieracjonalne są jednako nieskuteczne, możliwe, że Chińczycy postępują prawidłowo.

Biurokracje komunistyczne w strefie satelickiej Sowietów nie próbują dokonać żadnej rewolucyjnej przebudowy natury ludzkiej. Odwrotnie, chcą zaspokoić rosnące tęsknoty za luksusem coraz liczniejszej warstwy średnich partyjno-rządowych aparatczyków, którzy dawniej wykonywali pokornie rozkazy zwierz-

3. Do najgorzej płatnej kategorii ludzi w Polsce należą pracownicy służby zdrowia. W roku 1964 pielęgniarka w szpitalu warszawskim zarabiała 800 zł miesięcznie czyli o wiele poniżej przeciętnej zarobków w skali ogólnopolskiej, które wynosiły wówczas około 1.500 zł. W roku 1963 pielęgniarki warszawskie zorganizowały strajk, zlikwidowany sprawnie przez ówczesnego Ministra Zdrowia dr. Widy-Wirskiego, przy wydatnym współudziale MSW. Od chwili powstania Polski Ludowej strajki, jak wiadomo, mogą być tylko „dzikie”. Nie mające za sobą żadnych doświadczeń w tej dziedzinie, pielęgniarki dały się wówczas naiwnie złudzić nieokreślonym obietnicami i po dwudniowym strajku przystąpiły do pracy, wierząc słowu Ministra, że ich materialne warunki ulegną poprawie. W ciągu następnych dni najbardziej aktywne zostały wysiedlone z Warszawy, pozostałym zaś funkcjonariusze MSW potrafili „wyperswadować” wszelką myśl o strajkowaniu.

ności, a teraz liczą się coraz bardziej. Liczą się coraz bardziej i domagają się nie tylko udziału we władzy, ale materialnych owoców komunizmu. Szczególnie ostatnio wraz ze wzrostem ich znaczenia staje coraz bardziej na ostrzu noża kwestia produkowania takiego asortymentu towarów, o takiej jakości i w takiej ilości, jakiej żaden system komunistyczny nie był dotychczas w stanie dostarczyć. Za dawnych czasów w luksusie żyły tylko najwyższe władze, te, które, przykładowo biorąc, w Polsce należą do tzw. siatki rządowej⁴. Problem rozstrzygano prosto. Przedstawiciele siatki „R” mogli zakupić wystarczającą ilość wolnej waluty po cenie oficjalnej, za które mogli sprowadzić sobie z krajów kapitalistycznych przedmioty, będące marzeniem nie tylko dla najzwyklejszego zjadacza chleba, ale nawet dla sekretarza Komitetu Dzielnicowego czy Dyrektora fabryki. Teraz i ci ostatni domagają się szerszego dostępu — żeby nie użyć ordynarnego słowa żłobu — do komunistycznej bogini obfitości, wciąż jeszcze z lekka obdarłej i absolutnie nie będącej w stanie zaspokoić rosnących potrzeb rozmakowanych w dobrobycie biurokratów. Tym bardziej, że wydatki na armię i broń strategiczną nie maleją, a rosną, a program kosmiczny, podobnie zresztą jak i w USA, podykto-

4. Siatka rządowa „R” obejmuje w zasadzie członków rządu, wiceministrów, dyrektorów generalnych w ministerstwach oraz funkcjonariuszy, piastujących równoważne stanowiska (np. Przewodniczący Komitetu do Spraw Radia i TV lub Prezes Państwowego Urzędu Cen mają stopień ministrów). Ponadto w skład tzw. nomenklatury rządowej wchodzi pewna liczba osób, zajmujących wysokie stanowiska w aparacie partyjnym. Poza Biurem politycznym i Sekretariatem obejmuje ona kierowników Wydziału KC, ich zastępców, sekretarzy wojewódzkich oraz zapewne poważniejszych dygnitarzy z wojska, MSW i czołowe osobistości z Akademii Nauk. Sądzę, że w sumie liczba ich nie przekracza 1.000 osób. Stanowią oni elitę władzy w sensie politycznym, korzystając w Polsce ze szczególnych przywilejów materialnych. Według standardu zachodniego nie są to jednak ludzie, żyjący w jakimś szczególnym zbytku. Ich poziom życia w zależności od indywidualnych potrzeb odpowiada dostatkowi jaki w USA i Francji jest udziałem zamożnego kupca lub dyrektora średniego przedsiębiorstwa. Oczywiście sytuacja taka nie oznacza, że pozostała masa funkcjonariuszy jest zrównana w prawach. Przeciwnie, średnie kadry są zhierarchizowane nie tylko według skali płac. Aparat partyjny, korpus oficerski, MSW i kierownicy większych przedsiębiorstw korzystają z rozmaitego typu specjalnych przywilejów materialnych w zależności od zasług i stanowiska. Są one jednak znacznie poniżej tych, do których ma prawo najwyżej szeregowana elita biurokratyczna.

Rzecz jasna, że uprzywilejowanie materialne tej stosunkowo niewielkiej, w porównaniu z 30-milionowym narodem, grupy ludzi nie ma żadnego wpływu na przeciętny standard życiowy Polaka. Niewłaściwy podział dochodu narodowego często przedstawiany jest przez szukających łatwego poklasku polityków i agitatorów jako przyczyna nędzy mas. W rzeczywistości rzadko kiedy jest on *pierwotną* przyczyną biedy. Bywa często przyczyną wtórną, dodatkowo zwiększającą pauperyzację. Pierwotną — jest słaby poziom wytwórczości, mogący wynikać z wielorakich przyczyn, w każdym razie rzadko kiedy z chciwości bogatych. Z drugiej strony wiadomo, że gdy bochenek chleba jest mały, dzieli się go jeszcze bardziej niesprawiedliwie niż wówczas gdy jest duży. Gdy urosnie, nawet przy niesprawiedliwym podziale nasyci wszystkich.

wany w dużym stopniu względami prestiżowymi, w jednym tylko kraju komunistycznym pochłania olbrzymie sumy.

Średnia klasa komunistyczna chce nareszcie zacząć porządnie żyć, ale nie bardzo jest co i z czego wycisnąć. Budżetów domowych kilkumilionowym robotnikom, drobnym funkcjonariuszom państwowym i spółdzielczym w Polsce nie można już dalej obcinać, bez ryzyka wzbudzenia w nich sympatii dla rebelianckich tendencji intelektualistów. Zresztą w sytuacji społecznej, w jakiej znalazła się Polska, żaden nawet najbardziej niesprawiedliwy podział dochodu narodowego nie zaspokoi pragnień pęczniejącej biurokracji komunistycznej. Problem tkwi w podstawowej niewydolności produkcyjnej modelu gospodarki komunistycznej. Żeby zwiększyć jego wydajność, trzeba sięgnąć do jego struktury, co oczywiście jest niemożliwe. Niektórzy dobrej woli, ale niewątpliwie naiwni ekonomiści polscy czy węgierscy sądzą, że mają do czynienia ze złe funkcjonującym mechanizmem: wystarczy odnaleźć błąd, naprawić, ewentualnie przebudować maszynę i problem zostanie rozstrzygnięty. Niestety, komunistyczna maszyna w ciągu 25 lat swego istnienia w Polsce i 53-lecia w ZSSR spowodowała nieodwracalne skutki socjalne w postaci sił społecznych, stojących na jej straży i strzegących jej nienaruszalności. Biurokracja komunistyczna jest jak majster, który obsługuje starożytny warsztat. Chce wydobyć z niego maksimum wydajności. Łata więc i lutuje rozlatujący się gręt, tu i ówdzie wymieni jakąś śrubkę, ale zastąpić go innym, bardziej nowoczesnym, nie może, bo przy tym nowym straci rację bytu i pójdzie z nim razem na złom.

Mimo wszystko, warsztat komunistyczny próbuje się łątać i to stanowi sens zalegalizowanego rewizjonizmu gospodarczego. Nie jest on zbyt groźny, dopóki nie przekroczy pewnych granic, a tego zawsze można dopilnować, skoro próby korektury komunistycznego modelu nie odbywają się ani na ulicy ani w fabrykach, ani na wyższych uczelniach, ale w gabinetach ministerialnych pod czujnym okiem przedstawicieli KC lub nawet Politbiura, którym wprawdzie obce są tajniki ekonomii, ale którzy mają znakomicie wystraszony partyjny zmysł, w porę sygnalizujący niebezpieczeństwo.

Rewizjonizm gospodarczy, który w nomenklaturze sowieckiej i krajów satelickich wcale nie nazywa się rewizjonizmem tylko reorganizacją przemysłu (dopóki, jak w Czechosłowacji, nie przekroczy dozwolonych granic), jest więc formą działalności zalegalizowanej. Właśnie dlatego, że działalność tego typu, choć dotyczy ekonomii czyli bazy panowania komunizmu daje możliwość odgórnej kontroli, jest tolerowana. Natomiast czerwona płachtą na byka jest dla biurokracji komunistycznej jakakolwiek krytyka komunistycznej nadbudowy w formie najbardziej nawet nieśmiały postulatów przywrócenia elementarnych praw demokratycznych. Przykładem słynny list 34 intelektualistów z marca 1964 roku w Polsce, który był czymś w rodzaju petycji adresowanej na „Najwyższe Imię” czyli do premiera Cyrankiewicza. Jeśli się

zestawi furję Gomułki i pozostałych bonzów partyjnych z umiarkowaną treścią i formą wystąpienia, zrozumie się łatwo absolutny kanon nienaruszalności nadbudowy komunizmu w epoce pochruszcówowskiej. Biurokracja komunistyczna boi się jak śmierci najdrobniejszego wyłomu w pancerzu politycznej władzy, który chroni, być może, już nie tylko jej społeczne — ale i fizyczne istnienie⁵. Z punktu widzenia swych interesów nie można jej odmówić pewnej racji. Przyczyny są proste. Jeśli w jakimkolwiek kraju komunistycznym zwiększy się nawet minimalnie margines swobód, pierwsza tego typu koncesja ułatwi wysiłki w kierunku zdobycia dalszych. Innymi słowy, pierwszy wyłom uruchamia reakcję łańcuchową. Ta reakcja przebiegać może rozmaicie i w różnym tempie w zależności od aktywizacji czynników, odmiennych w każdym kraju, ale które z reguły albo prowadzą komunizm na skraj przepaści albo zmuszają biurokrację do zastosowania drakońskich środków masowego terroru, czego w obecnej fazie rządy komunistyczne starają się w miarę możliwości uniknąć.

Prasa komunistyczna i oficjalni rzecznicy polityki Bloku Państw komunistycznych nie trudzą się ze zdefiniowaniem słowa „rewizjonizm”. Jako zwrot, służący do demaskowania przeciwnika, z założenia musi być mętny. Ma inne znaczenie w Moskwie i inne w Pekinie. Nie wiem czy używa go się w Belgradzie, ale na pewno zachowuje jakieś znaczenie w Bukareszcie, gdzie nie słychanie popularny w krajach Zachodu Ceausescu, trzymając żelazną ręką rumuńską inteligencję postępową, a wraz z nią cały naród, pozwalając za to w sposób umiarkowany krytykować Moskwę. Przynajmniej za niektóre jej postęпки.

„Rewizjonizmu się nie definiuje — rewizjonizm się zwalcza” — powiedział na jednym z publicznych zebrań w Polsce pewien działacz, który wyrósł na fali polskiego marca 1968 roku. Niektórzy jednak wbrew tej liberalnej, z punktu widzenia semantyki, zasadzie próbują go charakteryzować. Lista epitetów, którymi darzy się rewizjonistów i rewizjonizm w Polsce, jest długa i nieciekawa. Do najgłupszych charakterystyk rewizjonizmu zaliczyć należy ustęp z artykułu, opublikowanego w jednym z ubiegłorocznych numerów *Życia Warszawy* przez prof. Żychowskiego, w którym jako jedną z cech charakterystycznych rewizjonizmu wymienił oskarżanie Związku Sowieckiego o antysemityzm.

Oczywiście rewizjonizm polityczny nie był straszakiem wymyślonym przez Partię, ale był rzeczywistym zjawiskiem w Polsce, zwłaszcza na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Za Stalina nikt z komunistów nie był rewizjonistą, ponieważ nikt nie wierzył, żeby na monolice państwa stalinowskiego mogły

5. Dowodzą tego doraźne egzekucje na wielu funkcjonariuszach AVH i najbardziej obciążonych zbrodniami stalinowców w roku 1956 w Budapeszcie. Również ilustracją tego, czym może grozić eksplozja długiego tłumionego niezadowolenia, były wydarzenia poznańskie w czerwcu 1956 roku, a w szczególności próba podpalenia przez tłum gmachu Urzędu Bezpieczeństwa wraz z jego lokatorami, niemal uwieńczona powodzeniem.

powstać jakieś rysy. Z komunizmem można było wówczas tylko zerwać, ale nie można było liczyć na jego reformę. Nadzieje przysły wraz z odwilżą w ZSSR i XX Zjazdem. W owych latach rewizjonizm był dążeniem polskiej radykalnej inteligencji, związanej z komunizmem, do zdemokratyzowania systemu, przy zachowaniu socjalistycznych zasad jego struktury gospodarczej. Że nadzieje te były i pozostają złudne chyba nikt nie ma już obecnie wątpliwości ani w Polsce ani w pozostałych krajach Europy Wschodniej.

Wydarzenia w Czechosłowacji — próba przywrócenia komunizmowi humanistycznego oblicza, czyli dokładnie to samo co było pragnieniem polskiej inteligencji radykalnej i robotników w roku 1956, zakończyły się niemniej straszliwą, choć bezkrwawą tragedią niż powstanie budapesztańskie. Czesi mogą sobie obecnie wyrzucić tylko jedno. Osamotnieni, powinni byli schwycić za broń pierwszego dnia inwazji. Mieli szansę, że zryw ich podzielał jak zapłon i płomień rebelii przerzuci się na kraje sąsiednie. Nawet w wypadku klęski było to lepsze niż powolne zakładanie im stryka.

Dla rewizjonistów, wierzących jeszcze wciąż w odrodzenie komunizmu, jeśli gdziekolwiek tacy istnieją, nauka minionego 13-lecia powinna być wystarczająca. Gdy ruch rodzi się od dołu, zduś go Partia. Jeśli tak jak w Czechosłowacji Partia łączy się z narodem — druzgocą go komunistyczni sprzymierzeńcy.

Dla rewizjonistów i rewizjonizmu nie ma już miejsca. Obecnie przestają już być tragiczni. Stają się śmieszni. W roku 1969 nie ma już czego rewidować ani niczego nie można naprawić. Komunizm jest jak zaklinowany od wewnątrz mechanizm. Nie ma już do niego żadnego klucza. Można go tylko rozbić uderzeniem młota.

Zbigniew BYRSKI

Wrzesień, 1969 r.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Kołaczkowski czyli krytyk jako ekspresjonista

Ukazał się świeżo obszerny, dwutomowy wybór studiów krytycznych Stefana Kołaczkowskiego*. Przypomina on krytyka z lat międzywojennych o bardzo ostro zarysowanym profilu, bojowym temperamencie i prowokacyjnie niekonwencjonalnych sądach, fascynującą ale i mocno kontrowersyjną indywidualność krytyczną.

Krytyka to tak osobista i tak specyficznego charakteru, że nie od rzeczy będzie dla zrozumienia tego, jak się ukształtowała, przypomnieć w najogólniejszym zarysie koleje życia Kołaczkowskiego. Urodził się w r. 1887 na wsi kresowej, gdzie ojciec jego był dzierżawcą majątku. Od lat pacholęcych utykał na nogę. W jego kulcie mocy, także i fizycznej, wolno chyba dopatrywać się echa urazów, wywołanych tym kalectwem. Przed wojną niezależny finansowo studiował przez sześć lat (1907-13) na uniwersytetach niemieckich, w Lipsku, Monachium, Fryburgu, Berlinie. Zahaczał także i o Paryż. Najpierw pociągała go filozofia, psychologia oraz historia sztuki, i analogie, czasem zaskakujące, z historią malarstwa będą potem pojawiały się w jego studiach literackich.

Ostatecznie przerzucił się na polonistykę, którą studiował w Berlinie u Brücknera. Osobliwy to wybór. Kołaczkowski obcy był bowiem zainteresowaniom naukowemu Brücknera: filologii organicznie nie znośił, a literatura staropolska zupełnie do niego

* *Biblioteka Studiów Literackich* pod redakcją Henryka Markiewicza. Stefana Kołaczkowskiego *Pisma wybrane*. T. I: *Portrety i zarysy literackie*, t. II: *Wyspiański, Kasprówiec, przeglądy*. Opracował Stanisław Pigoń. Warszawa, P.I.W., 1968; str. 579 i 1 nl. i 1 il. (I); 570 i 2 nl. (II). — Informacje o Kołaczkowskim zaczerpnięto ze wspomnień Adama Ordegi w *Stratach kultury polskiej*, t. I, Glasgow, 1945, ze szkicu Józefa Szytkowskiego w *Pamiętniku Literackim*, XXXVI (1946), i tegoż autora biografii w *Polskim Słowniku Biograficznym*, a nade wszystko z Czesława Znamierowskiego „O Stefanie Kołaczkowskim”, *Znak*, nr 97-98 (1962).

nie przemawiała. W swym szkicu o Świętochowskim przytacza *Wojnę chocimską* Wacława Potockiego, umiłowanego poety Brücknera, jako arcywzór niestrawnego, nieczytelnego utworu literackiego. Jeśli go czego Brückner mógł nauczyć, to lekceważenia systematyczności, metody i zaufania we własne intuicje. Bliscy też byli sobie impetycznym usposobieniem i ich stosunki osobiste układały się dobrze. Po śmierci Brücknera Kołaczkowski ogłosił o nim piękne wspomnienie, tym cenniejsze, że przynosi ono portret wielkiego berlińskiego samotnika dużo dramatyczniejszy od tych, jakie znamy skąd inąd, i nie pozbawiony tragicznych a przeoczonych przez inne wspomnienia rysów.

Ostatecznie doktoryzował się z pracy o estetyce Kremiera nie u Brücknera, ale u Chrzanowskiego w Krakowie. Stało się to na krótko przed wojną.

Artykuły krytyczne zaczął ogłaszać jeszcze przed wojną. W roku 1922 ukazała się pierwsza jego książka, *Wyspiański*. W tym też roku został współredaktorem, a niebawem i redaktorem *Przeglądu Warszawskiego*. Zdawałoby się, że jego pozycja była już ugruntowana. Ale aż do powołania na katedrę w Krakowie tułał się po często zmienianych posadach nauczycielskich, nieraz i w takich miasteczkach jak Włocławek, Wieliczka, Gorlice. Pamiętam, jak za moich studenckich lat w Krakowie mówiło się o tych peregrinacjach prowincjonalnych jako o przykładzie jego nieporadności życiowej. Kto wie, czy nie było w tym sporo świadomego wyboru. Kołaczkowski bowiem nie cierpiał dużych miast. W małych miasteczkach mógł się czuć bliżej atmosfery życia wiejskiego.

Dotykamy tu nie tylko charakterystycznej fobii, ale też i wielkiej pasji Kołaczkowskiego społecznika. Dzieciństwo spędził na wsi. Knut Hamsun, pisarz, który szczególnie silnie nań wpłynął i któremu w r. 1923 poświęcił entuzjastyczne studium, uważał, że tylko na wsi życie jest „zdrowe”, że tylko tam nie stępią się ludzkie instynkty. Miasto w powieściach swych potępiał jako paczące charaktery. Kołaczkowski współdziałał tu z nim. „Książkę pisał człowiek z miasta, człowiek niepełny” (II, 515) — oto charakterystyczna jego wypowiedź krytyczna.

Uważał, że kultura polska weszła po r. 1918 w okres dekadencji w znacznej mierze i dlatego, że była miejskiego stempla. Odrodzenia oczekiwał po nowej inteligencji, wywodzącej się ze wsi. Dlatego pasjonował się problemami kulturalnymi wsi i uniwersytetami ludowymi. Entuzjasta Skandynawii, wyuczył się duńskiego, jeździł do Danii i do Norwegii, napisał studium o Grundtvigu, apostołe uniwersytetów ludowych.

W r. 1928 habilitował się w Krakowie, a od r. 1933 był profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dało mu to stabilizację życiową. Adam Ordęga pisze w swych wspomnieniach o nim, że „może byłby dobrym profesorem dla studentów bardzo zaawansowanych, ale jako kierownik pracy dla początkujących zawodził niemal zupełnie”. Brakło mu systematyczności, talentu pedagogicznego. Ujmował za to studentów swoją naturalnością objęcia,

serdecznością, żywym zainteresowaniem dla ich problemów i miał wśród nich grupę gorąco oddanych mu uczniów.

Na stanowisku redaktora *Przeglądu Warszawskiego*, pisma, które uformował Borowy, nie czuł się dobrze i nie długo na nim popasał. Inaczej miała się rzecz z założonym w r. 1934 *Marcholtem*, któremu nadał oblicze ideologiczne i który stał się jego trybuną publicystyczną. Za młodu piśsudczyk, z czasem zadeklarował się jako „neo-endek”. Ale nie był związany z żadną partią polityczną. Tuż przed wojną pisywał i do *Polityki*, i do *Prosto z Mostu*.

Aresztowany wraz z profesorami UJ w listopadzie 1939 r., imponował w obozie koncentracyjnym swoim hartem duchowym. Wymownie pisze o tej jego bohaterskiej postawie Pigoń w swoich wspomnieniach. Wrócił z obozu potwornie skatowany i śmiertelnie chory. W tydzień po powrocie do Krakowa już nie żył. Umarł 15 lutego 1940 r.

Wybór pism Kołaczkowskiego opracowany został przez Pigionia. Ostatnia to praca edytorska Pigionia, jaka ukazała się przed jego śmiercią. Przynosi on nie tylko rozproszone artykuły i przeglądy, ale także i wznowienia trzech książek: monografii o Wyspiańskim i Kasproviczu oraz tomiku *Dwa studia. Fredro — Norwid*. Nie weszły w skład wyboru rzeczy charakteru nie krytyczno-literackiego, jak publicystyka, szkice o malarzach, wrażenia z pobytu w Danii, studium o Kremerze. Z większych prac krytycznych nie włączono tutaj książki o Wagnerze oraz popularnego zarysu historii literatury duńskiej. Nie przedrukowano także wstępów do wydań *Fantazego* i wyboru poezji Kasprovicza w Bibliotece Narodowej oraz znakomitej większości recenzji. Wybór przynosi za to kilka brulionowych ineditów z przygotowywanej przez Kołaczkowskiego książki o Brzozowskim, z której zdążył ogłosić przed śmiercią tylko pierwszy rozdział, oraz tekst wczesnego ale nigdy za życia autora nie ogłoszonego szkicu o Świętochowskim.

Wydanie opracowane zostało świetnie, z czujną troską o to, aby zbliżyć do czytelnika niełatwego autora. Kilkakrotnie artykuły ugrupowano tak, aby wzajemnie się oświeślały. Szczególnie fortunnym pomysłem było zebranie razem ośmiu recenzji z książek Kadena, które w sumie złożyły się na znakomite studium krytyczne. Odsyłacze często precyzują dane bibliograficzne, u Kołaczkowskiego z reguły ogólnikowe, nieraz prostują błędy faktyczne czy wyjaśniają pewne okoliczności, ułatwiające zrozumienie tekstu. Przypisy to tym cenniejsze, że są one oszczędne i dyskretne. Wydawca nie narzuca swego pośrednictwa czytelnikowi i ingeruje tylko wtedy, kiedy ingerencja ta jest naprawdę potrzebna. Na końcu drugiego tomu dano nam bibliografię pism Kołaczkowskiego, precyzyjnie opracowaną przez Józefa Spytkowskiego. Każdy tom też zaopatrzony jest w przedmowę.

Przedmowa do pierwszego tomu wyszła spod pióra Pigionia. Ma ona charakter częściowo wspomnieniowy i ambicją jej jest nade wszystko pokazanie osobowości krytyka. Rolę przedmowy

do tomu drugiego odgrywają dwa artykuły Borowego o Kołaczkowskim, ogłoszone pierwotnie w *Warszawiance* z r. 1925 z racji pojawienia się książki Kołaczkowskiego o Kasprowiczu. Jest to recenzja przyjaciela, ale bynajmniej nie „przyjacielska” w potocznym znaczeniu tego słowa. Borowy jest pełen uznania dla wnikliwości i pasji krytycznej Kołaczkowskiego, a równocześnie taktownie ale wyraźnie formułuje pewne zasadnicze zastrzeżenia. Piękny to esej krytyczny, wyraziście uzmystawiający nam, że i wśród okolicznościowych drobniaków Borowego, utopionych w dziennikach, są rzeczy zasługujące na przedruk w wydaniu książkowym.

Swoje poglądy na zadania krytyki sformułował Kołaczkowski we wstępnych uwagach do książki o Wyspiańskim. Są one co się zowie swoiste:

„Tak zwane niezrozumienie dzieł literackich w większości wypadków jest po prostu nieodezwaniem, nie niezrozumieniem w ścisłym znaczeniu tego słowa. Przeważnie wynika ono z ubóstwa przeżyć czytelnika i nieznanomości tych wzruszeń i tych stanów, które są ukazane w dziele literackim — z płytkości i powszedniości przeżyć szerokiego ogółu. Otóż jeśli zadaniem krytyki jest dać *poznać dzieło sztuki* w pełnym znaczeniu tego słowa, jeśli wartości dzieła leżące w uczuciu nie doszły lub wiadomo z góry, że nie dojdą do tego, do czego apelują: do duszy czytelnika, to rzeczą krytyka jest stać się pedagogiem-poetą: sugestionować, naprowadzać na te stany duchowe z pomocą analogii do uczuć bardziej lub powszechnie znanych” (II, 17-18).

Krytyk w tym ujęciu staje się swego rodzaju dyrygentem reakcji uczuciowych czytelnika, a jego studia krytyczne aspirują do roli poezji prozą. Typowo ekspresjonistyczna to koncepcja krytyki. I znamionuje ją jaskrawe niedocenywanie roli czynników intelektualnych w recepcji dzieła literackiego.

Niedocenywanie programowe. Kołaczkowski był zaprzysiężonym wrogiem racjonalizmu. Racjonalista to dla niego człowiek oschły, ciasny, rozmiągający się z życiem, ślepy na jego bogactwo, wzniosłość i tragizm. Wielbił instynkt, intuicyjne poznanie. Ileż to razy w studiach swoich odwołuje się do instynktu jako gwaranta prawdy.

Ten bojowy antyracjonalizm Kołaczkowskiego niepokoił Borowego. Próbuje on wyperswadować przyjacielowi, że taka walka może miałyby sens we Francji z jej od trzech wieków głęboko zakorzenioną w kulturze tradycją racjonalizmu, ale że w Polsce przerosłów racjonalizmu trudno się doszukać.

Antyracjonalizm Kołaczkowskiego jest tak żywiołowy, że musiał odpowiadać jakimś jego głębokim osobistym predyspozycjom, ale nie ma wątpliwości, że ugruntował się on pod wpływem literackiej i artystycznej atmosfery Niemiec z okresu jego studenckich *Wanderjahre* sprzed pierwszej wojny i że tam, pod wpływem niemieckim, uformowała się aparatura pojęciowa jego irrationalizmu.

W jednym ze studiów o Brzozowskim cytuje on z aprobatą zdanie niemieckiego historyka sztuki Worringera, który twierdził, iż niemiecki ekspresjonizm wyraził się najpełniej nie w ma-

larstwie, ale w pracach takich historyków kultury i krytyków jak Friedrich Gundolf i Ernst Bertram. Píše on tam: „Tryumfem ekspresjonizmu prawdziwym — zdaniem tego historyka sztuki — były „jasnowidzenia” ducha epok i artystów, jakie dali między innymi wyżej wymienieni przezeń badacze” (I, 223).

Ambicją Kołaczkowskiego były również takie „jasnowidzenia”. Swojej znanej książce o Nietzschem Bertram dał podtytuł „próba mitologii” (*Versuch einer Mythologie*). Sformułowanie takie miało oczywiście intencje prowokacyjne. Znaczyło: gwizdę na rygory postępowania naukowego. Chcę stworzyć taki wizerunek Nietzschego, który by miał sugestywność, wyrazistość, monumentalność mitu. I Kołaczkowski z rygorami postępowania naukowego mało co się liczył. Nie chce być źle zrozumiany. Autorów, o których pisał, przemyślał, nieraz głęboko, zawsze oryginalnie. Był daleki od wszelkiej blagi. Ale z chwilą kiedy, jak uważał, zgłębił to, co istotne, o resztę nie dbał. Mało co się liczył ze sprawdzalnością swoich sądów, nie dbał o precyzję faktów i niewiele się troszczył o dokumentację swoich stwierdzeń. Można tę nonszalancję prześledzić w różnych aspektach.

Dla polonistyki uniwersyteckiej czuł pogardę. Pisał w studium o ironii Norwida: „filologia i akademizm kwitną bujniej od filozofii dziejów, więc paru martwym bohaterom Norwida usypiano kopiec z piasku filologicznego” (I, 165). Słowa te były pite do książki Szmydtowej o *Krakusie i Wandzie*, ale pojętej jako przykład grzechów, typowych dla środowiska uniwersyteckiego. Sam podkreślał, iż jest od takich grzechów wolny. Do księgi ku czci Chrzanowskiego napisał artykuł pt. „Rekonasans”, w którym dowodził, iż przełom antypozytywistyczny w Polsce zaszedł wcześniej, niż się to zazwyczaj sądzi, na długo przed pojawieniem się *Młodej Polski*. W tego rodzaju studium wagę decydujących argumentów mają daty roczne i Kołaczkowski sporą ilością takich dat szermuje. Jest świadom tego, że mógłby zebrać danych więcej. Ale: „mam wrażenie jednak, że jeśli idzie o wskazanie głównych rysów przełomu i zlokalizowanie go w czasie, to wystarczy (Zwłaszcza że musi wystarczyć, gdy się pisze na wsi bez książek)” (I, 365). Nonszalanca w operowaniu danymi faktycznymi: w studium o Hamsunie znalazła się stroniczka danych biograficznych; łatwo, zestawivszy ją z biogramem jakiegokolwiek encyklopedii, stwierdzić, że jest tam kilka elementarnych błędów, począwszy od błędnie podanego roku urodzenia się pisarza.

Wydał pisma zebrane Kasprowicza. Borowy we wspomnieniach o Leonie Piwińskim nazwał to wydanie „jedną z najdziwniejszych edycji”. A jakże znamienne są jego cytaty. Trafiają mu się przeinaczenia i najcharakterystyczniejszych cytatów Mickiewicza, takie jak „By sądzić mnie, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie!” (I, 84 i tak samo po raz drugi, 94), czy „A jeśli się sprzeciwia, niechaj cierpią i przepadną” (II, 152). Pigoń tych oczywistych przeinaczeń tekstu nie poprawiał, widocznie uważając, że w jakiejś mierze są one dla Kołaczkowskiego charakterystyczne. Tak samo nie poprawił gdzie indziej obszernego cytatu

ze studium Kasprowicza o Lenartowiczu (II, 411-413), zaznaczył tylko w przypisku, że to „cytat niedokładny”. W rzeczy samej Kołaczkowski tekst Kasprowicza wydatnie przeinaczył, tu zastępując zwrot Kasprowicza swoim własnym, tam zmieniając słowo obce na polskie, gdzie indziej znowu tekst skracając. Każdemu z nas zdarza się przy przepisywaniu cudzego tekstu to opuszczenie czegoś, to przekręcenie jednego czy drugiego słowa. Tutaj jednak mamy do czynienia z czym innym, z radykalną ingerencją w cudzy tekst, w przerebadanie go. Czy Kołaczkowski postanowił poprawić prozę Kasprowicza? Czy raczej w momencie roztargnienia „wygładził” tekst poety, tak jakby był jego własnym?

Nie tylko drobiazgi traktował tak bezceremonialnie. W r. 1925 ogłosił w *Przeglądzie Współczesnym* studium o Conradzie. Zestaw utworów Conrada, na które tam się powołuje, jest dość skromny. Uderza w szczególności, że nigdzie nie wymienia jednej z kluczowych powieści tego pisarza, *Nostroma*. Syntetyczna charakterystyka pisarza, jakim jest studium Kołaczkowskiego, nie ma obowiązku podawania bibliografii jego dzieł. Tekst jednak studium najoczywściej dowodzi, że Kołaczkowski w momencie, kiedy je pisał, powieści tej, która po raz pierwszy ukazała się w polskim przekładzie w r. 1926, jeszcze nie znał. Jest tam bowiem i rozdziałek, traktujący o powieściach, „mających odsonić paradoksalną lub pełną sprzeczności prawdę zjawisk społecznych”. Kołaczkowski wylicza i omawia tylko dwie z nich, *W oczach Zachodu* i *Tajnego agenta* (I, 271 i n.), a przecież tutaj właśnie przede wszystkim narzuca się uwadze *Nostroma*. Po prostu krytyk w pewnym stadium lektury zadecydował, że już zgłębił Conrada, wgrzył się w świat jego fikcji, wie, o jakie wartości w niej chodzi, i — zabrał się do pisania. A przecież pisać o Conradzie bez znajomości *Nostroma* to tak, jakby ktoś omawiał Mickiewicza, nie zadawszy sobie trudu przeczytania *Pana Tadeusza*.

I jeszcze jeden przykład, bodaj że najwymowniejszy. W krótkim szkicu o Wyspiańskim z 1932 r. Kołaczkowski twierdzi, iż patriotyzm Wyspiańskiego znalazł żywy i naturalny oddźwięk w duszach patriotycznie nastrojonych pisarzy starszego pokolenia: „Dlatego to, gdy najwspanialszy wykwit tego wzmoczonego życia narodowego — Wyspiański zdumiał wszystkich, mogła pisać tymi mniej więcej słowy Orzeszkowa: Dla mnie patriotyzm Wyspiańskiego nie był czymś tak olśniewającym nowym, to tam w konserwatywnym Krakowie, to dla was na tle przybyszewszczyzny” (II, 226). Czujny Pigoń postanowił sprawdzić, gdzie to Orzeszkowa takie „mniej więcej” słowa napisała, i w przypisku informuje czytelnika, „coś w tym rodzaju pisała ona do Konopnickiej w listopadzie 1901”. „Coś w tym rodzaju”? Sięgnijmy do listu Orzeszkowej. Jest on odpowiedzią na list, w którym Konopnicka pytała Orzeszkową, co sądzi ona o Wyspiańskim. Dla Konopnickiej był to pisarz „jasełkowy”. To co pisze, twierdziła, może być efektowne na scenie, ale nie bardzo wytrzymuje próbę lektury. Orzeszkowej sąd taki wydał się niesprawiedliwy:

„Co myślę o Wyspiańskim? Nie podzielam zdania Tetmajera, że jest on tym, na którego wieki czekały, ale zdaje mi się, że jednak z całej tej młodej szkoły to jedyny, który oprócz pięciu rozszalałych zmysłów ma jeszcze i duszę. Według mnie jest to talent prawdziwy, jeszcze zostający pod wpływem fatalnej szkoły. Jeżeli kiedy otrząśnie się z dziwactw, maniery, tajemniczości itd., może stać się wielkim poetą. *Legionu* jego nie rozumiem, ale w *Legendzie* są piękne obrazy, a w *Weselu* pomysł oryginalny i głęboki. Że ono ze zrobienia podobne jest do jasełek, to prawda, niemniej momenty ma piękne, a w *Warszawiance* postać Marii jest nawet wysoce artystyczną. Rzecz sądzić przez porównanie. Obok Przybyszewskiego i jego mrowiska Wyspiański wygląda wspaniale”.

Mamy tu zatem próbę dojścia do ładu z poetą, którego wielkość Orzeszkowa wyczuwała, ale którego aura artystyczna była jej z gruntu obca. O patriotyzmie w całej tej wypowiedzi ani słowa. Ale Kołaczkowski uważał, że żarliwy patriotyzm Orzeszkowej powinien być spontanicznie odbić patriotyzmowi Wyspiańskiego. I to pobożne życzenie nałożyło się na wspomnienie nieuważnie przeczytanego listu, który wtedy właśnie ogłoszono w *Kobiecej Współczesnej*. Też *Versuch einer Mythologie*, ale już w zdecydowanie złym znaczeniu tego słowa.

I Pigoń, i Borowy poruszali sprawę komunikatywności pism Kołaczkowskiego, z którą w różnych jego pismach bywa rozmaicie, najgorzej w książkach. Ale tu dotykamy sprawy jeszcze bardziej zasadniczej. Jaki jest stopień wiarygodności stwierdzeń pisarza, który dał się ponieść swoim namietnościom i tak mało dbał o jeden z zasadniczych rygorów intelektualnych, jakim jest sprawdzanie faktów? — Okazuje się, że cena bojowego antyracjonalizmu może być wysoka.

Co Kołaczkowski cenił w literaturze? Potężne indywidualności, które wypracowały sobie wysokie walory moralne. Tam gdzie istnienie takich wartości stwierdzał, postawa jego była postawą kultu. Był on konsekwentnym, programowym „brązownikiem”. Dlatego z taką pasją pisał o Boyu, „Monsieur Homais publicystyki polskiej”. Od tradycyjnego „brązownictwa” postawa jego różniła się bez porównania większą finezją i wnikliwością psychologiczną oraz — konsekwencją. Prostoliniyny i popędliwy, był gotów wyciągać z niej najdalej idące wnioski, nawet jeśli prowadziły go one na pozycje absurdałne. Za szczyt twórczości Wyspiańskiego uznał jego książkę o *Hamlecie*, bo tam jego zdaniem Wyspiański jest moralnie najwznioślejszy: „Nie mamy bardziej męskiej, bardziej dumnej książki nad tę Wyspiańskiego o *Hamlecie* [...] książka o *Hamlecie* najpełniej mówi o tym, co to jest pion moralny” (II, 230-231). *Wesela* nie cenił wysoko. W książce o tragizmie Wyspiańskiego potraktował je tylko marginalnie, a w cytowanym wyżej artykule syntetycznym napisał, że „było tylko krytyką, nie pozytywnym wskazaniem” (II, 229). Powodzenie dramatu uważał za nieporozumienie. Zrobiono z niego „jakiegoś Anczyca 'dla inteligencji', połączonego ze spowiedzią z cudzych grzechów — co zawsze najprzyjemniejsze” (II, 229).

Przyznawał *Weselu* „artystyczne bogactwo”, ale to jego wer-

dyktu nie zmieniło. Musi być przecież hierarchia wartości! Ope-
dzał się przed krytyką, kierującą się kryteriami estetycznymi, jak
przed śpiewem Syren, które by go zwiodyły z drogi do jego Itaki.
„Estetyzm” podobnie jak „racjonalizm” miał w jego słownictwie
takie zabarwienie emocjonalne jak „sufragan” na wsi podkra-
kowskiej. Piętnował tego, do kogo go stosował. Szczęśliwa ironia
losu sprawiła, że Syreny uparły się, aby go kusić, albo, mówiąc
inaczej, że miał na ich śpiew słuch szczególnie czuły. W momen-
tach roztargnienia misyjnego, albo gdy chciał ostatecznie pogne-
bić pisarza, którego moralnie nie cenił, lub gdy pisał o pewnych
autorach obcych, o których wpływ wychowawczy na czytelnika
polskiego mniej dbał, wychodziły spod jego pióra analizy este-
tyczne, zachwycające swoją subtelnością i wnikliwością.

Nie był wolny od pierwotnego grzechu „brązowników”, przy-
mykania oczu na błędy wielkich ludzi. Jako wstęp do tomów
listów w Wydaniu Sejmowym opracował większe studium „Mic-
kiewicz jako człowiek”. Grzeszy to studium pewną ahistorycz-
nością. Mickiewicz wyrwany tu został ze swego tła historycznego
i postawiony na bardzo wysokim cokole. I grzeszy typowo „brą-
zowniczą” jednostronnością. To że Mickiewicz nie przyłączył się
do powstania, tłumaczy Kołaczkowski m.in. jego „zaabsorbowa-
niem przeżyciami religijnymi” (I, 106). Co to za kazuistyka (bo
chyba nie złe wyczucie u tak subtelного psychologa typu religij-
ności Mickiewicza, która nie była religijnością człowieka, ucieka-
jącego od świata). Tak jakby Mickiewicz nie mógł pod Wawrem
czy Iganiami przeżywać swoich problemów religijnych równie
dobrze jak w Rzymie.

To „brązownictwo” to chyba najbardziej martwy aspekt twórc-
zości Kołaczkowskiego dziś, kiedy nauczyliśmy się w życiu wiel-
kich ludzi akceptować splatanie tego co wzniosłe z tym co mniej
wzniosłe i kiedy coraz zawzięciej dobieramy się pod podszewkę
świadomych motywów ludzkiego postępowania, kiedy więc takie
monumentalizowanie i zacieranie słabości brzmi nam fałszem
psychologicznym. Wyczuwał to już z górą czterdzieści lat temu
Borowy, kiedy stawiał pod adresem Kołaczkowskiego pytanie:
„Czy nie lepiej byłoby nam tych wielkoludów ukazać mniej
olbrzymimi a za to z bardziej ludzkim obliczem?”.

Kołaczkowski miał dużo respektu dla przeżyć religijnych, ale
jego najwyższe wartości wywodziły się skąd inąd. Za młodu, jak
informuje Znamierowski, rozczytywał się w Nietzsche i naj-
bliżsi mu byli ci pisarze, którzy wyrażali pełnię życia, tężyżnę,
siłę. „Nie jest to postawa nietzscheańskiej 'woli mocy'” — twier-
dził w swym artykule o nim Borowy. Ma tu rację i nie ma racji.
W życiu indywidualnym podporządkowywał on te wartości ry-
gorom etyki społecznej, ale absolutyzował je w odniesieniu do
narodu i jego publicystyka z lat sprzed wojny nie jest wolna od
wcale jaskrawych akcentów nacjonalistycznych. A i w odniesie-
niu do jednostki można się dosłuchać u niego akcentów „woli
mocy”. Przejęzyczenia bywają czasem wymowniejsze od głośno-
nych haseł i takim właśnie przejęzieniem jest powiedzenie

Kołaczkowskiego o *Księdze ubogich* „jest tu jedność siły fizycz-
nej i moralnej” (II, 394). Rozumiemy, co miał na myśli, mówiąc
o sile moralnej w *Księdze*. Ale siła fizyczna, wyrażająca się
w poezji? Co to znaczy? Trudno przecie dopatrywać się tu anty-
cypacji Brylla:

Niech pani pomaca,
Jakie pisarz ma teraz muskuły;
Dzisiaj mięśnie pod skórą jak buty
Muszą chodzić. Dzisiaj nasza praca
Nie w tym, żeby łeb ludziom zawracać
Myśłatkami...

Księga ubogich jest dla Kołaczkowskiego najwyższym osią-
gnięciem Kasprowicza, poety, którego szczególnie wysoko cenił,
właśnie za tężyżnę. Wielbił ją w rozdziałach poprzednich, nie
rzadko wpadając w superlatywy. Tu, w rozdziale ostatnim, szło
mu o przekonanie czytelnika, że mimo spokoju wyrazu siły tej
jest w *Księdze ubogich* nie mniej, ale i więcej jeszcze. I oto na-
sunęło się pod niezdyscyplinowane pióro określenie, mające wy-
razić najwyższe określenie tej siły i w gruncie rzeczy znamien-
niejsze dla krytyka niż dla poety.

W jego działalności krytycznej wyraźnie wyodrębniają się
dwie różne postawy. Pisarzy przeszłości, tych zwłaszcza, w któ-
rych znajdował cenione przez siebie wartości moralne, traktował
z szacunkiem, nie rzadko przechodzącym w kult. Jedyne w obu
tomach artykuły surowo osądzające pisarza sprzed pierwszej woj-
ny to rzecz o Świętochowskim. Artykułu tego, rzecz znamien-
na, Kołaczkowski sam nigdy nie ogłosił. Ze źródeł postronnych moż-
na się dowiedzieć, że były uznane pozycje w tradycyjnej litera-
turze, do których odnosił się wrogo. Borowy zanotował w swej
książce o Mickiewiczu, iż „otrząsał się” na *Sonety*. Ze wspomnień
Znamierowskiego wiemy, że za „nie dość poważną postawę pisa-
rza wobec życia” nie miał serca do Sienkiewicza. Z jego studiów
można by się tej niechęci domysleć tylko z uporczywego milczenia
o tym pisarzu.

Przybrał wobec literatury przeszłości postawę kornego wysu-
kiwacza i czciciela wartości. Orzeszkowa to dla niego Wielka
Pisarka, tak właśnie, przez wielkie W i wielkie P. Mówi w związ-
ku z nią o „wyżynach wielkiej epiki” (I, 435). Jeszcze wymow-
niejszy dla tej postawy ze względu na dużo skromniejszą klasę
pisarza jest jego pełen ciepła i szacunku stosunek do Dygasiń-
skiego. Najwymowniejszym zaś przykładem jest artykuł o Przy-
byszewskim, „Twórcze fermenty”. Zdawałoby się, że ten żarliwy
moralista powinienby był Przybyszewskiego nienawidzić. Nic
podobnego. Krytyk stara się Przybyszewskiego zrozumieć, wy-
mierzyć mu sprawiedliwość, doszukać się tego, co było u niego
twórczym i cennym. Oczywiście, obaj oni, i krytyk i pisarz, spot-
kali się w swej wrogości do racjonalizmu i to wiele tłumaczy.
Kołaczkowski nie negował istnienia patologicznych elementów
w twórczości Przybyszewskiego. Mimo to do gromienia się nie

palili. Słusznie stwierdzał, że „w gruncie najważniejsze jest zagadnienie, jakie to skryte procesy niedomagającej kultury wytworzyły takie fermenty, jak twórczość Przybyszewskiego” (I, 505).

Jakżeż inne jest jego stanowisko wobec tego wszystkiego, co narodziło się w literaturze po roku 1918. Tutaj w krytyku budzi się Jeremiasz. Nic tu z próby zrozumienia stanowiska ówczesnych młodych i tego nowego co wnieśli do literatury. Krytyk przekonany jest, że po r. 1918 przyszło gwałtowne obniżenie poziomu kultury. „Okres wyjaławienia ideowego sztuki, słabości, rozchwiania”, „dekadencja sztuki”, „anarchia i rozkład w naszej kulturze”, „ubóstwo idei”, „stopień poczucia hierarchii”, „ospałość umysłowa” — oto określenia, które nasuwają się pod jego pióro.

Taka postawa byłaby zrozumiała u człowieka starego, który intelektualnie skostniał i nie może się nagiąć do nowego stylu życia. Ale przecież Kołaczkowski nie był stary, z nastaniem niepodległości skończył właśnie lat trzydzieści. Wrogość jego wobec współczesności jest tak silna, że każe myśleć o jakimś urazie. Doprowadza go też ona do sprzeczności. Pomstuje na współczesność, w której sztuka uwielbianego przezeń Hamsuna nie znajduje żywego odzewu, a równocześnie jest podejrzliwy wobec objawów poczytności pisarzy, których ceni, Norwida i Conrada. Dopatruje się w tym jakiegoś snobizmu czy innej formy zakłamania. Skamandrytów traktuje niechętnie, awangardę — z pogardą. W ostatnich latach przed wojną pisywał do *Prosto z Mostu*. Ale Gałczyńskiego nie raczył zauważyć.

Szczególnie wymowne są tu jego podsumowania, jakie ogłaszał w dwóch pierwszych tomach *Rocznika Literackiego* za lata 1932 i 1933. Jest przekonany, że pisze o czasach dekadencji i anarchii w literaturze. Niewiele też co ma w tych latach do pochwalenia. Tym niemniej drugi z tych przeglądów zamyka „mocnym akcentem optymistycznym”. W r. 1933 bowiem zaczął wychodzić pod redakcją Bogdana Suchodolskiego kwartalnik *Kultura i Wychowanie*. Była w tym „optymizm” szczególnie zjadliwość pod adresem literatury. *Kultura i Wychowanie* bowiem z literaturą nic nie miała wspólnego. Była pismem pedagogicznym. A przecież w tym sponstrowanym przezeń dwuleciu obok dalszych tomów *Nocy i dni*, na których wartości się poznał, pojawiły się książki, będące chlubą literatury polskiej, *Biblia cygańska*, *Troska i pieśń*, *Sklepy cyrkonowe*.

Typowa to krytyka człowieka, który rozminął się z twórczością literacką swoich lat dojrzałych. Przy całej swej zręczności ma ona jednak jeden pozytywny aspekt. Literacka ekspresja jego złośliwości bywała celna, na ogół dużo wymowniejsza od jego zachwyty. Ileż ciekawej, złośliwej ironii jest np. w takiej charakterystyce: „Talent Zofii Nałkowskiej jest starannie pielęgnowany i poddawany systematycznym zabiegom, zapewniającym długą młodość” (II, 458). Albo wywodzące się jeszcze z roku 1922 powiedzenie o Iwaszkiewiczu, że to Ikar, „który ma skrzydła

naturalne, ale któremu, by mógł dłużej latać, trzeba dorobić... kręgosłup i zdrowy instynkt” (I, 571).

Trafiają się tu i świetne formuły krytyczne, jak np. ta o Kadencie: „Nie obraz rzeczywistości, lecz stłoczone złomy jej spotworzonym kształtów w duchu ekspresjonizmu niemieckiego” (II, 457). Czasem nawet jeśli Kołaczkowski rozminie się z pisarzem, potrafi jakiś aspekt jego dzieła ująć w odkrywczą formułę. Tak było np. z *Łęką* Leśmiana. Nie poznał się na jej wartości i z dużo większym uznaniem mówi o poezji Słomskiego, Czerkawskiej czy Małaczewskiego. Ale określenie „zmysłowy mistycyzm i demoniczna lubieżność” trafia w jakiś nerw tej poezji, doskonale charakteryzuje typ jej erotyzmu.

W ostatecznym rozrachunku jednak krytyka ta, w czambuł potępiająca i będąca w znacznej mierze pretekstem dla wypowiedzenia się publicysty i moralizatora, była jałowa. Toteż od r. 1934, kiedy udało mu się zdobyć swoją trybunę publicystyczną, *Marchotta*, krytykę zaniedbał dla publicystyki.

Dziwne to było pismo. Tytuł nawiązywał do „misterium” Kasprowicza, które szczególnie wysoko cenił. Miał być sztandarem tężyny, żywotności, krzepy, nie stroniącej i przed rubasznocią. W rzeczy samej dużo w nim było celebry. Temperamentem, namiętnym tonem oskarżeń odbijały od reszty tekstu zeszytów artykuły samego redaktora. Kołaczkowski z pasją atakował w nich politykę kulturalną reżymu sanacyjnego i „wychowanie państwowe”. W tych artykułach publicystycznych wypowiadał się najbardziej bezpośrednio, zawsze z dużą odwagą, nieraz z dużą siłą wyrazu. Wywoływały też te artykuły wcale liczne polemiki i echa prasowe. Ten opozycyjny kwartalnik wydawał Kołaczkowski za pieniądze państwowe: łożył na niego Fundusz Kultury Narodowej. Na kilka miesięcy przed wojną zmuszono go do opuszczenia pisma, które po jego odejściu było kontynuowane, ale już pod inną nazwą.

Wszczął też w *Marchocie* kampanię za reformą polonistycznych studiów uniwersyteckich. Uważał, że za dużo w nich językoznawstwa. Żeby gorącą temperaturę tych jego wystąpień zrozumieć, trzeba pamiętać, że ze wszystkich dziedzin humanistyki językoznawstwo wypracowało sobie najściślejsze metody naukowe. Dlatego to np. dzisiaj Lévy-Strauss w swej *Anthropologie structurale* bierze właśnie językoznawstwo za wzór w opracowaniu nowych metod badań społeczeństw pierwotnych. Znajomość podstaw językoznawstwa daje więc poloniście nie tylko orientację w mechanizmie języka, który jest ostatecznie tworzywem dzieł literackich, ale też uczy rygorów postępowania naukowego tak, jak nie potrafi tego żadna inna dziedzina humanistyki. I to właśnie było dla Kołaczkowskiego kamieniem obrazu.

Z tej publicystyki *Marchotta*, w której Kołaczkowski wypowiedział się i najbardziej bezpośrednio, i najżywiej, ogłoszony teraz wybór pism przyniósł tylko jedną rzecz, „Bilans estetyzmu”. Jest to generalna rozprawa z formalizmem, sprowokowana pojawieniem się *Wstępu do badań nad dziełem literackim* Kridla. Zadanie miał o tyle ułatwione, że książka poprzez którą formalizm zaatakował,

była słaba, bo dogmatyczna i naiwna. Ale jego pryncypialny zarzut, jakoby formalizm miał być zamaskowanym hedonizmem, jest absurdalny. Formaliści nie smakowali dzieł literackich. Ambicją ich było wypracowanie naukowej metody badań struktury dzieła literackiego. Wartościowania unikali. W potocznym zaś zarzucie, jakoby formalizm redukowało dzieło literackie do zespołu cech formalnych, jest akurat tyle sensu, co w przekonaniu, że psychoanaliza redukuje życie duchowe człowieka do działań popędu płciowego.

Namiętny temperament, który decydował o żywości i nośności publicystyki Kołaczkowskiego, w krytyce literackiej przez to, że programowo nie był ujęty w karby dyscypliny intelektualnej, raczej bruździł. Tak często u niego moralista zajeżdża na śmierć krytyka. Pisarskim tego wyrazem jest męczące nadużycie patosu, wielkich słów. Niemalą przeszkodą w nawiązaniu porozumienia z czytelnikiem jest też jego styl, zazwyczaj daleki od klarowności. Czasem ma się wrażenie, że czyta się ujęte w polskie słowa niemieckie spekulacje filozoficzne, i wrażenie to pogłębiają jeszcze germanizmy (np.: „analizowanie cech dzieła, w których dane wartości leżą”, II, 24; po polsku mówi się „tkwią”).

A jednak mimo to wszystko dobrze się stało, że pisma te przedrukowano. Wszystkie one są w jakiejś mierze dokumentem kulturalnym. Przebijają poprzez nie bardzo oryginalna i wyraziście zarysowana indywidualność. Sądy Kołaczkowskiego często prowokują i drażnią, ale są zawsze autentyczne i nigdy nie grzeszą banalnością.

Poszczególne jego studia są bardzo nierównej wartości. Z jego charakterystyk pisarzy najlepiej chyba wytrzymała próbę czasu „Osobowość i postawa poetycka Fredry”, portret nakreślony z ciepłem, subtelny i wnikliwy, przekonywujący swoją prawdą psychologiczną. Kołaczkowski, może dlatego że pisał tu o komediopisarzu, trzymał na wodzy swój pociąg do patosu i wyszło to studium na zdrowie. „Mickiewicz jako człowiek” za to mimo subtelnych poszczególnych spostrzeżeń jest ujęciem zbyt abstrakcyjnym i posagowym. I jest rzeczą wymowną, że Pigoń, który Kołaczkowskiego i cenił, i lubił, bodaj że nigdy, jeśli mnie pamięć nie myli, w swoich pracach o Mickiewiczu człowieku na tę rozprawę Kołaczkowskiego się nie powołuje.

Pewna abstrakcyjność ujęcia zaważyła też na pracy o ironii Norwida. Każdy, kto choćby pobieżnie zetknął się ze współczesnymi studiami krytyki anglo-amerykańskiej, wie, że jest ona szczególnie wyczulona na akcenty ironii w poezji. I wie, że umie ona przejawy tej ironii śledzić poprzez bardzo nieraz precyzyjną analizę tekstów. Otóż tej analizy stylistycznej brak w pracy Kołaczkowskiego. Przynosi ona tylko sugestie krytyczne. I przynosi na prawach dygresji stroniczkę oryginalnych i głębokich uwag o Kłaczce.

Książka o Wyspiańskim ma podtytuł „rzecz o tragediach i tragizmie”. Kto przez jej piargi przebrnie, będzie dużo ostrzej niż przed lekturą i bogaciej widział tragizm w dramacie. Kołacz-

kowskiemu za punkt wyjścia posłużyła rozprawa o tragizmie Maxa Schelera, filozofa, którego szczególnie wysoko cenił. Ale wnioski tej rozprawy przemyślał gruntownie, i to nie tylko na przykładzie dramatów Wyspiańskiego, lecz również tragedii greckiej oraz teatru symbolicznego Maeterlincka. Natomiast jako studium o tragediach Wyspiańskiego książka ta zawodzi. Kołaczkowski wyabstrahował tragizm z dramatów Wyspiańskiego i nie odpowiedział na pytanie jak, przy pomocy jakich środków artystycznych znalazł on wyraz w poszczególnych dramatach.

Książka o Kasprowiczu odegrała swoją historyczną rolę. Odwojowała publicznemu uznaniu jedną z najcenniejszych książek Kasprowicza, *O bohaterskim koniu i walącym się domu*, i jej rozdział o tym cyklu poematów prozą najlepiej po dziś dzień wytrzymuje próby lektury. Upomniata się skutecznie o równie niedocenione znakomite ballady poety. Wolno natomiast wątpić, czy wielu czytelników udało się Kołaczkowskiemu przekonać do *Marchołta*. Jako całość książka nuży natrętnością swojego entuzjazmu, naciskaniem pedałów, brakiem dyskryminacji. Kasprowicz był poetą bardzo nierównym, a Kołaczkowski każe nam wielbić w jego poezji niemal że wszystko.

Najcenniejsze w obu tomach są pewne drobne rzeczy. Cykl recenzji, które Pigoń zgrupował pt. „Śladami twórczości Juliusza Kadena-Bandrowskiego”, imponuje drapieżną wnikliwością i pasją krytyczną. Piękną w swej subtelności charakterystykę Iłakowiczówny przynosi zamykający pierwszy tom drobiazg „Dary Laodamii”. Przenikliwością i precyzją ujęcia zachwycają „Uwagi o Corneille'u jako tragiku”. Rzeczy te to przykłady wspaniałych możliwości krytycznych Kołaczkowskiego, które gdzie indziej objawiają się tylko przebłyskami, przytłoczone obsesyjnym moralizmem i wypaczone doktrynerstwem irracjonalizmu.

Wiktor WEINTRAUB

Zapissane wczesnym rankiem

LIST DO RAJA RAO

List poniższy jest dalszym ciągiem wielogodzinnej rozmowy z hinduskim filozofem i pisarzem Raja Rao. Został napisany po angielsku. Podaję go w swoim przekładzie.

Radza, gdybym ja znał
powód tej choroby.

Długie lata nie godziłem się
na miejsce w którym byłem.
Zdawało mi się, że powinienem
być gdzie indziej.

Miastu, drzewom, ludzkim głosom
brakło cechy nazwanej obecność.
Żyłem nadzieją że pojadę dalej.

Gdzieś indziej było miasto obecne prawdziwie,
miasto prawdziwych drzew i głosów, przyjaźni i miłości.

Połącz, jeżeli chcesz, mój jeden wypadek
na granicy schizofrenii
z mesjanicznym marzeniem
mojej cywilizacji.

Obolały w tyranii, obolały w republice,
tam chciałem ratować wolność, tu skończyć ze zgnilizną.

Budując w myśli wiecznotrwałe grody
skąd na zawsze zniknie bezsensowna krzątanina.

Nauczyłem się wreszcie mówić: tutaj jest mój dom,
tutaj, przed rozżarzoną węglą oceanicznych zmierzchów,
na brzegu pochylonym ku brzegom twojej Azji,
w wielkiej republice, umiarkowanie zgniłej.

Nie uleczyło mnie to jednak
z poczucia winy i wstydu.
Wstydu, że nie stałem się
kim powinienem być być.

Obraz mnie samego
ogromnieje na ścianie
a na jego tle
jak lichy mój cień.

Tak oto uwierzyłem
w Grzech Pierworodny,
który nie jest niczym innym
niż pierwszym zwycięstwem ego.

Porażony moim ego,
ścigający jego miraż,
daję tobie, jak widzisz,
gotowy argument.

Słyszę jak mówisz teraz,
że wyzwolenie jest możliwe
a sokratyczna mądrość
i mądrość twojego guru
są jednym i tym samym.

Nie, Radza, muszę zacząć od tego czym jestem.
Jestem te monstra co nawiedzają mnie w snach
i objawiają
ukrytą moją istotę.

Jeżeli jestem chory, niemniej brak dowodu,
że za zdrowego może uważać się człowiek.

Grecja musiała przegrać, jej czysta świadomość
miała tylko zaostriżyć naszą udrękę.

Nam był potrzebny Bóg kochający nas w słabości naszej,
nie w chwale doskonałego zjednoczenia.

Na nic, Radża, utrata jest moim udziałem,
walka, niestawa, samolubna samo-nienawiść,
modlitwa o przyjście Królestwa,
czytanie Pascala.

Czesław MIŁOSZ

Berkeley, listopad 1969.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 177 — CZESŁAW MIŁOSZ

WIDZENIA NAD ZATOKĄ SAN FRANCISCO

Bardzo osobista książka-esej o przyrodzie wybrzeży Pacyfiku, o wyobraźni religijnej człowieka współczesnego, o *sex* i *violence*, o neomanichejskich skłonnościach cywilizacji i o tęsknotach do politycznego terroru. Książka zawiera m.in. polemikę z ideami Herberta Marcuse.

Str. 176.

Cena F. 18,50 (dol. 4,00)



TOM 178 — CZESŁAW MIŁOSZ

MIASTO BEZ IMIENIA (Poezje)

Nowy tom wierszy Miłosza, w którym najwyraźniej widać szczególne, właściwe tylko temu poecie, połączenie krajobrazów Kalifornii i rodzinnej Litwy, życia teraźniejszością i życia przeszłością. Ameryki lat 1960-tych i Wilna zarówno 1930 jak 1820 roku.

Str. 72.

Cena F. 9,00 (dol. 2,00)

El pelele

Wyrzekając się swych dóbr doczesnych i majątków, „z folwarkami, gruntami, budynkami, z tartakami i foluszami, z młynami i ich wymiałem, ze stawami, z bobrowymi gony, ze stawkami i sadzawkami, z prawem łowienia w nich ryb, z sadami, gajami, zapustami, z lasami, borami i dąbrowami, z polami, sianozęciami i ogrodami, z zasiewami, z bydłem wszelakim i innymi pożytkami, z bojarami putnymi i pancernymi („putni”, do służby posyłkowej i „pancerni” do zbrojnej), z ludźmi ciągłymi („tiahłyje ludy”, to jest tacy co byli posiadaczami inwentarza pociągowego) i nieciągłymi („netiahłyje”, odbywający swe powinności pieszo), z ich robotami na pańskim, szarwarkami, podwodami, furami, czynszami groszowymi i owsianymi, z daniną miodową, z przysądem, kunicami i inną daniną wszelaką, z opłatami pieniężnymi i niepieniężnymi, z arendami, pachtem, z karczmami wszelkiego napoju, z czopowem od piwa, miodów, gorzałek i też garnców wina muskateli, małmazji i wszelkiego picia, z opłatami od przewozów i promów, i z czwartego grosza od wszelkich towarów i wołów i rogatkowego i składnego, z mytem i promytem”, otóż wyrzekając się tego wszystkiego Panna Ksieni nie wyzbyła się trosk związanych z materialnymi, doczesnymi sprawami ziemskimi. Cnotliwe Panny Benedyktynki Przemyskie były beneficjentkami, spadkobierczyniami wielu zapisów, testamentowych kodycyłów, nadań, dóbr wyposażających ich dom. Wiano zapewniali im liczni fundatorzy, dobrodzieje, kolatorzy, jałmużnicy ziemi przemyskiej, samborskiej, jasielskiej, krośnieńskiej, a zawiadywanie tym powierzano opiekunom, plenipotentom, powiernikom, kuratorom, dzierżawcom, komisarzom, rządcom, podstarościm, pisarzom prowentowym i ekonomom. By jednak ludzka nieudolność i pazerność i łapczywość nie zubożyła tych tenut i docho-

dów trzeba było ich doglądać i czuwać nad nimi. Toteż raz do roku wypadało Pannie Ksieni wybrać się na objazd kluczków, włóści, folwarków klasztornych, na generalną ich inspekcję. Choć od lat już wybudowano ze Lwowa na Kraków „sztrekę”, „żelaznicę”, kolej imienia Arcyksięcia Karola Ludwika, Panna Ksieni nie korzystała z tego piekielnego wynalazku nowoczesności. W podróż-objazd wybierała się starą, kiedyś poszóstną dziś zaprzężoną w parę fernalskich hamanów karetą. W jej odrapanym pudle hojdającym się na resorach i pasach po wybojach i szutrze gościńca, w chrzęście kół i stukaniu piast, przez szczelinę w zasuniętych w jej oknach firankach abatissa patrzy i pamięta jeszcze z dawnych czasów ziemianki-posiedzieli, że tu orzą „w skład” albo „na rozorywkę”, że tam włóczą, albo piętrzą stogi, coś sprzątają, grabią czy dołują. Panna Ksieni w czarnym kłobukucydaris, z pastorałem Ksieni wspartym o siedzenie karety, w palcach przesuwając kuleczki, paciorki różańca.

Tak samo, na codzień, kiedy powłóczy korytarzem cellarium i przystanie u okna to może okiem objąć co się dzieje na podwórzu klasztornym. A dzieje się coś czemu Panna Ksieni przytaknie, chociaż nie da tego po sobie poznać. Na podwórzu czy w wirydarzu dziewczęta w czasie rekreacji urządziły sobie zabawę, nazywa się to „Der Hampelmann”. To pocieszna kukła, pajac, manekin, na prędcie zrobiony ze szmat, prześcieradeł, majtek, niezdarnie ale przydaje to tylko zabawie, głowa z jaśką, z usmarowanymi na nim gałami i nosem i pokracznie wykrzywioną gębą, peruczka z kłaków, ręce z gałganów i gidiowate, powykęcane w stawach nogi i stopy przybrane w pończochy i pantofelki, fraczek-kubraczek z czegoś tam zmaistrowany z rozlatanymi połami. Niezdarny, bezwładny, bezsilny pajac podrzucany w górę na kilimku, a panienczki rozswawolone, rozhisteryzowane, rozchichotane na widok pokracznych póz jakie w powietrzu przybiera. Że oto ten właśnie „on”, mężczyzna, co to nastaje na ich niewinność, ale o którym się marzy i plotkuje i spodziewa, którego się boi, od którego ucieka się, którego podnieca się i drażni tą ucieczką, wabi, podchodzi, obiecuje, robi do niego „perskie oko”, dla niego stroi i mizdzy w lustrze, że ten właśnie w tej postaci niezdarnej i bezbronnej oddany jest im na pastwę. Panna Ksieni kusząc korytarzem i zatrzymując się u okna pochwała i przytakuje okrutnej zabawie dziewcząt, toleruje ją, na pewno w dobrej wierze i trosce o spokój i cnotę, wierność, dziewictwo, poprawność i ułożenie powierzonych sobie *in loco parentis* na wychowanie istot.

To ona w czasie ostatnich modlitw zamykających dzień, po ostatniej litanii i antyfonie zaintonuje stary hymn śpiewany w klasztorach na Kompletę: „Procul recedant somnia...” w którym

wzywa się i ucieka pod obronę przeciw złym snom i majaczeniom nocy, jej trwogom i fantazjom, nawołując moce niebieskie by starły pod swą stopą łeb duchom grozy, byśmy „super aspidem et basiliscus ambulabunt”, byśmy, A fe! nie doznali zgorzenia. Odbiera nam sny, odgradza od nich, od ich przypadkowości, złośliwych znaczeń, nieoczekiwanych splotów i asocjacji, dziwaczności, alogiczności, niepokoju, ich szyderstwa z życia, ich udawania życia, cierpienia w nich za winy niepopelnione, snów-rekompensat i snów-samobiczowań, nieartykułowanych i jakże bezdźwięcznych, naiwnych a tak wypranych z humoru, prześladawczych a niespełniających najniewinniejszych naszych marzeń i zachceń. Panna Ksieni wie dobrze co robi. Nie pozwala nam wymknąć się spod jej władzy, kostura-pastorału Ksieni, chce byśmy pozostali niewinni i bezgrzeszni, za nas chce wziąć na siebie ciężar naszych grzechów i z grzechów wynikłych zmasennych.

Skąd te szczegóły spoza furty klasztornej, klauzury? A no, rekonstruuje sobie to co mi Nietota opowiadała i staram się niezdarnie opowiedzieć własnymi słowami. Oto widzę Nietotę, jak to Nietota, już nie w szermierczym plastronie i z floretem, ale jako Pulcinella melduje się u Ksieni, w swym pstrokatym domino, w rękę ma tamburino i uderza w nie i pobrzękuje jego brzękadła przed całą Panną Ksieni i podniesionym głosem Nietota zapowiada:

— *Signori comici sono arrivati!*

Jakże jej w to graj, Nietocie, która jak się rozszałała to się rozszałała, niebaczna na kary, pensa, strofowania i połajania. A dwoiła się w tej postaci, raz Pulcinella chytry, podstępny, lisi, zdradziecki, oczajdusza, a innym razem zawadiacki, zabijaka, skłonny do bójki, złodziej i chuligan, zakochany w trzpiotowatej Colombinie. Wiernie mu sekunduje Arlekin, w masce czarnej bo kiedyś w początkach był Murzynem, w kostiumie w szachownicę, bo to przecież łaty łachmanów na łotrzyku, wierny swemu panu aż do chwili kiedy o nim zapomni dla wylizywanego garnka. A Capitano Spavente albo Bombardone albo Fracassa, „syn grzmotu i trzęsienia ziemi, brat śmierci i serdeczny kompanion Belzebuba”, o wąsach jak u rysia, przy ostrogach i szpadzie, zamykający oczy by nie widzieć rąk, nóg, głów, uszu latających pod jego ciosami, pies na płec nadobną ulegającą mu tuzinami, o węchu niesłychanie czułym na zapachy kuchenne, ale gdy mu pięść pod ten nos podsunąć albo gdy zaszeleści spadający liść to zamienia się w zajaca. No i Pantalone, chytry kupiec wenecki albo profesor boloński albo prawnik-kauzyperda, o przyprawionym wielkim nosie, długonogi, zazdrosny o żonę czy powierzoną sobie siostrzenicę-sierotę.

Ów właśnie teatrzyk pensjonarek, zabawa w Commedia Dell'arte unaoczniała mi skarykaturowane, wylbrzymione swymi właściwościami słabości ludzkie. Capitano Spavente to przecież uosobienie żołnierza-samochwała, fałszu, bufonady, maskarady wszelkiej militareski od najdawniejszych czasów, kiedy to pióropusze, grzebienie na hełmach, wszystkie te szamerunki, plecenia, szarfy, portépée, rabaty, chorągwie, sztandary, insygnia miały być postrachem kryjącym pod pancerzem, *cuirasse* tchórzów usiłujących takich samych innych tchórzów naprzeciw przestraszyć, oszołomić, zaimponować im psychicznie, zdruzgotać, do tego wszystkie te zawołania, komendy, paradne kroki, buńczuki, kotły i trąby wojenne, rozwiane jak „namioty wojsk koczujących na niebie” chorągwie, zgiełk i krzyk podnoszony przez najrozmaitsze hufce, kohorty, legiony, bataliony, te kity, tarcze, ostróg dźwięk, rzenie rumaków bojowych, cóż to za dziecinnada!

Właśnie dziecinnada.

A czyż nie jest z mej strony dziecinnadą zapuszczać się w teren egzotyczny, nie z autopsji? Niejeden już zrobił tego rodzaju pomyłkę, płacąc za to drogo, narażając się na nieporozumienia, krytykę, nierzadko i śmieszność. Trzeba tu stąpać bardzo ostrożnie, wymierzać, przewidywać, domyslać się, odgadywać, obchodzić. Wiemy, wiemy. Kiedyś, dawno wpadł mi w ręce tomik nowel Marii Konopnickiej, co tu mówić, autorki i poetki i chwalonej i poniewieranej, naprawdę umiejącej wyczarowywać słowa, naprawdę bardzo obdarzonej, chociaż swoimi ludowościami, krzywdami chłopskimi mogła zdrowo dojechać. (Ale bajkę to już Pani Konopnicka umiała opowiedzieć: „...Niech se Krasnoludek siedą”, zapraszają do ogniska dzieci Koszałka Opałka, a Zośka Kowalczanka, zakrywszy wierzchem ręki oczy, zawołała przedko: „A to nam bajkę powiedzą...”). Przecież to ja sam, jak Lis Sadelko, (a już podawałem się przedtem jako Szewc Rozpędek, przypomni mi Nietota), zezując w tamtą stronę wzdycham: „Jakże chętnie w pracy wyręczyłbym tę interesującą sierotkę! Czuję w tej chwili jakby objawienie moich przeznaczeń: nawracać zbłąkane gąski — to powołanie moje”, (a Nietota dodałaby z humorem: „Aha, cztery białe i trzy siodłate!”), kiedy chcę pisać o pensjonacie klasztornym. Otóż w tym zbiorze Pani Konopnickiej była nowelka, zdaje się pod tytułem: „Stacho Szafarczyk”. Już nie pamiętam co było jej tenorem, ale pozostało mi przypomnienie o tym jak to jej bohater, chłopski niedorostek kosi żyto. I tu Pani Konopnicka, dama bądź co bądź z epoki, z pin-cenez, w „tiurniurze”, a nie jakaś traktorzystka, dała się ponieść fantazji, porwała się na opis czegoś takiego jak koszenie żyta przez dzień cały boży, czym jest dla chłopca kilkunastoletniego ciężka robota dorosłego chłopca, utrzymanie ciężkiego kosiska, odkłada-

nie pokosu w stękanii i zamachu, kiedy aż w krzyżach łamie i skręca, kiedy gęsta ściana zboża stoi murem i opiera się i stawia tej kośbie. (A do tego przecież zboże kosi się kosą z jakimiś półgrabkami, by odkładać niesklócony pokos na słomę „kulową”, czyż nie tak? Ale mniejsza z tym że tam nie było o tym). No tak wyobraźnia, domysł artystyczny to jedna sprawa a realia to druga. Samemu nigdy nie zdarzyło mi się kosić i nie porwałbym się na opisanie tego.

Za to ja wiem, naprawdę wiem czym jest wyładowywanie wagonu towarowego, jego ładunku niegaszonego wapna. Sam kiedyś to zrobiłem w ciągu jednego, długiego, strasznego dnia. Wagon stał na bocznicu i do odsuniętych na rolkach jego ciężkich drzwi, do jego pudła pociągniętego farbą wyblakłego ceglatego koloru, do tych odsuniętych drzwi wagonu, pudła na jego ciężkich osiach, z czarnymi i szarymi od pyłów tarczami kół, z jego sztangami, śrubami, tępyimi talerzami zderzaków, szczękami hamulców obejmującymi wypolerowane obręcze kół, do tych odsuniętych drzwi podstawiano furmankę-garę, drewniane koryto na kołach. Ja sam, potykający się i chwytający równowagę na rumowisku brudno-białych gruzeł wapna, z łopatą w ręce, podbieram z zalegającego do połowy ścian wagonu rumowiska wypalanych gdzieś tam gdzie palą u kamieniołomów w wapiennikach grudy wapna, nabieram szuflą ciężar od którego zginam się w pół w krzyżach i półobrotem skręcam się ku otwartej na świat boży prostokątnej framudze drzwi wagonowych, rzucającej, wpuszczającej przeraźliwe światło do ciemnego, białowapiennego wnętrza. W tym wnętrzu unosi się uparty, zły, żrący tuman wapiennego kurzu. I nie ma od niego ucieczki. Pcha się w oczy, do nosa i gardła i mimo że zrobiłem sobie z chustki do nosa rodzaj prowizorycznej maski, przenika przez jej tkaninę, pcha się do krtani i płuc, i nos mam już spuchnięty od gaszącego się w nim pyłu wapiennego. Moje półbuciki, mankiety nogawek inteligentnych spodni pobiełały, zgrzyta żelazo szuflki, cięży straszliwie każdy haust unoszonych nią grud. Ciężka gara u dołu przed drzwiami powolutku zaczyna się wypełniać, ale z usypiska na którym stoję w wagonie jakby nic nie ubywało. Koszula lepi się do ramion, barków, pleców, ściany wagonowe rezonują swym pudłem metalicznemu szuranii i zgrzytowi żelaza szuflki, oczy zalewa pot spływający mi po czole. W świszczącym oddechu, z krwią dudniącą mi w skroniach, przycinając zębami dolną wargę, niezgrabnie, nieumiejętnie, po amatorsku nabieram łopatą grudy wapienne. Jestem sam, sam ze sobą i swoimi myślami, w tej chwili chaotycznymi i gubiącymi się, miażdżonymi przez wysiłek fizyczny, trzepoczącymi się niezdarnie, czepiającymi się wariacko jakiegoś tematu, przeskakującymi na inny, by uciec gdzieś znowu, aż staje

na chwilę w bezruchu, z szuflą na pół zarytą w rumowisku, zapytujący się: Kim jestem? czemu tu jestem? dokąd stąd pójdę? czy to jestem ja sam, naprawdę? ja? to moje ręce? z nabrzmiałymi na przedramionach żyłami, piersią unoszącą się przerywanym oddechem, potem lepiącym mi koszulę do płeców.

I oto nagle wydaje mi się że wagon jest w ruchu. Najwyraźniej słyszę stuk jego obręczy na spojeniach szyn, przez szczeliny w deskach widzę migające drzewa, na krzywiźnie toru podłoga wagonu chyli się i chwieje, i daleko daleko, gdzieś na końcu wielkiego zestawu wagonów pociągu wyje lokomotywa i głos jej miesza się z wyciem, rykiem tłumu, pochlipywaniem dzieci, bezsilnym, tępym łomotem pięści ludzkich stukających w deski oszalowania wagonów i straszny chóralny krzyk „Gwałt!” zwierzęcy, bezsilny strachu ludzkiego i naglej paniki, istot ściśnionych w wagonach towarowych, ludzi stojących po kostki w gruzowisku wapna jakim podłogi wagonów wysypano przewencyjnie dla dezynfekcji. A potem już, po wyładowaniu cizby ludzkiej wagony już puste i lekkie, w stukocie, w metalicznym stukie zderzaków, przebiegającym jak dreszcz zestawami eszelonów rozrządzanych i przedstawianych na torach, dobrze wydezynfekowane wagony odchodzą po nowy i nowy ładunek ludzki. Uff! Ocieram łokciem pot z czoła i mówię sobie, co ci się przyśniło człowieku, toż to biały dzień, masz wyładować ten wagon z wapna, druga furmanka-gara już czeka, no śpiesz się, do roboty! Tak więc, wydawałoby się że to taka prosta sprawa wyładować wagon wapna na stacji Persenkówka.

.....

Co przejmowało owego lata Nietotę? Oczywiście, przede wszystkim sprawy najbliższe, zwykłe, to co nas wszystkich przeżywa, codzienna rutyna wstawania rano z łóżka, śniadanie, kawa, rogaliki, a tu już na dworze upalnie od lata, złoto od słońca przesiewającego się przez liście, modro od błękitu nieba, dźwięczność od głosów ptaków, fujut-fujut wilg, bzdykania much, rozdzwonionej sygnaturki u Dominikanów. Po toalecie, jakże prymitywnej nad miednicą pełną wody Nietota zasiada na górze do pianina. Na nim stosy nut, SZKOŁA z monotonnymi gamami i palcówkami, rozmaite łatwe kawałki, jakieś potpourri z operetek, Beethovena Sonata, Serenada Schuberta, Grieg, Weber, „Eine Kleine Nachtmusik”, a jakże także „Modlitwa dziewicy”, arie z Halki, walce, mazurki, kujawiaki, dosyć to wszystko obtargane, z takimi tam winietami tytułów, z ich nutowymi hieroglifami, kluczami wiolinowymi i basowymi, „krzyżykami”, bemolami, a pod linijkami nut wiersze słów poprzedzielanych pauzami, ażeby

sylaby wypadały tam gdzie nuta, słowa, słowa. „U prąsniczki przędą jak anioł dziewczeczki... do Królewca płynie młodzieniec z wiciną...”, „Ura-ho — dalej, z naszym hetmanem — Ura-ho — dalej!”, „Donna e mobile... Kobieta zmienną jest, głupi kto ufa jej...”, „Ty pytasz mnie dlaczego już — pijany szaleńcem chwytam nóż!... Do portu już dobija łódź...”, „Śpiesz barko moja — pogoda sprzyja — niech cię prowadzi — Santa Lucia...”, nuty, nuty, krzyżyki, krzyżyki, Allegro, Andantino, Adagio, Maestoso, „Leci liście z drzewa...”, „Za Niemen tam precz...”, „Szynkareczko, kochaneczko — stój, na Boga, stój!”

A po chwili ciszy dyszkant Nietoty:

„Czołen sered wody — chyta je sia...”

„... Czołen sered wody — chyta je sia...”

I cisza. I znowu:

„Czołen chyta je sia sered wody — zdatka wydno seto...”

Potem ucichła. Słychać było tylko skrzyp drutu pedału i szelest przewracanych kartek zeszytu nutowego. Potem zaperliło się w wysokich oktavach od uderzanych szybko klawiszy i znowu cisza, by odezwać się jakimiś niecierpliwymi jazzowymi synkopami. Potem znowu cisza, i w niskich oktavach akordy poloneza. Wreszcie słychać trzask wieka pianina i Nietota sfrunęła schodami do ogrodu, tylko drzwi ganku zawahały się tędy i tędy...

„Jak Crescat to decrescat a jak Decrescat to crescat”, mówiła Nietota, kiedy wieczorem, nad wierzchołkami drzew niespodzianie pokazywał się bladziutki opłatek półksiężyca. Niby że kształt wielkiej litery C od Crescat należało tłumaczyć odwrotnie, a teraz, wieczorem ukazujący się na nowiu księżyc miał kształt litery wielkie D. Taka mnemotechniczna zabawa pensjonarek, bo to znakomicie pozwala zapamiętać i orientować się w zawiłościach wszelkich, gdy za dużo tego dla naszej pamięci, żeby wiedzieć kiedy „wietek” księżyca jest na nowiu a kiedy mu ubywa. Tak samo jak rymowane i rytmem wbijające się w pamięć o Zodiaku: „... Lew przed Panną uchodzi, to są letnie znaki... Waga chłodzi z Niedźwiadkiem, Strzelec zimnem grozi, Koziorożec lód wiąże, Wodnik Ryby mrozi...”. Cóż tym pannom po Zodiaku, czy kosmogonii, czy astrolabiach, czemuż im zapatrywać się w konstelacje niebieskie, przystoi im raczej wcielać się w nie, zawieszać wśród welonów Drogi Mlecznej, lśnić przez nie gwiazdozbiorami Andromedy, Kasjopei, mitologicznie, na wabia, albo zagubić się wśród nich jak owa El Suha, „Zapomniana”, zagubiona w konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy.

Zgódźmy się, przecież może jedyną na ziemi, wspólną wszyst-

kim ludziom sprawą, jednak rozumianą, wspólnym dla nich mianownikiem to przecież jedynie niebo, gwiazdy, chmury. Wszystko inne, równiny, stepy, wzgórza, góry, urwiska, morza, rzeki, cała ta ziemiska a tak rozmaite skorupa, kozuch, te wszystkie, rozmaite jamy, garby, czeluści, szczyry, gleby, mokradła, siąpy, tundry, zalasy, zaborza, puszcze, zadrzewia, wydmy, delty, limany, cała ta „rzeźba” i „szata”, a niech to cholera weźmie! wszystko to takie rozmaite, i zaraz obce i odległe i zamorskie przyzwyczajonemu do własnego. A tu podnieść głowę, spojrzeć w czeluść nieba i zaraz wszystkim ono i znajome i wspólne. Niebo jest dla nas wszystkich rodzinne, znajome, wspólne, jednakie. Chmury pędzone nim, rozwłócone, pułap ich albo niski, albo pozawieszane na dziesiątkach tysięcy metrów welony, albo wełniące się baranki, „tuczki”, albo osłepiające białością w słońcu kumulusy, z frendzlą deszczu, albo niebo skamieniałe w granitowe sklepienie chmur bezsłonecznego dnia, albo bezchmurne, przerażające swą przepaścią, bez chmur których obserwowanie było przecież ulubioną zabawą królów perskich. Przydawanie im kształtu znaczeń i stowarzyszeń myśli było także zabawą Nietoty, która kazała im być raz smokiem, innym razem akweduktem, a potem znowu czterolistnym liściem koniczyzny, wrzecionem, grobowcem, wodotryskiem, wachlarzem, łabędziem, okrętem, by miały ją rozczarować przechodząc w smugi i szale szarugi i słoty.

Ale co tu oszukiwać, wymyślać, napiętrzać, jest się samemu. Samemu chce się wypowiedzieć coś za innych, żeby to byli najbliżsi, żeby to była najukochańsza istota, z którą jakże to wydawałoby się można się porozumieć, a do tego służy i wspólnota mowy, porzekadeł już nie w jednym języku ale w jednej rodzinie, w jednej grupce ludzi, co pozwala i na idiomatyczne skróty i półsłowa, półznaczenia, półdomyślniki, kiedy porozumiewa się już prawie tylko gestem, grymasem, mrugnięciem oka, dąsem na twarzy, uniesieniem kącika ust, skinieniem głowy, prawie że spazmatycznym odruchem mięśni rąk, zgarbieniem pleców, odwróceniem głowy, zakręcanym na końcu palca koniuszkiem warkoczyka, stukotem zniecierpliwionego obcasa, założeniem rąk w małydrzyk, złożeniem buzi, ujęciem się pod boki, wywróceniem oczu w ślup, zrobieniem krzyża świętego czy ziewnięciem, splunięciem i zatarciem śladu tego splunięcia podeszwą pantofla. Tym wszystkim porozumiewamy się, to nas łączy i rozłącza, tym się wstydzimy, albo dokuczamy innym, albo udajemy i chcemy zaimponować i odstawiamy ważnych i łasimy się i żebrzemy o pamięć.

Nietota umiała opowiedzieć o sobie najbardziej własne, upokarzające w swym komizmie historie. Jak to kiedyś, na tymże letnisku nad Dniestrem wybrała się na przejażdżkę czółnem, tamtejszym, którego płaskodenne koryto długie szoruje i chrobo-

cze u brzegu, kiedy woda pachnie letnio rybą, szuwarem, skrzekiem żabim. Przypadkowy galant letniskowy, gracki ale niezgrabny jakoś sobie daje radę manewrując sposobem tamtejszych chłopów, rybaków dniestrzańskich „na pych” i czółno, „czołen”, zachybotało się wreszcie na głębszej wodzie i poooooszło! już gładko, tylko „chytaje się”, kiedy niewprawny gondolier stara się utrzymać równowagę na stojąco, a wiosło „na pych” chowa się w wodę prawie aż po koniec rękojeści. No to Nietota opowiada jak to w pewnym miejscu, gdzie wiklina zwisa ciężkimi od wąskiego listowia gałęziami, opowiada jak to ona sama, bardzo malowniczo upozowana, na leżąco, na jakichś poduszkach i pledach, palce jej dłoni ledwie przez niską burtę gładzą, grabią leniwą falę, i jak to kiedy te gałęzie wiklinowe nadpłynęły i kiedy cesała je uniesionymi teraz palcami, jak na obrazie Moneta, nagle dla jakiejś przekornej chętki te głąskające liście palce zacisnęła i jakiś przekorny, wewnętrzny mus kazał jej te palce zacisnąć w kurczu nie pozwalającym się wypłatać, a prąd wody był w tym miejscu chybszy a gondolier znalazł lepszy i solidniejszy grunt pod wiosłem i dobrze się zaparł, no i co? No to Nietota, nagle nagle, z tej omdlewającej, rozkosznie powłóczystej, sennej, leniwej pozycji została uniesiona i oto czółno umyka spod jej stóp i mknie pod nią i moja Nietota została sama nad wodą, uwieszona u gałęzi, które pod jej ciężarem ugięły się, nachyliły jeszcze bardziej, zawahały raz i moja Nietota znalazła się, uczipiona ich, w nurtach wody, tylko jej sukienka na chwilę wbiła się w banię uwiecznionego powietrza („jak u pławionej czarownicy” mówiła o tym Nietota), i nabrawszy nasiąkły szybko wodą oblepiła się wokół jej nóg, gdy twarz Nietoty, przerażoną i rozśmieszoną, przelekką i w grymasie śmiechu i krzyku, oblaną rumieńcem zawstydzenia dobrodusznie i łaskawie przykryła siatka liści wikliny. No śmiechu było co niemiara i w pensjonacie i potem, po miesiącach, kiedy przychodziło wspomnienie, jak to na wycieczce czółnem, Dniestrem, Nietota chwyciła się gałęzi wiklinowych, jak to jej czółno uciekło spod nóg i jak to znalazła niezamierzoną kąpiel w rzece.

„Czołen sereď wody — chytaje się...”

I tak jak to czółno na wodzie dniestrzowej zachybotała się moja własna myśl i czółno uciekło i ja sam zostałem z tą myślą...

.....

Myśmy tam żyli, współżyli z ludźmi którzy podobnie ale inaczej mówili, inaczej żyli, pazurami z tej ziemi wydzielali sobie byt, kochali, umierali... Mówili podobnie ale inaczej, z przyde-

chem, *aspiré*, od nich przychodziło wiele do nas, do lwowszczyzny, do tej szlacheckiej, mieszczańskiej, inteligenckiej polszczyzny, przydając jej jakże prowincjonalny, rozpoznawczy akcent. I owszem, dumki, zaśpiewy ruskie, bo mówiło się u nas Ruski, Rusini, mówiło się grecko-katolicki a nie jak kongresowiaci co to mówili „rusiński”, „unicki”. Dziwię się że nie dziwiło to rdzennych Polaków że Książd w „Dziadach” ma dzieci („dzieci chodźcie pod kantorek...”), bo to był właśnie książd unicki, pop, miał żonę czyli „popadię” no i zawsze wiele córek, „popadianek”, które przecież trzeba było powydawać za mąż, straszne utrapienie te dzieci dla pasterza dusz ludzkich, to pamiętanie o zbieraniu grosza, za chrzty, śluby, msze na intencję, „pochorony”, „panichidy”, wszystkie te „iura stolac”, a tu bieda aż skwierczy i sami parafianie podrzuwają ze swego parocha tak zalatanego za ziemskimi sprawami, nawet pazernego na „paski”, białe chleby wielkanocne, znoszone przez wiernych na cmentarz cerkwi dla ich poświecenia, a które potem stawały się beneficjum duchownych.

A jakże, ci duchowni. Nie obejdzie się tu i bez anegdoty. Alumni seminarium grecko-katolickiego we Lwowie, mieszczańczego się u Staupigii przy ul. Kopernika pod nr. 36, wyprowadzani parami na przechadzkę do Ogrodu Jezuickiego, dzielili się na dwie kategorie: Tych co jakoś nie mieli jakiejś matury gimnazjalnej, ale jakby nie było mogli przygotowywać się do stanu duchownego, to wedle żargonu seminaryjnego „Formacja”, natomiast ci z maturą, bardziej edukacyjnie przygotowani musieli szczerzyć się przezwiskiem „Geschichta”. Zwyczajowo czy kanonicznie i jedni i drudzy po seminarium a przed wyświęceniem musieli znaleźć sobie żonę, bo potem już przepadło. Owszem wyższa hierarchia cerkwi grecko-katolickiej była bezzenna, także to zwyczajowo czy kanonicznie. No to był podobno widok przekomiczny kiedy taki alumn młody, w ciągu paru miesięcy przed wyświęceniem uganiał się w poszukiwaniu partii. I stąd też „Geschichta” bawiła się wierszykiem śpiewanym o „Formacji”:

*„Oj pojichaw pan Formacja do panny w konkury,
Taj zabuw win neboraczok szczo win bez matury...”*

Na co znów tamci odwzajemniali się:

*„Kopernyka Tryć Sziś, jiś Geschichta kaszu jiś,
Jiś Geschichta, hałasuje, fundusz kasza jim smakuje,
Bo Geschichta ist kein Mensch...”*

Oto anegdoty opowiadane sobie przez inteligencję polską o klerze grecko-katolickim, jak to jest wszędzie, jak to zawsze

jedna kasta, kategoria, dykasteria podrzuwa z innej. Pewnie że Argentyńcy pokpiwają sobie z „Indios”, Meksykanie z Gringos, w opowiadaniu Amicisa Lombardczy z północy z Kalabryczyków, Rosjanie z Ukraińców nazywając ich chachołami, Francuzi z Marsylczyków i z Tarasconu, pewnie Jakuci z Czukczów, pewnie ci z Navarry z Katalończyków, Kantończy z tych z Sinkiangu, Małopolanie z Mazurów, Ślązacy z „Galijoków”, my wszyscy z Żydów opowiadając sobie o nich szmoncesy a Żydzi z nas, zawsze się ktoś gdzieś śmieje w kułak albo otwarcie, tak jak dzicy, tak zwani „dzicy”, z Wyspy Wielkanocnej rechotali na widok dziwnych włochatych, groźnych ale śmiesznych ludzi przyniesionych do tamtejszych brzegów w ogromnych okrętach z wiatrem wydymającym dziwnie białe płachty u rej i masztów, jak kiedyś Odyseusz i jego towarzysze spotkali się pewnie z drwiną u Lotofagów, zjadaczy lotosów. Tak samo pewnie śmieją się z nas, ocalałych, unoszących za granicę głowę inteligentów, szczałkowców, z naszymi manierami, honorami, ambicjami, poprawnościami, gestem, grymasami, całowaniem rącek, naszą szczałkową szkolną łaciną („Gdy ty Tytyrze, w cieniu buków, na lichej fujarce wywodziś melodie pasterskie, ja porzucam kraj rodzinny...”).

Co każe mi powtarzać anegdoty, szperać, doszukiwać się porównań, wynajdywać paralele, popisywać pseudoerudycją, usprawiedliwiać tym wszystkim mój opis wobec mnie samego i innych przywoływanych na świadków? Czy ma być to dopełnieniem szczeroci podjętego zamiaru, wierności prawdzie, która to prawda jest tak nieuchwytna, tak względna, tak niepokojąca i tak niezapakajająca, ale bez niej świat jaki mnie otacza, ja sam nie istnieje, bo albo coś jest prawdą albo nią nie jest a więc wtedy nie istnieje. A znowu sztuka mająca nam tę prawdę objawić jest przecież ustawicznie na pograniczu oszustwa, złudy, udawania, mizdrzenia się, sugestii, w sztuce zawsze jedno ukazujemy przez coś innego, prawdę chcemy ukazać przez kształt udany, albo przez wymyślony porządek, jak w muzyce przez uszeregowanie dźwięków, jak w poezji przez słowa, ich rytm, aliterację, asonanse, współbrzmienia, akcenty, patos, wymysł. Czemu jest tak że posługujemy się całym arsenałem (gdzieś przeczytane, zaślizgane, zapamiętane) zmyślenia, nieprawdy ażeby wyrazić prawdę?

Wobec czego niech mi będzie wolno domyslać się i narzucić własne wyobrażenie o tym jak to Panna Ksieni pochwała i przytakuje okrutnej zabawie dziewcząt, kiedy tą maszką, tym pajacem jak ze szkicu gobelinowego Goyi w Muzeum Prado, tym „El Pelele” jestem ja sam. To przecież mnie te panny żywcem dręczą, nabijają się ze mnie, kiedy tak po koszarowemu całkiem

„dają mi koca”, odbijają sobie na mnie swe panieńskie trwogi, zahamowania, zawstyżenia, marzenia, zachcenia, mszcząc się za wszystkie byłe i przyszłe panieńskie klęski i zniewolenia. To przede mną abatissa przestrzega i radzi z zimną krwią: „Kolanem, pomiędzy nogi, to zaboli!”

Panna Ksieni może miała na myśli pokusy, nawiedzenia, rozkosz bólu jaki maluje się na twarzy Karmelitanki Świętej Teresy z rzeźby Berniniego w kościele Santa Maria della Vittoria w Wenecji, zdrożną, grzeszną w uniesieniu i spaźmie ekstazę marmurowej twarzy, o ustach rozchylonych i oczach wywróconych w ślup od bolesnego, rozkosznego doznania które barokowy rzeźbiarz, z barokową perwersją kontrastu, świętości i grzechu w jednym potrafił dać w kamieniu, ku zgorszeniu i wzburzeniu znawców, amatorów, poszukiwaczy sensacji i wzruszeń.

A może sobie przepowiadała Pieśń Wieczorną, cudowny hymn, którym jakże przebrzmiewały po capstrzyku głosami rekrutów koszary w Zórawicy słowa wołające o przyjęcie wszystkich naszych dziennych spraw, o odwrócenie nocnych przygód, wszelkiej szkody, byśmy się znowu obudzili. Tylko że twórca jej, inny kochanek, innej Justyny, potrafił także i noc zaprzepaścić grzeszenie, jak wynika z jego wcale dla pańien w klasztorze nie przystojącego wiersza, o tym jak:

*„Noc się krótka zdawała,
Zegnamy się ze świtaniem;
Miłość sen nam zabrała:
Miłość żyje niespaniem...”*

Taka zabawa, wymyślanie historii detektywistycznej. Tytuł? Zbrodnia w klasztorze. Poddajemy sobie pomysły i Nietota odrzuca mój jakiś w stylu historii Barbary Ubryk. „To dobre dla kucharek!” Tu musi być i groza i węzeł dramatyczny i logika wydarzeń, poszlaki, dedukcja. Tak jak to odbywa się uporządkowanie w przyzwoitej historii detektywistycznej czytanej do poduszki, a nie chaotycznej, bzdurnej, nijakiej, tak jak to bywa w życiu. Dobrze, naprzód fakty. Zbrodnia z premedytacją. Narzędzie zbrodni? Owszem, może to być stary gwer znaleziony w lamusie klasztornym. Skąd? No jakiś rekrut z austriackiego pułku infanterii, Pułku Mazzuchelli, stacjonowanego przed latami w Przemyślu, dezertier, uciekinier z posterunku, przerzucił gwer przez mur do ogrodu klasztornego. Albo z czasów pierwszej światówki, z czasu oblężenia twierdzy jaką był wtedy Przemyśl, karabin znaleziony na glacis festungów z tej strony Sanu albo

u kazamat fortecznych, pordzewiały rosyjski karabin, jaki zabłąkał się w obejście klasztorne, może odebrano go stróżowi nocnemu, bo był za groźnym uzbrojeniem, zostawiono mu tylko szpiczasty bagnet nasadzony na kij, z którym z parą dzikich, zjadłych wilczurów klasztornych odbywa swoje obchody, a sam karabin porzucono gdzieś w piwnicznym kącie. Albo jeszcze lepiej stary muszkiet, czy rusznica czy samopał znaleziony w przejściu na dzwonnice, wpośród zwałów starych szpargałów... Ale nie ubiegajmy wydarzeń. Ofiara, warunek wiadomo tak nieodzowny, znajdzie się. Motywy zbrodni? Oczywiście i przede wszystkim wedle klasycznej reguły prawnej: Cui prodest. No dobrze, niech będzie rusznica. Krogulcze oko Panny Ksieni dojrzało i porzucony tam stary rożek z prochem. Zadzyszana od wspinania się po schodach na wieżę, abatissa w świszczącym oddechu nabija strzelbę. Z dawnych kresowych czasów pamięta jak się to robi. Odmierza, odsypuje proch, nie ma tu pod ręką pakuł na przybitkę, więc z pierwszego pod bokiem foliału wydiera kartę (tu poddaje: ze starego kancjonału i akurat czernią się na niej drukiem słowa hymnu: „Dies Irae, Dies Illa, Solvet Saeculum in Favilla, David Teste Cum Sibilla...”, „No, niech będzie”, powiada Nietota). „Panna garbatego ciała” ugniata i miętosi z niej przybitkę, wprowadza do wylotu, dzwoni stempel w lufie, a teraz kula! Jaka? Zamawiana, zaklinana, poświęcana. Panna Ksieni popluła na nią i przeżegnała nim dobiła ją stemplem a za nią drugą przybitkę. Jeszcze podsypać prochu na panewkę, jeszcze skałkę u kurka odciągniętego ze zgrzytem starej pordzewiałej sprężyny przeczyścić paznokciem, szponem, pazurem.

Teraz już starczo zdyszana Panna Ksieni kuszytka korytarzem cellarium ku oknu wychodzącemu na wirydarz. Za sobą powłóczy, ciągnie po płytach posadzki kolbę rusznicy. Przez kraty okna wysuwa rudą od rdzy lufę z jej zaśniedziałymi mosiężnymi, nikle odbijającymi światło okuciami łoża. Mierzy. Bierze na cel. Z dołu dobiegają głosy roześmianych, rozbawionych dziewcząt. Na ich rozbiegane, roztańczone postaci pada już cień muru. Tylko manekin przybrany w gałgany i podrzucany na kilimku pojawia się za każdym razem w pełni światła, gdy w rozlatanych karykaturalnie pozach ukaże się na tle nieba.

Błysk, huk jakby gromu. U zapału i wylotu broni kłaczy się czarny, kwaśny, wionący siarką i saletrą dym i na chwilę przysłania widowisko. Sypie się cieniutko tynk od wstrząsu wystrzału i kawki poderwały się z wież klasztornych. A na niebie zawisł na chwilę rozkrzyżowany jak konstelacja Oriona kształt i poświęcona kula dosięgła i przewierciła me serce bijące w piersi słomianego pajaca El Pelele.

Zygmunt HAUPT

Ja go znajdę

Dni stawały się coraz krótsze, spadły pierwsze deszcze, samotny dom, jakby wyrzucony na brzeg nocy, stał wśród nagich drzew ociekających wodą. Okna zwrócone ku polom nie gubiły niczego, ani późnych świtów, ni posępnych zmierzchów, ani od-cinka drogi z ludźmi na niej, których tożsamość zarówno pani Maria, jak i ukrywający się w jej mieszkaniu, rozpoznawali bardzo łatwo: w mundurach, uzbrojeni, pędzący na motocyklach lub w samochodach, należeli od kilku lat do tego krajobrazu, do lęku ukrywających się, do ich koszmarnych snów. Budzili się nieraz z krzykiem, który wiązał ich z obrazem męki i śmierci.

Jesień była niedobrą porą. Gdy liście opadły, ulica jakby się przybliżyła, uleciała chwiejna, ruchliwa zaporą zieleni, a poprzez nagie gałęzie dom ukazywał różne szczegóły, zatajone latem. Wyłoniły się okna, łuszczące się rany, opadające tynki — świadectwo zagłady strzeżonej latem przezornie przez szumiące listowie, które zdawało się zmieniać kształt domu, jego możliwości konspiracyjne. Trzciny fotel, stojący przez całe lato w lichym ogródku, teraz ukazywał swoją bezużyteczność, nie zwodził przypuszczeniem, że ktoś usiadzie, by cierpliwie przyglądać się jesieni i deszczowi brzęczącemu o dach.

Któregoś dnia pani Maria zabrała fotel, przeniosła do domu, w korytarzyku zrobiło się ciasniej, i wówczas ogród okazał się, jakby obrabowany z treści: wynurzyły się czarne krzewy agrestu, o szyby zabębniło bezlistne drzewo bzu.

Dom, ocieniony wczesnym mrokiem i późnym świtem, zdawał się drzemać, ale w nocy słychać było przytłumione głosy rodzin mieszkających w zaciemnionych pokojach pani Marii. Słowa ich były skąpe, mimo tego ukrywający się mogli wyłuskać z nich wszystkie treści. I tak, nie mówiąc o strachu, przemierzali

jego wypalone obszary, a ukrywając lęk włączali go do swojej mowy. Żywili nadzieję przetrwania, więc omijali słowa o końcu wojny, obawiając się natłoku myśli i wrażeń dręczących nie-możnością rychłego spełnienia.

Wieczorami spożywali w milczeniu posiłek, który był jednocześnie obiadem i kolacją. Jedli z uczuciem przytulnego bezpieczeństwa, ponieważ nikt tu nie zaglądał. Pani Maria zdołała w porę zerwać wszystkie znajomości: krewnym, zapraszającym na święta, podawała urojone jakieś powody odmowy, te same powody miały odstręczyć znajomych od odwiedzania jej domu. Nie chybiła. Coś z zamierzonej tajemniczości przedostało się z korespondencji do świadomości osób bliskich, które zaczęły przysyłać trochę żywności — kaszę, mąkę, smalec.

Mąż, żona i dwunastoletnia córka zamieszkali w jednym pokoju, tym większym, który kiedyś zajmował mąż pani Marii, profesor fizyki u Rejtana; w drugim, będącym kiedyś jadalnym, zamieszkali ojciec i syn. Stary człowiek czuł, że opuszczają go siły i nawet rojenia o zakończeniu wojny, nie mogły przeważyć tego zapamiętałego rozważania o rychłym zgonie. Syn — młody, wysoki, szczupły, o jasnych włosach, wiedział, że ojciec nie sypia nocami, słyszał jego skłócony, nierówny oddech. A potem przyszedł ów dzień, kiedy ojciec nie potrafił już podjąć żadnej próby zatajenia fatalnego stanu zdrowia. Tego ranka, tłumiąc ból wywołany dusznością i gwałtownym skurczem w okolicy serca nie wstał z łóżka.

„Nie możesz zostać w łóżku, ojciec” — powiedział syn. „Wiem, wieczorem wstanę”. „Postaraj się, ojciec”. „Wieczorem wstanę” — powtórzył starzec. Pani Maria od pewnego czasu zdawała sobie sprawę, że do jej domu przylgnęło nowe niebezpieczeństwo, że do istniejącej groźby dołączyła się nowa; mimo to dzień w którym spostrzegła, że starzec przyszedł na posiłek wsparty na ramieniu syna, zaskoczył ją. „A więc to już” — pomyślała. Starzec siedział przy stole milczący. Czekał aż inni wstaną, chciał odejść ostatni. W końcu podniósł się, oparł o ramię syna i wtedy młody człowiek, siedzący obok swej żony i córki, zapytał: „Czy coś się stało?”. „Nie” — odparł syn. „Nic, nic się nie stało”. „Czy pan się źle czuje?” — zapytała kobieta głosem niespokojnym. „Skądże” — odparł syn. I zwróciwszy się do ojca, dodał: „Zostań jeszcze chwilę” i przeniósł wzrok na panią Marię. „Niech pan idzie do siebie” — powiedziała. „Jest pan na pewno zmęczony”.

I wtedy podchwyciła wzrok tych dwojga, siedzących obok córki.

Nieco później młody człowiek przyszedł do pani Marii sam, jakby tworzył konspirację wyłączności. Zjawił się u niej jak przy-

jacieli, pragnący ustrzec ją przed niespodziankami. Chciał się dowiedzieć, czy ona, właścicielka domu w którym ukrywają się dwie rodziny, zauważyła co się święci i czy jest świadoma niebezpieczeństwa, jakie się zaczyna wylaniać. „Ja już widzę tę groźbę, czy nie zechciałaby pani ingerować? Czy pani zdaje sobie sprawę...”. „Z czego?” — przerwała mu. „Z czego ja powinnam sobie zdawać sprawę, a z czego pan nie zdaje sobie sprawy?”. „Jeżeli pan Mieczysław” — powiedział młody człowiek i urwał w połowie zdania. „Więc co ja poradzę na to?” — zapytała. „Jeżeli to nastąpi, co ja mogę zrobić?” — dokończyła.

Unikała tego fatalnego słowa, nie mogła go wypowiedzieć — z obawy przed spełnieniem, z lęku przed mityczną mocą słów, określających wyraźnie sytuację nieodwracalną? Tymczasem młody człowiek mnożył grozę, opisywał niebezpieczeństwo jęków chorego, krzyków, rzęzenia, wspominał o konieczności wezwania lekarza, który od razu spostrzeże do kogo został wezwany. Tego wszystkiego można by uniknąć — przekonywał — gdyby syn znalazł dla ojca i siebie inne miejsce, gdzie nie ma ukrywających się ludzi. Dlaczego starzec ma narażać tyle osób? Jego życie ledwo się żarzy, on tak, czy owak musi... Nie dokończył. Potem, znizywszy głos, dodał: „Dlaczego to ma nastąpić tutaj?”. I wnet dodał: „Nie mówiłem żonie po co idę do pani, gdyby wiedziała, nie zgodziłaby się, więc proszę się nie zdradzić przy nią”. „Dlaczego nie chce pan żonie powiedzieć o tej rozmowie?”. „Wiem, że to nie jest szlachetne. Pani nie boi się trzymać u siebie dwóch rodzin, a ja się lękam”. „Niech pan przestanie myśleć o tym”. „Czy pani zauważyła jego nieruchomy wzrok, gdy siedzieliśmy przy stole? Widziała pani, jak ręce mu drżały?”. „Powinnam się bać z tego powodu równie silnie, jak pan, a zetknięcie z obcymi ludźmi, jest równie groźne dla mnie, jak dla pana”. „O tym właśnie mówię cały czas, pani Mario. My nie mamy do czynienia z fantomami. Przyjdzie nawet zaufanego lekarza podobne będzie do wtargnięcia niebezpiecznego człowieka. Jeszcze jeden świadek...”. „Więc co ja mam zrobić?”. „Przekonać syna, aby wyszedł stąd z ojcem”. „Nie, proszę pana, ja tego nie zrobię”.

Starzec nie opuszczał pokoju o oznaczonej wieczornej godzinie, również syn nie zjawiał się więcej przy stole, wchodził jedynie do kuchni, gdzie pani Maria przygotowywała posiłek, który zabierał ze sobą. Syn nie odstępował starca, a nieobecność obydwóch przypominała każdego dnia sprawę, którą młody człowiek znów poruszył. „Proszę zwrócić uwagę, że ojciec i syn już od tygodnia nie opuszczają pokoju. Przecież tam może po prostu być potrzebny lekarz”. Ta świadomość paraliżowała ją od paru dni, wiedziała, że starcowi potrzebny jest lekarz. Budziła się w niej mglista myśl, że stary człowiek tłumi ból i poduszką przy-

ciśniętą do twarzy dławi szloch aby nikt nie słyszał zduszonego krzyku, który budzi strach.

Któregoś wieczoru pani Maria spostrzegła, że milczenie obojga młodych jest wspólne: było uporczywe, demonstracyjne, wrogie niemal. Jedli w milczeniu, wychodzili w milczeniu i wydawało się, że córka również wciągnięta została do tej podstępnej gry. Przed chwilą widziała syna starego człowieka, jego mroczne spojrzenie, śledzące zamknięte drzwi, za którymi rozlegał się suchy kaszel ojca. Syn pośpiesznie zabrał posiłek i wrócił do pokoju.

Pani Maria czuła się zmęczona, dręczyła ją staranność tego milczenia, którym tamci ją dopadali. Niepokoiły ją nie dające się już stłumić odgłosy walki, jaką stary człowiek toczył ze swoim cierpieniem i zbliżającą się klęską. Wydawało jej się, że nie wolno już dłużej czekać, ostatecznie nie mogła przeznaczyć zagrożonego mieszkania na kostnicę, a niewielki ogródek na cmentarz.

Następnego wieczoru młodzi odwiedzili chorego. Padał deszcz i cały dom huczał w porywach wichru. Stary człowiek leżał odwrócony twarzą do ściany, widzieli jego plecy, poruszające się szybko w głośnym oddechu. Syn siedział na brzeжку łóżka. „Zostawcie nas w spokoju” — powiedział. „My na chwileczkę tylko” — powiedział mężczyzna. „Chcieliśmy się dowiedzieć...”. „Ja wiem czego chcecie”. „Czy pani Maria panu powiedziała?” — zapytał przybyły. „Nie, nikt mi niczego nie mówił, ale ja wiem o czym myślicie”. „Więc jaki wniosek?” — zapytał mężczyzna szeptem i żonie dał znak ręką, aby wyszła. „Co pan radzi?” — zapytał syn. Rozmowa toczyła się półgłosem, ręce starca przesunęły się bezustannie po kołdrze. „Co ja mam robić?”. „A my? Co my mamy robić?” — zapytał mężczyzna. „Moja żona i dziecko”. „Czego pan chce? Czego? Mam wyprowadzić ojca na ulicę, wydać go na śmierć?”. „A co my mamy robić?”. „Jesteście młodzi, zdrowi, idźcie, poszukajcie sobie czegoś innego”. „My? Dlaczego my? Czy nasza obecność tutaj przeszkadza komukolwiek? Komu?”. „Ja poproszę panią Marię, żeby wam pomogła”. „Niech jej pan nie prosi o pomoc dla mnie” — powiedział przybyły. „Pan już z nią rozmawiał?”. „Tak”. „I co?”. „Nie mogłem, niestety, przekonać jej”. „Do czego?”. Ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, dodał: „Pan chciał ją przekonać, aby decydowała o nas, prawda? Nie o panu i pańskiej rodzinie, tylko o nas”. „Tak i nie” — powiedział przybyły. „Szukając pomocy nie tylko o nas myślałem”. „A o kim jeszcze?”. „Również o niej. O pani Marii”. „A o nas? O moim ojcu?”. „Dlaczego ja mam myśleć o pańskim ojcu?”. „Tak, rozumiem. Wszystko rozumiem”. „Niczego pan nie rozumie”. „Ja nigdzie nie pójde”. „W takim razie zginiemy wszyscy”. „Nie mogę być ani tak subtelny, ani tak wrażliwy” — odparł syn starego człowieka. „Chce pan zmusić

nas do opuszczenia tego domu? Przypuśćmy, że nas już tu nie ma. Dobrze, nie ma nas tutaj, ale potem następuje to, czego pan nie chce i czego my wszyscy się boimy i wtedy pani Maria musi podjąć wszystkie te kroki, jakie każda rodzina podejmuje, gdy ktoś odchodzi, więc pani Maria zgłasza, że *to* nastąpiło, pan rozumie o czym mówię, więc ona zgłasza o *tym*, wreszcie przychodzi lekarz, przychodzą ci wszyscy ludzie, którym trzeba przedłożyć dokumenty, dowody, trzeba wyprawić pogrzeb, umyć ciało, trzeba..." Mówiący tracił dech. Z tego upartego pośpiesznego wyliczania czynności, jakie czekały panią Marię, wyłonił się w końcu jakiś zmieszany bełkot, na twarzy mówiącego ukazał się pot. „I co, i co?” — wykrztusił. „I co teraz? — dodał. — Jest pan szczęśliwy? Co jeszcze panu powiedzieć?”. Starzec poruszył się, odwrócił głowę, ujrzał jego twarz, usta na wpół rozchylone. „Nie spałeś, ojczu?” — zapytał syn. „Spałem” — odparł starzec. „Obudziliśmy cię?”. „O czym mówicie?” — zapytał szeptem. Raziło go światło, więc przymknął oczy. Obydwaj mężczyźni milczeli. Potem syn powiedział: „Nasz sąsiad przyszedł cię odwiedzić”. „To ładnie” — odparł starzec. „A po co właściwie?”. „Tak sobie, ojczu” — powiedział syn, starając się nadać słowom ton uprzejmości, jakiej brakło w pytaniu ojca. „Ale dlaczego dziś dopiero?”. „Nie wiem”. „Czy możesz zasłonić światło, albo odwrócić lampę?”. „Nie chciałem przeszkadzać” — powiedział mężczyzna. „A dziś pan nie przeszkadza?” — zapytał starzec. „Przepraszam” — powiedział mężczyzna. „Nie wiedziałem” dodał po chwili. „Zawsze czegoś nie wiemy” — powiedział starzec. „O czym pan nie wiedział dzisiaj?” — uzupełnił z trudem. Przybyły milczał. Po chwili starzec powiedział: „Przemyślałem wszystko i dobrze, że pan przyszedł”. Umilkł, cięń odwróconej lampy wydobył z twarzy starca jeszcze głębsze zmarszczki — przerażający ornament. „Niech pan jego nie pyta o zdanie — wzrokiem wskazał syna — nie można żądać, aby on decydował”. Starzec mówił z trudem, niestarannie, gubiąc słowa. „On się będzie wahał dlatego, że jest moim synem i dlatego, że ma decydować o losie swego ojca. Rozumie pan? Nie można tego wymagać. Rozumie pan?”. „Nie” — odparł sucho przybyły. „Pan ucieka od odpowiedzialności, dlatego pan mówi, że nie rozumie. Ale sprawa nie jest problematyczna, jest pewna. Ja nie mogę, nie powinienem tu zostać, za dużo ludzi narazilibyśmy — i wstępnawszy głęboko, dodał: widzi pan, już rozciągnąłem tę odpowiedzialność na wszystkich... Gdybym mógł popełnić samobójstwo uwolniłbym was od konieczności podejmowania decyzji, ale przecież nie o rodzaj śmierci chodzi, tylko o to, że ja *tu* w ogóle umrzeć nie powinienem. Nie wolno mi tego zrobić w tym domu, bo zginiemy wszyscy”. „Prześciń” — powiedział syn. „Pragnę,

aby to wszystko się skończyło — powiedział starzec. Czy chce pan, abym zadawał pytania nierozsądne, albo takie na które nie ma odpowiedzi? Uważam, że lepiej będzie, jeśli pan stąd wyjdzie i to natychmiast”. A gdy tamten zamknął za sobą drzwi, starzec zapytał syna: „Która godzina?”. „Już po dziesiątej”. „Poproś panią Marię, aby jutro zechciała wstąpić do mnie”.

Kobieta nie spała, leżała na tapczanie i czekała na męża. Nie zapalając światła rozebrał się i położył obok żony. Dopiero tu, w zupełnej ciemności, usłyszał jak deszcz wali z całej mocy. „Dlaczego nic nie mówisz” — zapytała kobieta. „Nie mam ci nic do powiedzenia”. W jego głosie był gniew i rozgoryczenie. „Nie odejdą stąd?” — zapytała kobieta. „Dokąd?”. „Czy oni naprawdę nie rozumieją?”. „Oni już powiedzieli wszystko, powiedzieli więcej, aniżeli przypuszczałem”. „Ale co powiedzieli?”. „Stary powiedział, że gdyby samobójstwo mogło rozwikłać naszą sytuację, popełniłby je”. „Niech on tego nie robi!” — krzyknęła kobieta. „On wie, że nie wolno mu tego zrobić”. Zapanowała cisza, po czym kobieta powiedziała: „Co będzie?”. „Nie wiem”.

Mówili oboje długo w noc. Wysuwali koncepcje pełne obłudy i fałszu, przez chwilę towarzyszyła im radość z powodu osiągniętego porozumienia, które sprawi, że tamci przyjmą ich propozycje i ulegną, a potem, po chwili opamiętania, jedno pytało trwożliwie drugie, czy tamci się zgodzą podporządkować swoje zamiary ich zamiarom. Szukali możliwości ratunku i nie zastanawiali się kto tamtych dwóm da schronienie, kto zechce tamtych zatrzymać bodaj na jedną noc. Samo przejście z domu, z peryferii Mokotowa, do Puławskiej, otarcie się o ludzi na ulicy, o Niemców wędzących i poszukujących ofiar, już mogło wywołać fatalne skutki, nie tylko dla zatrzymanych, lecz również dla tych, którzy ich do tej pory przechowywali.

Kobieta płakała cicho, pojęła, że nic nie wyznaczało im drogi ratunku — ani podstęp, ani obłuda, ani egoistyczne podsuwanie rozwiązań, które mogłyby ich troje uwolnić od niebezpieczeństwa. Ono się kryło wszędzie. Mężczyzna wpatrzony w ciemność wyobrażał sobie chwilę wyjścia w nocy z łopatą do ogrodu. Będzie kopał ziemię, objawiającą swoją twardość, nieucstepliwość, upór. Gdyby *to* nastąpiło zimą, ziemia skuta lodem nie przyjmie zwłok. „O czym myślisz?” — zapytała kobieta. „O niczym”. „Nie wierzę ci. Dlaczego ukrywasz przede mną swoje myśli?”. „Cóż ja mogę ukrywać przed tobą?”. „Może my powinniśmy wyjść stąd?”. „My? Dokąd? Z dzieckiem?”. „Pomyśl, przecież to nie ma sensu. Jeśli oni stąd nie pójda, my zginiemy”. „Nie mamy dokąd pójść”. „Jak on wygląda? Widziałeś go przecież?” — zapytała kobieta. „To może nastąpić nawet i dziś”. „Nawet dziś? Więc nie ma ratunku?”. Mężczyzna nie odpowiedział. Wie-

dzieli, że jutro może być za późno, że pośpieszna decyzja może być równie fatalna, jak powzięta zbyt wcześnie. Bezpośrednie sąsiedztwo śmierci, jej beznadziejna bliskość, niebezpieczeństwo obudzone na nowo uderzeniem mokrej gałęzi o szybę, za którą trwała ciemna noc, sprawiło, że ośpieni weszli niedostrzeżenie w sen, w abstrakcje sennych widziadeł.

Gdy starzec i jego syn przyszli do tego domu, małżeństwo z dzieckiem mieszkalo już tam. Spotkanie obu ukrywających się rodzin nastąpiło jeszcze tego samego dnia, przy kolacji. Znajomość zawarta została z zachowaniem gestów, które niczego nie oznaczały i do niczego nie były przydatne. Udawanie, że któreś z nich przyszło tu tylko na chwilę, nie miałooby sensu, więc stwarzanie pozorów zostało natychmiast zaniechane. Rozpoznanie identyczności sytuacji nastąpiło od razu, a próba przedłużenia obcości skazana została na niepowodzenie, ponieważ córeczka pierwszych lokatorów położyła kres konwencjonalnym normom.

Rosła tu bez ruchu, zamknięta wśród dorosłych, którzy tracili cierpliwość, gdy ona sprawdzała rozmowę, śmiechem, ruchliwością swoją obecność: ożywiona lub senna, bądź radosna, skupiała na sobie ich uwagę, a oni — pełni obaw, by dziecko nie popełniło jakiegoś głupstwa — patrzyli na nią z drżeniem i niepokojem. Ich rozmowy, ich mroczne milczenie jątrzyło umysł dziewczynki trzymanej w niewoli. „Dlaczego nie wolno mi wyjść przed dom? Dlaczego nie chodzę do szkoły? Dlaczego nie ma tu dzieci? Dlaczego, dlaczego...”. Setki „dlaczego”, niewyczerpane „dlaczego” i reminiscencje tego co było. Z przeszłości wyłaniały się nie tylko postaci, lecz również słowa, mieszkania, zabawki, śmieszne wydarzenia związane z jakąś osobą, ze spacerem po Łazienkach, wieściorką zaobserwowaną w Ogrodzie Botanicznym, podwórkiem, sąsiadami, filmem, sklepem. Niekiedy nuciła. Rodzice obawiali się wspomnień, które budziły śmiech dziewczynki. Wiedzieli, że wspomnienia rozniecają największe pożary.

I oto pojawili się dwaj ludzie, przed którymi jej nie ostrzeżono, pozwolono jej wejść do ich pokoju, rozmawiać z nimi. Nagle to, co było niemożliwe, stało się możliwe, otworzyły się nowe obszary, poszerzyły granice. Jej zaciekawienie wzbierało i nie kaprys, tylko upojenie nowością sprawiło, że częściej przesiadywała u nowoprzybyłych. I od razu, pierwszego dnia, starzec stał się „dziadkiem Mieczysławem”, a jego syn „wujkiem Józefem”. Powierzała „dziadkowi” swoje tajemnice, swoje upojenia i rojenia, wszystkie wspomnienia przeszłości o koleżankach, zabawkach, sąsiadach, gdzie były małe dziewczynki, jakieś Kasie i Krysie, kochane albo nielubiane, z którymi się bawiła. Starzec poznał niebawem dzieje dziecka, kipiące przygody misiów i lalek, a pewnego dnia histo-

rię tajemnej alejki w Ogrodzie Botanicznym, gdzie — nigdy o tym nie słyszał — istnieje aleja zakochanych. Stała tam ławka z wrytymi na oparciu dwoma sercami, związanymi łańcuchem. Dziewczynka powierzyła mu tę tajemnicę głosem ścisłym, a jego niedowierzanie zbiła stwierdzeniem, iż mogą pójść do Ogrodu Botanicznego natychmiast i obejrzeć tę ławkę. Starzec odparł z uśmiechem, że wierzy jej, że pójdą tam kiedyś. Dziewczynka zaproponowała, żeby się tam przejść, chciała zobaczyć, czy wieściorki zabrały torebkę z orzechami, którą zostawiła pod kasztanem. Starzec przytaknął bez słowa, a syn, siedzący nieopodal spojrział na ojca ukradkiem. Potem przyszła kolej na opowieści „dziadka”, na baśnie i legendy, na opowiadania prawdziwe i takie, które brały swój początek z książek, dramatów i filmów, oglądanych kiedyś. Dziecko czujnie i uważnie słuchało, żądało wyjaśnień, uzupełnień. Później spostrzegła, że ona sama zaczęła zjawiać się w jego opowieściach; uczestnicząc w akcji szła przez mosty i tunele, wdzierała się na szczyty gór, by wraz z innymi postaciami opowieści przejść przez niezwykły teren przygody. Po jakimś czasie, streszczając wydarzenia swoimi słowami, sama budowała nowe wersje, które ozdabiała i upiększała elementami zmyślonymi przez siebie, celowo dobieranymi, tak, aby stworzyć historię odmienną, podobną jednak do tej, jaką jej opowiedział. Głosowi swemu nadawała ton powagi, a on, myślami nieobecny, słuchał wtrącony w stan zadumy, niepokojący syna.

Przychodziła do tego pokoju pouczana ciągle przez matkę i ojca, żeby się zachowywała cicho, ale ona zawsze miała ochotę głośno rozmawiać. „Dziadek Mieczysław” i „wuj Józef” chętnie godzili się na te odwiedziny, była w tym nieszczęsnym, wspólnym przymusowym gospodarstwie, jedyną istotą szukającą rozmowy. Dziewczynka przychodziła kiedy chciała, wychodząc trzaskała drzwiami, a odgłos ten, denerwujący dorosłych, świadczył nie o roztargnieniu dziecka, tylko o jego poczuciu swobody i braku skrępowania.

Czasami opowiadała treść książek przeczytanych kiedyś. Z opowieści tych napływał do domu zapach ogrodów i lasów. Nie były to uskrzydłone fantazją relacje, dziewczynka trzymała się kurczowo tekstu, a starcowi zasychało w gardle, gdy dostrzegał sekretny wybieg, otwierający przestrzeń dla uzupełnień zrodzonych z czasu obecnego — przerażającego i groźnego. Rychło stwierdził, że to co było niedawno melodyjnym szczebiotem młodej istoty, zaczęło po upływie krótkiego czasu, dręczyć swą powagą. W takich chwilach przyglądał się dziecku ze smutkiem, chciał bronić jej prawa do dzieciństwa, do dziecinnej pojmowania zjawisk. Z żywym przejściem opowiadała o przyrodzie, o zjawiskach w naturze poznanych z lektury: tu wierność tekstom

oznaczała gorliwość pamięci. Zaciekle broniła historii pająka, wędrującego z kokonem wypełnionym sześćdziesięcioma jajami wagi jednego grama: historia przeczytana w podręczniku szkolnym nie mogła ulec przeinaczeniu. Gdy starzec usiłował to zrobić, ona podkreślała swą wyższość, okazywała pogardę niemal dla jego braku wiedzy. Było mu wygodniej okrywać się wstydem nieuctwa, aniżeli wychodzić obronną ręką z utarczek, nakłaniających dziecko do bliższego przyglądania się temu co się dzieje wokoło. Tak więc dał się prowadzić przez nią ku lisim i borsuczym jamom, ku gniazdom nad wodą, dziuplom, wylęgarniom. Śmiał się do rozpuku, gdy dziewczynka opowiedziała mu historię jakiejś zabki, dźwigającej na grzbiecie setkę swego potomstwa. Opowiadała dzieje pszczoł, trzmieli, os, ryb, koników morskich, a on wyrażał zachwyt i zdumienie dla jej pamięci i żal, że nie potrafi opowiadać o tak ciekawych zjawiskach. „Żałuję, że nie napisałem takiej książki” — powiedział. „To napisz”. „Już jestem za stary, nie potrafię”. „Nie martw się, napisz, ciągle siedzimy w domu”. „Ale nie nudzimy się”. „Nie, ale spróbuj wymyślić jakąś książkę”. „Postaram się, spróbuję”. „A o czym?”. „A o czym byś chciała?”. „Żeby była ciekawa”. „Ale o czym?” — powtórzył. „O tym co się mnie podoba. Przecież wiesz, co ja lubię”.

Nie pisał książki, ale tworzył historie o których nie wiedział, że zawierają zarys jego biografii. Czasami zbyt późno spostrzegł, że w tym o czym mówił było za mało staranności o zachowanie bariery dla dziecinnej wyobraźni. Zabrnąwszy zbyt daleko, przyczepiał na prędkę do opowieści nieoczekiwane, zaskakujące zakończenia. Zachęcał ją do pisania streszczeń i w ten sposób poznała mitologię, legendy, skrętnie omijające jednak fabuły unurzane we krwi i okrucieństwie. Potem pomyślał, że każde dziecku patrzeć jedynie na połyskliwe treści... Gdy opowiadał o Kainie i Abla, Abrahamie i Izraelu, ojcu składającym na ołtarzu ofiarnym własnego syna, użył żartobliwego tonu, ale dziewczynkę trapiła treść, obraz, decyzja i motywacja dramatycznego wydarzenia. Opowieść zrobiła na dziecku głębokie wrażenie i obudziła zainteresowania, które obarczyły starego człowieka natychmiastową odpowiedzialnością za to, co nieogłędnie uczynił. Starzał się odwrócić uwagę słuchaczki, ale ta pragnęła szczegółów, chciała bliżej przyjrzeć się postępkom, w których tak wyraźnie wystąpiła śmierć — w jednym opowiadaniu spełniona, w drugim zamierzona. Spoglądała ku Józefowi, a jej wzrok zdawał się mówić: „no, powiedz, powiedz”. Starzec odwodził ją od tej historii szerokim łukiem, wyjaśniając, że najważniejszy był przecież ostatni moment, który zadecydował o uwolnieniu syna z więzów. Dziewczynka zapytała: „A ojciec się nie bał? A syn? Też się nie bał?”. „Po co mamy myśleć o tym?”. „To po co mi opowiedzia-

łeś tę historię?”. „Widzisz, sam nie wiem”. „To wstrętne” — powiedziała dziewczynka.

Nie bardzo wiedział czego dotyczyła ta ocena — opowieści, czy jego czynu, który rozważał w milczeniu z rozpaczą. Ale ta właśnie historia wracała jak upiór, a gdy po raz któryś wyjaśnił sens tej opowieści ona patrzyła na niego nieufnie. „Coś ty zrobił, ojczu?” — zapytał go syn późnym wieczorem. „Ach, gdybym ja wiedział”. „Widzisz, jak bardzo trzeba uważać”. Potem dziewczynka zapomniła o tej opowieści i po to, by trzymać się jak najdalej alegorii, pesymistycznych obrazów, starzec ją wprowadzał w krainy wiary i optymizmu, spokojnej egzystencji, ładu, wybuchających barw, pachnących kwiatów, błyszczących gwiazd. Obudził w dziecku pragnienie trwania więc przyłgnęła do niego ponownie z całą dziecinną powagą i niefrasobliwą miłością, jakiej nie mogła żywić dla rodziców.

Starzec zaczął przygotowywać się do rozmowy owego wieczoru, gdy tamci spostrzegli, że wszedł do pokoju oparty na ramieniu swego syna. Poczuli całkowitą swoją bezsilność, wiedział że nie potrafi pielęgnować chłodu, którym przyoblekał do tej pory oblicze. „Ta jesień będzie ostatnia” — myślał z uporem. Pamiętał ciągle tamten wieczór, ciszę wspólnego pokoju, gdzie jadali, pamiętał nie tylko twarze kobiety i jej męża, lecz również oczy dziecka. Jej spojrzenie było otwarte, jak zawsze, spokojne, tylko spojrzenia rodziców brały od siebie wzajemną nieufność i skrytość. Tym spojrzeniem badali jego dłonie w których trzymał nóż, obserwowali sposób w jaki wstawał od stołu, od którego nie umiał oddalić się bez pomocy syna.

Postanowił zerwać zarówno z milczeniem, jak i nieświadomością. Trzeba było decydować, ostatecznie wszystko już się dokonało, już mu ten obcy mężczyzna powiedział co sądzi o sytuacji w której się znaleźli. I nie o zwykłe ustępstwo chodziło: w pobliżu był jedyny jego syn, dla niego chciał żyć, ale teraz — zdawał sobie z tego sprawę — dla niego musi umrzeć. Mówił w zupełnej ciemności, która pomagała mu wydobywać słowa, ale syn rozpoznał ich sens od razu. Po pierwszym zdaniu już wiedział, co ojciec mu powie, lecz mimo to był zaskoczony. Ojciec nie mówił o swych przeżyciach, nie żegnał niczego, po prostu oświadczył synowi, że nadszedł kres, więc nie może umierać w tym domu. Dlatego należy opuścić go w porę. „Właśnie po to, abyś ty miał dokąd wrócić i przeczekać. Bo ty przetrwasz, jesteś młody”. Syn powiedział: „To oni sprawili, że mówisz o tym. Widziałem ich twarze, słyszałem wszystko o czym on tu mówił, ale byłem pewien, że ty odpierasz jego słowa, że się nie godzisz — cóż znaczy godzić się z taką myślą! Tymczasem prosisz, aby tu przyszła pani Maria, jakbyś się chciał już pożegnać, bo tak trak-

tuję twoje słowa. Tamten człowiek powiedział coś niegodziwego, a ty czepiasz się tych słów, jakby on naprawdę miał prawo narzucać nam cokolwiek. O sobie niech mówią! — wykrzykiwał gniewnie, tłumiąc głos — o sobie, nie o tobie. Jakim prawem, co za bezczelność!”

Monolog ojca był niemniej gniewny, ale nie o ludziach z sąsiedniego pokoju traktował. Raz tylko wspominał o dziewczynce, jak o akcencie niezmiernie ważnym w całym tym sporze ze sobą samym i synem swoim, od którego domagał się zrozumienia. Nie chciał stąd odejść w deszcz i zawieruchę, nie tylko dlatego, że to grozi wszystkim najgorszymi konsekwencjami. Nawet gdyby mógł odejść stąd niezauważony, nie uczyniłby tego, ponieważ chce rozstać się z życiem, a nie uciekać od niego. Pragnie zachować pełną godność człowieka, który wie co czynić należy w tej ciężkiej godzinie. Chce odejść stąd popelniając świadomie samobójstwo. Syn cofnął się w mrok pokoju i stał tam milczący.

— Już dziś mówiłeś o tym, to straszne.

Nie żałował, że syn pojął jego myśl, bo tak czy owak musiał ją wypowiedzieć, nadszedł bowiem decydujący moment. „Nie jest bez znaczenia gwałtowna presja, jaką wywierają tamci. Nie jest to bez znaczenia” — starzec powtórzył to zdanie kilka razy — „ale decyduje zbliżająca się śmierć i sobie, nie jej pomogę sięgając po luminal, który przechowuję w szklanej rurce”. „Nie pomyślałeś o mnie?” — zapytał syn szeptem. „Ty nie musisz uciekać się do tego środka, jesteś młody. Ja chcę pomóc starości, to nie ucieczka, zrozum. Będziesz tu siedział i patrzył na moje zwłoki — bezradny, nieszczęsny, będziesz się przyglądał ostatniemu aktowi mego bytowania tutaj — co za ohyda. Nie tylko dlatego, że dokona się w tak nieludzkich warunkach, ale dlatego, że moja twarz nabierze strasznego wyrazu, który zostanie w twojej pamięci. Po co?”. „Nie możesz, nie chcę!” — zawołał syn.

Starzec znów zaczął go przekonywać, że powinien zrozumieć sens tego czynu. Mówił spokojnie, jakby opisywał dzieje cudzego losu i było coś niesamowitego w tym powolnym zdobywaniu syna dla tego wyznania. A kiedy w nagłym nawrocie syn krzyknął: „Nie, nigdy, nie zgodzę się” — ojciec zaczął mówić o egoistycznym cierpieniu, o utożsamianiu swojej śmierci z odejściem od cierpienia. „Nie zgodzisz się na to? Chcesz przyglądać się staremu ojcu, jak cierpi? Chcesz słyszeć moje jęki, okrzyki bólu, chcesz zobaczyć jak powali mnie bezwład, brak pamięci, brak przytomności?” Syn zapytał: „Dlaczego nie chcesz, abym i ja się uwolnił od tego wszystkiego?” Starzec znów zaczął wyjaśniać co syna wiąże z życiem, a co sprawia, że on, schorowany i niedołężny, musi położyć życie kres. Wreszcie powiedział synowi, że sprawa nie polega wcale na wymianie jeszcze iluś tam zdań, na

dyskusji i przekonywaniu, sprawa jest zadecydowana, trzeba sobie uprzytomnić własne możliwości. „Moje są żadne” — powiedział starzec — „twoje olbrzymie. Jesteś pozbawiony normalnego życia, normalnego oddechu, pracy, działania i ja jestem pozbawiony tego wszystkiego, ale ja nie mogę już przywiązać się do życia, ono jest poza mną”.

Syn milczał. Było ciemno, noc za czarną szybą nasiąkała deszczem, padającym ustawicznie: wicher powtarzał bębnienie kropli po dachu, po rynnie. Ciężka twarz ojca, ukryta w mroku, wyłaniała się stamtąd na chwilę, a on już widział ją białą, gipsową, zimną. Wzdrygnął się kiedy ojciec powiedział, że przemyślał wszystko do końca. Potrzebna mu tylko pomoc pani Marii. „Dlaczego?” — zapytał syn. „Po co?”.

Teraz starzec wprowadził go w jeszcze jedną sferę spraw związanych z decyzją opuszczenia domu. Wyznaczył pani Marii w całej tej sprawie rolę osoby obcej, czulej wprawdzie i wrażliwej, otoczonej miłością i wdzięcznością za wszystko co uczyniła dla nich, dotrzymującej im kroku w tym niebezpiecznym przemierzaniu trzeciego roku okupacji, ale którą teraz chciał prosić o coś, co poczytywać można wyłącznie za przysługę, nienarządzającą na żadne niebezpieczeństwo. „Przysługa, przysługa” — powtórzył kilka razy. To słowo wracało i syn pojął, że ojciec nie jest wcale przekonany, czy pani Maria tak to właśnie oceni, ponieważ to o co starzec zamierzał prosić już było przesiąknięte tchnieniem śmierci.

Syn uczył się tej myśli, zachował dla siebie słowa ojca, wydawało mu się, że ojciec nie zdoła uzyskać zgody pani Marii na spełnienie tej prośby i ta myśl nappełniła go ponownie otuchą. Zjawiała się nikła wiara, że pani Maria odmówi, nie zgodzi się na propozycję ojca. „Ona się nie zgodzi, jestem pewien, że się nie zgodzi” — rozważał w popłochu. Ojciec powiedział: „Oto wszystko o co prosić będę panią Marię, o nic więcej, a przecież uczyniła dla nas znacznie więcej, prawda?”. Syn przytaknął. Starzec dodał: „Gdyby się wzbraniała, ty mi pomożesz. Przekonasz ją, że powinna pójść po tę dorożkę, która mnie stąd zabierze”. Dopiero teraz syn pojął ogrom niebezpieczeństwa, które mu ojciec określał ostrożnie. To miała być ta ostateczna konsekwencja słów, jakimi zamierzał przemówić do pani Marii. „Ty ją przekonasz, pomożesz mi”.

„Pani Mario” — powiedział starzec. „Poprosiłem, żeby pani przyszła, bo pani i tak już wie o wszystkim”. „Nie wiem o niczym”. Siedziała w pobliżu drzwi wpatrzona w twarz człowieka, który nie opuszczał swego pokoju od kilkunastu dni. Oblicze starca było bardzo zmienione i pani Maria pomyślała z lękiem,

że niedość jasno tłumaczyła sobie nieobecność ojca i syna przy wspólnym stole. Pani Maria gładziła bez przerwy chusteczkę, jakby czynność ta mogła ukryć drżenie rąk. „Pani Mario, powinienem opuścić ten dom, nie wolno mi dłużej pozostawać tutaj”. „Niech pan tak nie mówi, panie Mieczysławie”. „Pani Mario, nie podejmujemy już żadnej próby ucieczki, mnie ratunek niepotrzebny”. Starzec mówił powoli, jakby po każdym słowie wielokrotnie nabierał powietrza do płuc. „Trzeba pomyśleć” — zaczął od nowa — „a raczej zadbać o to, aby *to* nie nastąpiło tutaj, w tym domu, który jest schronieniem...”. Urwał i wnet dodał: „Który był moim schronieniem i zostanie nim do szczęśliwego dnia, kiedy ci, którzy się tu ukryli, będą mogli wyjść przed dom”. „Pan dożyje tego dnia” — powiedziała pani Maria. „Pani Mario” — starzec uśmiechnął się — „droga pani, proszę nie opisywać szczegółów, jak tamten dzień będzie wyglądał. Po co, pani Mario? A jeśli ów dzień będzie wyglądał zupełnie inaczej?”. Zapanowała cisza, którą starzec przerwał po chwili. „Mój syn wyjdzie ze mną z domu, ale on powinien żyć, więc wróci tutaj, ale beze mnie”. „Dokąd pan pójdzie?”. „My już wiemy, prawda że my już wiemy?” — powiedział starzec zwrócony do syna, który milczał więc ojciec obserwował go z niepokojem. „Prawda, powiedz, że to prawda” — nalegał starzec. „Tak”. „Nie rozumiem — powiedziała pani Maria. Dokąd panowie pójdziecie?”. „Powinienem tak umrzeć, aby nikt nie ucierpiał, pani Mario. Teraz już tylko o to chodzi”. Kobieta zachnęła się. „Ja wiem, ja wiem, co pani chce powiedzieć, że to grzech tak mówić, możliwe, ale kto z nas nie jest grzeszny i kto bez winy? Trzeba przywrócić spokój naszym sąsiadom, również pani. Pani się niepokoiła, dobra pani Mario, więc pani bardziej na to zastrzeżyla, niż którekolwiek z nas. Pani jest świętą osobą, pani Mario”. „Niech pan przestanie”. „Ja wiem, to straszne słowo, ale nie znam innego”. Potem opowiadał, jak rozmyślał o niej w ciągu tych dni i nocy w rozterce, z żalem, bólem. Nie chciał jej widzieć wśród uczestników pogrzebu... Opowiedział o wizycie sąsiada, relacjonował rozmowę uzupełniając ją swoim komentarzem, gryzącym i usprawiedliwiającym jednocześnie odważne i bezczelne propozycje oraz płaszczące się słowa tamtego człowieka, którymi chciał zdobyć jego zaufanie i nakłonić do odejścia. „Nie mogłem już zwlekać” — powiedział starzec. „Ja go zabijałem, a przecież nie chciałem. To ja stoję nad grobem” — i nagle, jakby sobie przypomniał niestosowność tych słów, dodał: — „to ja, a nie on, stoję w tym miejscu, gdzie następuje pożegnanie”. Odetchnął i dodał: „Nic gorszego nie mogłoby się zdarzyć, niż śmierć w kwietniu albo w lipcu. Pani się domyśla, co by było wtedy, prawda?”

Jął opisywać dokładnie porę dnia i nocy, tej krótkiej, wio-

sennej, gdy ludzie zjawiają się na drogach i śpieszą do miasta, do przystanku tramwajowego. Wiódł ją swoimi słowami w poranki chłodne od rosy, w listowie pojawiające się na krzewach rosnących wokół domu, malował przed nią upiorny nastrój takiej krótkiej wiosennej nocy z kopaniem dołu i grzebaniem zwłok. Potem skazywał ją na tragizm upalnego, letniego dnia, na obecność w domu w którym leży trup z niedającym się ukryć fetorem, zdradzającym istnienie sprawy niemożliwej do ukrycia. Potem zaczął roztaczać obraz inny. Jesień — to była najodpowiedniejsza pora, ale nie mówił o niej wiele, natomiast ukazał jej zimę i mróz, noc w blasku księżyca, lśniąca śniegiem roziskrzoną gwiazdami, gdy ziemia, przestawszy być ziemią, stawała się murem, którego nikt nie byłby w stanie rozbić. To prawdziwe szczęście, że nie umrze zimą, nie może czekać do zimy, teraz nadeszła najwłaściwsza pora — jesień. Dzień krótki, deszcz jest okolicznością sprzyjającą. „I dlatego wyjdę stąd, pani Mario”. „Nie” — powiedziała kobieta. „Pod żadnym pozorem”. „Widzi pani, gdybym wiedział, że umrę za dnia, wszystko byłoby proste, wyszedłbym stąd na godzinę przed zgonem, dobrnąłbym, przy pomocy syna, do jakiejś bramy, tam usiadłbym sobie, aby skonać, Józef wróciłby do was, a mnie znaleziono by już martwego. I niechby sobie ustalali kim jestem, kim byłem. Żadna tortura, żadne katusze nie zdołają wydobyć z trupa adresu, nazwisk ludzi, którzy mu dawali schronienie...”. Westchnął i od razu podjął dalej: „Ale ja nie mam wcale pewności, czy to nastąpi w ciągu dnia, pani Mario, któż wie kiedy wybije godzina? A jeśli to nastąpi w nocy, tu, w tym pokoju, co wtedy? Co wtedy zrobimy? Co stanie się z wami, z panią, z nimi? Tam jest dziecko, im się wydaje, że mi to obojętne, niech myślą co chcą, ale mnie niewolno tego zrobić. Nie wolno, pani Mario”. „Panie Mieczysławie...”. „Pani Mario, omówiliśmy już wszystko, to znacznie prostsze, aniżeli się pani wydaje. Nie zginę na deszczu, ni pod płotem, trzeba tylko dobrnąć do tego miejsca, które sobie obrałem, tam schronienie, ocalenie, tam skończy się wszystko, stamtąd mnie nikt nie wypędzi i *to* nastąpi pod dachem, *to* nikogo nie obciąży, nikt nie poniesie odpowiedzialności. Nawet jeśli mnie *tam* znajdą”. „To straszne, niech pan przestanie”. „Pani Mario, nam potrzebna pomoc pani”. „Co chce pan zrobić?”. Odtrącała chusteczkę, leżącą na kolanach i przyciągała ją z powrotem gestem mechanicznym, a gdy palce nie odnajdywały jej, wzdrygała się i dopadała ją wzrokiem, jakby w niej, w tej wiotkiej i miękiej materii szukała ratunku. „Pani nam tego nie odmówi”. „Czego?”. „Potrzebna nam dorożka, która nas zabierze stąd, nie spod naszego domu, tylko z ulicy, żeby dorożkarz się nie domyślił skąd wysłiśmy. Pani Mario, dlatego mówiłem, że jesień jest porą sprzyjającą,

zmierzch zapada wcześniej, może jutro też będzie padał deszcz, byłoby to prawdziwe szczęście. Dorożkarz nie spostrzeże nawet naszych twarzy, trzeba go tylko przysłać po nas o umówionej porze, należy go zatrzymać na ulicy i powiedzieć, że czekamy na niego na rogu, pani się oddali, on podjedzie do nas, wsiądziemy, odwiezie na miejsce, zapłacimy mu i wysiadziemy. Nie będziemy długo razem, pożegnamy się i Józef wróci do domu pieszo, albo inną dorożką, a ja tam zostanę". „Gdzie pan zostanie? Ja muszę wiedzieć". „Mogę pani powiedzieć, pani Mario, ale zastanawiam się, czy nie będzie pani źlej, jeśli pani nie będzie wiedziała". „Chcę wiedzieć". „Zostanę w kościele na Placu Zbawiciela". „W kościele?". „Tak". „Ale kto się panem zaopiekuje w kościele?". „Wszyscy, pani Mario". „Jako? wszyscy?". „Albo nikt, to już nieważne. Trzeba tylko tam się dostać". „Ale co będzie potem?". „Potem już będzie dobrze". Spojrzał na syna i powiedział: „Prawda, że potem już będzie dobrze?". Syn milczał i przyglądał się ostrożnie pani Marii. Kobieta powiedziała półgłosem: „To straszne". „Tak musi być, pani Mario. Inaczej nie będzie. Czy mam od nowa powtórzyć wszystko? Ja na prawdę już nie mogę, proszę mi wierzyć". „Co on będzie robił w kościele, po co on tam jedzie" — rozmyślała w popłochu. Usłyszała ponownie głos starca: „Chce nam pani pomóc?". Powiedziała kilka słów, które jej samej wydały się niezrozumiałe i nagle zapłakała i płacząc starała się, aby ten stary człowiek zrozumiał co ona powiedziała, ale w jej urywanych zdaniach było kilka wątków: były tam słowa o nadziei i wątpleniu, o nieszczęściu i sile przetrwania, o tym, że ją wystawia na urągawisko a siebie na śmiertelne niebezpieczeństwo, bo potem już nie będzie powrotu i błąd raz popełniony zemści się na wszystkich. I w tym płaczu i spiętrzeniu słów, znalazły się takie, które zaczęły powoli wychodzić na spotkanie myślom i prośbom starego człowieka. Nie otwierając oczu, powiedział szeptem: „Pani Mario, proszę nie płakać. Mamy wszyscy dość nieszczęść, niechaj przynajmniej umarli ich nie przysparzają żywym. Ja już zrozumiałem wszystko". Zapanowała cisza, potem starzec powiedział: „Pani Mario, jutro o piątej pod wieczór wyjdę z synem z domu, już jest ciemno wtedy, przejdziemy do rogu ulicy, proszę nas wyprzedzić. Nikt nas nie zauważy, a gdy pani stwierdzi, że minęliśmy domy na rogu i stoimy już na chodniku, proszę zatrzymać pierwszą lepszą dorożkę i polecić dorożkarzowi, aby podjechał do nas. Dobrze, pani Mario?". I cicho dodał: „Nawet nie będę mógł pożegnać się z dzieckiem".

Zmierzchało, gdy tamci usłyszeli, jak sąsiedzi wyszli. Spojrzeli po sobie, już wiedzieli, że tamci dwaj, zamknąwszy za sobą ostrożnie drzwi, wycofali się z domu. Inaczej wychodziła pani Maria,

która opuściła dom nieco wcześniej: zadzwoniła kluczem, poprawiła słomiankę leżącą na progu potem okrążyła budynek. A ci dwaj uchodzili, jakby szli na palcach, przeciskając się przez ciszę domu i jego mrok. Było późne popołudnie, padał obfity deszcz i cierpliwy. Przylgnęli oboje do szyby i ujrzeni ojca i syna. Obydwaj przeszli przed domem, jak rozwiany obraz z trudem wydobyty z mokrego szumu.

W oczach kobiety było zdumienie, ale nie śmiała zapytać męża, bała się, że usłyszy odpowiedź inną od tej, jakiej pragnęła, jaka była jej potrzebna. „Oni zaraz wrócą" — pomyślał mężczyzna, ale z mroku nie zdołał już wydobyć zarysu tamtych postaci. Wszystko rozplynęło się z absolutną dokładnością i teraz pustka zaglądała do pokoju, tonącego w ciemności. „Dlaczego tu tak cicho?" — zapytała nagle dziewczynka. „Bądź cicho" — odparła kobieta. „Teraz musisz być bardzo cicho". „Czy ktoś idzie?" — zapytała dziewczynka. „Tak" — odparła matka. „Ciiiicho". „Kto?" — zapytała dziewczynka. „Nie wiem" — powiedziała matka. „Ty wiesz" — powiedziała dziewczynka. „Cicho" — powiedział ojciec surowo. „Wy wiecie" — powiedziała dziewczynka. „Dziadek Mieczysław i wujcio Józef wyszli". „Tak, bądź cicho, błagam". „Dokąd poszli?". „Nie wiem, bądź cicho, na miłość boską" — syknęła matka. „To nieprawda. Ty wiesz" — odparła dziewczynka. „Ja? Skąd?" — powiedziała matka, nie odwracając twarzy od szyby. „Cicho! Może nareszcie przestaniesz przeszkadzać" — powiedział ojciec. Błogosławił ciszę, pragnął, aby się utrzymała jak najdłużej, z niej rodziła się radość najwyższa, był pewien, że w niej, uwolnieni od groźby śmierci starego człowieka, spędzą długi czas nie narażeni na to co spaść na nich mogło. Jeszcze nie wierzył, że to naprawdę nastąpiło, że tamci odeszli. „Dobrze, że nie było pożegnania" — pomyślał. Może byłoby łatwo podać rękę, ale spojrzeć w twarz, zamienić kilka słów, które miały nic nie znaczyć, a jednocześnie zawierać wszystko — zarzut podłości, wypędzenie z domu. „Ja? Ja ich wypędziłem? A cóż ja? Czy mój dom? Co ja tu mam do gadania? Ja mogłem ich wypędzić lub zatrzymać? Mogłem tylko radzić, wyjaśniać, przedstawić grozę sytuacji, ale czy ja mogłem decydować o czymkolwiek?" Kobieta powiedziała: „Szkoda, że nie spojrzaleś na zegarek". „Trzeba było spojrzeć, szkoda" — odparł mężczyzna i serce mu zamarło. Wydawało mu się, że słyszy czyjeś kroki, stłumiony głos, chlupotanie błota. Zwrócił twarz ku żonie, widział jej głowę odrzuconą w tył, opartą o framugę okna. Tak się nie nasłuchuje — pomyślał. W ciemności odnalazł dłoń żony. Leżała, spokojna, na parapecie, zimna i obca, ale po chwili odżyła i ujawszy rękę mężczyzny kobieta położyła ją na swojej piersi. Spojrzał w głąb pokoju, gdzie w ciemności, na tapczanie siedziała

córka. „Później” — szepnęła kobieta nie odrywając oczu od twarzy mężczyzny i powoli odsunęła jego dłoń, ale ręka jego, dając się ponieść pragnieniu musnęła raz jeszcze pierś kobiety. „Dziecko” — szepnęła kobieta. „Nie teraz” — dodała. Potem usłyszeli kroki. To wracała pani Maria. Jej buciki stuknęły na kamiennych płytach. Po chwili otworzyła drzwi. Kobieta chciała wyjrzeć, ale mężczyzna zatrzymał ją. „Nie wyjdiesz” — powiedział ostro. „Dlaczego?”. „Nie wyjdiesz. My nie wiemy o niczym, rozumiesz? O niczym nie wiemy i nic nie słyszeliśmy”. „Ale dlaczego?”. „Dlatego” — powiedział. „Nas przy tym nie było, nie mieliśmy z tym nic wspólnego i o niczym nie wiemy”. „Dobrze”. Wtedy dziewczynka zapytała: „O czym wy nic nie wiecie?”

Pani Maria widziała obu przez deszcz. Wyłoniwszy się z mroku, ukrywając się za ścianą wiatru, minęli pierwsze domy i stanęli na chodniku. Jezdnia pełna wybojów, wygładzonych stojącą wodą, marszczoną gwałtownymi podmuchami, stanowiła jeszcze jeden szczegółowy element tego przemarszu i czekania. Pani Maria wpatrzona w tych dwóch ludzi, skłonna była tłumaczyć sobie że to co się dzieje jest czymś nierzeczywistym i jednocześnie czymś koniecznym i nieodwracalnym. Nie płakała, modliła się i uciekając się do słów wypowiedzianych wielokrotnie, zwyczajnie i niemal machinalnie błagała, aby Bóg odwrócił od niej to doświadczenie. Była przekonana, że przykładą ręki do czynu, który nie zostanie wybaczone. Błagała o łaskę świadoma, że bierze na siebie ciężar, od którego nie uwolni się już nigdy. To co przedsiębrała, nie mieściło się w żadnym szczegółowym spisie grzechów — grzechem była cierpliwość wyczekiwania, wczorajsza rozmowa, wyprawienie z domu człowieka, któremu dawała schronienie.

Gdy nadjechała dorożka i drżące światło latarni ledwo musnęło ciemności nacinane smugami deszczu, błogosławiła pustkę, spowijającą tamtych dwóch. „Tam jacyś panowie czekają na dorożkę, niech pan tam podjedzie”. Nie widziała twarzy dorożkarza, postawiony kołnierz zasłaniał do połowy oblicze, które ociekało wodą. Dorożkarz podjechał do czekających, wsiedli. Potem milczenie dookoła zabrzmiało wyzwaniem, które przyjęła jak karę. Płacząc wróciła.

Dziewczynka nie spała, leżała w swym łóżku, nasłuchując rozmowy rodziców, prowadzonej zdaniem ledwo napoczętymi i urywanymi lekliwie. Szła za tokiem tej rozmowy, ale walcząc z ogarniającą ją sennością gubiła jej sens. W końcu spostrzegła, że rodzice ciągle powracają do tego samego pytania: „Dokąd oni poszli? Dlaczego nie powiedzieli?”. Potem wynikła szeptem prowa-

dzona sprzeczka o to, czy pani Maria wiedziała, że odejdą. Kobieta była zdania, że pani Maria nie wiedziała o niczym, natomiast mężczyzna był przekonany, że wyjście pani Marii miało ścisły związek z opuszczeniem domu przez obu sąsiadów. „Nie” — powiedziała kobieta. „Oni wyszli dlatego że pani Marii nie było”. „Chciałbym, żeby tak było — powiedział mężczyzna — ale tak nie jest. Widzisz, pani Maria wróciła, jest u siebie, już się zbliża godzina posiłku, a ona nie daje o sobie znać, nie krząta się. Stało się coś, co sprawia, że nie chce nas widzieć. Wyjrzyj, zobaczysz czy w jej pokoju pali się światło”. Kobieta uchyliła drzwi. „Tam ciemno”. „Tak przypuszczałem. Ona nie chce nas widzieć, nie chce z nami rozmawiać. Oni przed odejściem powiedzieli jej, że my nakłanialiśmy ich do porzucenia tego domu”. Mężczyzna urwał, potem dodał: „Mam nieczyste sumienie”. „Myśmy ich do niczego nie zmusili. Jeśli odeszli stąd, to dlatego, że im było tu źle, czuli się niepewni, i prawdopodobnie znaleźli lepsze schronienie”. „Może tak jest, jak ty mówisz” — powiedział mężczyzna. Zapanowała cisza, po czym dziewczynka znów usłyszała głos ojca. „Zaraz będzie godzina policyjna, jeżeli nie wrócą niebawem, będzie to znaczyło, że odeszli. Minęły już chyba ze dwie godziny od ich wyjścia, a w ciągu dwóch godzin można pośród takich ciemności odejść bardzo daleko. Myślę, że oni już nie wrócą”. Na tle szyby dziewczynka ujrziała ojca pochylonego nad zegarkiem. „Jeszcze tylko pół godziny” — powiedział. „Zaczekasz tam?”. „Tak”. „A potem przyjdiesz do mnie”. „Zaczekaj jeszcze. Dziecko już śpi?”. „Tak”.

Teraz bała się zasnąć, chciała czekać i dowiedzieć się, dlaczego rodzice byli wystraszeni i dlaczego w głosie ich zjawiła się jakaś dziwna nuta, daleka od smutku, jeszcze nie radosna, ale już zabarwiona weselem. Leżąc w łóżku dziewczynka wyrzucała z pamięci wszystkie słowa i wszystkie obrazy, jakby przygotowywała kryjówkę dla słów nowych i innych obrazów, zrodzonych w mroku tego wieczoru, gdy z domu odszedł „dziadek” Mieczysław i „wuj” Józef. W tym wyczekiwaniu czały się jeszcze jakieś sprawy, o których matka mówiła głosem zdławionym, nie podobnym do tego, jakim mówiła za dnia. I gdy pomyślała, że nabiera rodziców, którzy sądzą, że od dawna już śpi, rozległy się za oknem pojedyncze kroki i od okna doszedł ją głos ojca.. Wzywał do siebie szeptem matkę: „Chodź, chodź, Józef wraca, on wraca sam, on wraca sam”. Matka podeszła szybko do okna i pytała: „Gdzie on go zostawił?”. Głos ojca był radosny, pełen uniesienia, jakby wraz z tymi pojedynczymi krokami za oknem, zjawiło się czyjeś beztróskie wołanie. Dziewczynka usłyszała, jak Józef otworzył z klucza drzwi, potem zamknął je za sobą i przeszedł przez korytarz. Widocznie potrafił w ciemności trzcinowy

fotel, bo usłyszała jego skrzypienie, potem Józef wszedł do pokoju. Właśnie wtedy ujrzała na tle szyby ojca i matkę. Oboje zbliżali się do siebie, lecz zanim ojciec zdołał objąć matkę, przemknęła obok i dziewczynka usłyszała, jak opadła na tapczan wraz z szeptem ojca, w którym było pytanie: „Czy dziecko już śpi?”. A potem, dodał: „Rozbierzesz się?”. „Chodź już”. Dziewczynka nie poznała jej głosu. Poruszało się w nim, coś, czego matka nie mogła utrzymać, jakby jej zabrakło sił. A potem z tego szeptu wymknęło się westchnienie matki, usłyszała tajemniczą ciszę, a w niej jęk po którym cisza była jeszcze ciemniejsza. „Dobrze ci było?” — zapytała matka szeptem. „Jak nigdy. Nie boisz się?” — zapytał ojciec. „Już nie mogłam, nie mogłam”. Dziewczynce zdawało się, że matka łka. „Śpij” — powiedział ojciec łagodnie. „Śpij”.

Józef chodził w swoim pokoju tam i z powrotem. Przyjmował na nowo ostatnie słowa ojca, jego spojrzenie, uścisk. Dorożkarz zatrzymał konie i przyglądał się im, gdy wchodzili powoli na stopnie, wiodące do kościoła. Wiatr spychał i zrywał budę, więc dorożkarz ruszył i okrążywszy Plac Zbawiciela, wjechał w Marszałkowską, zaciemnioną, smaganą wichrem i deszczem. Gdy obydwaj stanęli pod sklepieniem, Józef ujrzał wysokie, ledwo uchylone drzwi kościoła: przez szparę sączyło się mdłe światło, swąd świec przypominał coś z obrządku śmierci. Ujął mocniej ramię ojca i wtedy ojciec powiedział: „Odejdź, wróć”. „Ojciec”. „Wróć, odejdź, nie trzeba prosić o łaskę moich nowych opiekunów”. „Ojciec”. „Zostanę”. „Znasz prawdę, odejdź” — oddychał z trudem. „Znasz prawdę — dodał — i znasz wersję prawdziwą mego odejścia”. „Zostanę z tobą”. „Wróć, jestem bardzo zmęczony”. Objęli się i w objęciach syna starzec powiedział: „Nie wzywam pomocy, tu mój sprzymierzeniec, tu moje wyzwolenie”. „Chcę być wyzwolony”. „Jeszcze nie przynależysz do tego świata, który już widzę”. „Ojciec”. „Powiedz pani Marii, że uczestniczyła w moim życiu, nigdy w mojej śmierci”. „Powie, ojciec”. „Pamiętaj, to ważne, inaczej nie zazna spokoju”. „Dobrze”. „I dziecku nie mów prawdy”. „Nie powiem”. „A teraz idź już, idź”.

W mrocznym pokoju zadreżony, bezsilny, chodził od drzwi do okna, od ściany do ściany i przerażony uciekał od obrazów, które go osaczały. Już to pragnął wrócić tam, już to błagał, aby to co miało się dokonać, dokonało szybko. Błagał o upragnioną śmierć i nagle rozpacz podsuwała mu obraz inny: oto ojciec musi wyjść z kościoła, nie może tam dokonać tego co zamierzał, więc stoi przed świątynią sam, wśród deszczu i wichury, zaraz zapadnie godzina policyjna, a on, strwożony, wpatruje się w głąb

ulicy, ale znikąd pomocy. Odpędzał od siebie te obrazy, ale zjawiały się inne, wypełnione strasznym widmem ojca wleczonego przez brutali. Rozpoznawał martwe oblicze, więc uciekał do ojca żywego, bo żywy sprawiał mu cierpienie i tego cierpienia pragnął: ono skojarzyło się w jego udręczonym umyśle z karą na jaką zasłużył i którą chciał ponieść za to, że odszedł i zostawił ojca samego. Brał na siebie winę i ból, czuł ukojenie spływające na niego wraz z cierpieniem i to była cena za tchórzostwo. „Bałem się zginąć wraz z nim, pchnąłem go w śmierć, a sam uciekłem. Czym jest gorzkość mego pozostawiania tutaj, gdy jego tam dręczą? O czym myśli, co widzi, kogo spotkał?”. Usiłował sobie wyobrazić ludzi przyjaznych, którzy się zajęli ojcem. Widzi, jak ksiądz bierze ojca pod ramię i prowadzi do zakrystii, nie pozwala mu uczynić tego co zamierzał i obraz ojca ocalonego kojarzył mu się z ocaleniem własnym i to przynosiło mu ulgę. Zwątpienie owładnęło nim, gdy pojął, że nawet jeśli po wojnie odnajdzie ojca, będzie sobie wyrzucał, że opuścił go i odszedł od niego w najtrudniejszej godzinie. I nagle wydało mu się, że jeszcze nie jest za późno, że wszystko jest jeszcze do odrobienia, że może wrócić do kościoła, gdzie zastanie ojca, który czeka na niego i pragnie wrócić. Wyszedł pośpiesznie z pokoju i otworzył drzwi wiodące na ulicę.

Godzina była późna, ponury deszcz płynął w porywach wiatru, a on wszedł w tę ulicę, jak w pionową ścianę za którą ukrywało się zaciemnione, groźne miasto. Brnąc przez błoto zmierzzał ku miejscu, skąd niedawno dorożka zabrała go wraz z ojcem.

„Panie Józefie, panie Józefie”. Za nim biegła pani Maria i wołała rozpaczliwie. Dopadłszy go zapytała zdyszana: „Co pan tu robi?”. „Muszę tam wrócić”. Wzięła go za rękę i łagodnie powiedziała: „Niech pan wróci do domu, błagam”. „Nie mogę”. „Ja tam pójde z samego rana, niech pan wróci”.

Starzec przekroczył próg, w pobliżu nie było nikogo. Przez chwilę wzrok jego błądził po kolumnach i filarach, po łukach, po spadzistości krawędzi występujących z mroku. Nieśmiały blask świec rozplątywał się we wnękach, tylko jedna z nich, gdzie płonęła lampka wieczna, zdawała się tonąć w skupionym świetle padającym na obraz święty. Zgaszony żyrandol dominował, mimo ciemności, blaskiem jakby obudzonym w tym szklanym krzaku, zwisającym z góry: w ciemności stały rzędy wyprostowanych świętych, w mroku tonęły wklęsłości ze zjeżonymi, wysokimi i wąskimi oknami o zamazanych witrażach po których spływała woda deszczowa. Starzec oparł się o filar, czarny marmur zwilgotniał pod dotknięciem dłoni i wtedy usłyszał w głębokiej ciszy własny oddech. Powiódł wzrokiem po ławkach i wyciągnąwszy przed

siebie ręce, zaczął zmierzać ku pierwszej: szedł przez nawę główną, w słabym blasku świateł i dopiero po chwili dostrzegł w głębi olbrzymi krucyfiks, sięgający aż po niknący w mroku strop. „Przyszedłem do Ciebie nie jako człowiek zbłąkany, żaden z nas nie błądził...”. Usiadł w pierwszej ławce, w jednej dłoni trzymał kapelusz nasiąkły wodą, drugą sięgnął do kieszeni palta, wydobyl szklaną rurkę, z której wytrząsnął na rondo kapelusza kilka tabletek. Całą siłą woli ujarzmił drżenie dłoni, która wraz z tabletkami trafiła kilka razy do otwartych ust. Rurka spadła na posadzkę i potoczyła się wolno.

Z odległego kąta rozległ się metalowy dźwięk. Początkowo dobiegał go, jakby poprzez zamknięte okiennice i nagle obudziło się wspomnienie dzieciństwa, jakieś jabłonie w śnieżnej szacie, huczące pszczoły, dźwięk dzwonu. Ogarnęło go przelotne zmartwienie, czy zdołał schronić się w białym sadzie, nad wodą daleką z wznoszącym się stromo srebrnym obłokiem, gdy tamten dźwięk, zbliżający się coraz bardziej, nagle się urwał i rozpląnął. Ktoś dotknął jego ramienia. „Proszę wyjść”. Widział blisko twarz nieznanego człowieka. Siwe włosy spadały na czoło, w na wpół uniesionej ręce ujrzał czarny pęk kluczy.

„Zaraz wyjdę” — odparł starzec i poczuł, że jest bacznie obserwowany z ukrycia. Był tak pewien, że w pobliżu jest jeszcze ktoś, że przez długą chwilę wpatrywał się w boczną nawę. Stamtąd wyłoniła się kobieta i zmierzała ku ławce na której siedział. Starzec przymknął oczy i nasłuchiwał kroków idącej, ale w ślad za nią ukazał się jeszcze jakiś człowiek, niewidoczny do tej pory. „Niech kościelny zawoła księdza” — powiedziała kobieta do człowieka z pękiem kluczy w ręce. „Po co?”. „Niech kościelny zawoła zaraz księdza, on coś zjadł”. I pochyliwszy się podniosła z posadzki szklaną rurkę. Leżała na otwartej dłoni kobiety — pusta.

Wtedy zbliżył się mężczyzna. Był to młody człowiek w kusej kurtce, która twarzy dziarskiej i energicznej dodawała powabu, a oczom, zaznaczonym bardzo wyraźną linią brwi, nieco mrozu.

„Co to?” — powiedział i sięgnął po rurkę. „To na pewno trucizna” — powiedziała kobieta. „Trzeba zawołać lekarza” — dodała. „Żadnego lekarza” — powiedział młody człowiek. „Niech pani nie robi paniki, tu nie trzeba żadnego lekarza”. „Trzeba” — odparła z uporem i wtedy mężczyzna spojrzał w jej twarz. Było to oblicze zniszczone, o posępnych oczach bez określonej barwy. Rozczochrane włosy, wyłaniające się spod grubej, mokrej chustki, opadały na czoło. Oddech kobiety przesycony był odorem alkoholu. „Trzeba zawołać lekarza” — powtórzyła. I nagle, jakby przeniknęła tajemnicę, powiedziała: „To Żyd, panie kościelny. To Żyd”. „To nic” — powiedział młody człowiek. „Wypro-

wadźcie go — powiedziała kobieta. Wy nie wiecie co nam grozi? Wyprowadźcie go, bo on tu umrze, trzeba będzie kościół na nowo wyświęcić”. „Niech pan zamknie drzwi kościoła” — powiedział młody człowiek i na trwożne spojrzenie kościelnego powtórzył: „Niech pan natychmiast zamknie drzwi kościoła”. „Pan zna tego człowieka?” — zapytał kościelny. Młody człowiek ujął zniecierpliwionym gestem kościelnego pod ramię i popychając go ku drzwiom ponaglał gorącym szeptem: „Prędzej, prędzej”. „Ja muszę wyjść” — powiedziała kobieta i ruszyła za nimi. „Nigdzie pani nie pójdzie” — powiedział młody człowiek. „Pani tu zostanie”. „Ja muszę”. „Nie, nie musi pani. Tu pani zostanie”. „Dlaczego? Tak, bez dania racji?”. Kobieta podniosła głos, ale młodzieniec, gotów pokazać jej swoją bezwzględność, rzucił: „Pani zostanie tutaj, bez dania racji. I milczeć!”

Kościelny już wracał, klucze zadzwoniły, więc kościelny zgarbił je skrętnie i kruche dzwonienie nagle zapadło się w ciszę. Kościelny biegł w stronę ołtarza. Młodzieniec, przystanawszy przy ławce, przyglądał się człowiekowi siedzącemu z głową opuszczoną na piersi. „Proszę pana, proszę pana”. Starzec uniósł głowę. „Co pan zrobił?” — zapytał pochyliwszy się nad starcem. „Co pan zrobił?”. Ponieważ starzec milczał dodał: „Ja nie pytam dla czego, tylko co pan zrobił?”. „Gdzie chce mnie pan zaciągnąć?”. „Nigdzie, niech się pan uspokoi”. Po chwili znów zapytał starca: „Co pan zrobił?”. „Nie ratujcie mnie. Jestem zmęczony. Błagam, nie ratujcie mnie”. „To jest Żyd, jego nie wolno przechowywać w kościele” — powiedziała kobieta, która znów wyszła z mroku i stanęła przy ławce. „Niech pani stąd odejdzie” — powiedział młody człowiek, nie odwracając twarzy od starca. „Proszę, niech pani stąd odejdzie”. „Chciałam ale pan mi nie pozwolił”. „Jest tu dość miejsca, niech się pani odsunie”. Ksiądz, niski, siwy, wyprzedzany przez kościelnego wyszedł z zakrystii śpiesznym, miękkim krokiem. Jego spojrzenie spoczęło przez chwilę na zawadiacko młodzieńczej twarzy mężczyzny, potem spotkało się z posępnym spojrzeniem kobiety. „Ona znów tutaj” — przemknęło mu przez myśl. „Ona zawsze się zjawia jak nieszczęście”. Dostrzegł starca siedzącego w ławce, kapelusz leżący na podłodze. „Nie, to nie halucynacja, kościelny miał rację. Ta twarz, te rysy. Biada mi. Pomóż mi, Panie”. „On coś tyknął” — powiedziała kobieta. „Uspokój się” — powiedział ksiądz nie odwracając oczu od starca. „Uspokój się”. „To Żyd” — powiedziała kobieta. „On jest częścią rodzaju ludzkiego” — powiedział ksiądz. „Odejdźcie stąd”. „To straszne” — powiedział młody człowiek. „Kim jesteś? Znasz go?” — zapytał ksiądz. „Nie. Ja tu jestem przypadkowo”. „W kościele przypadkowo?”. „Tak”. „Nie mówisz prawdy” — powiedział ksiądz. „Nie chcę cię stro-

fować, ale nie powinien był wchodzić do domu bożego". „Musiałem”. „Zaczekaj tam” — powiedział ksiądz. „I ty odejdz” — zwrócił się do kościelnego, któremu strach wykrzywił twarz. „Zostawcie nas samych”. Za odchodzącym dorzucił: „Zamknij świątynię”. „Już zamknąłem”. „Wszyscy zostaniecie tutaj” — powiedział ksiądz. Pochyliwszy się nad starcem, zapytał: „Czy pan chrzczony?”. „Nie”. „Nie” — powtórzył ksiądz szeptem i rozejrzał się trwożliwie. Potem dodał: „Co pan zrobił? Chcę panu pomóc”. „Mnie niepotrzebna niczyja pomoc”. „Wezwę lekarza, zaufanego lekarza”. „Nie, dziękuję”. „Odwożę pana, gdzie pan mieszka?”. „Już nigdzie”. „Ściągniemy pomoc rodziny, proszę o adres”. „Nie mam żadnego adresu”. „Proszę powiedzieć, ja tam pošlę kogoś”. „Nie mam nikogo”. Zapadła długa cisza. Ksiądz zauważył, że twarz starca nabrała rysów, jakich przed chwilą nie miała. „Tęskniłeś za śmiercią?” — zapytał cicho. „Pragnąłem jej”. „Dlaczego tutaj?”. „Nie mogłem inaczej”. „Dlaczego?”. „Nie chciałem nikogo narażać”. „A mnie?” — zapytał ksiądz. „A ich?”. Odszukał wzrokiem kościelnego, młodego człowieka i kobietę. W każdej z tych twarzy, owianych mrokiem, czaiło się ostrzeżenie. „Myślałem, że będę sam” — powiedział starzec. „Nawet, gdyby tu nie było nikogo, nie byłbyś sam” — powiedział ksiądz. „Ksiądz o Bogu? On nie zjawił się przy mnie”. „Nie chciałeś”. „Czasami czułem go obok siebie, nigdy w sobie”. „Ale widziałeś jego dzieło”. „Tak”. „I mimo to uczyniłeś to co uczyniłeś”. „Na siebie podniosłem rękę, nie narażę...” Ksiądz odnalazł wzrokiem młodzieńca. Znał już jego tajemnicę i z goryczą pomyślał o upomnieniu udzielonym w trwodze temu człowiekowi. Do starca powiedział: „Narażeś mnie na ciężką próbę. Wezwę lekarza”. „Pragnę śmierci”. „Muszę zrobić wszystko”. „Nic nie robiąc, ksiądz przyniesie mi najwyższą ulgę — wyzwolenie”. „Wiesz, że nie mogę pojednać cię z Bogiem”. Ksiądz patrzył prosto w oczy umierającego, jakby tam szukał ukrytych ścieżek. „Panie, czego chcesz ode mnie, ciężka jest Twoja próba. Wiem, że muszę każdemu człowiekowi w orbicie mego widzenia przekazać Twoją prawdę. Czy jego przyjsie tutaj jest znakiem Twoim, Panie?”. Do starca powiedział: „Czy wiesz, że mnie bijesz i poniżasz?”. „Nie chciałem tego” — odparł szeptem. „Poniżasz mnie i bijesz, bo nie pozwalasz sobie pomóc”. „I ja byłem bity na samym dnie, padałem codziennie. Wytrawiono mi oczy, ród mój wybito”. Starzec mówił z trudem, potem dodał: „Czy nie jednoczyłem się z Chrystusem?”. Pochyliwszy się nad starcem, ksiądz powiedział: „Obydwaj jesteśmy mali”. „A w czym wielkość człowieka?”. Ksiądz obejrzał się za siebie. Kościelny siedział w ławce i złożywszy głowę na ramionach, zdawał się spać. Kobieta, okryta chustką, siedziała na dywanie oparłszy plecy o ko-

lumnę: jej twarz ukazywała wielkie cierpienie. „Ona się jutro znów upije i opowie o wszystkim” — pomyślał ksiądz z trwogą. Tylko młodzieniec swym profilem wyraźnym i prostym, zdawał się rozjaśniać mrok zalegający nawę. „Może w twoim przyjsiu tutaj” — powiedział ksiądz. „Nie szukałem tu ani Boga ani prawdy”. „Wiem, że nie przyszedłeś tutaj z rozterki wewnętrznej. Dlatego wolałbym cię nie spotkać”. „Ksiądz mnie nienawidzi”. „Nie. Rozpaczam. Obudziłeś bezsilność moją”. „Nie chciałem”. „Złe mnie zrozumiałeś. Oto bezradność moja i oto męka moja”. „A jeśli zdołam wyjść?”. „Też zostanę bezradny”. „Ksiądz mówi o bezsilności swojej?”. „Tak”. „Bo przyszedłem Żydem będąc?”. „Tak”. „I ksiądz widzi we mnie obcego?”. „Ponoszę odpowiedzialność wobec człowieka, więc nie nazywaj siebie obcym”. Starzec oddychał z trudem, głowa mu opadła. Powiedział: „Wiem o czym ksiądz myśli”. „Nie wiesz”. „Ksiądz znajdował zawsze kogoś do nawracania, ale to było łatwe...”. Ksiądz mówił szeptem: „Boże, wesprzyj mnie w bezradności mojej. Jeżeli wyświęcony zostałem dla tego jednego człowieka, podrzuconego mi w tej strasznej godzinie, niech będzie to jedyna dusza dla której jest całe powołanie moje”. I głośniejszym głosem dodał: „Z kim przyszedłeś tutaj?”. „Syn mnie przyprowadził”. „Syn? Dlaczego cię opuścił?”. „Nie chciałem jego ofiary”. „Boże, oto syn czyni ofiarę z ojca swego, Boże”. Ksiądz załkał. „Nie”. Starzec pochylił się, jakby miał runąć. I wtedy ksiądz usłyszał jego słowa: „Dlaczego niewinnego prześladowa? Dlaczego?”. „Jezus był najniewinniejszy, a znęcano się nad nim, był w sile wieku a zabito go. On śmiercią swoją nadał sens cierpieniu”. „Również mojemu?”. Ksiądz milczał. „Również mojemu?” — zapytał starzec. Ponieważ ksiądz mu nie odpowiedział, mówił w strapieniu i poniżeniu: „Tylko moje cierpienie nie ma sensu? Moje jest bezsensowne?”

Ksiądz mocował się z ciałem starca, które stało się nagle ciężkie, twarz niedawno jeszcze normalna, nabrała osobliwej grozy. Ksiądz widział otwarte szeroko oczy, dobiegał go żywy jeszcze oddech, ale wiedział, że starzec już słyszy słowa dla niego tylko przeznaczone. Widział wielokrotnie takie oczy, znał to zanikające spojrzenie, gdy człowiek jest już bardzo daleko: oto idzie przez labirynt nieskończoności, jeszcze widzi ziemię, ale oczekiwaniem jest już tam, najdalej. „Przybliź się” — powiedział ksiądz półgłosem, nie odwracając głowy. Ponieważ wzywany nie odezwał się krzyknął: „Przybliź się”. Młodzieniec odwrócił się od kolumny i stając na palcach zbliżył się do ławki. „Pozostań sobą” — powiedział ksiądz. „Pozostań sobą i pomóż mi położyć zwłoki”. Przejście między ławkami było wąskie, obydwa nie mogli się w nim pomieścić, sutanna przeszkadzała obydwom. Palto zmarłego mokre jeszcze i szorstkie, jakby za nagłym podszeptem, owi-

nęło się wokół kolan młodzieńca. Chłopak ujął zmarłego pod ramiona, ksiądz zaś, trzymając nogi, wyminął ławkę, by po chwili ułożyć na niej ciało. Oddychał z trudem i z opuszczoną głową stał nad zwłokami.

„Ksiądz się nie modli” — powiedział młody człowiek. „Dlaczego i ty mówisz o bezradności mojej?”. „Nie wiem co to bezradność”. „A o czym mówisz?”. „O śmierci, o wielu zgonach dla których ksiądz nie ma nawet modlitwy”. „Tylko dla tej śmierci nie mam słów modlitwy”. „A dla każdej innej?”. Oczy młodzieńca przytłaczały księdza swoją powagą. „Chcesz się spowiadać?” — zapytał. Młodzieniec nie odpowiedział. „Możesz przyjść kiedykolwiek zechcesz”. „Dziękuję księdzu”. „Chcesz tu schować broń?”. „Będzie mi potrzebna”. „Chcesz się ukryć tutaj?”. „Rano pójdę dalej”. Ksiądz wskazał wzrokiem zwłoki. „Gdyby on chciał się ukryć tutaj, mógłby zostać”. „Ksiądz mówił o bezradności” — przypomniał młodzieniec hardo. „On tu przyszedł umrzeć, stąd bezradność moja. Wobec jego ciężkiego życia nie byłem bezradny, bezradny i bezsilny byłem wobec jego śmierci”. Młodzieniec milczał. Ksiądz powiedział: „Ta śmierć uderzyła w istotę mego powołania”. „Ksiądz nie mógł mu poświęcić ani jednego słowa?”. „W tym miejscu, gdzie wyzionął ducha, również bez mojej modlitwy odbył się sąd nad duszą jego”. „Sąd nad umarłymi? Po co?” — krzyknął młodzieniec porywczo. I po chwili: „Proszę o przebaczenie, jeśli bluźnię. Ale sąd nad umarłymi? Dziś nad tym człowiekiem, a jutro nade mną? Dlaczego?”. „Nie tylko nad umarłymi, również nad żywymi”. „Kiedy?”. „W mgnieniu oka sąd się odbywa tam, gdzie drzewo pada”. „Ale nad żywymi! Nad żywymi!”. Głos młodzieńca dygotał i w jego pięknych oczach ksiądz ujrzał coś co go przestraszyło. „Ty nienawidzisz” — powiedział ksiądz. „Nienawidzę”. „Niech ci Bóg odpuści winy twoje”. „Jestem bez winy”. „Jesteś grzeszny”. „Nie, nie zgrrzeszyłem”. „Kto może powiedzieć o sobie, że nie zgrrzeszył?”. Ksiądz złożył ręce do modlitwy, pochylił głowę. Potem powiedział: „Pomóż mi przenieść zwłoki”. Ujęli ciało pod ramiona i za nogi i przenieśli do kruchty, tam ułożyli go na posadzce. Po chwili ksiądz wrócił po kapelusz, był mokry i ciężki. Nie wiedział gdzie go położyć, nieopodal czy bliżej twarzy. Zmarły leżał z rozwartymi szeroko ramionami i ksiądz zapłakawszy gorzko, ciemnym płaczem, powiedział nie wiadomo do kogo — do siebie, do młodzieńca, czy do murów: „Boże, Żyd ukrzyżowany w chrześcijańskiej świątyni, inni na murach, na ulicy, w obozach, w celach więziennych, Boże, Boże”.

Dziewczynka obudziła się, gdy było jeszcze ciemno, padał deszcz, wicher uderzał o szybę i poprzez te głosy dobiegły ją po-

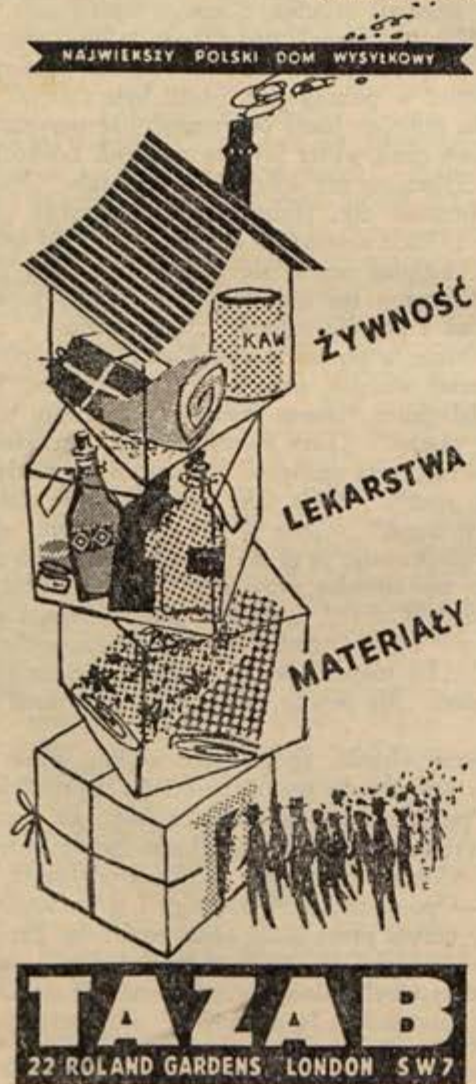
wolne kroki Józefa, przemierzającego swój pokój. Usiadła na łóżku, rodzice spali, widziała ich na tapczanie — ujrzała długie, nagie ramiona matki, odgiętą głowę ojca. Z dławiącym uczuciem lęku pomyślała, że wokół niej, czy w niej, kłębi się nieczyste sumienie. „Nieczyste sumienie jest w sercu” — pomyślała, a raczej przypomniała sobie jedną z opowieści „dziadka Mieczysława”. Była to legenda o tym, co wszystko się mieści w sercu ludzkim: radość, lament, nadzieja, również sumienie. „Zapytam wujka Józefa, gdzie zostawił dziadka, dlaczego wrócił sam, co się stało z dziadkiem Mieczysławem”. Rozważając tę myśl wstała, podeszła do drzwi i uchyliła je. W pokoju dziadka Mieczysława było ciemno. Również w pokoju pani Marii było ciemno.

Weszła do pokoju. Józef przystanął, był przygarbiony i milczał przywalony ciszą, która płynęła zewsząd. Łóżko Mieczysława było puste. „Dlaczego nie śpisz?” — zapytała. „Nie mogę” — jego głos zabrzmiał tak, jakby mówił z ukrycia. „Dlaczego?”. „Nie mogę”. „Gdzie zostawiłeś dziadka?”. „Skąd wiesz?”. Józef uczynił krok, usiłując przesłonić puste łóżko ojca. „Tego ci nie powiem”. „Dlaczego mi nie powiesz?”. „Nie powiem”. Głos mu się załamał i płacząc zapytał: „Skąd wiesz?”. „Słyszeliśmy, jak wychodziliście, a potem wróciłeś sam, dlaczego?”. „Przecież widzisz, przecież widzisz, przecież...”. „Nie płacz. Wpierw wychodzisz z dziadkiem, potem wracasz bez niego, a potem płaczesz”. „Nie płaczę”. „Tata mówił, że ma nieczyste sumienie”. „Nie, ja mam nieczyste sumienie”. „Tata tak powiedział o sobie”. „Odejdź, idź spać”. „Pójdę, ale powiedz gdzie dziadek”. „Nie wiem”. „Ty wiesz”. „Nie wiem. Wiedziałem, ale teraz nie wiem”. „To nieprawda, ja ci nie wierzę”. „Możesz mi wierzyć”. „To dlaczego nie zostałeś przy nim?”. „Chciał być sam”. „Ale wróci, prawda? Wróci?”. „Może”. „Nie pożegnał się nawet ze mną. Dlaczego?”. „Nie trzeba było”. „Dlaczego?”. „Nie rozumiesz tego”. „To nieprawda, ja wszystko rozumiem”. „Może” — szepnął Józef. „Na pewno, zobaczysz, przekonasz się”. „Może, odejdź już”.

Stała jeszcze chwilę, spoglądając w kąt, gdzie stało puste łóżko, potem wróciła do pokoju rodziców i położyła się. Leżała nieruchomo naciągawszy na siebie kołdrę, ale nawet przez tę ciemność, słyszała sączącą się za oknem wodę, porywy wiatru. Nie słyszała oddechu rodziców, ani kroków Józefa, które znów się rozległy — powolne, równomierne. I w samotności, innej od tej, jakiej się uczyła przez długi czas, zapłakała. Zapłakała uświadomiwszy sobie nagle, że noc i wichura i deszcz zagarnęły człowieka do którego była silniej przywiązana niż do ludzi, leżących na pobliskim tapczanie. „Ja go znajdę” — powiedziała do siebie. „Muszę”.

Ubierała się szybko ścigana rzedającym już mrokiem powstającego dnia, potem wyszła na korytarz. W pokoju Józefa było cicho, również z pokoju pani Marii nie dobiegał żaden dźwięk, więc śmiało podeszła do drzwi, wiodących na ulicę, otworzyła je i wyszła w świt, wypełniony mgłą przedranną i drobnymi deszczem, który zdawał się potwierdzać jej postanowienie.

Stanisław WYGODZKI



Area Code 415

Dla Czesława Miłosza

Od dłuższego już czasu dojrzewa we mnie przekonanie, że wszystkie okresy, epizody w życiu ludzkim, istnieją gdzieś nadal, niezależnie, jak przedmioty schowane do szuflady na potem albo nawet na nigdy. Nie jest to z mojej strony myśl czysto mistyczna, ani wiara w rzeczywiste, całkowite powroty, bo jak mówią Amerykanie: „do domu wrócić nie można”. Zresztą wracać nie mamy przeważnie ochoty ani potrzeby. Ale te epizody istnieją, można je odwiedzić, wstąpić w nie bez uszczerbku dla teraźniejszości, przeciwnie, człowiek się cieszy, że jest takie miejsce, gdzie można sobie duchowo usiąść, wybrać się na chwilę. Te miejsca i ci ludzie, którzy kiedyś składali się na naszą ówczesną teraźniejszość wcale nie zaginęli, to my na odwrót oderwaliśmy się i odeszli. Ci ludzie są, nawet umarli także trwają tam w ramach dokonanych już, ale gdzieś obecnych epizodów.

Najlepiej wybrać się w taką podróż nie odrzutowcem, choć i ten jest niezły, bo brak snu i gwałtowne różnice w czasie dodatnio wpływają na naszą wycieczkę powodując zachwianie równowagi. Nie jestem przeciwna samolotom, ale kosztowne to i na taki luksus mało kto sobie może pozwolić. Najlepiej, najtaniej, bo przecież i w tej podróży można okazać zmysł praktyczny, najprzyjemniej jest wybrać się w ten zapadły w czas, odłożony do szuflady okres, przez telefon. Nie potrzeba nawet do tego książki telefonicznej, przeciwnie książka telefoniczna przeszkadza stanowi ponadczasowości, ponieważ szukając właściwych numerów człowiek odrywa się od tego właśnie nad czym powinien się skupić. Najlepiej jest załatwiać te sprawy przez telefonistki. Ich głosy

dochodzące słabo, niepewnie z oddali, jakby z zaświatów, ich prośby o powtórzenie raz jeszcze tych trudnych polskich nazwisk, ich „dziękuję”, szmer, dzwonenie, brzęczenie, towarzyszące szelstowi przewracanych stron, jaki odbywa się gdzieś tam w innym czasie, na innym miejscu, przenosi nas od razu w przedświecie tego, co za chwilę stanie się dosłyszalne. Tu godzina dwunasta, północ, a tam dopiero zwyczajnie dziesiąta. Seans rozpoczyna się za pomocą telefonistki.

Ci po drugiej stronie, ludzie wyrwani z ich własnej, prywatnej teraźniejszości reagują różnie. Niektórzy mówią „dzień dobry” czy „dobry wieczór” jak gdyby nigdy nic. Inni się dziwią: — Jak się masz? — i w głosie ich dźwięczy nutka dezaprobaty, minimalnego oburzenia, że się ich z czegoś wyrывa, od czegoś odrywa, od tych wszystkich skomplikowanych spraw, nam już nie znanych, że im się każe zastanawiać, nadwierać. Są tacy, którzy nie mogą sobie człowieka zaraz przypomnieć, tacy, którzy upewniają się, że to nie żart, a nawet tacy, którzy pytają niegrzecznie po co się dzwoni.

Z ludźmi jest dosyć łatwo, trudniej jest z miejscem geograficznym. Bo oczywiście człowiek sobie stale i zawsze coś wyobraza. Więc o ile jest to miejsce, które zna rzeczywiście, wyobraza je sobie takim mniej więcej jakim było wtedy. Ale o ile jest to jakieś nieznane nam miejsce, wtedy następuje substytucja innego miejsca, jakie kiedyś gdzie znaliśmy, a które kojarzy nam się z daną osobą. Wyobraźnia musi pracować bez przerwy i z tym bywają trudności. Ale nie pora teraz na te rozważania. Całe Stany Zjednoczone podzielone są na rejony i każdy rejon ma swój numer, Area Code. Te trzy tajemnicze cyfry to bilet, symbol podróży telefonicznej. Więc Berkeley ma Area Code 415.

Nie będę ukrywać pierwiastków autobiograficznych niniejszych rozważań i chętnie przyznam, że nie mam tu z wyobraźnią żadnych trudności i że mieszkałam w Berkeley przez lat siedem. Pamiętam niemal wiejską ciszę, która jakimś dziwnym trybem przerodziła się w brzęk tłuczonego szkła, wrzaski i okrzyki, w melodię rozruchów i studenckiej rewolty. Pamiętam stare kobiety kopiące pogodnie w ogródkach i dzieci bawiące się w parku miejskim na Kitteridge, gdzie potem człowiek bał się wejść nawet za dnia „bo to już w murzyńskiej dzielnicy”. W mojej wizycie mogę przyjąć i odrzucić. Wracam więc tam gdzie panowała wiejska cisza i gdzie kobiety kopały w ogródkach.

Dwie następne cyfry, jakie nakręcam ostrożnie, ażeby się nie pomylić w tak ważnej podróży, 52, mnie wtajemniczonoj także coś mówią. Jest to dzielnica willowa, wysoko na wzgórzach z widokiem na Zatokę, położona pięknie obok ogromnego parku na skraju miasta. Mieszkają tam przeważnie profesorowie, ludzie jak

na Amerykę średnio zamożni, właściwie wiążący jedynie koniec z końcem w tym typowo amerykańskim połączeniu luksusu z pewnym nawet ubóstwem, którego Europejczyk z początku nie jest w stanie pojąć. Po południu, kiedy właściciele tych domów wracają ze swoich zajęć na uniwersytecie, zaczynają pracować w ogródkach, na co skarżył się raz przede mną Profesor, Nestor naszych sławistów. — Proszę pani — powiedział wtedy do mnie załapawszy mnie w korytarzu Dwinelle Hall — co to za kraj. O godzinie szóstej po południu nigdzie nie widać człowieka. Wszystko kopie w ogródkach. Słuchając często utyskiwań Profesora, puściłam tę uwagę mimo uszu. Przekonałam się potem, że Profesor miał rację. W ogóle przekonałam się, że w licznych sprawach miał rację, owszem nudził, przesadzał, ale i tak warto było go wysłuchać.

Raz już o Profesorze wspomniałam gdzie indziej, ale muszę jeszcze o nim napomknąć. Nikt nie mógł na tej asystenturce przy jego boku wytrzymać, jak ktoś wysiedział dwa tygodnie stawał się znanym całej Polonii bohaterem. Zawsze podejrzewałam, że Profesor tak właśnie chciał. Żeby móc chodzić tu i tam, skarżyć się, krytykować, szukać nowego asystenta, że mu było dobrze w tym stanie wiecznego zawieszenia i stałych poszukiwań. Ale pod koniec życia los spłatał Profesorowi figla, bo zdarzył się cud. Znalazł się jeden gość, który się u Profesora zadowolił i żadne szyskany nie mogły go całkowicie do Profesora zrazić. I nie był to żaden święty, ani męczennik, ani masochista, ale chłopak żywy, inteligentny, sympatyczny, normalny. Więc dlaczego do końca wytrwał przy Profesorze? Wyczuwam niejasno, że ma to jakiś bliżej w moim umyśle niesprecyzowany związek z faktem, że chłopak ten wychował się w Polsce Ludowej. I teraz w nagrodę za bohaterski wyczyn stoi u niego na kominku zdjęcie Profesora z pieskiem i laseczką.

Profesor też miał dom w tej willowej dzielnicy, zapraszał sobie do salonu hrabiów i skarżył się na termity toczące ściany. Domy stoją rzędami wznoszącymi się stromo, ruch za dnia jest mały, ospała cisza brzęczy w kwitnących przez okragły rok ogródkach. W dole leżą lazury Zatoki i cieniutkie niteczki mostów łączące jej poszczególne części ze sobą. Widok, dom z widokiem, ten bezpański, niczyj w końcu widok to symbol własności, posiadania i dobrobytu. Kupując dom człowiek płaci właściwie za widok na tę obojętną Zatokę i te obojętne mosty. Rano mgła, w południe niebiesko, wieczorem światła. — A czy ten dom ma widok? Ile chcą? — Im wyżej tym drożej, bo lepszy widok. Jedzie się więc coraz wyżej aż w końcu widok jest już tak oszalał, że wie się na pewno, że o zapłaceniu za niego z pensji profesorskiej mowy nie ma. I zjeżdża się znowu w dół ulicami

o nazwach jak Euclid, Marina, Arch, Spruce. Na dole ruch, tłok, pośpiech, hałas. Więc może lepszy jednak ten widok na górze. Bo tam panuje ta jakaś brzęcząca cisza, w której Litwin dosłyszcy może nawet głos z Litwy. Parę razy na górze w parku zdawało mi się, że mnie ktoś woła po imieniu. Nie żartuję, tak było naprawdę. Nie z Litwy całkiem oczywiście, bo skąd do mnie Litwa. Raz się nawet przestraszyłam i biegłam przed siebie jak głupia dłuższy czas aż się dopiero opamiętałam przy karuzeli.



W małżeństwie zawsze jedno uchodzi za chorowite i słabe a drugie jest zdrowe i mocne. W małżeństwie prawie wszystkie przyjęte później opinie o mężu i żonie i o ich wzajemnym stosunku ustalone zostają kiedyś na początku, po ślubie, w tym zaraniu dziejów małżeńskich, którego się później nie pamięta prawie. Potem trudno te poglądy zmienić. Więc żeby nie wiem jak było oczywiste, że zmiana poglądów jest potrzebna, a nawet konieczna, że dana opinia okazała się zupełnie fałszywa, to i tak trudno się do tej nowej zreformowanej opinii przyzwyczaić. I dlatego jeden jest zawsze chory, słaby, delikatny, zapadający na to i owo, a ten drugi, żeby nie wiem co mu było, żeby był konający, jest zasadniczo w oczach znajomych silny i zdrowy.

U Reny i Bohdana tą chorowitą osobą była ona. Siedziała na przeciwko mnie przy biurku pod oknem i opowiadała mi o swoich chorobach. Czasami ciarki mnie przechodziły, takie opowiadała historie, nie tylko o sobie samej, ale i o bliźnich, którzy na czas nie rozpoznali swojego groźnego stanu. Nie wiem skąd się te historie brały, ale miała ich zawsze pod dostatkiem. W okresie egzaminów, kiedy poprawiałyśmy prace studentów, co przeczytała stroniczkę podnosiła wzrok i coś mi opowiadała o chorobach.

Dzieliłyśmy biuro przez dwa lata. Rena była Ukrainką z Przemysłu. Była bardzo ładna, pewnie kiedyś uchodziła za piękność, a i jeszcze dzisiaj ludzie się za nią oglądali na ulicy. Mąż też był bardzo przystojny. Byli dużo starsi od innych asystentów i lektorów, ale ludzie jakoś o tym nie pamiętali, zwłaszcza, że Rena i Bohdan nie mieli dzieci. Zapraszano ich wszędzie tam, gdzie zapraszano innych pracowników, tych dużo młodszych na podobnych stanowiskach.

Rena i Bohdan nie mieli wprawdzie dzieci, ale za to mieli psa wilczura, do którego byli bardzo przywiązani. Opowiadając o chorobach własnych, rzadziej męża, Rena opowiadała lub próbowała mi opowiadać też o dolegliwościach psa. Ale dałam jej energicznie do zrozumienia, że kłopoty i troski związane z psem

nie wzbudzają we mnie współczucia i że nie będę słuchać. Stała między nami cicha umowa, że może mi opowiadać o symptomach i kłopotach swoich i męża, ale nie o psie.

Ile tylko medycyna zna chorób ciężkich, przewlekłych, trudnych do wyleczenia — Rena miała te właśnie podejrzane symptomy. Do lekarzy nie chodziła nigdy, bała się ich jak ognia. Raz przez kilka miesięcy twierdziła, że ma wrzody w żołądku. Kiwała głową. Podnosiła swoje śliczne oczy ku oknu, za którym widniał skrawek niebieskiego nieba i wyliczała symptomy na palcach. Z sąsiedniego biura dochodził monotonny stuk maszyn do pisania. — I piecze mnie i swędzi — mówiła. — I dziwnie jakoś rwie. Może się nawet goi jak swędzi. Jak pani uważa?

Chciałam powiedzieć, że ona już za stara na wrzody w żołądku, ale ugryzłam się oczywiście w język. — Pewnie — przytaknęłam. — O ile swędzi to na pewno się goi.

— Są ludzie — ciągnęła — którzy mają wrzody w żołądku, a potem nagle ich nie mają. Nigdy potem. A są tacy, co całe życie nie mogą się ich pozbyć. Nie wiem. Wszystko jest sądzone. Nie uważa pani?

— Czy ja wiem — powiedziałam. — Może i tak. Ale z drugiej strony nie trzeba się poddawać. Trzeba przemóc fatalizm, walczyć...

— Zaglądam do książki telefonicznej. Pytam znajomych. Lekarzy są tu setki. Jeśli się wliczy Oakland i San Francisco, chyba nawet tysiące. Dużo z nich ma dobrą opinię. Ale tak Bogiem a prawdą oddać się w ich ręce...

— Może przejdzie — powiedziałam. — Dużo takich rzeczy przechodzi.

— Pewnie. Może i przejdzie. O ile to nie jest rak.

Panika rakowa jest specjalnością amerykańską. Wystraszyli nią ludzi do tego stopnia, że cień raka błąka się zawsze i wszędzie. Rak jest wszechobecny. Nabrałam w płuca powietrza.

— Co też pani gada. Nonsens.

— Najlepiej byłoby — zaczęła nagle — mieć dużo pieniędzy i nic nie robić. Nie kłopotać się o głupie awanse, o to czy człowiek lubią koledzy czy nie lubią. Czy się podoba studentom czy nie. Więc nic nie robić. Podróżować sobie. Zimą na Hawaje, latem do Europy. Zresztą wszystko jedno dokąd. Gdzieś tam jechać morzem, lądem, w powietrzu. Siedzieć raz na jednej plaży raz na drugiej. A o tych innych sprawach zapomnieć. Po prostu zapomnieć.

— Naprawdę?

— Co zależy czy naprawdę — westchnęła. — I tak nie jest aktualne. Już tak tu będę siedzieć i uczyć rosyjskiego języka do końca życia. Więc co zależy czy naprawdę.

Jednego dnia plotkowaliśmy o współpracownikach. Bardzo zresztą niewinnie. W bibliotece naszego wydziału pracowali dwie Ukrainki. Zaczęłyśmy mówić o nich. — Widzi pani — powiedziała nagle Rena. — Polacy, Rosjanie są profesorami, są naukowcami, a my co? Dobrze o ile nie zamykamy ulic. Zawsze jakoś na podrzędnych posadkach, stanowiskach. Biblioteka, wielka mi kariera!

Nie wiedziałam co na to odpowiedzieć. Wtedy właśnie wszedł do biura student. Miał trudności z formą „ty” i „wy” w języku rosyjskim. Rena zaczęła mu cierpliwie tłumaczyć. Była bardzo zdolną nauczycielką, była cierpliwa i wyrozumiała. Otworzyłam książkę i zaczęłam czytać. Nagle usłyszałam jak student w ostatecznej rozpaczce pyta ile czasu musi upłynąć zanim człowiek przechodzi z kimś na ty. — To nie musi mieć nic wspólnego z czasem — tłumaczyła Rena — może, ale nie musi. — A kiedy będzie pani z tą panią na ty? — zapytał student wskazując na mnie. Czułam, że mimo woli się uśmiecham. — Nigdy — powiedziała surowo Rena. Kiedy wyszedł zapytałam urażona, czemu powiedziała, że nigdy. Rena się roześmiała — czy ja wiem. Tak mi wpadło. Jako przykład. Absurdalne pytanie. Głupstwo. — Było mi nieprzyjemnie.

Raz Renie puściła się krew z nosa. Leciła i leciała ciurkiem, nie chciała się zatrzymać. Położyła się na trzech krzesłach koło biurka, przyciskała chusteczkę do nosa i ust. Zbiegły się sekretarki, asystentki, lektorki. Wszędzie dokoła było czerwono, rudo, rdzawo od krwi. Potem krew przestała lecieć i kobiety się rozeszły. Zostały tylko dwie Ukrainki z biblioteki. Udałam że czytam, żeby się nie wtrącać do ich narodowego misterium.

Jednego dnia Rena przyszła z płaczem do biura. — Co się stało? — zapytałam. Nie odpowiedziała, szlochała tylko dalej. — Co takiego? — zaniepokoiłam się nie na żarty. Może jej rzeczywiście powiedziano, że ma raka. Okazało się wreszcie, że pies jest chory i że odwiozła go na tę jakąś weterynaryjną klinikę. Byłam zła.

— Pies — zawołałam z oburzeniem. — Młodzi ludzie umierają codziennie, giną w wypadkach samochodowych, niech się pani popatrzy na gazetę. Pies!

Nie przestawała płakać. — Niech się pani cieszy, że pani tam gdzieś w Niemczech bomba nie zabiła. Że tak tu ładnie w Kalifornii. Co tam pies, jak się tak można przejmować psem...

Nie było co z nią gadać. Usiadłam przy biurku.

Zaszlochała parę razy gwałtownie, a potem nagle wybiegła na korytarz. Zrobiło mi się głupio. Przypominałam sobie różne historie, które mi opowiadała, jak ją Niemcy wywieźli na roboty, jak przyjechała do Stanów, jak pracowała jako służąca. Przecież ludzie

bojący się tak panicznie choroby, obawiają się właściwie życia. Wstałam i wybiegłam na korytarz. Napotkana studentka powiedziała mi, że Rena poszła na dół. Pobiegłam więc schodami w dół, wybiegłam z budynku i zaczęłam biec przed siebie dziedzińcem. Zobaczyłam ją w tłumie koło bramy „Sather Gate”. Stała tam rozglądając się dokoła. Kiedy mnie ujrzała zaczęła biec przed siebie jakby przerażona. Biegłam za nią wołając głośno — Rena! Rena! — i roztrącając przechodniów. Ale na rogu Channing i Telegraph straciłam ją z oczu. Może weszła do jakiegoś sklepu. Wróciłam na uniwersytet.

W jakiś czas potem mąż Reny umarł nagle. Rena została całkiem sama. Prawie jej nie widywałam, bo otrzymałam awans i miałam teraz własne biuro. Słyszałam, że codziennie po południu zbierają się u niej w domu Ukraińcy jedzą, piją, śpiewają i dotrzymują jej jak mogą towarzystwa. Ja nie miałam do niej więcej dostępu.



Powracając na te dawne miejsca można się pośrednio połączyć telefonicznie i z ludźmi, którzy już nie żyją. Naturalnie nie podniosą sami słuchawki, ale trwają w tym epizodzie. Nie można ich z niego wykreślić jedynie przez to, że nie żyją. Raz był w Berkeley poeta polski, który już umarł. Przyjechał z Paryża. W moim epizodzie trwa taki jakim go pamiętam. Mówiący z satysfakcją o nieuniknionym bliskim zgonie. Wydający apodyktyczne sądy: — Pani jest Żydówką? Pani jest typową Aryjką. Cała pani mentalność jest aryjska... — I nie wiem czy się mam cieszyć, czy się mam ewentualnie obrazić. Mówi z dużym autorytetem, ponieważ, jak twierdzi, jest prawnukiem cadyka z Kozienicy.

Telefon włącza człowieka w obce życie, targa bezceremonialnie czyimś dniem, czy czyjaś gorzej jeszcze nocą. Nawet kiedy się niechcący nakręci fałszywy numer, kiedy człowiek przeprosi, to i tak tamten po drugiej stronie nie wraca już całkowicie do porządku dziennego lub nocnego, do uprzedniej równowagi. Jeśli ktoś nieznajomy nakręci nasz numer, zastanawiamy się przez chwilę bodaj kto to był, czy się aby jeszcze raz odezwie. A jeśli dzieje się to wśród nocy myślimy, że nakręcił po pijanemu, albo że potrzebuje pomocy i jest zdenerwowany i właśnie dlatego się pomylił, albo że może ktoś tam umiera i ten dureń zamiast nakręcić numer szpitala czy lekarza czy policji, po ciemku nakręcił nasz numer. Telefon to anonim, często nie wiemy kto dzwonił, kto rzucił słuchawkę bez słowa, kto się zaśmiał tylko, albo oddychał.

W taki zamknięty epizod łatwo jest wejść i łatwo go jest znowu opuścić. Należy tylko powiesić słuchawkę. Telefon ma tę

wyższość nad każdym innym środkiem komunikacji czasowej czy pozaczasowej, że do niczego nas nie zobowiązuje. Wiadomo, że słowo na papierze ma większą wagę niż słowo mówione. Wiadomo, że często nie napisalibyśmy tego co mówimy. List to jakieś wyznanie, często chybione, obnażające nas niepotrzebnie. A telefon to chwila przemijająca i nieuchwytna, zapadająca się natychmiast w wieczność, właściwie niesprawdzalna.

Rejon 415 to rejon całkiem różny od reszty amerykańskich rejonów, zamkniętych w innych cyfrach. Ludzie, którzy tam mieszkają nie liczą się z porami roku, bo ich nie znają i w ten sposób pokonali już wiele z doczesności.



Kiedy Zenon przyjechał do Berkeley był o nim duży artykuł na całą pierwszą stronę *Berkeley Gazette*. Oczywiście wiem, że *Berkeley Gazette* to nie żadna poważna gazeta, jak *San Francisco Chronicle* lub *Examiner*. Bądź co bądź jednak gazeta, nawet o ile nie jest nigdzie poza samym Berkeley znana. Wtedy przybiegł do mojego biura niejaki Tomasz, stypendysta z Polski i zawołał już od progu: — Widzi pani tego Zenona! To dopiero spryciarz. On sobie wszędzie poradzi. Ledwo zjechał z jedną walizeczką z Wiednia, już jest o nim w gazetach.

Zenon przybywał określną drogą z Polski Ludowej. Miałam go niebawem poznać. Był wysoki, jasny, przystojny, układny, dobrze ubrany. Widocznie zdążył się już gdzieś tam ubrać. Zapisał się na historię, choć mu odradzano. — Człowieku na co ci historia? — wołał Tomasz. — Zenon zapewniał niezrażony, że właśnie historia go interesuje. Ponieważ miał opinię spryciarza dano mu spokój. Jak on się tak urządza to widocznie wie co robi. — Nie dorośniesz temu Zenonowi do pięt — zapewniał Tomasz kolegów. — Znam go jeszcze z Warszawy.

Rzeczywiście Zenon „dobrze się urządził”, kupił wóz i znalazł sobie dziewczynę. Dziewczyna była ładna i zamożna. Naturalnie, jakże by mogło być inaczej. Tomasz był ciekaw czy Zenon się z nią ożeni. Ale Zenon był małowówny w tej materii. Jeździł z nią do Lake Tahoe, do Carmel, bywał u jej rodziców. Sam żył z małego stypendium i dorywczych zajęć, które nazywał kontraktowymi. — Mam zlecenie kontraktowe — mówił i uśmiechał się do rozmówcy.

Po roku Zenon dalej chodził na historię i dalej chodził z tą samą dziewczyną. Irytowało to niezmiernie Tomasza, który chciał widzieć wreszcie owoce niesłychanego sprytu Zenona, o którym mnie jeszcze ciągle zapewniał, ale już z mniejszą swadą. Po jakimś czasie wóz się zepsuł, a ponieważ Zenon nie miał pieniędzy na

naprawę, więc chodził pieszo i jeździł autobusem. Dziewczyna w ogóle się gdzieś zawieruszyła.

Zenon zaczął pracować u mnie, pomagając mi w nauce polskiego. Współpraca szła gładko, bo Zenon był uczynny, greczny, zgodliwy. W tym czasie poznałam go bliżej i przestałam patrzeć na niego oczyma kolegi Tomasza. Zauważyłam, że najbardziej rzucającą się w oczy cechą charakteru Zenona było jakieś rozmarzone lenistwo, podniesione do wyższego rzędu filozofii życiowej. Jego spryt polegał głównie na tym, że był flegmatyczny i nie przepracowywał się. Wykonywał powierzone mu zadania sprawnie i poprawnie, ale nie było w nim żadnego więcej. Streszczał się cały w popularnych powiedzonkach warszawskiej ulicy i życia pod socjalizmem, tych wszystkich „czy się stoi czy się leży, tysiąc złotych się należy”, „aby do wiosny”, „jakoś to będzie”.

Zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Zenon widział we mnie osobę „pochodzenia żydowskiego”, tego typowego Polaka-Zyda, któremu się ciągle dokądś spieszy, który się kręci, biegnie, zdąża. Ja widziałam w nim tego „prawdziwego Polaka”, któremu się nigdzie nie spieszy, który jakoś żyje nie dlatego, ale mimo i który wybierał tę lepszą część. Przypominał mi bohaterów Żeromskiego. Chodziliśmy razem po Berkeley, przystawaliśmy na rogach ulic, patrzyliśmy jak się buduje nowe kamienice. Zenon pracował kiedyś w Warszawie na budowie, coś się na tym znał i lubił stać i przyglądać się jak pracują. Przyglądałam się z nim razem bezmyślnie, bez zainteresowania. On patrzył jak budują, ja patrzyłam w błękitne niebo. Gapiliśmy się tak nieraz i całą godzinę. Było nam ze sobą dobrze, dopełnialiśmy się wzajemnie. Może właśnie z powodu stopnia naszej zażyłości nie zauważyłam od razu, że stopniowo zachodzi w Zenonie zmiana. Nie ubierał się już tak elegancko jak z początku. Przestał chyba chodzić na wykłady, bo nic o nich nie wspominał. Nasze rozmowy toczyły się teraz głównie na tematy oderwane. Potem posada u mnie się skończyła, zabrakło jak zwykle funduszy, i jakoś powoli, nie wiem z czyjej winy, drogi nasze się rozeszły.

Widywałam Zenona później jak przemykał się chyłkiem pod ścianami kamienic albo bocznymi alejkami kampusu. Nosił teraz bluzy, swetry, kraciaste koszule. Włosy mu urosły i spadały niemal na ramiona. Nie wiem z czego żył. Kiedy wypadało nam się czasem zetknąć oko w oko, czego wyraźnie unikał, uśmiechał się wstydliwie jakby się usprawiedliwiał. Uśmiechał się jakby mnie chciał przeprosić za to, że mylnie mnie poinformowano o jego fantastycznym sprycie, że jakoś „nie wyszło”. Albo za to, że to co tam w Polsce uchodziło za spryt, może naprawdę coś człowiekowi przynosiło, tu na nic nikomu się nie zdało. Albo w ogóle chciał mnie przeprosić za to, że kiedyś zabierał mi czas ciągnąc mnie

na spacerki po Berkeley, kiedy ja mogłam z tym czasem robić coś bardziej pożytecznego. Mogłam go wykorzystać, wypełniać, spędzać, organizować, podczas gdy on go zabijał, tracił i dawał mu uciekać. A mnie żal było naszych rozmów i spacerów, ale nie zbliżyliśmy się więcej do siebie. Przeciwnie, oddalaliśmy się od siebie codziennie. Było to smutne, lecz nieodwołalne i nieuniknione. Nie zatrzymywaliśmy się nawet więcej na krótką pogawędkę. Przyznam ze wstydem, że nawet nie wiem co się z nim właściwie w końcu stało.

Ale niedobrze napisałam poprzednio, że telefon jest anonimowy i jeszcze gorzej się wyraziłam używając słowa „niesprawdzalny”. Jest może anonimowy subiektywnie, ale obiektywnie jest jak najbardziej uporządkowany, rejestruje jak było bez zastrzeżeń. I tu ma tę wyższość nad listem, że nikogo się nie widzi, nie ma żadnego listonosza, znaczka, przepastnej skrzynki pocztowej, nic tylko te głosy i maszyny, a tam gdzieś jest niechybnie i niezaprzeczalnie zarejestrowane, jaki numer nakręciliśmy. Ta kronika, która na ogół nas nie dotyczy, której nikt odczytać nie potrafi poza Dyrekcją Telefonów jest jak najbardziej godna zaufania. Niedawno w słynnym skandalu dokoła senatora Kennedy unaoczniono się to znowu. Bo na przesłuchaniu, jakie ma się jeszcze odbyć, będą tacy i owacy świadkowie, a jednym z nich będzie urzędnik Dyrekcji Telefonów i przyniesie swoje księgi i tam będą numery, jakie Kennedy nakręcił po wypadku. Ten milczący świadek będzie absolutnie wiarygodny, nieprzekupny, obiektywny i uczciwy do znużenia. Wyjdą na jaw te wszystkie tajemnicze cyfry, na ogół bez znaczenia, ale cały świat się wtedy dowie do kogo Kennedy dzwonił. To będzie jedyna rzecz, która naprawdę była i odbyła się. Od tych numerów nie będzie odwołania, nic ich osiągnąć nie może, żaden adwokat, żadna wyższa instancja. Na zawsze zamknięta jest w nich wiedza do kogo człowiek dzwoni, od kogo oczekuje pociechy czy pomocy.

W numerze, jaki nakręcam jest jeszcze trzynastka i są dwie dziewiątki. Te dalsze cyfry są normalnie bez znaczenia, nie mówią nic o tym gdzie kto mieszka i jak żyje, można je uznać za przypadkowe. Wszyscy niemal ludzie chcą i muszą mieć numer telefonu, i nie wiadomo wprost skąd wziąć tyle kombinacji. Dziewiątki jednak są podobno szczęśliwe a o trzynastce różnie mówią. Więc jeśli się zabawiać w jakąś kabałę, można to tak wyłożyć, że właściciel tego numeru ma szczęście w nieszczęściu. Naprzód idzie trzynastka, ów nieszczęśliwy splot wypadków i okoliczności, który pozbawił go tego co posiadał czy mógłby posiadać. Odrzucam stanowczo słowo „należy się”, bo kto tam wie co się komu

należy, może nawet nie się nikomu nie należy. Ale los, epoka, czasy, okoliczności pozbawiły go tego co miał i mógłby mieć. Stąd trzynastka. A potem jednak te dziewiątki, bo los jakoś tam zasztukował, podreperował ładną dzielnicą, widokiem na Zatokę. Ale to już tylko zabawa.

Raz byliśmy z przyjaciółką w Domu Polskim w San Francisco. Przyjaciółka, Polka, była zawodową bibliotekarką, wysoko kwalifikowaną, na kierowniczym stanowisku. Przyjaciółka powiedziała do jednego staruszka, który się po tym domu kręcił: — A co tam macie na strychu? — Nikomu tam nie wolno wchodzić — odpowiedział staruszek. — A może tam są jakieś pamiątki po Sienkiewiczu — pytała przyjaciółka. Staruszek wzruszył ramionami. — A jak to jest uporządkowane? — badała przyjaciółka. — Uporządkowane? — zdziwił się staruszek. — To jest w skrzyniach, w pudłach. Ale nikomu nie wolno tam wchodzić. Bo coś może zginąć. — Pewnie myszy to już zjadły — powiedziała ze złością przyjaciółka i odeszła od staruszka. A on usiadł sobie pod oknem i zadrzemał. Roilo mi się, że był weteranem powstania 63-go roku. Oczywiście wiedziałam, że było to niemożliwe, że był za młody, ale tak mi się roilo. Kiedy byłam małą dziewczynką, w Kielcach był weteran tego powstania. Pokazano mi go raz w parku. Potem ktoś powiedział wgardliwie, że miał w powstaniu dziesięć lat i był doboszem. Wyobraziłam sobie jak tam na strychu, gdzie nikomu nie wolno wchodzić, butwieją pamiątki po Sienkiewiczu, papiery namakają, myszy gonią się po drogocennych zabytkach. I że staruszek nie pozwoli nikomu tam wejść i oczywiście zaraz przypomniał mi się Reytan i wszystkie inne przykłady z narodowego arsenału, od początku do końca, aż po tego właśnie kieleckiego weterana. Ale potem ktoś mnie uspokoił i powiedział, że nic tam na pewno nie ma, bo jak przyjeżdżają uczeni z Polski, to oni mają swoje sposoby i wszędzie wchodzi. I ciągle, jak ten ktoś się wyraził, jeżdżą szlakiem Sienkiewicza.

Chwila kiedy tam, gdzieś po drugiej stronie, poza krawędzią czasu dzwoni telefon jest najbardziej fascynująca. Czasem dzwoni długo, przeciągle, jakby ten po drugiej stronie instynktownie się bronił przed najściem. A czasem dzwoni tylko raz czy dwa, a tamten już zdecydowanie a nawet lekkomyślnie podnosi słuchawkę. Ta chwila, kiedy nieproszeni wkraczamy bez pardonu w cudzą teraźniejszość i własną przeszłość, uprzątamia nam jak wszystko

gdzieś tam mieści się beładnie obok siebie, przeplata się, krzyżuje, trwa i przemija.

Każdemu się już pewnie zdarzyło, że przechodził koło pustej budki telefonicznej, w środku dzwonił telefon i miało się ochotę podnieść słuchawkę. Mnie się to zdarzyło niezliczoną ilość razy, ale nigdy nie uległam pokusie i słuchawki nie podniosłam. Bo przecież nie miaoby to sensu, nikt się w ten sposób do mnie nie zwraca. Ale przeciągły dźwięk, dzwonienie w pustej budce telefonicznej zaliczam do najbardziej tajemniczych zjawisk codzienności. Ktoś tam nie odkłada słuchawki i jest to dziwne, niepokojące, nawet o ile jest to jedynie fajtapa albo pijak, który poplątał numer.



Ellen i Bob byli bardzo gościnni, ciągle się u nich odbywały przyjęcia, ludzie bywali u nich na kolacji, na obiedzie, nawet na śniadaniu. Trochę było tak, bo tak lubili żyć, a trochę ze względu na to, że cenili sobie sukcesy towarzyskie. Bob był adwokatem rodem z Midwestu. Ellen urodzona w Rosji Sowieckiej, przyjechała jako dziecko naprzód do Kanady, a potem do Stanów. Z atmosfery ich domu, z ich zachowania parowało wprost żydostwo, z którego byli niesłychanie dumni.

Ellen była naprzód moją studentką, a potem koleżanką na wydziale. Byli zamożni, mieszkali w domu na wzgórzu i chętnie wydawali pieniądze. Bob był niby pobożny, ale ponieważ w religii żydowskiej trudno być pobożnym nie będąc uczonym w Piśmie, a Amerykanie z tą nauką mają trudności, więc nie wiele potrafił się modlić. Do Gminy, czyli jak się w Stanach mówi, do Synagogi nie należeli, bo było im za drogo. Synagogi obliczają opłaty według zarobków i Bob musiałby za członkostwo dosyć dużo zapłacić. Dziwiło mnie zawsze, że ludzie obnoszący się tak swoim żydostwem i wydający łatwo pieniądze na Bóg wie co, nie chcą łożyć na Synagogę. Ale kto tam coś wie o ludziach.

Ellen zapraszała mnie często na przyjęcia. Raz mi powiedziała, że zaprasza także znajomych na święta żydowskie, ale, jak się wyraziła, tylko praktykujących Żydów. Roześmiałam się. — Czego się śmiesz? — zawołała Ellen. — Nie wiem — wykrztusiłam. — Bo mnie to śmieszy. — Ellen była zła. — Co cię tak śmieszy? — nalegała. — Jak Żyd się nie modli i nie utrzymuje świąt, to nie praktykuje. No nie? Więc z czego się śmiesz?

Kiwałam głową. — Bo ty jakoś tak powiedziałaś. Zresztą kobiety u Żydów nie praktykują.

— Jak to nie praktykują? A świece? A koszerne jedzenie?

— Ellen — odpowiedziałam — nie będę się wdawać w dysputy teologiczne. Śmiesz mnie niewymownie, że uważasz się za

pobożną. Śmiesz mnie instynktownie jako wnuczkę rabinów może... Co ty tam praktykujesz? Nawet szynkę jesz. Dla pobożnego Żyda, dla takiego, który jest naprawdę pobożny nic to nie warte. On tak samo u ciebie nie zje jak u mnie. Oczywiście ja wiem, że Żydzi od dawna tak połowicznie utrzymują, ale na co się tym chwalić. Ty jesteś Żydówką, ja jestem Żydówką i obydwie nie praktykujemy — jeśli ci się to słowo podoba i tyle.

Nie odzywała się do mnie dwa tygodnie, ale potem, jak to zwykle bywa, przeprosiła się. Na wiosnę powiedziała mi, że urządziła na Wielkanoc seder i jak się mnie na złość znowu wyraziła, zaprosiła na niego tylko praktykujących Żydów. Oczywiście seder odprawiał jej ojciec, bo Bob by i tak nie wiedział co z tym fantem zrobić. Jeden gość strasznie miał ochotę przyjść, ale ona mu powiedziała, że nic z tego nie będzie, bo on nie jest właściwie Żydem.

— Co ty mu wmawiasz, że nie jest Żydem — zawołałam. — Żydem nie można przestać być. Można grzeszyć, można się nawet wychrzcić, wtedy się jest wyklętym, jest się odszczepieńcem, zaprzańcem, jak tam sobie chcesz, ale nie można przestać być Żydem. Dlatego ten cały proces Rufeisena w Izraelu był taki paradoksalny. Choć on katolik i zakonnik, jednak jest Żydem. A że mu nie dali obywatelstwa, to są machinacje państwowo-polityczne. Więc coś ty, papieżem chcesz zostać!

Szłyśmy ulicą. Było ciepło, Ellen zdjęła zakiet. Pewnie się znowu obrazi na parę tygodni. Zapadło milczenie. Nasze obcasy stuknęły miarowo o bruk. — Chodźmy do mnie do domu — powiedziała nagle niespodziewanie Ellen. Chodźmy, znaczyło naturalnie: pojedźmy. Zgodziłam się.

W domu Ellen było jasno, cicho i pogodnie. Bob był w biurze, córeczka była w przedszkolu. Wyciągnęłam się na kanapie.

— Chcesz wina? — spytała Ellen.

— Nie. Zrób kawę. Strasznie mi się chce spać.

Ellen poszła do kuchni i za chwilę wróciła. — Nie mam kawy — powiedziała. — Nie wiem jak się to stało, ale nie ma. Napijemy się wina.

Ziewnęłam. — Wiesz — powiedziałam — na dole jest sklep. Jak na amerykańskie odległości nie tak znowu daleko. Tak? Więc wsiądź z powrotem do samochodu i przywieź kawę. Zaczekam, nie potrwa długo.

Ellen otworzyła usta ze zdumienia. — Posyłasz mnie po kawę? Naprawdę? Może się przesłyszałam. Nikogo innego byś nie posłała. Powiedziałaśbyś grzecznie: ależ nic nie szkodzi, chętnie się napiję wina. Albo w ogóle nic, niech się pani nie trudi. Więc dlaczego mnie posyłasz po kawę?

Usiadłam na kanapie. — Otóż właśnie dlatego — powiedzia-

łam. — Bo ja też jestem Żydówką. I choć rzeczywiście nie praktykuję za grosz, to jednak jestem nieodwołalnie Żydówką. Czy się to komuś podoba czy nie. I tyle tego akurat jest. Że ja tobie mogę coś więcej powiedzieć, trochę jak w rodzinie, gdzie w końcu wszystkie te więzy krwi też nie są takie jasne. A więcej nic w tej wspólnotcie nie ma. Ani religia, od której oderwałyśmy się, ani narodowość nas nie łączy i nikt z nas nie zamieszka w Izraelu. Więc jest to więź mistyczna. W praktyce to tak wygląda, że ja się chcę napić kawy i że ci to otwarcie mówię...

Nic nie odpowiedziała. Wzięła ze stołu torebkę i wydobyła klucze od wozu. Położyłam się z powrotem na kanapie. Zasypiałam kiedy na dole trzasnęły drzwi wejściowe, a potem słyszałam w półśnie jak wyprowadzała wóz z garażu i jak na żwirze alei zazgrzytały gwałtownie opony.



Więc Area Code 415 to równocześnie cisza i rozruchy i widok ze wzgórz i widok na wzgórza i mosty nad Zatoką i profesorowie i studenci. I park na górze i park na dole, gdzie jest kurz i śmiecie i dżganie nożami. I mini-spódniczki i Telegraph Avenue i motocykle i gitary. I stypendyści z Polski wybierający się szlakiem Sienkiewicza, uzbrojeni w dokładne informacje o Kalifornii i w ogóle o Stanach, upewniający się przed wyjazdem w teren, że w winnicach Christian Brothers i Kruga rzeczywiście można za darmo wypić wina ile się chce. I ludzie żywi i ludzie umarli i sklepy, które zlikwidowano jak Wallace and Wallace, gdzie potem był bank. I butwiejące papiery w Domu Polskim w San Francisco i *topless* tancerki na North Beach, które kiedyś wzbudzały sensację, a na które teraz nikt się już nie ogląda. I szpitale i kościoły, szkoły i supermarket. Całe to trwanie i przemijanie można osiągnąć tanim i prostym sposobem przez nakreślenie kilku cyfr.

Jadwiga MAURER

Wiersze

Arnold SŁUCKI

DO CIENI

Piasku nagrobny, surmy nad moją mogiłą,
trochę kości w centki — słońca skręcone.
Prześwietl je, technikę poznaj, skazę zawilg
śmierci, rośnięcia!

Toć to wy mnie w obronę
weźmiecie, o cienie, zapominalscy natury
z kompleksem przedmiotowości zachwianej, niczyjej.
Jeszcze substancja niepewna na obraz swój
wtedy

w rozkładzie czeka, ona me życie przeżyje.
Ostatnia prośbo, pomyśl po mnie, nie zapłac,
przed ścianą ostatnią niech się ustawią Cyprydy,
klasycznie musi być w śmierci i pusto,
obrzydły

mi eksperymenty!

Artysta i kapłan
tą samą krwią śmierzdzą w przerwach
bydlęcą i ptasią,
a ja chcę trwać biały w świetle, niby mój topór,
który mnie zabił.

Kariat Ono, październik 1969.

Z BUSZU

Deportacja Pigmejów śniła mi się, ze wszystkich stolic
zebrano ich, sprawdzono i zaopatrzone
w zastępcze
metryki urodzenia, zgonu, reanimacji,
pogodzeni weszli na okręty i do zmniejszonych
helikopterów (dla tych, co cierpieli na wodowstręt)
i tak dotarli do buszów, gdzie ich witano
pieśniami przeproszającymi słońce za zabójstwo
słoni, było w tym contradiction in adiecto
moralne i sprzeczność fizyczna, co z miejsca
zauważył długo nie świadomy pigmejstwa
prawnik z Brooklynu, trąciwszy łokciem
małego przywódcę murzynów, przy którym
siedział i po hebrajsku zapisywał słowa
pigmejskie — rabin, obok sędziego sądu najwyższego
ze wschodniego kraju przeproszam cię słońcu
śpiewał w głos i policzki miał wzdęte jak chłopiec
przekarmiony, a za nim mały anioł — aforysta
skrzydełkami machał, najmniejszy anioł z nieba
tu stracony i który nie widział
nigdy słońca na obrazku, więc on też śpiewał,
dziwiąc się, a potem wydobyto z buszu
połcie mięsa jeszcze mokre, wielkie, różowe,
zaintonowano melodię, co brzmiała jak Te Deum
pigmejskie — płacz słyszałem i niedojrzałe mlaskanie.

Kiron, 6 października 1969

A Z J A

Księgę obcej, przywiataj tu ziemi
czytaj, piaski studiuj, skoroś piasek
sam i milczenie, jak mierzą niemi —
mierz, cały kraj wokół
jutro grobem być może tak długo,
jak kwiaty i zioła, co w pergaminach
tu gnily w mroku, zbijając się w fajki
z warstw wielu i znaczeń
ściśniętych, w tych księgach
promień zakładkę, co był dziurytem

ognia ciemnego, kiedy go dziki
wzrok czyścił, na czatach
trawy w pustce stały i nikim
było krew i sumienie, mięso i szpik,
mord był śpiewem i prawie rajske
ścierwo i ziemia, i skały bez znaku,
nim odszedł bezkarnie ten, który zabił —
blizna na jego czole, jak korzeń
splątany w głazie, w którym głos Tablic
nie ostrzega, ni łamie się w gniewie na frazy,
tu słowo przed rylcem, krzyk przed zdumieniem
i krew nie woła zza dekalogu.

MODUS

Ziemia nie ziemia, naród nie naród,
tu mi wypadło imiona rzeczom
znów sprawdzać i te, co tak sobie złorzeczą
zderzyć, ażeby w nich światło jak zaród
bytu wzeszło. Już kępę trawy
czuję, jak między dwie skały na krótko
wchodzi i cała przez chwilę
jest zieleni.

Jaszczurka punktem jej oka, więc tyle
widzę przez nią, ile się podzielę —
nie zbiorę, we wrzosach trwa wieczne exodus
i z Ur nadlatuje co poczwarne, zawile
za protoplastą, który sam pastorałem
swym w czasie, niczym miara woli i modus
istnienia, więc o imię dla sądzenia woła,
a ono domysłem wciąż wraca, chorałem
pustki pośród liter szczęściu i echem,
ażeby proch ćwiczyć promieniem, głaz — śmiechem.

Arnold SŁUCKI

Kiron, 14 września 1969

Obserwatorium

Włoski Manifest Komunistyczny

Wydana niedawno książeczka doskonałego dziennikarza włoskiego Enzo Bettiza nosi tytuł *Quale PCI?* — „Jaka włoska partia komunistyczna? Albo, powtarzając za Leninem: co robić? Nie do nas oczywiście należy odpowiedź. Możemy tylko oczekiwać że da ją nam w końcu bezpośredni zainteresowany, lub pogodzić się z myślą, że nie da jej nam nigdy”.

Na pierwszy rzut oka pytanie „co robić?” brzmi absurdalnie w odniesieniu do partii, która w ostatnich wyborach zdobyła osiem milionów sześćset tysięcy głosów, posiada w obu izbach parlamentu dwustu pięćdziesięciu deputowanych i senatorów, zapisuje z dumą na swoje konto sześćdziesiąt osiem milionów godzin strajku w samym ubiegłym roku. Ale słabością jest właśnie ta ogromna potęga, bezużyteczna dopóki olbrzym przebywa w swoistej kwarantannie politycznej, w permanentnej opozycji, bez szansy legalnego dojścia do władzy o własnych siłach. Dylemat „co robić?” stanął już właściwie przed komunistami włoskimi nazajutrz po wojnie, gdy pozwolili się wymanewrować z rządu koalicyjnego, a równocześnie z każdym dniem bardziej tracili wiarę w samodzielną bądź importowaną na bratnich czołgach rewolucję. Do śmierci Stalina można było jeszcze od biedy żyć w groźnym cieniu Wielkiego Brata, szerząc Dobrą Nowinę o rychłym Przyjściu. Dwudziesty Zjazd pogmatwał tę mitologię. W głośnej wypowiedzi na łamach *Nuovi Argomenti* Togliatti musiał chcąc nie chcąc wykrztusić, że stalinizm jest czymś więcej niż łatwo usuwalnym i nie złośliwym nowotworem „kultu jednostki”, stawia w jakiś sposób pod znakiem zapytania system. Co oznaczało w praktyce, że stawiał również pod znakiem zapytania całą dotychczasową politykę PCI. Odtąd zaczęła się proliferacja formułek, zmierzających do podkreślenia autonomii i dystansu od Moskwy: „włoska droga do socjalizmu”, „parlamentarna droga do socjalizmu”, „poliцентризм”, „jedność w różnorodności”. Nie wiele pomogła w zasadniczej sprawie: nie zapobiegła rozwodowi

z socjalistami, który przypieczętował izolację komunistów. Nawet przedśmiertny *Memoriał Jaltański* Togliattiego, ujawniony przez Longo mimo protestów Breżniewa, nie odegrał spodziewanej roli zwrotnicy przy próbie wjazdu na tor „kredytu demokratycznego”. Istotny problem pozostał nierozwiązany. Co robić z etykietą „sowieckiej partii we Włoszech”? Jak przełamać psychologię klauzury, która wyjąławia niezależnie od sukcesów wyborczych i strajkowych?

Po śmierci Togliattiego w partii zarysowały się dość wyraźnie, prócz rządzącego centrum Longo i później jego „delfina” Berlinguera, dwa skrzydła: prawe Amendoli i lewe Ingrao. Przymiotniki „prawy” „lewy” nie miały większego sensu, służyły po prostu do oznaczenia odmiennych wariantów wyjścia z odosobnienia: poprzez swego rodzaju jednolitofrontową socjaldemokratyzację partii (za zgodą ZSSR) w wypadku Amendoli; poprzez nawiązanie dialogu z katolikami (przy pogłębieniu krytycznego stosunku do ZSSR) w wypadku Ingrao. Tegoroczny kongres boloński odbywał się po inwazji Czechosłowacji, w atmosferze kontestacji studenckiej i anarchosyndykalistycznej o zabarwieniu mniej czy więcej chińskim. Wpłynęło to na zaostrzenie kontrastów i na znaczne uściślenie obu skrajów obrazu. Amendola stwardniał na prawicy, Ingrao zbliżył się do centrum, zwalniając na lewo od siebie miejsce dla grupy Nowej Lewicy. Wkrótce potem socjaliści ostatecznie upadli na głowę i rozłamali się znów na dwie partie, co także ma swoją wagę w ocenie sytuacji w PCI. Dzisiaj wygląda ona tak, że wiadomo z kim rzecz na antypodach amendolańskiej prawicy i Nowej Lewicy, a całą resztę pomiędzy trzeba uznać za teren bezustannych przyptyków i odpływów wokół starego *centro togliattiano*. Ważne jednak są te antypody. Wielu obserwatorów, m.in. Bettiza, widzi w nich narodziny „dwóch dusz” względnie monolitycznego dotąd komunizmu włoskiego.

Na prawym zatem biegunie Amendola, przedstawiciel konserwatywnego aparatu i otwartego filozofizmu, zwolennik udziału komunistów w rządach, rzecznik bagatelizowania inwazji Czechosłowacji jako przykrego co prawda lecz w ogólnym rachunku niezbyt ważnego „błędu”, gwałtowny przeciwnik niekontrolowanych kontestacji młodzieżowych i fermentów syndykalistycznych. „Platforma” polityczna jest z grubsza taka: blok lewicy pod egidą komunistów (w rządzie) na wewnątrz, bezwarunkowa lojalność wobec ZSSR na zewnątrz. Jak to pogodzić? Przesłanki, nie zawsze wypowiedziane na głos, są przypuszczalnie takie: globalny dialog amerykańsko-sowiecki usunie w końcu obciążenie „sowieckiej partii we Włoszech”, wzmacniając raczej jej pozycję kontrahenta w stosunku wprost proporcjonalnym do posiadane-go zaufania i poparcia Moskwy; wykruzanie się socjalistów w *area di governo* (obszarze rządowym) wytworzy próżnię, w którą wejść będą mogli tylko komuniści jako reprezentanci znakomitej większości proletariatu przemysłowego; lęk społeczeństwa przed kontestacyjną i syndykalistyczną anarchią da komunistom, jeśli się od niej zdecydowanie odetną, sposobność do wystąpienia

w charakterze „partii porządku”; musi to być partia wierna dalej żelaznej zasadzie „centralizmu demokratycznego”, odporna na wszelkie „nowinki” ugrupowań frakcyjnych czy opozycji wewnętrznej.

Nowa Lewica, która jest głównym przedmiotem niniejszej noty i niespodzianą „drugą duszą” komunizmu włoskiego, wyłoniła się na zjeździe bolońskim. Powołali ją do życia znani działacze partyjni Rossana Rossanda, Aldo Natoli, Luigi Pintor, Massimo Caprara i Lucio Magri. W kilka miesięcy po zjeździe grupa założyła miesięcznik *Il Manifesto*. Pięćdziesiąt tysięcy sprzedanych egzemplarzy każdego z czterech wydanych dotychczas numerów, przy dość wysokiej cenie pisma: cyfra na Włochy, i chyba nie tylko na Włochy, zawrotna. Tygodnik partyjny *Rinascita* przystąpił z miejsca do obstrzału. Dysydentów oskarżono o „frakcjonizm”, „dewiacjonizm” i „awanturnictwo polityczne”, ich propozycję stworzenia „lewicowej alternatywy rewolucyjnej w obozie socjalistycznym” uznano za „niedopuszczalny atak na partię”, za popychanie jej na drogę która „musiałaby doprowadzić do zerwania z ZSSR, do wyobcowania komunistów włoskich ze wspólnoty krajów socjalistycznych i z całego międzynarodowego ruchu komunistycznego”. Ten język zapowiadał ultimatum: subordynacja albo precz z partii. W samej rzeczy akt oskarżenia przeniesiono niebawem z trybuny prasowej *Rinascita* na dyscyplinarną wokandę Piątej Komisji KC. Proces trwał dwa tygodnie, podsądni odmówili kapitulacji i zawieszenia miesięcznika, w drugiej połowie października zapadł wyrok odraczający sprawę do grudnia. Odroczył ją zaś w ten sposób, że chwilowo poprzestano na „surowej naganie”, która ma być wstępem do zasięgnięcia opinii „bazy”. Znaczy to, praktycznie rzecz biorąc, że do terenowych organizacji partyjnych wyruszą setki pomniejszych prokuratorów, aby sprowokować deszcz „masowych rezolucji potępiających”. Nawet jeśli ta operacja się uda (a rutyna aparatu daje sporą gwarancję że się uda), nie zanosi się na *mea culpa* Nowej Lewicy i redaktorów *Il Manifesto*. Areopag partyjny stanie więc ponownie wobec odsuniętej tylko w czasie alternatywy: wyrzucić, narażając się na wszystkie związane z tym konsekwencje; albo też połączony z grymasem obrzydzenia żabę, ratyfikować tym samym powstanie frakcji opozycyjnej.

„Platforma” Nowej Lewicy i *Il Manifesto* jest dokładnym przeciwieństwem *Realpolitik* Amendoli. Otwarte zerwanie z ZSSR. Uznanie inwazji Czechosłowacji nie za „błąd” czy „incydent drogowy”, lecz za definitywny dowód reakcyjnej degeneracji systemu. Zamiast marszu w kierunku zagrodzonego „obszaru rządowego” kurs zorientowany na branie w żagle wiatrów kontestacyjnych i anarchosyndykalistycznych, polityka „rewolucji kulturalnej” i „partii nowego typu” która podmyje i wydrąży starą strukturę państwa. Zamiast leninizmu „elity rewolucyjnej”, który nieuchronnie prowadzi do ekskluzywnego „centralizmu demokratycznego” i zamkniętej selekcji kadr, pierwotny leninizm zgromadzeń i sowietów. Warto tytułem przykładu przytoczyć fragment artykułu

wstępnego *Praga è sola — Praga jest sama* — w czwartym numerze *Il Manifesto*: „Pierwszym punktem (prawdziwego internationalizmu) jest zajęcie jasnego stanowiska w obliczu decyzji politycznych grup rządzących w ZSSR i innych europejskich krajach socjalistycznych. Nie można dłużej liczyć na to, że się z własnej inicjatywy poprawią; należy stawiać na ich klęskę, na ich zastąpienie z inicjatywy i za sprawą nowego bloku sił społecznych pod wodzą klasy robotniczej... Ostrożne uwarunkowania z zewnątrz, ogólnikowe krytyki cofające się przed jednoznacznym wskazaniem celów i odpowiedzialności, nie są już obecnie niczym innym jak wycinkami „realizmu” podobnego coraz bardziej do zmojy, która podżyrowuje fakty dokonane i w zarodku paraliżuje wszelką dynamikę opozycyjną”. Kropki nad i stawia Lucio Magri w rozmowie z wystannikiem tygodnika *L'Espresso*: „To właśnie wzbudza największe rozdrażnienie na Botteghe Oscure (siedziba centralnych władz PCI), nasz postulat polityki zmierzającej do obalenia sowieckiej grupy kierowniczej. Pewnie, nie mało jest wśród przywódców PCI ludzi którzy zgadzają się z nami, podobnie jak my uważają przywódców sowieckich za szajkę bandytów. Ale dyplomacja ma swoje prawa. Nie mówiąc o szoku jakiego wymaga oswojenie się z myślą, że może istnieć antysowieckość z lewicy a nie z pozycji socjaldemokratycznych”.

Jeśli wierzyć dobrze poinformowanym, w razie wyrzucenia z partii redaktorzy *Il Manifesto* przekształcą swoje pismo na trójjęzyczny miesięcznik, otwarty dla pokrewnych dysydencji poza granicami Włoch. Kto wie czy nie rozlegnie się wówczas parafraza okrzyku z pramanifestu komunistycznego: „Widmo straszy w Europie — widmo antysowieckiego komunizmu”.

RZYMIANIN

1 listopada 1969

Nota o *Il Manifesto*, napisana 1 listopada ub.r., nie mogła się ukazać w grudniowej *Kulturze* z powodu nawału materiału. Nie ma potrzeby wprowadzać do niej żadnych zmian czy poprawek, jeśli chodzi o profil miesięcznika komunistycznego na tle włoskiego życia politycznego. Natomiast ciąg dalszy potoczył się szybciej, niż to przewidywano. Partyjny sąd definitywny nad *Il Manifesto*, wyznaczony na koniec grudnia, odbył się w trybie przyspieszonym pod koniec listopada. Przynaglenie procedury tłumaczy się z jednej strony gwałtownymi naciskami Moskwy na kierownictwo PCI, z drugiej nieoczekiwanie dużym poparciem z jakim miesięcznik dysydencki spotkał się podczas „zasięgania opinii bazy”: okazało się po prostu że *Il Manifesto* ma w terenowych organizacjach partyjnych bardzo wielu zwolenników lub co najmniej obrońców, „wrzód” więc należało wyciąć bezzwłocznie dla uniknięcia coraz groźniejszej „infekcji”. Rossanda, Pintor, Natoli, Caprara i Magri zostali usunięci z partii w imię nietykalnej zasady „centralizmu demokratycznego”. Dysydenci zapowiedzieli już że zamierzają dalej wydawać swoje pismo, wspomnieli też o możliwości nadania mu charakteru międzynarodowego. Wyrok przypieczętowała moskiewska *Prawda* z 10 grudnia, w sześciopaltowym artykule atakującym *Il Manifesto*.

Kiedy w roku 1951 z partii zostali usunięci postowie Cucchi i Magnani, Togliatti mówił pogardliwie o „dwóch wszach w końskiej grzywie”. Dziś

„wszy w końskiej grzywie” rozmnożyły się widocznie bardzo, skoro proces „dezynfekcyjny” wymaga rozwiązania niektórych organizacji partyjnych i gruntownych czystek (Neapol, Rzym, Bergamo, Cagliari, Avellino), a przed siedzibą federacji rzymskiej zbiera się — po raz pierwszy w dziejach PCI — wrogi tłum komunistów demonstrujących przeciw usunięciu z partii redaktorów *Il Manifesto*. „Dwie dusze” komunizmu włoskiego? Być może coś więcej: pierwszy krok do powstania dwóch włoskich partii komunistycznych (nie licząc istniejącej od kilku lat, małej partii maoistowskiej).

Archiwum polityczne

Legat lat sześćdziesiątych

Co stanowiło najważniejsze wydarzenie w ubiegłej dekadzie? Dla Żydów w Izraelu wydarzeniem tym będzie wojna sześciodniowa uwieńczona zwycięstwem, dla Amerykanów Wietnam i lot na księżyc, dla Francuzów koniec ery de Gaulle'a, itp.

Dla mnie — jako dla wschodniego Europejczyka — najważniejszym wydarzeniem ubiegłego dziesięciolecia był fakt, że armia sowiecka okazała się decydującym argumentem w sprawach naszego kontynentu a w szczególności wschodniej jego części. Nie wypracowaliśmy żadnej odpowiedzi na ów argument.

Sowietolodzy na ogół nie zajmują się armią sowiecką. Piszą natomiast o fermentach a nawet rozkładzie ideologii. W mojej opinii czerwona armia w przeciwieństwie do wielu innych produktów sowieckich — wykazuje wysoki poziom zarówno organizacyjny jak i technologiczny. Hitler dał nam przykład, że można palić książki, likwidować miliony ludzi w komorach gazowych i równocześnie posiadać lojalną i doskonale wyposażoną armię. Dr von Braun, twórca amerykańskiej rakiety księżycowej — pracował dla Hitlera do „gorzkiego końca”. Fizycy, technolodzy, specjaliści atomowi — pracują dla tych, którzy finansują ich badania i umożliwiają realizację rzeczy, których dotąd nie było. W Sowietach, w armii, ferment jest, ale bardzo słaby bo nie ma po temu powodów. Jakiż inny rząd wydatkowałby tak olbrzymie sumy na zbrojenia i jaki inny rząd utrzymywałby owe setki dywizji w czasach pokojowych. Partia i rząd, które hołdują zasadzie pociski atomowe zamiast masła — mogą zawsze liczyć na poparcie armii.

Rosyjski Dubczek, który zmierzałby do przestawienia gospodarki sowieckiej ze stopy semi-wojennej na stopę konsumpcyjno-pokojową — miałby wszystkich marszałków przeciwko sobie. Tym panom nie zależy na mnogości dóbr konsumpcyjnych tym mniej na wolności prasy — zależy im natomiast na rozbudowie technologicznego potencjału sił zbrojnych.

BIBLIOTEKA „KULTURY”

TOM 179 — PAULINA PREISS

BIUROKRACJA TOTALNA

Analizując tragiczne skutki, jakie sprowadza na społeczeństwo każda totalna biurokracja autorka kreśli głęboki i trafny obraz klasy rządzącej w Polsce. Książkę tę można śmiało zestawzić z głośną *Nową klasą* Dżilas, z tym że jest ona o wiele bardziej aktualna gdyż uwzględnia przemiany jakie nastąpiły pomiędzy latami 1956-1969.

Str. 224.

Cena F. 18,50 (dol. 4,00)



TOM 167 — SERIA „DOKUMENTY”

WYDARZENIA MARCOWE 1968

Wybór dokumentów

z przedmową prof. Zygmunta Baumana

Str. 160

Cena egz. F. 15 (dol. 3,75)

Najazd na Czechosłowację w sierpniu 1968 r. uwypuklił z przerażającą plastyką fakt, że Sowiety nie tylko posiadają potężną armię, lecz że są gotowe jej użyć jako decydującego argumentu w sporze. To się nie zmieni dopóki armia sowiecka nie zostanie zaangażowana poza Europą — ponieważ w Europie nie ma siły, która mogłaby i chciałaby ją zaangażować.

Jak wynika z dokumentów, które przemycono na Zachód (*The Guardian* 8. XI. 1969) — Breżniew oświadczył Dubczekowi, że nie zezwoli na wystąpienie Czechosłowacji z obozu socjalistycznego choćby kroki podjęte w tym celu przez Sowiety miały doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej. Z cytowanych dokumentów wynika również, że Dubczek — podobnie jak większość Europejczyków — do ostatniej chwili nie wierzył w interwencję zbroijną.

Podkreślam znaczenie armii sowieckiej jako decydującego czynnika sowieckiej polityki europejskiej, ponieważ ów czynnik był niedoceniony i nadal jest niedoceniany. Ci sami politycy, którzy uważali inwazję Czechosłowacji za wykluczoną — dziś uważają inwazję Niemiec za wykluczoną.

Polityczni naukowcy czynnik armii wyłączają ze swych analiz ponieważ to jest inna specjalność. Rozpatruje się szczegółowo ewolucję, rewolucję, stagnację a nawet wewnętrzny rozkład Związku Sowieckiego. Znakomita większość autorów powyższych analiz prowadzi swe badania tak, jakby armia sowiecka w ogóle nie istniała. KGB nie jest wojskiem w ścisłym tego słowa znaczeniu i dlatego wchodzi w zakres omawianych opracowań.

Reformacja czechosłowacka to nie było powstanie ani rewolucja studencka — tylko ruch odnowy wyłoniony przez partię. Dubczek i jego ludzie realizowali prognozy „ewolucjonistów” zachodnich. Lecz wszystko zostało zlikwidowane jednego dnia przez armię sowiecką. Z naukowcem politycznym można dyskutować sytuację w europejskim bloku wschodnim przez dwie godziny i słowo „armia” w ogóle nie padnie. Natomiast w rozmowach z Polakami czy z Czechami z najnowszej emigracji termin „armia sowiecka” pojawia się zawsze już w pierwszych minutach rozmowy.

Armia sowiecka jest podporządkowana partii. Wnioskuje się więc, że jeżeli w partii nastąpią zmiany — armia pozostanie posłuszna odnowionej partii.

Technokraci i menadżerowie pragną stabilizacji i unormowanych warunków. Aparat biurokratyczny i armia reprezentują tendencje konserwatywne i nacjonalistyczne. Znaczenie kompleksu wojskowo-przemysłowego w obu super-mocarstwach stale rośnie. Nie ma porównania czym był Pentagon w okresie Pearl Harbour a czym jest obecnie.

Partia w Sowietach niewątpliwie rządzi wojskiem — lecz klasa biurokratów i armia wywierają coraz większy wpływ na partię. Armia w Polsce czy w Czechosłowacji jest bez żadnego znaczenia — lecz armia sowiecka stanowi fundament władzy w satelickim imperium i wpływów Rosji w świecie.

W ubiegłej dekadzie Europa i Stany Zjednoczone przestały być „oblężonym miastem”. Po zgnieceniu powstania węgierskiego, po wojnie koreańskiej, po moście lotniczym do Berlina — w roku 1962 wybuchł kryzys kubański. Chruszczow w jednym ze swych przemówień oświadczył, że następna wojna będzie rozegrana na ziemi amerykańskiej. W owych latach zagrożenie komunistyczne było czymś bezpośrednim i widocznym dla wszystkich.

Israel stanowi pewną analogię dla ówczesnej sytuacji Zachodu. W Izraelu przepaść pokoleniowa jest daleko większa i daleko bardziej dramatycznie skontrastowana niż w Ameryce i w Europie. Rządzi pokolenie w większości urodzone nie na ziemi Izraela — Armia jest dowodzona w większości przez wyższych wojskowych, którzy służyli w armii brytyjskiej i kończyli brytyjskie szkoły wojskowe. Młode pokolenie urodzone w Izraelu mówi po hebrajsku jako w swoim języku macierzystym i reprezentuje nie naród emigrantów lecz Izrael i naród autochtoniczny. Autorzy zbiorowego studium pt. „Youth in Turmoil” (Adapted from a special issue of *Fortune*), wydanego w formie książkowej przez *Time-Life* — podkreślają fakt, że studenci żydowskiego pochodzenia odgrywają znaczną rolę w ruchu protestu i w ramach nowej lewicy w Stanach Zjednoczonych. Studia przeprowadzone w tej sprawie wykazują, że młodzież studencka w Izraelu myśli podobnie jak zrewoltowana młodzież amerykańska. Myśli podobnie — lecz zachowuje się inaczej. Młodzi Izraelczycy zachowują się inaczej niż ich amerykańscy rówieśnicy — ponieważ Izrael jest „miastem oblężonym”. Wówczas kiedy Stany Zjednoczone były „miastem oblężonym” — młodzież amerykańska również zachowywała się inaczej niż dziś. To jest problem, do którego wrócimy w dalszej części tego artykułu.

Chruszczow utracił twarz i wycofał ofensywne rakiety z Kuby — monolit komunistyczny rozpadł się — Nikitę Sergiejewicza, który bił butem w stół ONZ — zastąpił Kosygin, który według określenia jednego z amerykańskich korespondentów — wygląda jak prowincjonalny buchalter cierpiący na nadkwasotę. W każdym razie to nie jest demon zagrażający światu. Oblężenie zostało zdjęte. Jednym z ubocznych efektów zdjęcia oblężenia był wybuch rewolucji studenckiej w Stanach Zjednoczonych i na kontynencie europejskim.

Lecz nim wrócimy do problemu młodzieży chciałbym podkreślić, że zdjęcie oblężenia pociągnęło za sobą inne konsekwencje. Ubiegła dekada jest cmentarzyskiem koncepcji politycznych. *Containment* — z dawniejszych — plan Marshalla i doktryna Trumana — owe koncepcje, które przez lata ożywiały politykę amerykańską — utraciły punkt odniesienia. Zdjęcie oblężenia wywołało próżnię, którą zaczęto zapełniać koncepcjami koegzystencji, „budowania mostów”, itd.

Nie twierdzę, że to są fałszywe koncepcje. Twierdzę natomiast, że sygnał był fałszywy. Oblężenie nie zostało zdjęte. Breżniew i Kosygin nie grożą Stanom Zjednoczonym wojną na ziemi ame-

rykańskiej — lecz bilans obłądzeniowy tych panów jest nieporównanie bardziej imponujący niż bilans Chruszczowa.

W ubiegłej dekadzie Rosjanie dokonali olbrzymiej rozbudowy swojego potencjału militarnego. Obecnie Sowiety posiadają więcej operowanych z ziemi ICBM — niż Stany Zjednoczone. Rezygnując z wylczania wszystkich SS-9 czy MIRV — które stanowią galaktykę coraz bardziej skomplikowanych i groźnych instrumentów masowego zniszczenia — należy stwierdzić, że o ile Rosjanie stracili kilka punktów w wyścigu kosmicznym — o tyle w wyścigu zbrojeniowym idą łeb w łeb z Ameryką.

Jak powszechnie wiadomo w ostatnich 20-tu latach Rosjanie dokonali „cudu morskiego”. Z kraju typowo kontynentalnego Sowiety przekształciły się w drugą potęgę morską świata. Celem tej gigantycznej floty nie jest tłumienie rewolucji w Czechosłowacji czy w Polsce — lecz szachowanie Amerykanów na wszystkich morzach i oceanach globu oraz wspomaganie rewolucji komunistycznej we wszystkich częściach świata.

Nikt nie rozbudowuje potencjału zbrojeniowego na ziemi, na morzu i w powietrzu — bez celu. Rosjanie w przeciwieństwie do Amerykanów — nie wierzą w równowagę terroru. Wnoszą natomiast, że w systemie podwójnej hegemonii — bezpieczeństwo zapewnić może tylko przewaga. I do tej przewagi Sowiety konsekwentnie dążą.

W ubiegłej dekadzie Rosjanie wszystkim zainteresowanym dali do zrozumienia, że w ich opinii wszystko co nie zostało podzielone w Jałcie — jest do podziału. Morze Śródziemne, Środkowy Wschód, Południowo-Wschodnia Azja — Indie — stanowią ilustrację powyższej tezy. Zwłaszcza wpływy sowieckie w Indiach po roku 1965 — dostarczają przykładu, że sukcesorami Anglików nie są Amerykanie tylko Rosjanie (zainteresowanym w tej sprawie polecam lekturę dodatku poświęconego Indiom w londyńskim *The Times* z 13. X. ub. roku).

Na czym więc opiera się teoria o „zdyętym obłądzeniu”?

W obrębie lat sześćdziesiątych zaszły wielkie zmiany w świecie komunistycznym. Protest i ferment w kołach intelektualnych i inteligentnych Związku Sowieckiego — przestał być zjawiskiem sporadycznym. To jest dziś zjawisko ciągłe i stałe.

Jeżeli na reformację Czechosłowacką spojrzymy jako na fragment ruchu rewizjonistycznego, który objął cały świat komunistyczny — wówczas należałoby stwierdzić, że klęska Dubczeka była tylko przegrana bitwa, która umożliwiła osiągnięcie sukcesu na innych odcinkach tego samego frontu. Inwazja Czechosłowacji przyspieszyła proces przemian w zachodnioeuropejskich partiach komunistycznych. Wiktor Zorza poświęcił tej sprawie obszerny artykuł (*The Guardian*, 12. XI. 69). Włoska partia komunistyczna postanowiła przeprowadzić marksistowską analizę wypaczeń charakteryzujących system sowiecki. Wyniki tych badań będą ogłoszone drukiem. Należy podkreślić, że po raz pierwszy postępowe koła w ramach komunistycznych partii Włoch, Francji, Wielkiej Brytanii i Austrii — oceniają inwazję Czechosłowacji nie jako

wydarzenie oderwane lecz jako bezpośredni skutek i konsekwencję podstawowych schorzeń systemu sowieckiego. Charakterystyczne w tym względzie było wystąpienie Rogera Garaudy, członka francuskiego politbiura, który w swej analizie wykazał bezpośrednią łączność pomiędzy inwazją Czechosłowacji a wypaczeniami całego systemu sowieckiego.

Oczywiście Breżniew i Kosygin mogą przyjąć pogląd wyrażony przez Stalina, że więcej jest wart jeden traktor sowiecki niż dwudziestu zagranicznych komunistów. W rzeczywistości jednak tak mógł powiedzieć tylko Stalin, lecz nie jego następcy, których sytuacja jest zupełnie inna.

Prasa i periodyki komunistycznych partii Zachodu dostępne są dla obywateli sowieckich zwłaszcza w prenumeracie. *Morning Star*, którego kolumny odzwierciedlają przedzjazdową dyskusję na temat Czechosłowacji — jest do nabycia w Moskwie czy w Leningradzie. Gerald Brooke czytał periodyki jugosłowiańskie w czasie swojego pobytu w Łagrze. Nie należy przez to rozumieć, że wszyscy łaźniarnicy mają dostęp do komunistycznej prasy zachodniej. Faktem natomiast jest, że pomimo czasowych zakazów i utrudnień — prasa komunistyczna z Zachodu czytana jest przez znaczną część intelektualistów i inteligencji sowieckiej.

O Czechosłowacji ukazało się na Zachodzie w ostatnich 16-tu miesiącach dwadzieścia a może trzydzieści razy więcej książek niż o Polsce w okresie ubiegłych 30-tu lat. Ani najazd na Polskę w roku 1939, ani Katyń, (z wyjątkiem Października) — nie wywołały dyskusji tej miary i zasięgu co najazd Sowietów na Czechosłowację. Literatura tego epizodu liczy dziś na Zachodzie setki pozycji. Wydarzenia w Czechosłowacji — zarówno inwazja jak i okres obecny — ujawniły w pełni nie tylko imperialne tendencje Rosji lecz przede wszystkim schorzenia systemu sowieckiego. Ludzie na Zachodzie przekonali się, że to co o Sowietach mówili polscy emigranci — nie było propagandą i wymysłem lecz w 70 % prawdą. Lecz inną wagę przywiązuje się do relacji polskiego emigranta, który od 30 lat cieszy się opinią zawodowego rusofoba i sowietozercy — a inną wagę przywiązuje się do raportów brytyjskich korespondentów oraz do świadectw wybitnych Czechów i Słowaków, którzy do sierpnia 1968 r. byli filo-rosyjscy.

Historia Czechosłowacji od stycznia 1968 do stycznia 1970 umożliwia — jak na preparacie anatomicznym — studium węzłowej problematyki komunizmu wraz z jego centralnym zagadnieniem: rewolucyjny rewizjonizm *contra* stalinizm. W Czechosłowacji Rosjanie na oczach całego świata zademonstrowali wymiar i głębię swojej własnej dekadencji — co spowodowało proces rewizji stosunku do Sowietów w zachodnioeuropejskich partiach komunistycznych.

Jeżeli imperium sowieckie upadnie — jak przepowiada sowiecki historyk Andrej Aleksiejewicz Amalrik w książce, która ma się niedługo ukazać i której streszczenie ogłoszono w francuskim *L'Express* — skłonny jestem przypuszczać, że historycy, analizujący rozkład Sowietów z perspektywy roku 2000, przyjmą

za datę przełomową nie tajny referat Chruszczowa, lecz dzień 21 sierpnia 1968 roku — datę inwazji Czechosłowacji.

Konflikt rosyjsko-chiński, rozkład monolitu komunistycznego, wzrost rewizjonizmu, który nabiera cech rewolucyjnych, krytyczna w stosunku do Rosji postawa postępowych grup w ramach zachodnioeuropejskich partii komunistycznych — wszystko to dowodzi, że stalinizm upada.

Osobiście uważam również, że stalinizm wykazuje cechy degeneracji — niemniej wydaje mi się, że nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że oblężenie zostało zdjęte. *Detente* — jak miłość bez wzajemności — jest aktem jednostronnie podjętym przez Zachód. Stalinowcy stanowią mniejszość w europejskim bloku komunistycznym — mniejszość zniechęconą — lecz niemniej owa mniejszość dzierży w ręku władzę i armię. Dni stalinizmu są niewątpliwie policzone lecz z tego faktu nie wolno wyprowadzać wniosku, że złe minęło i że możemy przystąpić do negocjowania nowego *modus vivendi* z Sowietami. Byłoby katastrofą — dosłownie katastrofą — gdyby w przyszłości miało się okazać, że konflikt rosyjsko-chiński i ferment w europejskiej orbicie komunistycznej — zmieńczyły nie stalinowców tylko zachodnich polityków.

Każdy manuskrypt sowiecki przemycany na Zachód oceniamy jako przegraną Rosji i nasze zwycięstwo. Ponieważ zwycięstw tego typu notujemy coraz więcej — skłaniamy się do poglądu, że Rosja jest chorym człowiekiem Europy. Ponieważ my (na Zachodzie) jesteśmy potężni i zdrowi, możemy bez ryzyka przyjmując sowieckie zaproszenie i podjąć z przywódcami Kremla negocjacje dotyczące przyszłości naszego kontynentu.

W spadku po ubiegłej dekadzie odziedziczyliśmy dwa problemy: erozję sił NATO i wycofywanie się Stanów Zjednoczonych z Europy. Według danych amerykańskich konfrontacja sił w Europie z końcem grudnia 1969 r. przedstawiała się jak następuje: na froncie środkowoeuropejskim Sowiety posiadają 56 dywizji i 13.000 czołgów. Amerykanie wycofali z Europy 32.000 żołnierzy — a w obrębie najbliższych trzech lat zamierzają wycofać 100.000 ludzi. Brytyjczycy i Kanadyjczycy wycofali po 50 % swych kontyngentów z NATO.

Jeszcze gorzej przedstawia się równowaga balistyczna. Sowiety posiadają 1000 IRBM w Zachodniej Rosji, wymierzonych przeciwko celom w zachodniej Europie. Amerykanie posiadają wprawdzie (w Europie) 7.000 pocisków taktycznych z głowicami atomowymi — lecz zasięg owych pocisków nie przekracza 400 mil. Innymi słowy tymi pociskami można zniszczyć pewne węzły kolejowe w Polsce lecz nie w Rosji.

Proponowana przez Sowiety „europejska konferencja bezpieczeństwa” — miałaby na celu ratyfikowanie i ustalenie *status quo*. *Status quo* obejmuje nie tylko satelizację krajów Europy Wschodniej — lecz również wyżej cytowane 56 dywizji, 13.000 czołgów i przede wszystkim 1000 IRBM wymierzonych w centra przemysłowe i strategiczne w Zachodniej Europie. Należałoby więc za-

pytać Rosjan czyje bezpieczeństwo mają na myśli? Nie ulega bowiem wątpliwości, że bezpieczeństwo Zachodniej Europy wymagałoby wycofania sowieckich dywizji z Wschodniej Europy i rozbrowienia tysiąca IRBM wymierzonych w Zachodnią Europę. Oczywiście Rosjanie na tego rodzaju propozycję się nie zgodzą. Bezpieczeństwo można negocjować i osiągnąć tylko z pozycji siły — względnie z pozycji równości. Rosjanie zdają sobie z tego sprawę i dlatego wystąpili z trzecią z kolei inicjatywą konferencji europejskiej. Politycy na Kremlu sądzą bowiem, że Europa Zachodnia zgodzi się na pokój i bezpieczeństwo na warunkach sowieckich ponieważ nie mamy atutów siły, które można by wygrać w negocjacjach.

W sumie należy stwierdzić, że Zachód w ubiegłej dekadzie reagował fałszywie. Uznano bowiem, że oblężenie jest odwołane. W rzeczywistości oblężenie trwa nadal.

Ow stan nie ulegnie zmianie dopóki w Związku Sowieckim stalinowcy są przy władzy.



Ubiegła dekada przekazała nam rewolucję studencką, która jest jednym z fenomenów rewolucji technicznej. Nauka jest dziś potęgą i z tej przyczyny państwo i społeczeństwo są zorientowane naukowo. Uniwersytety stają się centralną instytucją naszej cywilizacji — ponieważ nauka to jest zarówno energia atomowa we wszystkich jej formach, jak i automacja, elektronika, program kosmiczny i dalekosiężne odkrycia w biologii i medycynie.

Krajem technologicznie najwyżej zaawansowanym są Stany Zjednoczone i patrząc na ich rozwój można w przybliżeniu wnioskować co czeka Zachodnią Europę gdy „dośćnie Amerykę”.

Z socjologicznego punktu widzenia najważniejszym wydaje mi się fakt następujący. Młoda generacja amerykańska, która studiuje na uniwersytetach, względnie świeżo ukończyła studia — obejmuje 8 milionów ludzi. W ubiegłej dekadzie cyfra młodzieży studenckiej uległa podwojeniu. Nie było do tej pory w historii społeczeństwa, które byłoby skonfrontowane z 8 milionami młodych wykształconych ludzi. Masowość owego zjawiska wyznacza mu nowy i odrębny charakter.

Drugi punkt dotyczy genezy. Rewolucja studencka wybuchła niespodziewanie i nieprzewidywana przez nikogo. Młodzież amerykańska w okresie lat 50-tych i w początkach lat 60-tych była bierna i niezaangażowana. Kenneth Keniston, profesor psychologii (Yale Medical School) ogłosił w roku 1962 pracę dotyczącą młodzieży studenckiej. W jego ocenie studenci (ówcześni) byli „ostrożni, nie angażujący się, intelektualni i pedantyczni”. Nieświadom bliskiej przyszłości prof. Keniston zaryzykował następującą diagnozę: „Nie wydaje mi się prawdopodobne, by amerykańscy studenci byli kiedykolwiek radykałami — tym mniej by podjęli rolę rewolucjonistów w naszym społeczeństwie”.

To było tzw. „milczące pokolenie” (*silent generation*).

Czym należy wytłumaczyć, że owe „milczące pokolenie” w ostatniej dekadzie zostało zastąpione pokoleniem buntu i masowej rewolty?

Jak wynika z cytowanej zbiorowej książki pt. „Youth in Turmoil” i innych badań specjalistycznych — na rewolucję studencką złożył się szereg różnorodnych przyczyn. Jedną z owych przyczyn jest zamożność. „Milczące pokolenie” nie mogło nawet pozwolić sobie na organizowanie super-demonstracji przed Białym Domem — ponieważ ówczesni młodzi ludzie w większości nie mieli pieniędzy by dojechać do Waszyngtonu — nie mówiąc o kosztach związanych z organizowaniem tego typu masowych pochodów. Rewolucji nie robią studenci, którzy mają finansowy nóż na gardle, i muszą oszczędzać, by jak najszybciej ukończyć studia.

Drugą — niewątpliwie istotniejszą przyczyną jest wspomniane powyżej zniesienie stanu obłąkania. W latach 50-tych patriotyzm i antykomunizm to były synonimy. Poczucie zagrożenia dynamizowało patriotyzm a patriotyzm powodował ruch represyjny w stosunku do wszystkiego, co mogło pomóc komunistom i komunizmowi.

Ogromną rolę w reakcjach studentów odegrały media masowego przekazywania. Słynny marsz studentów na Pentagon w roku 1967 czy demonstracje w Chicago przed konwencją partii demokratycznej — nie byłyby możliwe bez telewizji, która bezustannie informowała studentów o planowanych demonstracjach i kontr-planach policji. Podobnie wojna w Wietnamie nie toczy się w dalekim zamorskim kraju tylko na milionach ekranów telewizyjnych w Stanach Zjednoczonych.

Mówiąc o mediach masowego przekazywania a o telewizji w szczególności — warto zaznaczyć, że telewizja wzmacnia zaangażowanie a równocześnie nie sprzyja analizie. Patrząc na rozruchy rasowe, demonstracje czy walki w Wietnamie — trudno pozostać obojętnym. Widz staje się zaangażowanym współuczestnikiem, którego emocje zostają zmobilizowane w określonym kierunku. Równocześnie jednak stacje telewizyjne nie mają ani możliwości ani czasu na przeprowadzenie bezstronnej analizy. Rozważania analityczne nie są wizualne i tym samym nie leżą w charakterze telewizyjnego przekazu. Medium rozważań, analizy i refleksji jest druk. Lecz ilu ludzi, którzy oglądają wojnę wietnamską na swych ekranach — czyta analityczne artykuły na te tematy w poważnej prasie? Zaangażowanie — w znacznej mierze emocjonalne — bez równoczesnej analizy i czasu na refleksję, powoduje masowy protest i skłonność do gwałtownych reakcji. Zbędne dodawać, że bez analizy i refleksji nie może powstać logicznie i racjonalnie zbudowany program.

Niniejszy artykuł nie jest poświęcony rewolucji studenckiej i wskutek tego muszę się ograniczyć do zarejestrowania tylko najważniejszych problemów.

Wielu autorów sądzi, że źródłem niepokojów studenckich są uniwersytety w ich obecnej formie. Nauka ulega coraz większej fragmentaryzacji. Jest coraz więcej nowych dyscyplin, nowych

katedr i wydziałów. Sukces nauk ścisłych spowodował, że w każdej dyscyplinie kładzie się główny nacisk na badanie i kodyfikowanie zebranych danych a nie na interpretację i syntezę. Socjolog, który pragnie przeprowadzić nowe badania „terenowe”, zdobędzie bez trudu pieniądze na swój projekt. Lecz socjolog, który chciałby pokusić się o analizę a następnie o syntezę gigantycznego, zebranego i usystematyzowanego materiału, pieniędzy na swój projekt nie zdobędzie.

Dyscypliny naukowe podważają tradycyjne wartości, lecz nie tworzą nowych wartości. Jesteśmy coraz lepiej poinformowani ale nie coraz mądrzejsi. Uniwersytety produkują specjalistów, lecz nie ogólnie wykształconych i oświeconych ludzi. Pomagają w zdobyciu specjalistycznej wiedzy, lecz nie w wypracowaniu własnego poglądu na świat.

Ani filozofia ani teologia (religie) — nie odgrywają dzisiaj tej roli jaką odgrywały w przeszłości. Nie stanowią interpretacyjnej nadbudowy, która dawniej nadawała znaczenie i ogólny sens „ludzkiej kondycji”.

Dewaluacji uległy również doświadczenie i tradycja. Student dwudziestoletni, który uformował się w ostatniej dekadzie — uważa nie bez przyczyny, że doświadczenia jego 50-letniego ojca są dla niego równie nie przydatne jak kolejowy rozkład jazdy sprzed 20-tu laty. W ubiegłej dekadzie nastąpiło tyle przemian technologicznych, społecznych, naukowych, że „wojna pokoleniowa” wywodzi się w gruncie rzeczy z nieporównywalności doświadczeń starego i młodego pokolenia.

Równocześnie we wszystkich dziedzinach istnieje przepaść pomiędzy zapowiedzią a spełnieniem. Młodzi, uformowani w okresie rewolucji elektronicznej, w epoce komputerów, lotów na księżyc i nienotowanego w dziejach wzrostu zamożności — nie rozumieją dlaczego naszym ideałem jest w dalszym ciągu zysk, dlaczego w Ameryce — najbogatszym kraju świata — miliony ludzi żyją na marginesie nędzy, dlaczego — choć po temu są możliwości — nie realizujemy ustroju sprawiedliwości społecznej. Młodzi uważają imperializm i kapitalizm w tradycyjnych formach za „zgniłe zło”, nad którym zbudowano kulturę będącą w gruncie rzeczy hipokryzją a nie systemem moralnych wartości.

W szczegółowej ankiecie zorganizowanej przez jedno z czołowych biur badania postaw społecznych — w grupie aktywistów ruchu studenckiego — 88 % respondentów stwierdziło, że problemem nie jest technologia tylko to „co ludzie robią z technologią”.

W ubiegłej dekadzie technologia nie spełniła swego społecznego zamówienia. Nie ziściły się przepowiednie socjologów i „futurológów”, którzy głosili, że technologia zapewni zamożność wszystkich i wybawi nas od wyzysku, monotonnej pracy i chorób społecznych spowodowanych XIX-wiecznym kapitalizmem.

Młodzi są przekonani, że technologia *per se* nie zmienia niczego. Zmiany muszą być spowodowane przez ludzi. Tu bierze

swe źródło protest w stosunku do *establishment*, który w oczach młodych „ma tylko wczorajsze odpowiedzi na dzisiejsze pytania”.

Ow rozdzwięk pomiędzy zapowiedzią a realizacją cechował Kościół w dekadzie, która dobiegła kresu. Każdy ruch reformatorski mobilizuje nie tylko postępców lecz również uaktywnia konserwatystów i obrońców *status quo*. Z tej przyczyny reformy — które są poważne — nie stanowią jednak spełnienia nadziei związanych z wielką odnową.

Przed wszystkim nie uległa zmianie polityczna postawa Kościoła. Zamiast stanąć twardo i jednoznacznie po stronie ujarzmionych, wyzyskiwanych, krzywdzonych — Kościół po dawnemu gotów jest oddać „co cesarskie cesarzowi” — obojętne czy tym „cesarzem” jest Gomułka, gen. Franco czy reakcyjny rząd reprezentujący kapitalizm i ucisk. Postawa Kościoła w stosunku do głodnych i biednych jest jeszcze ciągle postawą zamożnego wiktoriańskiego filantropa, a nie postawą zaangażowanego społecznie reformatora.

Chrześcijaństwo współczesne winno być awangardowym ruchem socjalnym, ponieważ człowieka w historycznym obrachunku można wybawić i zbawić tylko poprzez społeczeństwo. Społeczeństwo jest czymś innym i czymś więcej niż określoną sumą jednostek. Nie człowiek tworzy społeczeństwo — lecz odwrotnie — społeczeństwo tworzy człowieka. Z tej przyczyny religia, która zakłada udoskonalenie człowieka, musi być reformatorskim ruchem społecznym z tego świata — ponieważ tylko poprzez ten świat indywidualna nadzieja chrześcijanina może być spełniona. Tradycyjna teza — która głosi, że im człowiek będzie doskonalszy tym i społeczeństwo będzie doskonalsze — jest historycznie i socjologicznie błędna. Niemcy jako suma jednostek tworząca dany naród — nie byli ani gorsi ani lepsi w roku 1913 od sumy jednostek, która tworzyła naród niemiecki w roku 1939. Natomiast społeczeństwo niemieckie zdeprawowane przez hitlerizm było czymś innym w roku 1939 niż w roku 1913.

W jednym artykule nie można wyczerpać problematyki przekazanej nam przez ubiegłe dziesięciolecie. Można tylko odnotować pewne fakty i pewne „trendy”. Niepokój budzi „trend” najogólniejszy lecz może najistotniejszy. Mam na myśli fakt, błyskawicznego niemal rozwoju technologii, która obejmuje arsenał nuklearnych instrumentów zagłady i równoczesną anemię humanistyki. Filozofia została zredukowana do statusu „panny służącej” nauk ścisłych. Kościoły przechodzą kryzys głębszy i szerszy niż się na ogół przypuszcza. Literatura odegrałaby ogromną rolę we Wschodniej Europie gdyby była wolna — lecz na Zachodzie nie odgrywa wielkiej roli mimo, że jest wolna. Czas na lekturę został w trzech czwartych okupowany przez telewizję. Dysponując jedną czwartą czasu na lekturę — współczesny człowiek sięga po książkę fachową, względnie po tzw. „poważną literaturę” — biografie, dzieła historyczne, polityczne itp.

Wspaniałego renesansu doczekała się muzyka, która jest ukochanym dzieckiem epoki technologicznej. Muzyka jest sztu-

ką matematyków, którą technologia udostępniła każdemu człowiekowi w jego własnym domu. W żadnej innej epoce tylu ludzi nie słuchało tak wiele i tak różnorodnej muzyki jak dzisiaj.

Ci z nas, którzy dożyją końca bieżącej dekady — będą znali odpowiedzi na wiele pytań, które nas niepokoją. Będą wiedzieli — między innymi — czym był i co osiągnął w rzeczywistym wymiarze protest zbuntowanego pokolenia.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

DIALEKTYKA WYBORU

Wszystko zaczęło się od rolnictwa. Dopóki ludzie żyli wyłącznie z myślistwa i rybołówstwa — nikt na nic innego nie miał czasu. Na to by mogła powstać cywilizacja — przynajmniej 20 % danej społeczności ludzkiej musi mieć możliwość zajmowania się czymś innym niż wiecznym zdobywaniem zapasów żywności.

Nawet w klasycznym Rzymie z jego wspaniałą sztuką i architekturą — 75 % ludności zatrudnionych było w rolnictwie. Cywilizacja rzymska spoczywała na barkach mniejszości, która nie musiała poświęcać całego swojego czasu produkcji żywności. Jeżeli jednak tylko 20 % ludności jest wolne od produkowania środków wyżywienia — trudno wymagać od tej nielicznej elity, by rozbudowywała przemysł, dokonywała odkryć naukowych czy projektowała loty na księżyc. Jak wynika z pracy Kenneth E. Bouldinga pt. „Man and his Future” — widmo głodu nigdy nie opuszczało klasycznego Rzymu. W owych czasach w wiecznym mieście nie bywało zapasów żywności na dłużej niż na trzy tygodnie. Rzym przy wszystkich swoich znakomitych osiągnięciach — był krajem niedorozwiniętym, którego głównym problemem były nie tyle igrzyska ile chleb.

Istnieje ścisły związek pomiędzy cywilizacją a procentem ludzi zatrudnionych w produkowaniu żywności. W systemie w którym wszyscy mężczyźni muszą polować i łowić ryby by wyżywić siebie i swoje rodziny — o cywilizacji nie może być mowy. Rolnictwo umożliwia zwolnienie pewnego procentu ludzi od produkcji żywności i skierowanie ich energii ku innym celom.

Jedną z podstawowych różnic pomiędzy Rosją sowiecką a Stanami Zjednoczonymi jest fakt, że w Ameryce zatrudnionych w rolnictwie jest tylko 10 % ludności a w Sowietach ponad 45 % ludności. W Stanach Zjednoczonych 90 % ludności produkuje samochody, samoloty, statki kosmiczne, broń atomową, żyłki, sznurowadła i ocean innych towarów — natomiast w Sowietach tylko połowę ludności można wpruć w system przemysłowej produkcji. Nie więc dziwnego, że w pewnych okresach zdobycie przyszłowiej żyłki jest w Rosji problemem.

Chruszczow był impulsywny i w swych przemówieniach krytykował nie-

miłośniernie rolnictwo sowieckie — choć jego własne inicjatywy w tej dziedzinie pozostawiały bardzo wiele do życzenia. Chruszczow mówił o tonach nawozów sztucznych moknących na deszczu w otwartych wagonach i o traktorach kołchoźniczych zimujących w śniegu, nie przykrytych choćby płachtą brezentu. Kołchoźnicy pracują, niewydajnie i w konsekwencji musi ich być bardzo wielu. Ponieważ kołchoźników musi być bardzo wielu — rozbudowa nowoczesnych przemysłów w Sowietach postępuje wolniej niż w Stanach Zjednoczonych. Rozbudowa przemysłów wiąże się z kolei z tzw. całkowitym produktem narodowym (G.N.P.), który stanowi fundament zarówno dobrobytu jak i potęgi w sensie technologicznym i politycznym.

Jeżeli gospodarka amerykańska będzie wzrastać tylko o 3 % rocznie — całkowity produkt narodowy Stanów Zjednoczonych w roku 1985 wyrazi się cyfrą zbliżoną do 1,4 trylionów dolarów. Jeżeli wzrastać będzie o 4,5 % — GNP wyniesie około 1,7 trylionów dolarów*.

Przyjmując, że gospodarka sowiecka wzrastać będzie w imponującym tempie 5 % rocznie — sowieckie GNP w roku 1985 nie osiągnie nawet 800 miliardów dolarów. Oznacza to, że różnica pomiędzy GNP amerykańskim a sowieckim ulegnie w tym okresie podwojeniu na niekorzyść Sowietów.

Specjaliści amerykańscy reprezentują pogląd, że Związek Sowiecki musiałby przeprowadzić bardzo poważne reformy gospodarcze, społeczne i polityczne — by nie dopuścić do poszerzenia się przepaści pomiędzy Rosją a Ameryką. Każdy system ma swoje ograniczenia. Przychodzi chwila kiedy wzmożenie produktywności możliwe jest do osiągnięcia tylko za cenę reformy systemu. Wówczas trzeba wybierać pomiędzy „reformacją” a GNP.

W najbliższych latach przekonamy się jakiego wyboru dokonał Związek Sowiecki. Jeżeli partia nie zdecyduje się na zmianę systemu w obawie, że reformy oznaczałyby uszczuplenie jej władzy — wówczas, jak ilustrują przytoczone powyżej cyfry, status Związku Sowieckiego jako mocarstwa zacznie maleć.

Jeżeli przepaść pomiędzy Sowietami a Ameryką będzie się poszerzać, jeżeli w masach inteligencji sowieckiej utrwali się przekonanie że system wyczerpał swoje możliwości i degradacja Rosji jest tego stanu rzeczy bezpośrednim rezultatem — wówczas ferment i niezadowolenie społeczne osiągną nienotowaną dynamikę.

Można przyjąć pogląd głoszony przez wielu socjalistów, że produkcja i rosnący jak na drożdżach GNP — nie są celami same w sobie. Można głosić, że sprawiedliwy podział dochodu narodowego jest czymś niepomiernie ważniejszym niż produkcja dochodu narodowego.

Sympatyzuję z powyższym poglądem — lecz w rzeczywistości wydaje mi się utopią. Trzeba bowiem najpierw mieć dochód, by móc go dzielić. Mały dochód nawet sprawiedliwie podzielony — daje w rezultacie sprawiedliwą niską stopę życiową. Rzetelny socjalizm demokratyczny jest najkosztowniejszym ustrojem jaki wynaleziono i z tej przyczyny — jeżeli gospodarka socjalistyczna nie wykaże równie sprawności jak gospodarka kapitalistyczna — ustrój socjalistyczny nie będzie miał szansy udowodnienia swej wyższości nad ustrojem kapitalistycznym.

Wymaję dwa przykłady z książki pt. „Economic Devolution in Eastern Europe” Ljubo Sirc (Longman in Association with The Institute of Eco-

nomie Affairs). L. Sirc, który jest Jugosłowianinem i wybitnym ekonomistą — pisze w cytowanej książce, że Sowiety posiadają jeden z najwyższych na świecie procent lekarzy w przeliczeniu na 1.000 mieszkańców. Lecz Sirc stwierdza również w tej samej książce, że dostawy jarzyn i owoców do miast są jeszcze ciągle znacznie niższe niż przed rewolucją. Za czasów carskich było w miastach daleko więcej owoców i jarzyn niż obecnie. Myślę, że należy postawić pytanie: co jest bardziej potrzebne dla zdrowia ludności — jarzyny i owoce czy lekarze? Możemy uznać za pewnik, że jarzyny i owoce są niezbędne dla zdrowia i braku tych artykułów nie można zastąpić armią lekarzy.

W systemie sowieckim istnieje tendencja wyrównywania niedoborów gospodarczych — służbami społecznymi. Bezpłatne szpitale i opieka lekarska — choć cenne i ważne — nie wpływają bezpośrednio na wysokość stopy życiowej. Lecz łatwiej jest produkować co roku tysiące nowych lekarzy niż uzdrowić kołchoźniczą gospodarkę rolną. Produkcja lekarzy nie wymaga ani decentralizacji ani reformy systemu — natomiast uzdrowienie gospodarki rolnej wymagałoby poważnych reform.

W Związku Sowieckim w ostatnich latach przeprowadzono pewne zmiany i w europejskim bloku komunistycznym pisze się ustawicznie o reformach gospodarczych od prof. Libermana zaczawszy a na prof. Siku skończywszy. Problem polega jednak na tym, że poważna reforma gospodarcza jest z definicji poważną reformą systemu. Gdyby było możliwe zreformować gospodarkę i równocześnie zachować nienaruszony centralistyczny system stalinowski — gospodarka komunistyczna byłaby już dawno zreformowana. Przykład Czechosłowacji wykazał, że reforma systemu politycznego jest pierwszym i nieodzownym warunkiem podjęcia reform gospodarczych. Nie można mieć prof. Sika na czele gospodarki i polityka typu Breżniewa na czele aparatu partyjno-państwowego. Trzeba wybrać.

Też niniejszego artykułu jest pogląd, że ów problem wyboru będzie coraz bardziej skonstrastowany, coraz bardziej przeciwstawny, coraz lepiej i powszechniej rozumiany. Stalinizm będzie mobilizował coraz większe rzesze oponentów ponieważ z każdym miesiącem system stalinowski będzie się stawał coraz bardziej archaiczny i niezdolny do rozwiązywania nowoczesnych problemów gospodarezo-technologicznych, które narastają jak lawina.

Można przyjąć pogląd, że w rezultacie powyżej naszkicowanej sytuacji — Sowiety nie staną się nigdy nowoczesnym demokratycznym państwem lecz utkną w swojej linii rozwojowej — podobnie jak utknął carat, który do końca był archaicznym samodzierżawiem.

Można jednak także przyjąć pogląd, że opór przeciwko systemowi stanie się tak powszechny, że na pozór drobne wydarzenie dostarczy iskry która zdetonuje przewrót.

Zarówno absolutyzm oparty o centralistyczny aparat jak i rewolucja należą do tradycji rosyjskiej. Do tej tradycji należą zarówno „czarna sotnia”, obskurantyzm i antysemityzm jak i odważna, wszech-ludzka literatura, jedyna z najświetniejszych w Europie.

Nie wiem co stanie się w Rosji — odrzucam jednak kategorycznie pogląd tych sowietologów — przeważnie polskich — którzy uważają, że z Rosji nie może wyjść nic dobrego, ponieważ byłoby to sprzeczne „z istotą rzeczy”.

Na marginesie warto może zaznaczyć, że problem rolnictwa — od którego

* *Dilemmas of Change in Soviet Politics*, by Zbigniew Brzezinski.

rozpoczęliśmy te rozważania — nie jest wyłącznie specjalnością sowiecką. „Wspólny Rynek” obejmuje 10 milionów farmerów. Ponad 50 % stanowią drobni farmerzy gospodarujący niewydajnie i kosztownie. Specjalna komisja EEC — oceniła, że farmerów należałoby zredukować do 5 milionów. Tylko wówczas można by uzdrowić gospodarkę rolną wspólnoty — uracjonalnić ceny produktów rolnych, uwolnić się od nadwyżek produkcyjnych itd.

Lecz w gruncie rzeczy to nie jest problem ekonomiczny a polityczny. Farmerzy — po pierwsze są wyborcami a po drugie są członkami potężnych związków zawodowych. Zlikwidowanie połowy farmerów choć byłoby zbawienne dla gospodarki — wywołałoby przewrót społeczno-polityczny. Łatwo jest manipulować towarami. Znacznie trudniej jest manipulować ludźmi. Ekonomisci często o tym zapominają.

PINKVILLE W PERSPEKTYWIE

Na temat rzekomej masakry ludności cywilnej w My Lai — w amerykańskim narzeczu wojskowym Pinkville — napisano po obu stronach Oceanu kilkadziesiąt artykułów.

Mordowanie ludności cywilnej — jeżeli jest udowodnionym faktem — jest rzeczą haniebną bez względu na to czy owych mordów dokonują Amerykanie, Wietkong, Rosjanie czy ktokolwiek inny.

Irytujące jest natomiast naiwne święte oburzenie, które towarzyszy tej sprawie w prasie zachodnioeuropejskiej. Wiadomo, że hitlerowcy rozstrzelali cywilnych zakładników w akcjach odwetowych, równali z ziemią całe wsie, w obozach koncentracyjnych ładowali ludzi do komór gazowych. Lecz to byli hitlerowcy a nie cywilizowani, demokratyczni Amerykanie. Pewni komentatorzy zachodni wysunęli tezę, że żołnierze amerykańscy ulegli dezintegracji moralnej, zezwierzęczeniu, itd.

Gdybyśmy byli adwokatem broniącym żołnierzy, którzy brali udział w rzekomej masakrze w Pinkville powiedziałbym co następuje: Jeżeli jutro czy za miesiąc Sowiety zaatakują atomowo miasta amerykańskie — Pentagon wyda rozkaz atomowego bombardowania miast sowieckich. Innymi słowy w razie wybuchu wojny totalnej — Pentagon gotów jest wziąć na swoje sumienie śmierć milionów kobiet starców i dzieci. Czy ci, którzy od lat przygotowują się do ewentualnych masowych mordów i zdecydowani są — w określonych okolicznościach — owych mordów dokonać — mają prawo sądzić i karać sprawców masakry w Pinkville?

Pierwsza wojna światowa była ostatnią w dziejach wojną prowadzoną przez kombatanów. Druga wojna światowa była już wojną totalną — a więc wojną, która nie zna rozróżnienia pomiędzy kombatanami a ludnością cywilną. Z chwilą kiedy technologia dostarczyła nam środków masowego zniszczenia stało się oczywiste, że każda wojna będzie wojną totalną, której celem jest nie tylko zniszczenie armii przeciwnika lecz przede wszystkim złamanie oporu wrogiego społeczeństwa. Jakiż inny cel mogło mieć zrównanie z ziemią Drezna — jednego z najpiękniejszych miast na kontynencie europejskim?

Drezno nie było bronione i owej nocy 1945 r. w jego ruinach zginęło — według ocen brytyjskich 135.000 osób. Owe 135.000 — to byli cywile

a nie dywizje SS. Myślę, że nie ma powodu rozpisywać się o atomowym bombardowaniu Hiroszimy, które było również wymierzone przeciwko ludności cywilnej.

Czy z powyższego należy wyprowadzić wniosek, że nie powinno być żadnego dochodzenia, sądu i kary w sprawie masakry w Pinkville?

Powinno być dochodzenie i winni powinni być ukarani. Równocześnie jednak musimy sobie uświadomić, że dopóki akceptujemy wojnę nuklearną jako potencjalną formę wojny totalnej — wszyscy jesteśmy winni. Źródłem zła jest wojna totalna, której Pinkville stanowi drobny epizod. W Wietnamie trudno jest rozróżnić pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami Wietkongu. Wojnę prowadzą wszyscy przeciwko wszystkim.

W razie wybuchu wojny atomowej nie setki lecz dziesiątki milionów ludzi uległoby zagładzie. Dopóki nie rozwiążemy tego problemu — nie ma podstawowej etycznej różnicy pomiędzy sędziami a oskarżonymi — pomiędzy Pentagonem a sprawcami masakry w Pinkville. Oskarżenia są w znacznej mierze kozłem ofiarnym systemu, który nam narzucono.

Nie można prowadzić totalnej technologicznej wojny i równocześnie uniknąć Drezna czy Pinkville. Pisałem na tych łamach wielokrotnie, że stalinowcy na Kremlu determinują nasze postępowanie i rozkładają nas moralnie. Imperializm sowiecki zmusza Stany Zjednoczone do zbrojeń i do akceptowania ideologii wojny totalnej. Ideologia wojny totalnej harmonizuje w pełni z totalnym systemem sowieckim — natomiast jest nie do strawienia dla społeczeństwa demokratycznego. W Sowietach o Katyniu cicho — nie dla tego, że Rosjanie są barbarzyńcami a Amerykanie humanitarystami. O Katyniu znają prawdę w Sowietach nieliczni — o Pinkville w Ameryce wiedzą wszyscy. Prasa i telewizja w Stanach Zjednoczonych odzwierciedlają moralny wstrząs jaki wywołała wiadomość o masakrze. Z punktu widzenia pragmatycznej polityki ów wstrząs stanowi zysk Sowietów, ponieważ konsekwencją owego szoku będzie pogłębienie nastrojów pacyfistycznych i izolacjonistycznych w Ameryce.

Pobić komunistów można tylko przyjmując ich metody gry — co powoduje zrozumiały odrzut w społeczeństwie demokratycznym. Przegrujemy z komunistami ponieważ metody ich walki społeczeństwo demokratyczne zaakceptowałoby tylko w wojnie na śmierć i życie, o własny dom i istnienie.

Spółeczeństwo amerykańskie — jeżeli chodzi o Wietnam — nie akceptuje metod totalnej, technologicznej wojny z nieodłącznymi masakrami, które wojnie totalnej zawsze towarzyszą. Równocześnie jednak społeczeństwo, przez swych najwyższych reprezentantów — domaga się od wojska zwycięstwa choćby okupionego życiem dziesiątków tysięcy młodych Amerykanów.

Jako stary żołnierz współczuję amerykańskim żołnierzom w Wietnamie. Gorzko musi być umierać za sprawę, której słuszność — przez własne społeczeństwo — poddawana jest w wątpliwość.

„OBIEKTYWIZM JEST JAK PAN BÓG”

Jeden z świeżo mianowanych dyrektorów programowych telewizji francuskiej, p. Pierre Desgraupes, w czasie śniadania wydanego z okazji jego pobytu w Londynie przez Anglo-American Press Association — powiedział, że obiektywizm jest jak Pan Bóg. Nikt nie wie czy istnieje, lecz niemniej

— należy go szukać. Pierre Desgraupes powiedział również, że Francja zaczyna naśladować wielce podziwianą wolność BBC — choć do tej pory rząd francuski uważał, że powinien kontrolować telewizję i radio.

Istotnie w telewizji francuskiej z obiektywizmem bywa czasem rozmaicie. W listopadzie ub. roku telewizja francuska zwróciła się do Redaktora *Kultury* z prośbą by wskazać kilka osób z emigracji, które chciałyby wziąć udział w dyskusji „okrągłego stołu” na temat Powstania Warszawskiego. Ponieważ w dyskusji mieli uczestniczyć Polacy z Warszawy — chodziło o stworzenie przeciwwagi celem zapewnienia maksymalnego obiektywizmu w projektowanej audycji. Ustalono, że polityczną emigrację reprezentować będą pp. Paweł Zaremba i Tadeusz Zawadzki-Zenczykowski. Telewizja francuska zaprosiła formalnie obu wymienionych powyżej panów, zamówiła dla nich pokoje w hotelu, itp.

Okazuje się jednak, że nie dość jest obiektywizmu szukać — zgodnie z chwalebna radą dyrektora Desgraupes — lecz trzeba również postawy obiektywnej nieustępliwie bronić.

Dyskusja na temat Powstania Warszawskiego w telewizji francuskiej miała się odbyć 26 listopada ub. roku. Kilka dni przed tą datą telewizja francuska powiadomiła telefonicznie zainteresowanych, że rząd PRL oświadczył, że audycję z udziałem emigrantów politycznych traktować będzie jako psunięcie nieżyczliwe w stosunku do Polski Ludowej. Na szczęście, którego nie udało się nam ustalić, zapadła decyzja, że zaproszenie dla polskich emigrantów należy wycofać. Równocześnie zaznaczono, że jeżeli chcemy możemy poszukać Francuza, Anglika czy Hiszpana, który reprezentowałby w dyskusji nasz punkt widzenia lecz w żadnym razie nie polskiego emigranta. (Dyskusja odbyła się 26 listopada ub. roku bez udziału przedstawiciela polskiej emigracji).

To nie jest drobny epizod. Rząd PRL zachęcony powodzeniem — być może wysunie w niedalekiej przyszłości nowe żądania anty-emigracyjne pod adresem rządu francuskiego.

A wreszcie — nie można pouczać komunistów swoich i zagranicznych na temat obiektywizmu i wolności słowa — jeżeli obiektywizmu i wolności słowa nie stosuje się samemu. Obiektywizm zaczyna się w domu — nie zagranicą.

W stolicy Polski nie można zorganizować obiektywnej dyskusji o Powstaniu Warszawskim — ponieważ rola jaką odegrał Stalin w tym dramacie musiałaby być przemilczana. W Polsce stacjonują wojska sowieckie i Polacy w Kraju nie mają możliwości ujawnienia prawdy o Powstaniu. Lecz we Francji wojska sowieckie, na szczęście, nie stacjonują i Francuzi w tym konkretnym wypadku nie mają niczego na swoje usprawiedliwienie. Poświęcili prawdę dla oportunistów — co z całą pewnością nie jest drogą wiodącą do obiektywizmu, o którym tak pięknie deklamował w Londynie p. Pierre Desgraupes.

FAZA WSTĘPNA

Ataki prasy reżymowej przeciwko *Kulturze* w ostatnich sześciu tygodniach przekroczyły znacznie przeciętną normę. Doświadczenie uczy, że tego typu gwałtowne wzmoczenie kampanii przeciwko naszemu miesięcznikowi stanowi zwykle przegrywkę do poważnego procesu politycznego. Gomułka

pragnąc przypieczętować „winę” sprawców wydarzeń marcowych — stara się udowodnić że inspiratorką owych wydarzeń była *Kultura*.

Schemat, który obowiązuje w państwach komunistycznych — choć daje się jeszcze z okresu wielkich czystek w Sowietach — przedstawia się następująco: 100 % społeczeństwa popiera rząd, 100 % popiera partię i 100 % kocha system komunistyczny z Bezpieką włącznie. Jedyne niebezpieczeństwo jakie może zagrażać owemu rajowi na ziemi płynie z zewnątrz. Daleko za lasami za górami — istnieją państwa imperialistyczno-kapitalistyczne, których wywiady dniem i nocą knują spiski przeciwko władzy ludowej, będącej pierwszą w dziejach personifikacją wolności i sprawiedliwości społecznej. Ponieważ nawet w ustroju komunistycznym spotkać jeszcze można ludzi słabych i źle zorientowanych — jest zrozumiałe, że owi wykołajeńcy wpadają czasem w sidła zastawione przez paryską *Kulturę* i inne ośrodki imperialistycznej dywersji.

W państwie komunistycznym nie ma partii opozycyjnych — ponieważ nikt nie jest w opozycji do rządu i systemu. Jeżeli ktoś czyta *Kulturę* — jest jasne, że uległ inspiracji z zewnątrz. Jeżeli ktoś uległ inspiracji z zewnątrz jest szpiegiem — ponieważ wszelka dywersja z zewnątrz kierowana jest przez obce wywiady.

Jest rzeczą zdumiewającą, że ów prostacki i naiwny schemat przetrwał do dziś i oskarżenie o takie czy inne powiązania z paryską *Kulturą* — stanowi kościół każdej niemal kampanii politycznej w Polsce Ludowej.

Komuniści — jak wszyscy wyznawcy ideologii totalnych — uważają, że każda metoda jest dobra jeżeli prowadzi do celu. Lecz historia ubiegłych 20 lat stanowi bezsprzeczny dowód, że powyższa metoda nie prowadzi do celu. Zainteresowanie *Kulturą* w społeczeństwie polskim stale rośnie — o czym świadczy fakt, że ataki prasy komunistycznej przeciwko nam również stale wzrastają.

Niewątpliwie najskuteczniejszą metodą walki z *Kulturą* byłoby wydawanie miesięcznika na wysokim poziomie w Paryżu czy w Londynie. Jednak powyższe rozwiązanie choć proste i logiczne — dla reżimu jest nieosiągalne. Na emigracji rząd warszawski nie dysponuje żadnymi nazwiskami, które się liczą — trzeba by więc całą ekipę redakcyjną sprowadzić z Kraju. Zbędne dodawać, że gdyby owa ekipa wylądowała za granicą — do trzech miesięcy większość jej członków wybrałaby wolność, narażając reżim na kompromitację i straty finansowe.

Czy to oznacza, że reżim nie ma zaufanych i oddanych sobie pisarzy i intelektualistów? Owszem ma — lecz ci oddani i zaufani ale bez talentu i charakteru nie stanowiliby przeciwwagi i wskutek tego nie byłoby sensu gdziekolwiek ich wysyłać. Natomiast ci pisarze krajowi, którzy potrafiliby stworzyć pismo na wysokim poziomie — po pierwsze nie dostaną paszportów, a po drugie — nie podjęliby się takiej działalności.

LONDYŃCZYK

Sąsiedzi

Stosunki polsko-litewskie w 1968 r.

Artykuł w *Kulturze* o „Litwie Współczesnej” znalazł szeroki odzew w prasie litewskiej. M.in. *Dirva* z Cleveland (U.S.A.), w trzech numerach z 10, 12 i 17 września br. podała jego tłumaczenie poprzedzając obszernym wstępem podanym poniżej:

„Wydawany przez Instytut Literacki polskich uchodźców w Paryżu miesięcznik polityczny *Kultura*, ma swoisty charakter i wyróżnia się spośród periodyków nie tylko polskich, ale i wydawanych przez innych uchodźców europejskich.

Pismo dzięki samodzielnej linii politycznej i szerokiej poczytności, nie tylko wśród Polaków za granicą, ale i w kraju, uzyskało w ciągu wielu lat ciężar gatunkowy poważnego czynnika politycznego, chociaż formalnie nie reprezentuje żadnego politycznego ruchu wolnościowego. Twierdzi się, że każda polityczna emigracja zmierza do skostnienia. Jednak polska, paryska *Kultura* szczęśliwie uniknęła tej politycznej sklerozy. Jeżeli można się tak wyrazić, *Kultura* jest najmniej emigranckim czasopiśmie uchodźców politycznych.

Nastawiona wyraźnie przeciw reżymowi Gomułki, i przez ten reżym najbardziej znienawidzona, *Kultura* pilnie i wnikliwie śledzi życie kraju i utrzymuje z nim, w granicach możliwości, żywy kontakt.

Znaczenie Instytutu Literackiego polega nie tylko na wydawaniu miesięcznika *Kultura*, ale i na wydawaniu polskich książek, w tzw. „Bibliotece *Kultury*” liczącej już około 200 tomów. Obejmuje ona zarówno literaturę piękną, jak również dzieła polityczne, wśród których specjalnie aktualne, ważne i ciekawe są wydane w tym zbiorze dokumentów: „Ukraina 1956-1968”, oraz dwa tomy „Wydarzeń Marcowych 1968”. Z tymi zbiorami dokumentów, ukazującymi ukraiński i polski opór przeciw dyktatorskiemu reżymowi komunistycznemu, i walkę o prawa człowieka i narodu, powinien się zaznajomić każdy litewski polityk. Chociaż w tych wydawnictwach naświetlana jest tylko sytuacja na Ukrainie i w Polsce, jednak mogą one dać zrozumienie tego co się dzieje na Litwie dzisiaj, lub będzie się działo jutro. Polski miesięcznik *Kultura* może być ciekawy i ważny dla Litwinów również i dlatego, że wyraża wyraźnie, otwarcie i twardo, iż stary spór polsko-litewski o Wilno należy uważać za skończony i nie należy go odnawiać. Wilno wróciło do Litwy i nie należy do niego rościć pretensji. Podobnie Polacy powinni wyrzec się żądań zwrotu przez Ukraińców Lwowa.

Byłaby rzeczywiście szkoda gdyby prezes VLIK'u (Nacz. Komitet Wyzwolenia Litwy), który niedawno bawił w Paryżu, nie znalazł czasu na odwiedzenie polskiego Instytutu Literackiego i redakcji *Kultury*, i nie omówił możliwości pożytecznej i owocnej współpracy, co wchodzi w zakres kompetencji VLIK'u.

Tym bardziej, że w ostatnim numerze *Kultury* (262/263) właśnie ukazał się ważny dla Litwinów artykuł E. Żagiella, pt. „Litwa Współczesna”. Autor tego artykułu, prawdopodobnie pochodzący z Wileńszczyzny, posługujący się głównie źródłami wolnych Litwinów, i z Sowieckiej Litwy, w swym niedługim artykule potrafił żywo i ciekawie dać obraz współczesnej Litwy. Warto by z niektórymi myślami, wnioskami i stwierdzeniami autora zaznajomili się również czytelnicy *Dirvy*.

W zakończeniu autor, p. St. Żymantas, wytyka tylko jedno przemilczenie, mianowicie działalności Litewskiej Akademii Nauk. Zarzut słuszny, ale dane w encyklopedii „wileńskiej”, że na Litwie jest sto instytutów badawczych, zatrudniających trzy tysiące pracowników, wydawały się niebardzo wiarygodne i dlatego temat ten nie został rozwinięty.

Natomiast na skutek własnej „samokrytyki” należałoby nieco skorygować informacje o stanie rolnictwa, które po rozwinięciu produkcji sztucznych nawozów w ostatnich latach, stało się bardziej wydajne, niż to obrazowały dane z roku 1964.

Odnosnie zacytowanego wstępu, o tak przychylnych słowach dla *Kultury*, należy się pewne wyjaśnienie. Jest pewna analogia między stosunkami litewsko-polskimi, a polsko-niemieckimi. W rządowej Warszawie dzielą Niemców na „dobrych”, tych wschodnich, i złych — tych zachodnich, nie uznających granicy na Odrze i Nysie. W rządowym Wilnie okres do 1939 jest nazywany polską okupacją, ale na Jubileusz PRL'u, pomimo, że był to dzień pierwszego lądowania na księżycu, połowa numeru wileńskiej *Tiesy* była poświęcona Polsce, w bardzo serdecznym tonie.

Na emigracji Litwini dzielą Polaków na „złych”, mających pretesje do Wilna, z którymi nie można i nie ma o czym gadać, i godzących się z utratą Wilna, z którymi racja stanu nakazuje rozmowy, bo nazbyt dużo jest spraw, które łączą.

Dla ilustracji powyższej oceny i ogólnego naświetlenia nastrojów kilka cytat z litewskiej prasy.

W amerykańskiej *Dirvie* czytamy:

„P. J... dziwi się, że nasze społeczeństwo odnosi się tak obojętnie do jubileuszu Unii Lubelskiej. Wydaje się chyba zupełnie zrozumiałe, że nie-dobrego, przykrego i niekorzystnego wypadku nie chce się ukazywać, jak na dłoni, przyglądać mu się albo jeszcze rozgłaszać. Z drugiej jednak strony warto takie niepomysłne fakty z naszej historii badać, aby się podobne nie-szczęścia nie powtarzały. Na błędach trzeba się uczyć. A Unia Lubelska wykazuje nasz zbyt miękki charakter, naszą za wielką ufność w enoty chrześcijańskie innych i ich dobrą wolę. Powinniśmy pilnie studiować nauki polityczne i zapamiętać, że w pertraktacjach z sąsiadem nie można oczekiwać żadnej litości. Tylko twarda stanowcza taktyka daje sprawiedliwe wyniki”.

Z kolei szereg wypowiedzi na łamach sydneyjskiej *Musu Pas-*

toge. Pewien „Staruszek” cytuje opinię swego syna, z młodej inteligencji emigracyjnej:

„Dlaczego my, młode pokolenie, mamy być wrogo nastawieni do Polaków? Usprawiedliwione to jest wśród starszego pokolenia, które walczyło z Polakami. Historia wykazuje że okres 400 lat łączył Litwę z Polską. Chodkiewiczowie, Radziwiłłowie, Sapiehowie byli patriotami litewskimi. Choć później potem szlachta się spolszczyła i były liczne konflikty, to jednak przeważa 400-letni okres współżycia, zwłaszcza, że obecnie losy są podobne i współdziałanie wskazane”.

W odpowiedzi „Jeszcze nie staruszek” pisze, że

„nie ma problemu stosunków z Polakami i nie można spotkać Litwina, który by nienawidził Polaków. Wrogość ustała wraz z odzyskaniem zagarniętego Wilna, czego dowodem życzliwe przyjęcie polskich uchodźców w roku 1939. Litwini poruszają spór o Wilno, tylko wówczas gdy Polacy zgłaszają doń pretensje. Stosunki z Łotyszami i Estończykami są bliższe, bo sytuacja jest analogiczna. Lecz we wspólnych dążeniach należy współpracować ze wszystkimi potencjalnymi sojusznikami, a więc i z Polakami”.

W innym znów miejscu wiadomość z polskiego pisma emigracyjnego: „We Lwowie i Wilnie ludność wschodniej Polski także musi manifestować” (chodziło o Czechosłowację) zaopatrzona jest w następujący komentarz:

„Zadziwiające jest, że Polacy na uchodźstwie nie znają, albo zapomnieli geografii Polski, jeżeli ukraińskie miasto Lwów i stolicę Litwy Wilno uważają za wschodnią część Polski”.

Jak widać wystarczyła mała isierka, aby płomień dawnej niezgody wybuchł.

Na koncercie zorganizowanym przez Polaków w Adelaidzie, ku uczczeniu 150-lecia urodzin Moniuszki, występowali również litewscy artyści. Jeden z uczestników po naradzie z miejscowymi litewskimi działaczami wyraża swoje poglądy na łamach *Musu Pastoge*:

„Gdyby to nie był polski koncert, a jakiejś innej grupy narodowej, nikt by w tym nie widział nic nadzwyczajnego. Ale przecież to był polski koncert dla uczczenia polskiego kompozytora! A Polacy są uważani za wrogów i teraz, chociaż już 'Wilno nasze a Litwa Rosjan'. Przebywający na uchodźstwie Polacy dążą do tego samego celu co i my. Marzą oni także o uwolnieniu się spod jarzma Rosji Sowieckiej. Walkujemy myśl, że każda grupa narodowa mogąca ukąsić rosyjskiego niedźwiedzia, winna być włączona do współdziałania. Pomimo jednak tych rozważań nie możemy wybrać ze sprzeczności nastawienia uczuciowego i racji stanu (praktycznych potrzeb). Jedni sądzą, że miejscowi Polacy powinni stwierdzić, iż nie mają żadnych pretensji do Wilna. Tylko po takim oświadczeniu można by myśleć o wspólnej walce ze wspólnym wrogiem.

Wykazuje się też, że w prywatnych rozmowach Polacy dają do zrozumienia, że problem Wilna już dawno został rozstrzygnięty i nie ma potrzeby go wznowiać, gdyż najważniejsze jest odzyskanie wolności obu krajów. Polacy są skłonni współpracować w tym kierunku z Litwinami, a Litwini

też poczynili pierwsze kroki. Nasi oficjalni przedstawiciele biorą udział w powstałej w Sydney Radzie Federacji Środkowo-Wschodniej Europy, a w Melbourne uczestniczą w organizacji A.C.E.N. grupującej 9 narodów i mającej na celu — odzyskania wolności przez ujarzmione narody europejskie.

Jeżeli i nadal uważamy Polaków za wrogów, to winniśmy kierować się starym litewskim przysłowiem: 'Nie chodź z diabłem na grzybobranie'. Gdy jednak powiemy sobie, że czasy się zmieniają, a razem z nimi i ludzie i ich poglądy oraz dążenia, wówczas i my powinniśmy poddać rewizji nasz stosunek do Polaków”.

„Zapewnienia Polaków (w sprawie Wilna) przyjmujemy z wielką rezerwą. Sądymy, że Polacy kłamią i oszukują. Ta nieufność weszła nam w krew i trzeba by dużo czasu, aby poglądy i uczucia uległy zmianie. Dlatego nawet gdyby względy praktyczne dyktowały taką czy inną współpracę, krzyżowałoby się to z naszymi uczuciami i współpraca byłaby pod znakiem znacznej nieufności”.

Wydaje się, że ten List z Adelaidy dosyć dobrze odzwierciedla istotę problemu, dlatego wart był zacytowania.



Już nie tylko Polacy, ale i Litwini mają coraz częstsze kontakty ze starym krajem. Normalna wiza dla zagranicznego turysty zezwala na 5-ciodniowy pobyt w Wilnie, bez prawa wydalenia się poza jego granice. Czasem bywa to rozciągnięte i na Kowno, a już rzadkością jest zezwolenie na pobyt na prowincji.

Mieszkańcy bardzo niechętnie wdają się w rozmowy o polityce. Co najwyżej przy pożegnaniu napomkną, że „o ogólnej sytuacji w kraju nie mówiłem, bo i tak byś nie zrozumiał”. Bo i jak zrozumieć słysząc wokół o wspaniałym rozwoju technicznym a spotyając na całej trasie Wilno-Kowno zaledwie kilka pojazdów mechanicznych wszelkiego typu.

Patrioci wstępują do partii, bo to jest jedyna platforma, z której można mieć jakikolwiek wpływ w jakiegokolwiek bądź dziedzinie. A dewizą ich jest podobno: Nie sądzicie nas według tego, co mówimy, ale według tego, co robimy.

W emigracyjnej ocenie sowieckich wysiłków rusyfikacji kraju jest trochę przesady. Coś jednak zostało z zaleceń o tworzeniu kultur komunistycznych w treści, a narodowych w formie.

Ze względu na pewne napięcia w sytuacji wewnętrznej w Sowietach, rząd stara się wpoić obywatelom przekonanie, że wszystko jest w porządku, że życie jest normalne i ustabilizowane. Umożliwienie wizyt zza granicy ma na celu nie tylko zdobycie dewiz, ale również przekonanie własnych obywateli, że i w oczach gości zagranicznych stosunki są normalne, ustabilizowane. Ogromne, wieloszpaltowe wiadomości o wizytach na Kremlu mówią o stanie jakichś lilipucich republik wskazując, jak ważne jest wpajanie w obywateli przekonania, że Związek Sowiecki jest „przyjęty do towarzystwa”, że sytuacja przez cały świat jest uznawana za normalną i ustabilizowaną.

W jedynym filmie litewskim produkcji sowieckiej jest scenka, kiedy komunista mówi do litewskiego partyzanta w roku 1945: „O Związek Sowiecki załamała się cała potęga hitlerowska, a wy się porywacie?”.

Te usiłowania pozbawiania nadziei są zgodne z pewną starą rosyjską doktryną, związaną historycznie z Litwą. Murawjow-Wieszeł w swych wspomnieniach (wydanych niegdyś również w polskim tłumaczeniu), pisał: „Pierwszym i podstawowym zadaniem przy tłumieniu buntu jest pozbawienie buntowników wiary w zwycięstwo”.

E. ŻAGIELL

Przegląd niemiecki

NOWY RZĄD I OPOZYCJA

Szóste dziesięciolecie naszego wieku Niemcy Zachodnie zakończyły wyborem socjalisty, dr. Gustava Heinemanna, na Prezydenta Republiki Związkowej i powołaniem także socjalisty, Willy Brandta, na kluczowe w tym kraju stanowisko Kanclerza. W obu wypadkach mała liczebnie partia liberałów (FDP) umożliwiła socjalistom (SPD) objęcie najwyższych urzędów reprezentacji i steru państwa.

Nowy Kanclerz zlikwidował pięć dotychczasowych ministerstw (między innymi ministerstwo uchodźców i wysiedleńców). Trzy teki powierzył liberałom: sprawy zagraniczne, sprawy wewnętrzne i rolnictwo. Gospodarką niemiecką nadal kierować będzie powszechnie ceniony ekonomista, gwiazdor SPD, prof. Karl Schiller. Ministerstwo skarbu — po zażywnym i wszechwiedzącym Franz-Josef Strausie — objął ascetyczny prezes zarządu wielkiego towarzystwa ubezpieczeniowego, dr Alex Möller, żartobliwie lecz z uznaniem tytułowany: „towarzysz dyrektor generalny”. Ministrem „wiedzy i wykształcenia” został prof. Hans Leussink, jedyny bezpartyjny członek gabinetu Brandta.

Innowacją obecnego gabinetu jest mianowanie ministrem kierownika *Bundeskanzleramt*. Ministrem tym został prof. Horst Emke, były minister sprawiedliwości w koalicyjnym rządzie Kiesingera. Plotki nadreńskie desygnują czterdziestotrzyletniego profesora na następcę Willy Brandta. Rzeczywisty twórca obecnego rządu, nieprzeciętnych zdolności polityk i szara eminencja SPD — Herbert Wehner, nie wszedł do gabinetu. Objął stanowisko prezesa frakcji parlamentarnej socjalistów.

Rząd Brandta w ciągu kilku zaledwie tygodni istnienia powziął trzy decyzje o międzynarodowym znaczeniu. Podwyższono wartość marki niemieckiej o prawie 9 % w stosunku do walut zachodnich. Podpisano układ o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnych. Podjęto próbę ruszenia z martwego punktu polityki wschodnioeuropejskiej: najpierw w Moskwie, a kilka dni później w Warszawie, złożono noty wyrażające gotowość Republiki Związko-

wej do podjęcia rokowań, zmierzających do ustalenia normalnych stosunków między państwowych.

Jeszcze w 1966 roku członkowie Paktu Warszawskiego ustalili w Bukareszcie pod dyktando Kremla trzy zasadnicze warunki normalizacji stosunków z Republiką Związkową: 1) Uznanie granic powstałych w Europie po zakończeniu Wojny w 1945 roku. 2) Uznanie istnienia dwu suwerennych państw niemieckich o jednakowych uprawnieniach międzynarodowych. 3) Uniemożliwienie Republice Związkowej dostępu do broni nuklearnych wszelkiego rodzaju.

Trzeci z tych punktów nowy rząd niemiecki przyjął przez podpisanie paktu o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnych.

Jeśli idzie o punkt drugi deklaracja nowego rządu w *Bundestagu* pierwszy raz po wojnie zawiera słowa o dwu państwach niemieckich. Nie wypełnia to warunku Kremla, ale stanowić może punkt wyjściowy dla rokowań. Uznanie granicy Odra-Nysa nowy rząd proponuje uregulować traktem z Polską Republiką Ludową, zawierającym wyrzeczenie się użycia siły (*Gewaltverzicht*) i gwarancję integralności dzisiejszego polskiego stanu posiadania. Tak zawiłe sformułowanie propozycji jest obliczone bardziej na wewnętrzny użytek niż dla PRL.

Dalszy rozwój wydarzeń, rozpoczętych złożeniem niemieckich not w Moskwie i Warszawie, będzie zależny przede wszystkim od decyzji Kremla, na którą wpływają stosunki chińsko-sowieckie i sytuacja wewnętrzna Związku Sowieckiego. Rozwój ten będzie też trochę zależny od zręczności lub nieudolności politycznej diadochów w Warszawie.

Wyrażane ostatnio tu i ówdzie obawy politycznych niespodzianek, wzorowanych na Rapallo, wydają się chyba przysłowiowym dmuchaniem poparzonego na zimne. Trudno wyobrazić sobie, by dzisiejsi socjaliści niemieccy — zdolawszy swym ewolucyjnym programem zażegnać walkę z Kościołami, potrafiwszy wciągnąć do swych szeregów licznych naukowców, wielkich bankierów i przemysłowców, jak nowy prezes Banku Emisyjnego dr Karl Klasen, jak multimilioner, „król porcelany”, od ubiegłego września poseł SPD, Rosenthal, i wielu im podobnych — nawrócili do dziewiętnastowiecznego nacjonalizmu i imperialistycznych mrzonek.

(Dotychczasowy prezes Banku Emisyjnego, finansista o międzynarodowym znaczeniu, Karl Blessing, po dwunastu latach pracy na tym stanowisku i po ustawowym zakończeniu kadencji w styczniu 1970 roku, przechodzi na emeryturę. Następcą będzie dr Karl Klasen, sześćdziesięcioletni prezes największego i najbogatszego banku akcyjnego w Niemczech, aktywny członek SPD od 1931 roku).

Niepobawionym podstaw powodem do obaw przeciw neorapallizmowi była oportunistyczna postawa liberałów za rządów Adenauera i Erharda. Ale po doświadczeniach FDP, nabytych w opozycji za kanclerstwa Kiesingera i po katastrofie wyborczej we wrześniu, należy spodziewać się ponownego odrodzenia tej partii, posiadającej półtorawieczną tradycję istnienia.

W obu opozycyjnych dziś partiach chrześcijańskiej demokracji, ogólnoniemieckiej CDU i bawarskiej CSU, przed wrześniowymi wyborami nikt nie przygotowywał się poważnie do ewentualnej roli opozycji w *Bundestagu* i do utraty przewag wynikających z dyspozycji urzędem kanclerskim i fotelami ministrów. Dlatego, po parlamentarnym objęciu rządu przez socjalistów i liberałów, powstało wśród chadecji powszechne zamieszanie, potęgo-

wane gniewem na liberałów i utajoną konkurencją potencjalnych kandydatów na urząd kanclerski w wypadku rozpadnięcia się koalicji socjalistów z liberałami, albo po ewentualnym powodzeniu chadecji w wyborach 1973 r.

Potrzeba wewnętrznych reform i ustalenia unowocześnionych kierunków w partii, reprezentującej łącznie z bawarską CSU 46 % wyborców, wyraźnie zaznaczyła się podczas listopadowego ogólnoniemieckiego Zjazdu Delegatów CDU, zwłaszcza przy wyborach nowych władz partyjnych. Największą jednak sensacją tego Zjazdu wydał mi się eksperyment przeprowadzony przez jedną z grup CDU: — zapytano ponad trzystu delegatów jakby się ustosunkowali do projektu skreślenia litery „C” z urzędowego tytułu CDU: *Christlich Demokratische Union*. Osiągnięte cyfry tej ankiety w chwili obecnej wydają się mniej ważne od samego faktu jej przeprowadzania.

Wewnętrzne reformy chadecji będą zapewne długotrwałym procesem. Na zewnątrz, w *Bundestagu*, występuje pogodzenie się z rolą opozycji i dążność do stworzenia parlamentarnej alternatywy rządu Brandta. Ostatnio, przywódca opozycji w parlamencie, Rainer Barzel, rzeczowo i z odcieniem aprobaty omawiał zagraniczne wystąpienia Kanclerza i ministra Scheela, a przy wniosku dotyczącym wydatków państwowych osiągnął nawet poparcie ministra skarbu Möllera.

Postawa Barzela jest oceniana jako oferta pod adresem rządu, by w ważnych sprawach zagranicznych i skarbowych — po ich wspólnym omówieniu — występować zgodnie. Nie oznacza to bynajmniej, że prezes opozycji parlamentarnej pragnie ułatwić żywot koalicji Brandt-Scheel. Jest to jedynie żrące posunięcie dążące do wykazania społeczeństwu, że unia CDU/CSU reprezentuje zrównoważoną trwałość interesów państwowych.

LINDENFELS

Dokładnie przed dwoma laty, opisując trzeci sympozjon niemiecko-polskich historyków, literatów i publicystów, wyraziłem nadzieję (*Kultura* nr 1/243-2/244), że profesorowi Rhode uda się stworzyć ze spotkań w Lindenfels instytucję trwałą, działającą ku pożytkowi obu stron. Wyrażona nadzieja stała się faktem. W ostatnich dniach listopada prof. Rhode zgromadził 26 uczestników — zaproszonych było około 40 osób — czwartego już w Lindenfels sympozjonu, a na marzec 1971 roku zapowiedział piąte spotkanie.

Sympozjony w Lindenfels stają się tradycją. Nie instytucją, gdyż nie posiadają statutów, przepisów, czy innych oznak stałości. Tradycja ta oczekuje od uczestnika, żeby mu była nie obcą idea porozumienia niemiecko-polskiego i żeby z wyrozumieniem odnosił się do stanowiska strony przeciwnej. Doraźne kompromisy nie stanowią ani celu, ani tematu spotkań. Wartość spotkań, według słów prof. Rhode, polega na absolutnej wolności słowa i przekonania.

Organizatorami spotkań są profesorowie: Gotthold Rhode z Moguncji i Jerzy Hauptman z Parkville, Missouri, USA. Instytucją firmującą jest Towarzystwo Studiów Środkowo i Wschodnioeuropejskich, patronowane przez profesora Alfreda Domesa z Bonn.

Treści referatów i dyskusji są niemal wyłącznie tematy zakurtynowe, zwłaszcza niedostatecznie znane, lub różnorodnie komentowane. Tematy za-

chodnioniemieckie organizatorzy traktują ubocznie, jako zbyt łatwo dostępne i znane uczestnikom, by je umieszczać w programach spotkań.

W czwartym sympozjonie uczestniczyli: Czech, Hindus (mający za sobą pięcioletnie studia w PRL), jedenastu Niemców i trzynastu Polaków, tym razem wyjątkowo mocno reprezentujących emigracyjną publicystykę i Mohikanów XIX stulecia.

Według zapowiedzi organizatorów, opisy czterech spotkań w Lindenfels, wyciągi z wygłoszonych referatów i skróty ważniejszych dyskusji, ukażą się wkrótce w wydaniu książkowym, zredagowanym w dwu językach.

W porównaniu z opisem Lindenfelsu sprzed dwu lat należy zanotować kilka pomyślnych zmian. Rozszerzył się krąg Niemców i Polaków chcących i mogących z pożytkiem dla obu stron omawiać wspólne zagadnienia, nawet w wypadku spraw bardzo drażliwych. Atmosfera wzajemnej lojalności w tym rozszerzającym się stale kręgu nabiera cech stałości. Wzrasta dodatni wpływ bezpośrednich kontaktów i znajomości zawartych w Lindenfels między przedstawicielami obu stron.

Towarzystwo Studiów Wspólnoty Środkowo i Wschodnioeuropejskiej jest źródłem rzeczowej informacji w Niemczech Zachodnich dla wielu urzędów i osobistości, niedostatecznie zorientowanych w zagadnieniach polskich. Współudział w pomnażaniu i ulepszaniu owej rzeczowej informacji jest prawdopodobnie najważniejszym osiągnięciem spotkań lindenfelskich.

Monachium, 8 grudnia 1969 roku.

S. W. KOZŁOWSKI

W sowieckiej prasie

Riazański Oddział Związku Pisarzy Republiki Rosyjskiej wykluczył Aleksandra Sołżenicyna. Razem z Sołżenicynem oddział ten liczył 5 osób, lecz i bez niego pozostało jeszcze 4 pisarzy (jak dotąd nikt nie wie co oni napisali, ale posiadają karty członkowskie Związku), a więc o 400 % więcej niż przed rewolucją, kiedy to w Riazańskiej guberni był tylko jeden poeta — Siergiej Jesienin. Trzeba stwierdzić, że jeden z 4-ch pisarzy riazańskich nie od razu zgodził się głosować za usunięciem Sołżenicyna. Nie dlatego, że był za Sołżenicynem. Naturalnie, że nie. Ale bardzo rozsądnie powiedział: „Żeby znowu nie powtórzyła się historia jak z Pasternakiem. Najpierw kazano głosować za usunięciem, a potem trzeba było z powrotem go przyjmować”. Widocznie jednak obecny na zebraniu sekretarz Okręgowego Komitetu partii dał nieufnemu riazańskiemu zapewnienie, że Sołżenicyna z powrotem przyjmować się nie będzie. Potem wszyscy czterej zgodnie głosowali: usunąć.

Ma się rozumieć inne czasy, i co najważniejsze Sołżenicyn nie przypomina innych usuniętych przed nim pisarzy sowieckich. Sołżenicyn wystąpił do Związku Pisarzy Sowieckich list świadczący, że jest nie tylko wielkim pisarzem ale i człowiekiem wielkiego ducha. Treść listu znana jest w przekładach na język francuski i angielski. Z kilku zdań, nieśmiało cytowanych w oświadczeniu sekretariatu Zarządu Związku Pisarzy RSFSR, widać, że przekłady nie oddają w pełni przekonania Sołżenicyna, całej jego nie-nawiści do małych, niezdarnych człowieczków, udających, że to oni kierują rosyjską literaturą.

Jedyną rzeczą, którą ci urzędnicy mogli zrobić to oskarżyć Sołżenicyna o zdradę ojczyzny za co sowiecki kodeks karny przewiduje „pozbawienie wolności na czas od 10 do 15 lat... albo karę śmierci”. W oświadczeniu organizacji literatów mówi się, że „antysowieckie ośrodki za granicą wykorzystują wydanie dzieł Sołżenicyna nie tylko dla politycznej walki przeciw naszemu krajowi, ale i dla bezpośredniego finansowania różnych wywrotowych organizacji”. Art. 64 k.k. RSFSR właśnie przewiduje takie przestępstwo: „...Okazanie obcemu mocarstwu pomocy w przeprowadzeniu wrogiej akcji przeciwko SSSR”.

Cała ta kampania przeciwko Sołżenicynowi nosi inny charakter niż przeciwko Pasternakowi, Siniawskiemu i Danielowi. Nie ma jak dotąd masowych zebrań z osądzaniem wrogów narodu, nie występują ani kołchoźnice ani robotnicy-stachanowcy, nie występują jak dotąd nawet pisarze. Ogłasza się tylko skąpe, lakoniczne oświadczenia, że komórki partyjne różnych oddziałów Związku Pisarzy (Moskiewskiego, Leningradzkiego) jednogłośnie aprobowały wykluczenie Sołżenicyna. Nie było dotąd ogólnych zebrań organizacji pisarzy (tj. z udziałem bezpartyjnych). Nie było, gdyż chodzą plotki, że znajdują się odważni — protestujący przeciwko usunięciu Sołżenicyna. Zresztą na początku grudnia zastępca członka Polit. Biura Demiczew, „główny *Kulturtraeger*” Związku Sowieckiego, zwołał zebranie wszystkich twórczych pracowników: pisarzy, muzyków, malarzy, filmowców. Oprócz ogólników o konieczności zwiększenia czujności i o pracy ideologicznej, gazety jak dotąd żadnych szczegółów o tym zebraniu nie podały.

Mówiąc, że pisarze jeszcze nie wystąpili z oskarżeniem Sołżenicyna miałem na myśli pisarzy-laureatów nagród stalinowskich, gdyż laureat nagrody Nobla już się na ten temat wypowiedział.

Swoje przemówienie na III Zjeździe Kołchoźników Michaił Szołochow rozpoczął słowami: „Jesteśmy w tej chwili pod nieodpartym wrażeniem towarzysza Breżniewa”. Potem spełniwszy, jakby to można powiedzieć, obowiązek, ten wybitny pisarz, który całe życie „nieodparcie znajdował się pod wrażeniem”: Stalina, Chruszczowa czy Breżniewa — przeszedł do sedna rzeczy: „Wy walczyście skutecznie ze szkodnikami polnymi, a, niestety, w naszych szeregach istnieją dotąd jeszcze stonki ziemniaczane. (Śmiech na sali, oklaski). To są ci, którzy jedzą sowiecki chleb a chcą służyć zachodnim, burżuazyjnym panom, do których taj-

nie przerzucają swoje utwory. Ale tak jak i wy w swoim gospodarstwie, tak samo i my, sowieccy pisarze, jesteśmy zdecydowani usunąć wszystkie błędy i braki i pozbędziemy się ich”.

Szołochow domagał się w swoim czasie rozstrzelania Siniawskiego i Daniela (porównanie ze stonką ziemniaczaną zrozumieli nawet nie zorientowani w literaturze działacze-kołchoźnicy). Jeśli idzie o Sołżenicyna, Szołochow proponuje rozprawić się z nim tak, jak ze szkodnikami polnymi. Wszystkim wiadomo, że w walce ze stonką ziemniaczaną najskuteczniej pomaga spryskiwanie roztworem arsenu. Nareszcie pieniądze wynalazcy dynamitu — Nobla, dostały się w ręce odpowiedniego człowieka.

W ostatnich dniach, kiedy czytałem informację o usunięciu Sołżenicyna, wpadły mi przypadkowo w ręce pisma rosyjskie, które ukazały się stosunkowo dawno ale, jak widać, nie straciły na aktualności. Przeczytałem: „Miłość ojczyzny jest rzeczą piękną, ale jeszcze piękniejszą jest miłość prawdy... Nie umiem kochać swojej ojczyzny z zamkniętymi oczami i zakneblowanymi ustami”. Przecież mógłby to napisać i Sołżenicyn. A w artykule, z którego wzięłem ten cytat, mówi się jeszcze: „Przeszłość Rosji była niezwykła, jej teraźniejszość jest więcej niż wspaniała, jeśli zaś idzie o jej przyszłość, to przekracza ona wszystko, co może sobie wyobrazić najśmielsza fantazja; to jest punkt widzenia, z którego powinna być rozpatrywana i pisana rosyjska historia”. A to znowu mógłby śmiało powiedzieć (pisać już on nie może) Szołochow.

W rzeczywistości pierwsza cytata wzięta jest z „Listu filozoficznego” Piotra Czaadajewa, opublikowanego w roku 1836, a druga z listu — z powodu tejże pracy Czaadajewa — szefa żandarmerii, hrabiego Benkendorfa. Wyciągnąć można z powyższego jedynie banalny wniosek — pisarzom rosyjskim jest zawsze źle i zawsze są niezadowoleni, a rosyjskim żandarmom zawsze dobrze — nie tylko kochają rzeczywistość, ale i z optymizmem patrzą w przyszłość.

O głównych mówcach na zjeździe kołchoźników już pisałem. Przemówienie Breżniewa było, być może, trochę pesymistyczniejsze od przemówienia Szołochowa. Generalny Sekretarz przyznał, że „w procesie gospodarki kołchoźnej nie uniknęliśmy znanych błędów. Ale to były błędy poszukiwaczy, błędy wynikające z braku doświadczenia...”. Dlaczego w 15 lat po rozpoczęciu kolektywizacji w Związku Sowieckim, kiedy, zdawałoby się, posiada się już doświadczenie, w Polsce trzeba było poprawiać wszystkie sowieckie błędy — tego Breżniew nie powiedział. Skarżył się na to, że „po dziś dzień znajdują się amatorzy wyolbrzymiania kosztów wielkiego rewolucyjnego dzieła”, to jest dzieła kolektywizacji.

Tym niemniej Breżniew zmuszony był zaznaczyć, że niezależnie od 30-letniego doświadczenia — „analiza działalności kołchozów i sowchozów wykazuje, że w wielu rejonach, przy obecnym

poziomie materiałowo-technicznego wyposażenia gospodarstw, urodzaj ziarna, bawełny, buraków cukrowych, kartofli, owoców, paszy i innych kultur, powinien być znacznie wyższy od faktycznych. W przekładzie na normalny język oznacza to, że mimo „przodującej w świecie socjalistycznej organizacji pracy (kołchozy i sowchozy), niezależnie od wyposażenia gospodarstw w maszyny, zbiory *wszystkich upraw są znacznie niższe niż w krajach kapitalistycznych*. Czemu to przypisać — można się tylko domyslać.

III Zjazd Kołchoźników przyjął nowy, modelowy statut kołchozów, tylko w drobiazgach różniący się od starego. Zmiany polegają po pierwsze na gwarantowaniu praw kołchoźnika do działek przyzagrodowych, po drugie na rozszerzeniu niektórych form ubezpieczeń socjalnych dla kołchoźników. Gwarantowanie działek przyzagrodowych tłumaczy się tym, że właśnie te działki dają ludności znaczną część owoców, mleka, jaj i nawet mięsa.

Kołchoźnicy nie utrzymali jednak paszportów — to jest prawa na opuszczanie kołchozu.



W *Izwiestiach* kolejny artykuł — alarmujący sygnał katastrofy. Systematyczna erozja ziemi postępuje. W swoim czasie poeci sowieccy lubili używać pięknych określeń: bolszewicy przekształcają przyrodę. Teraz przestali tak pisać, bo to „przekształcanie” przybrało katastrofalne rozmiary. Specjalny korespondent *Izwiestii*, 19 listopada 1969, próbuje odpowiedzieć na pytanie „Dlaczego znikają rzeki?”. Mowa jest o Białorusi, o obszarach graniczących z Polską. Okazuje się, że melioratorzy, myślący jedynie o wykonaniu i przekroczeniu planu, tak osuszyli niegdyś bogaty w wodę kraj, że dziś na głowę człowieka w republice przypada mniej wody niż przeciętnie w Związku Radzieckim. W Mińsku, na przykład, mieszkaniec otrzymuje na dobę 175 litrów wody, przy normie sanitarnej 300 litrów. Najgorsze w tym, że melioratorów nie udaje się przekonać, aby przegrali osuszanie republiki; kontynuują wykonywanie planu i o niczym słyszeć nie chcą.



Koczetow w nrze 11 *Oktiabry* zakończył (czuje się, że z wielkim żalem) druk swojej powieści pt. „Czego ty chcesz”. No ale trzeba znać miarę. Nawet we własnym piśmie naczelny redaktor nie może drukować opusów, przekraczających 600-700 stron. Są już zagraniczne odgłosy tej powieści. Oburzyła się jedna z bohaterek powieści. Sprawa polega na tym, że wśród przejrzyście zakamuflowanych postaci książki Koczetowa, największą nienawiść autora powodują nie szpiegowie i dywersanci — Anglicy, Niemcy, białogwardyjcy itd., nie — Koczetow przede wszystkim nienawidzi Włochów, dokładniej włoskich komunistów. W powieści nie brak uwag w rodzaju: „Trudno znaleźć na świecie większych oszustów w sensie fałszerstw i innych, jak Włosi”, albo „Włosa-

ki — prawdziwe dranie”. Można stąd wyciągnąć wniosek, że w ogóle Włosi to naród nie bardzo, ale komuniści włoscy są jeszcze gorsi. Najbardziej obrzydliwy z włoskich komunistów Benito (popularne włoskie imię!) Spada. Tylko niewielu z pilnych czytelników sowieckiej literatury nie rozpozna w tym karykaturalnym typie znanego włoskiego krytyka literackiego, komunisty Vittorio Strada, autora książki o Gorkim i Majakowskim, o socjalistycznym realizmie, wywołującej gniew wśród Koczetowych i jemu podobnych. Koczetow opłuł włoskiego towarzysza po partyjnemu — pryncypialnie: przedstawił go jako zazdrosnego satyrę, który, okłamawszy, wywiózł niewinną sowiecką dziewczynę ze Związku Radzieckiego do Włoch, gdzie dusi się ona w mieszczańskim burżuazyjno-włosko-komunistycznym środowisku. Potem, dzięki odważnemu i przystojnemu Bułatowowi (przejrzysty autoportret Koczetowa, *à propos*: bułat jest to rodzaj stali, tak że i pseudonim jest przejrzysty) nieszczęsną ofiarą nikczemnego włoskiego komunisty wraca do domu, do ojczyzny, do wolności. Żona Strady, rzeczywiście sowiecka obywatelka, publicznie oskarżyła Koczetowa o oszczerstwo.



W kolejnym, 9-tym nrze *Nowowo Mira* nie ma niczego co by przyciągało uwagę, jeśli nie brać pod uwagę szkiców Wiktora Niekrasowa pt. „W życiu i w listach”. Są to bezpretensjonalne wspomnienia pisarza z niektórych wydarzeń z jego życia. Dziwnym zbiegiem okoliczności jedno z tych wydarzeń przypominał mi epizod z powieści wymienionego wyżej Koczetowa. W powieści grupa pisarzy, na czele z Bułatowem-Koczetowem, przyjeżdża do pskowskiej wioski Krasnuchy, w której, w czasie wojny, hitlerowcy zamordowali 280 osób: starców i dzieci. Na ich mogile postawiono pomnik. Zbliżając się do niego Bułatow-Koczetow oburza się: „Dlaczego w świecie znane są Lidice, znany Oradour, gdzie nawet dzieci nie mordowano, a o Krasnusze nikt nie wie?”.

Naprawdę w Oradourze wymordowano 642 osoby, a w ich liczbie 250 dzieci, byłoby więc niemądre liczenie gdzie i ile osób zabito i kto o tym wie. Zdawałoby się, że wszystko jest w porządku: zamordowanym postawiono pomnik, przyjeżdża się do niego. Nie. Bułatow-Koczetow musi pochwalić się trupami przed całym światem.

A oto co pisze Niekrasow: „To było 29 września 1966 roku w 25-lecie rocznicę pierwszych rozstrzeliwań w Babim Jarze. Po jarze — jako takim — nie było już śladu, zmyło go i przekształcił się po prostu w zarosły chwastami wydmuch. I na tym wydmuchu, w ten dzień, zebrały się tysiące ludzi, żeby uczcić pamięć rozstrzelanych tu rodziców, przyjaciół czy w ogóle wymordowanych. Ludzie płakali, albo w skupieniu milczeli, rzucając kwiaty ot tak po prostu na ziemię — żadnego pomnika na tym miejscu nie było. Coś mnie zmusiło by zwrócić się do tych pła-

czących ludzi z krótkim przemówieniem, że na tym miejscu — miejscu rozstrzelania 100.000 niewinnych ludzi — stanie pomnik — nie będzie mógł nie być postawiony”.

Myślę, że Wiktor Niekrasow się myli. Może nie być postawiony.

Może nie być postawiony w Babim Jarze, może nie być postawiony w Katyniu. O tym komu należy stawiać pomniki, kto był zamordowany niewinnie, a kto słusznie zniszczony — decydują Bułatowy-Koczetowy.



W kapitalistycznym świecie za taką reklamą jaką dr Janusz Kolczyński zrobił *Kulturze* i „okopanemu w Paryżu” Juliuszowi Mieroszewskiemu — trzeba by drogo zapłacić w walucie, a w socjalistycznym świecie dr Janusz Kolczyński zrobił to za ruble. 15 listopada 1969 *Izwestia* zamieściły wielki artykuł dra Janusza Kolczyńskiego pt.: „Zatruta broń antykomunizmu”. Tą zatrutą bronią okazuje się, że jest *Kultura* a także „teoria ewolucjonizmu” Juliusza Mieroszewskiego. Artykuł kończy się wezwaniem, by wykorzystać „doświadczenia KPSS” w walce z rosnącymi dywersyjnymi działaniami imperialistów w dziedzinie ideologii”. Sądząc po stylu artykuł był napisany w języku rosyjskim.

Adam KRUCZEK

Lenin za gumę do żucia (dok.)

Wot choroszije malcziki

Niezawodny autokar „Inturista” bierze nas do *gostinicy*, której wejście jest oczywiście obstawione przez *biznesmien’ów*. Wygląda całkiem luksusowo, architektura jeszcze chyba przedrewolucyjna. W hall’u olbrzymia tablica z fotografiami wszystkich dyżurnych hotelowych — jedna z nich ma fotografię kolorową, bo dostała jakiś medal. Obok tej tablicy jest oczywiście portret Lenina (biało-czarny). Dostajemy jak zwykle kwitki, i udajemy się na pierwsze piętro. Korytarze i korytarzyki wiją się jak w istnym labiryncie. Każda z dyżurnych, do których podchodzimy z kwitkiem (siedzą w korytarzach za biurkami) kieruje nas dalej. Znajdujemy wreszcie odpowiednią dyżurną, która z miłym uśmiechem już na nas czeka. Grzecznie mówimy *zdrawstwujiacie*, na co ona też mówi *zdrawstwujiacie* i w dodatku przypochlebia nam: *wot choroszije malcziki*, wręczając nam przy tym klucz. Pokoje są tylko na dwie osoby, umeblowane stereotypowo: stół

(z broszurami „Inturista”), szafa, łóżko, lampa i radio, a raczej głośnik (łapiący tylko jedną stację), telefon itp. Telefon ten właśnie dzwoni gdy kładziemy się spać. Podnoszę słuchawkę:

— *Ja was słuszaju.*

— *Kakoj eto nomier?*

— *Trista odinnadcat’.*

Cisza.

— *Kakoj?*

Powtarzam. Znowu cisza. Nagle:

— *Nu tak położicie trubku!*

Kładę więc słuchawkę i wchodzę do łóżka. Przecież nie będę się z nim kłócił, zresztą nawet gdybym chciał, to bym nie potrafił. W tym momencie wchodzi dyżurna.

— Kto to dzwonił?

— Nie wiemy.

— Nie odpowiadajcie w przyszłości na telefony, *choroszo?*

— *Choroszo.*

Ale niby dlaczego mamy nie odpowiadać? A jak nie, to po co ten telefon? Widocznie pozostanie to jedną z niewyjaśnionych tajemnic Związku Sowieckiego.

Ukraińcy tak kochali Lenina...

„Odessa liczy 776.000 mieszkańców, jest największym portem na morzu Czarnym i jest ważnym ośrodkiem przemysłowym i kulturalnym Ukrainy”, głosi „*Visit the USSR*”. Być może. Ale kiedy na drugi dzień rano oglądaliśmy ją z autokaru „Inturista”, decyduję, że jest po prostu ponurym, brudnym, uprzemysłowionym miastem i w ogóle nie wiem co w niej właściwie robię.

Nasza przewodniczka, recytująca przez mikrofon dane o Odessie z zawrotną szybkością, jest niezbyt wysoką szatynką, ubraną w sukienkę może nieco krótszą niż spódnica Gali, ale niewiele. Tania oczywiście też jedzie, z uśmiechem sztucznie dekorującym jej śmiertelnie znudzoną twarz. Oglądaliśmy słynne schody potiomkinowskie, na których podobno odbyła się masakra z racji jakiegoś powstania, oglądaliśmy nieodczyny pomnik Lenina („Lenin nigdy nie był w Odessie, ale Ukraińcy tak go kochali, że postawili mu pomnik”, szczebiocze przewodniczka), oglądaliśmy wreszcie port, którego nie wolno fotografować, bo są tam jakieś okręty wojenne. Pod koniec tury już nikt nie słucha słów przewodniczki, tylko wszyscy śpiewamy różne „zakazane piosenki”.

Na obiad dostajemy podobno jedną z narodowych potraw ukraińskich, której nikt nie docenia, a następnie znowu wsiadamy do autokaru. „Inturist” nie daje nam chwili wypoczynku.

Zmiana warty

Po południu pierwszy deszcz, który zastaje nas niefortunnie na plaży, na którą przyjechaliśmy motorówką. Rzecz jasna, od razu z niej uciekamy. Pech chce, że gdy tylko wsiadamy z powrotem do autokaru, znowu robi się piękna pogoda, ale już raczej wolimy wrócić do hotelu.

Po drodze autokar zatrzymuje się przy pomniku Nieznanego Marynarza, przed którym pełnią wartę Pionierzy Morscy. Pionierzy ci noszą kołnierze marynarskie zamiast normalnych czerwonych *galstuków*, mają po 12-13 lat i wszyscy mają pepesze; dwaj Pionierzy stoją na baczność, dwie Pionierki przechadzają się tam i z powrotem pod pomnikiem, trzymając broń ostentacyjnie w obu rękach i patrząc na turystów z wyraźną pogardą. Po raz pierwszy ktoś w Rosji patrzy na nas z pogardą.

Za nami dochodzi nas odgłos miarowych kroków. To następna warta, z eskortą dwudziestu chyba Pionierów, maszeruje pod pomnik. Jedna z Pionierek pod pomnikiem, dziewczynka najwyżej trzynastoletnia, podejmuje się „oczyszczenia terenu” dla nowej warty. Podnosi więc lufę pistoletu maszynowego i podchodzi do nas. Cofamy się wszyscy, z wyjątkiem małej grupy, która jeszcze zostaje żeby przeczytać napis na pomniku. Pionierka zbliża się do nich i jeden z chłopaków dostaje lekkie uderzenie lufą w brzuch. Chłopcy odsuwają się szybko. Pionierka wraca na swoje miejsce. Następni Pionierzy i Pionierki zajmują swoje stanowiska.

Pijany numizmatyk

Po kolacji i krótkiej partii brydża wychodzę z dwoma kolegami na spacer; wiemy już z doświadczenia, że „Inturist” potrafi wszystkim nadać inne światło. Wprawdzie jesteśmy zmęczeni tym ciągłym zwiedzaniem (przypuszczalnie planem „Inturista” jest właśnie takie wymęczenie nas, żebyśmy już nie mogli sami zwiedzać miasta) zdobywamy się jakoś na krótki spacer w okolicy *gostinicy*.

Niedaleko znajduje się promenada z widokiem na morze. Idziemy tam gdy już jest całkiem ciemno. Nagle ni stąd ni zowąd natykamy się na jakiegoś zataczającego się typa. Ma chyba z dwadzieścia lat. Przybliża się do nas i mówi, że potrzebuje piętnastu kopiejek na trolejbus. Nie wiedząc co robić (zwłaszcza że bilet trolejbusowy kosztuje tylko cztery kopiejki), udajemy, że nie rozumiemy.

— *We don't understand, we're English. Nie rozumiem, verstehen?* — Na co pijak od razu:

— *That's all right. I take English money.*

Mówimy, bardzo już wystraszeni, że przecież nie może jechać trolejbusem za angielskie pieniądze, więc po co je chce? Odpowiada, że zbieranie pieniędzy to jego *hobby*, i zbliża się do jednego z nas, w którego kieszeni zadzwoniły właśnie *dieńgi*, zresztą rosyjskie.

— *You have money. Give. I collect money.*

— *No.*

— *I hear it. Show me.*

Chłopak nagle wpada na świetny pomysł: wyciąga z kieszeni pęk kluczy.

— *It was only my keys.*

Pijak nie jest chyba przekonany tym tłumaczeniem, ale w tej chwili pokazuje się jakiś inny osobnik, chyba jego towarzysz, trochę bardziej trzeźwy.

— *Ostaw'cie ich, Andriej! Nie widzisz, czto oni inostrancy?*

A więc znowu jesteśmy na taryfie ulgowej jako turyści. A gdybyśmy byli Rosjanami?

Nie chcąc jednak ryzykować więcej spotkań z takimi Andriejami, wracamy szybko do hotelu. Oto dla nas nauczka, żeby się nigdzie nie udawać bez czułej opieki „Inturista”.

I to napisał pisarz burżuazyjny!

„Odessa jest miastem wyższego wykształcenia”, informuje nas Komisja Turystyki Zagranicznej przy Radzie Ministrów ZSSR z trybuny książeczki „*Visit the USSR*”. „Jest tam siedemnaście instytutów i Uniwersytet”.

We wtorek rano, lewicowy odłam naszej grupy, w tym i ja, udaje się właśnie do tego uniwersytetu. Centrum i prawica natomiast idzie do uczelni najniższej, czyli przedszkola.

Nasza grupa składa się z siedmiu osób, łącznie z Tanią, która wybrała nas uprzedniego wieczoru przy kolacji „po znajomości”. Chodzi nie tyle o zwiedzanie uniwersytetu, ile o pomoc studentom angielskiego. W jakiej formie mamy tej pomocy udzielić, dopiero się okaże.

Idziemy piechotą, ponieważ autokar zabrała reszta grupy. Na jednej z ulic spotyka nas przedstawicielka uniwersytetu, w kapeluszu, i daje nam po drodze ogólny wykład o uczelniach w Związku Sowieckim. Przy akompaniamencie tego wykładu dochodzimy do budynku, który nie jest jak się okazuje uniwersytetem, tylko księgarnią. Przedstawicielka w kapeluszu wyjaśnia, że za usługi

które okażemy studentom sowieckim, uniwersytet chce każdemu dać po książce, w charakterze wynagrodzenia.

W księgarni jest specjalny dział z książkami rosyjskimi w tłumaczeniu na inne języki i każdy z nas ma polecone wybrać jakąś książkę po angielsku. Ja zamawiam tłumaczenie krótkiej powieści Lermontowa, a wychodzę z tomem trzydziestym dziewiątym *Zebranych Dzieł Lenina*. Nie wiem czym zgrzeszyłem żeby zasłużyć na ten zaszczyt, ale nie mam odwagi powiedzieć, że nie to chciałem; poza tym właściwie nawet mnie interesuje co za rzeczy wypisywał ten Włodzimierz Iljicz. Tyle tylko, że *kniga* mi trochę przeszkadza, bo jest gruba i ciężka. Ale jakoś sobie z nią daję radę.

Po drodze przechodzimy przez wyjątkowo ponurą rudę. Czekam żeby ukapeluszowana przedstawicielka powiedziała: „a tak wyglądały domy burżuazji przed rewolucją”, ale ona zamiast tego mówi: „No, to jesteście” i prowadzi nas na pierwsze piętro. Wchodzimy do jakiegoś pokoiku, w którym stoją długie, wyrzeźbione studenckimi scyzorykami stoły, tablica i magnetofon. Przez pierwsze pół godziny nic nie robimy, bo Pani Przedstawicielka gdzieś zniknęła. Ostatecznie jednak pojawia się, niosąc jakieś kartki papieru, i wyjaśnia nam nasze zadanie — mianowicie mamy nagrać na taśmę różne zdania wzięte z literatury angielskiej, co też po kolei robimy. Ale żaden Szekspir czy Lawrence nie dorówna przecież Leninowi, którego czytam po wyrecytowaniu do mikrofonu swoich kilku zdań z Dickens'a. Lenin, okazuje się, po prostu robił wycinki z różnych gazet i książek „imperialistycznych”, a następnie wypisywał przy nich różne głupie komentarze, np. „Dobrze powiedziane!”, „N.B.”, „i to napisał pisarz burżuazyjny!”, „ale marksizm!” itp. Istotnie, stylu literackiego nikt mu krytykować nie może, a czyta się jednym tchem. Słowem, fenomen. (Przynajmniej w tomie trzydziestym dziewiątym). Zanim wychodzimy, chcę nagrać na taśmę trochę z mojej nowej książki, ale Pani Przedstawicielka mi nie pozwala. Mówię jej, że to nie jest w myśl ideologii socjalistyczno-komunistycznej, ale to jej wcale nie przejmuje. Mnie zresztą też nie, ale jednak czuję się dumny z mojego Lenina.

Pionierska parada

Nie miałbym zresztą czasu na nagranie czegokolwiek nawet gdyby Pani Przedstawicielka była bardziej ideologiczna, ponieważ musimy iść szybko do teatru, w którym podobno wystawiają jakiś balet. Idziemy więc, ja pokazując mojego Lenina całej Odessie, a Tania gubiąc się po drodze. Ale jakoś docieramy do teatru.

Reszta grupy już tam na nas czeka, bo, jak wiadomo, w przedszkolu jest się krócej niż na uniwersytecie. Tania wyjaśnia nam, że wstęp na balet, na który idziemy, jest za darmo, specjalnie dla dzieci i młodzieży, która chce poznać kulturę kraju (choć żaden z trzech baletów w programie nie jest baletem rosyjskim). Dzieci istotnie zjawiają się gremialnie, w postaci całego korpusu dziewięcio- czy dziesięcioletnich Pionierów. Maszerują przez miasto główną ulicą, tamując ruch. Na przodzie idzie olbrzymia orkiestra z werblami, tołumbasami, trąbkami, puzonami, rogami (wszystko grane przez dziesięciolatków), a za nią, zgodnie i bratersko trzymając się za ręce, idą mali Pionierzy i Pionierki w czerwonych chustach albo marynarskich kołnierzykach, oddział za oddziałem. Na ulicy robi się bardzo kolorowo i bardzo hałaśliwie (zapał u młodocianych doboszy nie wygasa). Pionierzy — a raczej tylko pierwsze ich rzędy, końca w ogóle nie widać — zatrzymują się przed teatrem, ale tylko na chwilę; zaraz potem wszyscy razem, z bębni i trąbkami włącznie, grzecznie wbiegają do środka.

W pierwszej chwili zastanawiamy się jak się cała ta zorganizowana czereda zmieści do środka, a następnie — drogą logicznego rozumowania — stwierdzamy, że dla nich jak dla nich, ale dla nas już na pewno nie będzie miejsc. Tłumimy jednak nasze obawy wiarą w „Inturista” — od czego jest, jeśli nie od rezerwowania miejsc.

Niestety, zawiść się można i na „Inturiscie”, jak mieliśmy już okazję stwierdzić w Jalcie, a ponieważ historia się powtarza, więc zaledwie tylko dostajemy się do środka. Miejsca siedzące już oczywiście zajęte przez Pionierów. Ale to przypuszczalnie dlatego, że wstęp jest za darmo, autorytet „Inturista” istnieje tylko wówczas gdy obok są dewizy.

Po bardzo nudnym — no i oczywiście niewygodnym — balecie wracamy, już razem, do *gostinicy* na ostatni obiad, po którym znowu musimy się pakować. Robimy to zresztą bez żalu, nawet z zadowoleniem. Po krótkim odpoczynku, jednym z niewielu, schodzimy na dół z walizkami i wchodzimy do autokaru. Z refrenem „Rule Britannia” jedziemy na lotnisko. Za dwie godziny startuje samolot do Kijowa.

K i j ó w

„Są miasta, które wywołują na różnych ludziach różne wrażenia. Ale Kijów od razu zdobędzie twoje serce”, mówi broszura „Inturista” pod tytułem „100 Peoples invite you to the Soviet Union”.

„Moskwa — piękne miasto, Leningrad — warto zobaczyć. Ale Kijów — nic nadzwyczajnego”, powiedziała jeszcze w Moskwie Swietłana.

I rzeczywiście, kiedy w środę rano oglądam to ongiś polskie miasto, przez okno autokaru, podzielam raczej zdanie Swietłany niż broszury „Inturista”, chociaż ta ostatnia nawet ośmiela się dodać: „Wszyscy jednogłośnie stwierdzają, że Kijów jest jednym z najpiękniejszych miast świata”.

Wątpię, czy znalazłby się ktokolwiek, kto by wyraził taką opinię po obejrzeniu dzielnicy w której znajduje się nasz hotel. Hotel ten jest częścią jednego z wielu brudno-brązowych czworoboków, które to czworoboki są wszystkie monotonnie identyczne, przedzielone jednakowymi ulicami. Wszystkie budynki są tak podobne do siebie, że nawet autokar się spóźnił rano, nie mogąc znaleźć naszej *gostinicy*. Całość przypomina *korpusy* „Jarosławskiej” w Moskwie w bardziej ponurym wydaniu.

Oczywiście ta jedna dzielnica to nie cały Kijów, którego panorama (oglądamy ją z jakiegoś wzgórza podczas porannej tury po mieście) jest, muszę przyznać, całkiem ładna (choć nie powiedziałbym „piękna”), z jej soborami, parkami, rzeką Dnieprem, i — najważniejsze — Wystawą Ukraińskich Osiągnięć Gospodarczych. Natomiast (jak widzimy jeżdżąc po ulicach miasta) nie ma tego życia, które jest w Moskwie, albo nawet w Jałcie; ludzie snują się smętnie po trotuarach, jak gdyby jakaś ogólna depresja zapadła nad miastem. Nie ma nawet, ku naszemu zdziwieniu i oburzeniu, zbyt wielu *biznesmenów* przed hotelem — waha się ich może z trzech czy czterech, ale pokazują nam znaczki z Leninem raczej nieśmiało. Zresztą *chewing gum*’u już w ogóle nie mamy a *ruczki* są prawie na wyczerpaniu, więc pomyślnego *biznesu* nie robią.

Wot niechoroszyje malcziki

Hotel, mimo ponurej fasady, jest jeszcze bardziej luksusowy niż ten w Odessie. Obok sali recepcyjnej przestronny bar (przyjmujący oczywiście tylko dewizy), przez który przechodzi się do olbrzymiej sali restauracyjnej, której sufit jest udekorowany wspaniałymi żyrandolami. *Dyżurnie* też mają wyjątkowo luksusowe warunki, bo i biurka w korytarzach i specjalne pokoje.

Nasze pokoje są czteroosobowe; pokój, do którego mnie przydzielono z trzema kolegami ma dodatkowo wspaniałą łazienkę, chociaż do wanny zimna woda leci z kranu z czerwonym kółkiem, a gorąca leci z kranu z niebieskim kółkiem, albo najczęściej w ogóle nie. W umywalce natomiast gorącej wody jest, ile dusza zapagnie, ale z kolei nie spływa. Okno jest zakryte zasłoną i nie

bez powodu, bo wychodzi, jak się okazuje, na istny skład rupieci na „dziejniacu” — są tam jakieś blachy, kubły, żelastwa. W bloku naprzeciwko jakieś małe dziecko otwiera okno, gdy się patrzymy i macha do nas chustą pionierską, ale pokazuje się obok niego sylwetka kobieca i szybko je stamtąd odciąga.

Nasza nowa przewodniczka jest podobno rodowitą Ukrainką i przedstawia się niezrozumiale, coś mniej więcej w rodzaju „Lidi”. Po porannej turze (podczas której Lidi mówi o wiele mniej niż poprzednie przewodniczki), jemy obiad składający się z *kuricy à la Kijew* (kura w bułce) i najlepszej dotychczas limoniady, a następnie idziemy na górę. W naszym pokoju jeden z chłopców decyduje się zmienić koszulę (w Kijowie jest trochę chłodniej niż nad morzem), i kładzie ją na chwilę na łóżku. W tej właśnie chwili pokazuje się w drzwiach dyżurna. Zobaczywszy koszulę na łóżku, bierze ją i rzuca na stół, krzyżąc zarazem, że nie wolno kłaść ubrania na łóżku, zwłaszcza że łóżka są właśnie posłane, że już zdążyliśmy zatkać umywalkę, i w ogóle różne inne rzeczy, których zrozumieć ani nie umiemy ani nie chcemy. Zresztą ostrzegł nas przed tego rodzaju dyżurną kierownik grupy jeszcze w Londynie, mówiąc, żebyśmy z taką nie zadzierali. Uśmiechamy się więc tylko głupio. Ja, jak gdyby nigdy nic, otwieram mego Lenina i zaczynam czytać. Wreszcie *dyżurnaja*, widząc, że nic z nas nie wydobędzie, wychodzi. Robimy to samo. Idziemy, (przy czym kolega zapomina o koszuli), ponieważ mamy, według planu „Inturista”, stawić się zaraz przed hotelem.

U r o d z i n y

Po południu mamy zobaczyć Kijów z rzeki, czyli po prostu płyniemy po Dnieprze motorówką z jednego końca miasta na drugi i z powrotem. Jest to zasadniczo powtórzenie tego, co już widzieliśmy, więc czas przechodzi nie na oglądaniu widoków, a na prześpiewaniu całego naszego repertuaru wokalnego, ku ogólnej ucieście wszystkich współpasażerów z wyjątkiem jednego, który przydzwigał na pokład olbrzymich rozmiarów akordeon, na którym miał przypuszczalnie zamiar się popisywać. „Międzynarodówka” i „Rule Britannia” zagłuszają jednak jego wyczyny.

Ale nawet i śpiewanie może w końcu stać się nudne, zwłaszcza jeśli się powtarza te same piosenki po 3-4 razy, i z radością witamy chwilę kiedy motorówka zawija do portu. Autokar już tam oczywiście na nas czeka, i — wyjątkowo nie śpiewając po drodze — wracamy do hotelu. W luksusowej restauracji jest orkiestra, a na naszych stołach *ikra* i *ruskoje szampanskoje*. Ten najwyższy szczyt światowego życia jest z okazji urodzin, które przypadają

trzem członkom naszej grupy na trzy kolejne dni — wczoraj, dzisiaj i jutro. Po odpowiednich toastach, konsumujemy kawior w przerażającym tempie i popijamy szampanem; głównego dania, które jest zdaje się inną wersją tego cośmy dostali na obiad, prawie nikt nie dotyka.

Kijowski Hades

Czwartek, 21. Gdy rano wychodzimy z hotelu, natykamy się na grupę Amerykanów, spotkaną jeszcze w Jacie. Nie możemy jednak powiedzieć im więcej niż zwięzłe „Hi!”, bo Lidi popędza nas do autokaru. Mamy podobno jechać do jakiegoś klasztoru.

Już sama nazwa „Kijewsko-Pieczerskiej Ławry” odrzuca nas od niego, a gdy przyjeżdżamy na miejsce i zaczynamy pod nadzorem Lidi szczegółowo oglądać po kolei każdy wizerunek i ikonę, uczucie niechęci rośnie w szybkim tempie. Kulminuje się jednak dopiero później, kiedy udajemy się do słynnych podobno podziemi, udekorowanych szkieletami jakichś przeróżnych mnichów i zakonnic.

Przed głównym wejściem do tego sub-terrestrialnego cmentarza stoi dosyć długa kolejka składająca się prawie w całości z grup „Inturista”, a że „krak krukowi oka nie wykole”, jak nas poucza staropolskie przysłowie, musimy ustawiać się na końcu kolejki zanim spotyka nas przyjemność bliższej inspekcji nieboszczyków.

Same podziemia, gdy wreszcie w nie schodzimy, mrozą krew w żyłach, częściowo na skutek widoku, a częściowo dlatego że jest bardzo zimno. Jeśli chodzi o to pierwsze, to żaden lunaparkowy „pociąg duchów” temu nie dorówna. Idzie się wąskimi korytarzykami a z każdej strony otwarte trumienki. Zazwyczaj kościotrupy są przykryte jakimiś derkami, ale od czasu do czasu wystaje czaszka albo pół żeberka. Jeden szkielet jest kompletnie poharatany, w oku drugiego ktoś zostawił niedopałek od papierosa, ale niektóre wyglądają całkiem zdrowo; tylko czekamy, żeby który wyciągnął rękę i poprosił nas o gumę do żucia. Po kilku minutach łożenia po tych korytarzach zaczynamy wątpić, czy wydestaniemy się z powrotem na powierzchnię ale wiara w „Inturista” podtrzymuje nas na duchu. Jakimś cudem wydostajemy się w końcu z tych piekielnych czeluści. Jednak z Leninem w Mauzoleum, w jego kołnierzyku i krawacie, czuliśmy się bardziej bezpiecznie.

„Doska pocziota”

Po obiedzie mamy pierwsze podczas wycieczki „wolne popołudnie”, co dla mnie i moich kolegów oznacza spacer po okolicy.

Idziemy więc monotonnymi ulicami, pod monotonnymi domami, mijając monotonnych ludzi.

Przed jakimś wyjątkowo ponurym i ważnie wyglądającym budynkiem, mamy okazję zobaczyć okaz jednego z wielu dziwnych wynalazków sowieckich, tzw. „dosku pocziota”. Jest to po prostu tablica, na której wypisano nazwiska wszystkich zasłużonych partyjnych w okolicy, czasami nawet z dodatkiem fotografii, przypuszczalnie po to, żeby obywatele wiedzieli komu się kłaniać na ulicy.

Cerkiew

Gdy okreśną drogą wracamy do hotelu, wstępujemy na chwilę do prawosławnej cerkwi, wewnątrz której uderza nas najbardziej chyba przynębiający widok z całego naszego pobytu w Rosji. Na tle pięknych rzeźb i ikon stoi pełno starców i kalek bez nóg, bez rąk, bez — przede wszystkim — żadnej pomocy. Nie wiadomo jak zdołali w ogóle przyjść do kościoła. W wejściu stoją dwie żebraczki ledwie trzymające się przy życiu. Zresztą dziw, że wszyscy inni też trzymają się przy życiu.

Jedna stara kobieta bez ręki, podchodzi, o mało nie padając, do wizerunku Chrystusa, obejmuje go, całuje ze łzami w oczach, następnie cofa się i kłania raz po razie, chociaż widać że sprawia jej to straszny ból. Inna kobieta leży na posadzce głową na dół i płacząc bije pięściami o ziemię. Częściowo dlatego, że niektórzy patrzą na nas raczej nieprzychylnie, jako na intruzów, a częściowo aby się po prostu wydostać stamtąd, szybko wychodzimy. Są przyjemniejsze sposoby spędzania „wolnego popołudnia”.

Babi Jar

A pod wieczór znowu musimy się pakować, ładnie podziękować dyżurnej, zjeść kolację, i wygodnie usadowić się w autokarze. Jedziemy na lotnisko w Borispolu, skąd samolot ma nas przewieźć do Leningradu.

Szosa jest ładna, nowoczesna, położona nieco powyżej poziomu otaczających ją zielonych pól i łąk. Jedziemy dosyć szybko, oczywiście ze śpiewem.

Nagle autokar staje. Myślimy, że może zabrakło benzyny albo silnik się zepsuł, ale nic takiego. Lidi bierze mikrofon i mówi: „A to jest Babi Jar”.

Rozglądamy się. Wszędzie naokoło jest tylko zielona trawa, ale Lidi prosi nas, żebyśmy wyszli z autokaru.

Teraz dopiero widzimy coś w rodzaju sporego grobu, z płytą marmurową upamiętniającą zgon ukraińskich żołnierzy w tym obozie. Lidi mówi: „Wszyscy myślą, że tylko Żydów tu mordowano, a tymczasem w porównaniu z naszymi żołnierzami to Żydów było bardzo mało”.

Przyjazd do Leningradu

Z Kijowa do Leningradu przylatujemy późno wieczorem. Jak zwykle, formalności na lotnisku są załatwione szybko i gładko; od razu przechodzimy przez specjalną barierę „Inturista” do czekającego autokaru. Miasta w ogóle nie oglądamy, bo jest już ciemno, a poza tym jesteśmy raczej śpiący.

Nasza *gostinica* jest blisko Newskiego Prospektu. Mimo brązowego koloru cegieł, jest mniej ponura niż ta w Kijowie. Pokoje są znowu czteroosobowe, umeblowane stereotypowo; dyżurne mają, jak zwykle, biurka w korytarzach. *Biznesmienów* przed hotelem w ogóle nie ma, ale to tłumaczy się późną godziną.

Gorod-gieroj Leningrad

Do Leningradu przygotowano mnie odpowiednio jeszcze w Londynie — „piękne miasto”, mówiono mi, „naprawdę piękne”; w Moskwie Swietłana powiedziała, że Leningrad „warto zobaczyć”. Tania, też moskwiaczka, powiedziała kiedyś przy obiedzie, że „Leningrad to miasto europejskie... będzie się wam podobało”. Broszury „Inturista” nazywają Leningrad „jednym z najpiękniejszych miast świata”, nie omieszkując dodać, że jest „*gorodom-gie rojem*”, czyli miastem-bohaterem, bo przez 900 dni podobno opierało się oblężeniu przez niemieckie wojska. „Leningrad słynie ze swej nieporównanej harmonii architektonicznej”, głosi „*100 Peoples invite you to the Soviet Union*”; „Gmachy Admiralicji, plac Pałacowy i plac Dekabrystów, formujące centrum miasta, są wspaniałymi zespołami architektonicznymi” dodaje „*Visit the USSR*”.

A więc Leningrad. W piątek rano czekają na nas przed hotelem nowy autokar, nowa przewodniczka i nowi *biznesmieni*, a przed nami — nowe miasto, z szerokimi ulicami i symetryczną (ale dziwnie nie monotonna) architekturą. Słyszemy oczywiście od przewodniczki wykład o Leningradzie, o jego historii, o jego udziale w ostatniej wojnie i ostatecznym „zwycięstwie nad faszyzmem” (zwrot używany *ad nauseam* w sowieckiej propagandzie), ale już wiemy, że tego typu wykładów słuchać nie warto. Miasto jest rzeczywiście bardzo ładne, o wiele ładniejsze na przykład od Kijowa i, powiedziałbym nawet, od Moskwy, chociaż te

dwa *goroda* są właściwie nieporównywalne. Ale mimo to, jeśli można oczywiście sądzić po pierwszych wrażeniach, zawiódł mnie trochę Leningrad; nie jest tak ładny jak się spodziewałem po przeczytaniu i usłyszeniu fabularnych komentarzy na jego temat. Może to dlatego, że jest tu dosyć mglisto, może dlatego, że jestem już w ogóle dość znudzony wszelkim zwiedzaniem.

Po powrocie decyduję, że przydałoby się dowiedzieć, co się dzieje w świecie. Kupuję więc *Prawdę* i *Morning Star*. Z *Prawdy* dowiaduję się, że rolnicy któregoś z kołchozów w Uzbekistanie wykonali plan z nadwyżką i że członek Sowietu jednej z republik został odznaczony jakimś orderem, a *Morning Star* w ogóle od razu wyrzucam, bo jest jeszcze ten sam, który dostaliśmy na placu Czerwonym w Moskwie dziesięć dni temu (a już wtedy był sprzed tygodnia). Widzę, że z wiadomościami będę musiał poczekać do Londynu; wiem tylko, z podsłuchanej rozmowy między dwoma Rosjaninami przy recepcji, że coś się działo ostatnio w Pradze, ale co, nie mogłem zrozumieć.

W Leningradzie mamy trzy dni pobytu, a zwiedzania na trzy razy tyle; jest więc zrozumiałe, że „Inturist” odpocząć nam nie da. Od razu po obiedzie idziemy do Letniego Pałacu i muzeum Rosyjskiego i wracamy oczywiście znudzeni. W dodatku przy kolacji Tania wmusza w nas pójście jutro na operę bo jest ona „częścią kultury sowieckiej”. Za to lody, które dostajemy na deser są bardzo dobre.

Pióro za klucz

Po kolacji idę do pokoju sam, ponieważ moi koledzy zostali na dole żeby obejrzeć jakieś książki w kiosku. Podchodzę więc do dyżurnej.

— *Nomier dwiesti dwienadcat', požatujsta.*

Dyżurna wyciąga z szuflady klucz i nagle wzrok jej pada na długopis, który nieopatrznie wystaje z kieszonki mojej koszuli. Mówi głosem beczelnie błagalnym:

— *Podarijtie ruczku.*

Co mam robić — wyciągam długopis, daję jej. Dostaję w zamian Lenina na czerwonym tle, wylewne *spasibo* no i klucz do pokoju.

Gdy wraca pozostała trójka, pierwsza rzecz, którą słyszę, to to, że nie wiedząc, że ja już jestem w pokoju, poprosili o klucz i musieli oczywiście dać dyżurnej długopis. Nawet żadnego Lenina w zamian nie dostali. Teraz wiemy już w jaki sposób „kapitał ZSSR rośnie z roku na rok”, jak podaje „*Visit the USSR*”.

E r m i t a ż

Światowej sławy „Ermitaż” jest jedną z tych rzeczy, które są nudne, ale o których się potem mówi z dumą, że się je widziało.

Oczywiście dla tych, którzy sztuką się pasjonują, Ermitaż, do którego się udajemy w sobotę rano, jest muzeum wyjątkowo interesującym i ciekawym, ale dla nas, przeciętnych laików, wszystko jest właśnie na odwrót. Pierwsze dziesięć czy dwadzieścia sal są może jeszcze ciekawe, ale gdy tych sal jest ponad trzysta, trudno się dziwić że zaczynamy ziewać. Ziewamy również, gdy po południu jedziemy do jakiejś miejscowości pod Leninigradem, w której urzędowali różni pisarze i malarze rosyjscy. Ziewamy nie tyle z nudów ile z prostego zmęczenia.

Prawdziwy biznesmien

Gdy zmęczeni tym ciągłym łożeniem po muzeach i pałacach, zasiadamy wieczorem do stołu, pojawia się w drzwiach restauracji jakiś typ w szarej marynarce i niedbale zawiązanym krawacie. Rozgląda się naokoło, a następnie szybko przysiadła się do nas.

— *Vous êtes français?*

— *Non, anglais.*

Trochę go zastanawia ta odpowiedź, ale naciera dalej.

— *A po-russki goworitie?*

— *Da, niemnogo.*

Znowu rozgląda się naokoło. Zniża ton.

— *Jest' u was funty?*

— *Konieczno.* To ostatnie pytanie potwierdza moje podejrzenia, więc dodaje:

— *No nie chciałem rubli.*

Zbija go to trochę z tropu, ale nie bardzo.

— *Dam wam dziesięć rubli za funta.*

— *Ale my nie chcemy.*

Dziesięć rubli za funta — to prawie pięć razy tyle, co oficjalny kurs. Ale kierownik grupy ostrzegał nas jeszcze w Londynie, żebyśmy się nie wplątywali w tego rodzaju handel. Mówię więc stanowczo, że niczego u nas nie osiągnie, na co on po prostu wzrusza ramionami i przechodzi do następnego stołu.

O p e r a

Na operę nie mamy wcale ochoty, ale jak już się zapłaciło te dewizy, to nie wypada ich marnować.

Jedziemy wyjątkowo nie autokarem, tylko autobusem. Dziwi nas przy tym system płacenia za podróż — po prostu wrzuca się do skrzynki w autobusie monetę (zdaje się trzy-kopiejkową), i bierze się bilet z rolki obok, ale można w teorii wziąć ten bilet albo nawet więcej biletów, bez wrzucania monety. My, żeby opłacić za nasz przejazd, wkładamy po prostu banknot jednorublowy (choć jest to o wiele za dużo, bo jedzie nas tylko dziesięciu), wyciągamy cały stos biletów.

Opera okazuje się wcale nie operą rosyjską, tylko „Cyganerią” Pucciniego i jest właściwie ostatnim gwoździem do naszej zbiorowej trumny. Mimo wygodnych miejsc w łóżach teatru Kirowa, wychodzimy zmęczeni — nie mówiąc już o znudzeniu — do ostatka. Intensywne zwiedzanie ostatnich dni połączone z Puccinim daje efekty nie najprzyjemniejsze.

Zamienił strzyk siekierkę na kijek

Niedziela, 29. Ostatni dzień w Leningradzie i zarazem ostatni dzień w Rosji. Nie wiadomo właściwie czy się z tego cieszymy czy nie.

Rano jedziemy do fortecy Piotra i Pawła. Zrobiło się bardzo gorąco, jak gdybyśmy byli z powrotem w Moskwie albo w Jalcie. W fortecy owej jest nie ciekawiej niż gdziekolwiek indziej. Po zwiedzeniu jej czekamy jeszcze kilka minut, bo w południe ma być jakiś wystrzał armatni, który podobno codziennie zagłusza cały Leningrad.

Jest tak gorąco, że muszę się napić wody z sokiem malinowym. Wyjmuję więc z kieszeni pozostałe monety rosyjskie — mam akurat wszystkie oprócz trzykopiejkowej, która jest w sezonie letnim na wagę złota. Biorę więc monety jedno- i dwukopiejkowe i podchodzę do jakichś rosyjskich chłopaków, pytając czy nie mają przypadkiem trzech kopiejek w jednym kawałku. Jeden z nich ma, ale jakoś nie chce mi wymienić, tylko pyta o *ruczkę*. Myśląc, że da mi za nią tę monetę, daję mu długopis. Dostaję w zamian znaczek z Leninem jako dwuletnie dziecko i chłopaki ulatniają się w mgnieniu oka.

Znajduję wreszcie poszukiwany pieniądz u kogoś z naszej grupy. Idę do maszyny, wrzucam monetę... i nic. Stukam w maszynę, walę, ciągle nic. Nawet monety nie dostaję z powrotem. Oto następny przykład działania sowieckiego mechanizmu kapitalistycznego. Odpinam znaczek, który dostałem przed chwilą, i też wrzucam za tą monetą (może wszechmogący Lenin pomoże zawiedzionemu turyście) ale po prostu wypada z powrotem z maszyny. Jak widać, nawet automaty z wodą są zaprogramowane kapitalistycznie — pieniądze akumulują, a komunistów wyrzucają.

„Bieriozka”

Po południu jedziemy aby rzekomo obejrzeć różne pomniki, a właściwie w zupełnie innym celu. Mianowicie po drodze autokar nagle staje i przewodniczka, z uroczym uśmiechem, mówi przez mikrofon: „Tu jest 'Bieriozka', możecie wyjść i kupić jakieś upominki ze Związku Sowieckiego”, ale mówi to tonem który znaczy właściwie: „Tu jest 'Bieriozka', wyjdźcie i kupcie jakieś upominki ze Związku Sowieckiego”. Wsiadamy więc i idziemy do tej *Bieriozki*.

„Bieriozka” jest to sklep w którym można dostać różne sowieckie produkty, od wyrobów ludowych (jak w „Cepelii” w Polsce) do aparatów fotograficznych, oczywiście za dewizy. W kasach (jest ich 3-4) są specjalne automatyczne maszyny do przeliczania na różne waluty, a obok nich najzwyczajniejsze w świecie liczydła. Ja kupuję dwie małe płyty z ludowymi piosenkami, które kosztują razem około pół funta. Wszystkie ceny podane są w dolarach. Odnoszę wrażenie, że w sklepie kręci się więcej Rosjan niż cudzoziemców. Przypuszczalnie lubią po prostu patrzeć na towary, które dla nich są przeważnie niedostępne. W sklepie jest też książka, w której wszyscy turyści są proszeni o podpisy. Wygląda to raczej podejrzenie i ktoś sugeruje, że jest to po prostu powiązane z KGB, które tą drogą otrzymuje nasze podpisy. Podpisujemy się więc: „Gerry Brooke”, „Messrs. Siniawski and Daniel”.

Przewodniczka nie spieszy się z przywołaniem nas z powrotem do autokaru — przypuszczalnie sądzi, że im dłużej będziemy, tym więcej kupimy. My jednak, z własnej inicjatywy, wracamy do autokaru, więc rada nie rada daje kierowcy sygnał do startu.

Nasz cel — komunizm

Zanim wracamy jednak do *gostinicy*, mamy następne sprawy do załatwienia — mianowicie w jakiejś księgarni są podobno afisze, które należy kupić.

Afisze są tylko i wyłącznie z Leninem, w wyborze jeszcze większym niż na znaczkach. Ja kupuję trzy: jeden ma po prostu profil Lenina, z napisem „Lenin — wódz”; drugi ma ilustrację dwóch rakiet kosmicznych, a na niej napis „Imię Lenina oświetla nasze drogi”; trzeci najpierw cytuje Lenina: „*Jedinstwo nieskonieczno dorogo, nieskonieczno wazno dlia raboczego klassa*”, a potem, większymi literami głosi: „*Nasza idiejnaja osnowa — MARKSIZM-LENINIZM; nasza cjel — KOMMUNIZM*”.

Nasz cel — Londyn

Po ostatniej kolacji, z kawiozem i szampanem, zmuszeni jesteśmy opuścić ten gościnny kraj. Daliśmy mu w prezencie masę dewiz, długopisów, gumy do żucia, plus dwa zegarki, a otrzymaliśmy w zamian pamiątki z „Bieriozki”, wywieszki z napisem „*Aeroflot*” na walizkach, czułą opiekę dyżurnych i przewodniczek „*Inturista*”, afisze i znaczki z Leninem. Czyli wymiana sprawiedliwa.

W porcie żegnamy się z Tanią i z całym Związkiem Sowieckim. Niektórzy jeszcze próbują wydać swoje ostatnie ruble, inni siedzą i czekają niecierpliwie na odprawę celną i statek. Odprawa celna odbywa się bez naszej obecności, a statek *Michaił Kalinin* (przypomina nam się nasza kompromitacja na Kremlu) już jest w porcie i o dziesiątej wieczorem nań wchodzimy. Obejrzawszy powierzchownie nasze kabiny, wychodzimy wszyscy na pokład i dajemy ostatni koncert chóralny na terytorium ZSSR. O jedenastej *Michaił Kalinin* rusza tryumfalnie, do refrenu „*Międzynarodówki*”:

*C'est la lutte finale,
Groupons-nous, et, demain,
L'internationale
Sera le genre humain.*

Konrad BRODZIŃSKI

NA ANTENIE

PRZYNOSI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSNIĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.
MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 22.0 lub \$ 5,00, F. 25.00.

Kraj

Stanisław Hejmowski

Przez 40 lat głos adwokata Stanisława Hejmowskiego jako obrońcy karnego rozlegał się na salach sądowych w Polsce nie tylko przed sądami Poznańskiej Izby Adwokackiej, której był członkiem. Talent, powołanie, wykształcenie, oddanie powierzonym sprawom i charakter, który jest zawsze przeznaczeniem ludzi, prowadziły go trudną i często ciernistą drogą obrońców karnych w skali ogólnopolskiej. Hejmowski bronił przed sądami wielu miast, bardzo często przed Sądem Najwyższym. Bronił w sprawach zwykłych i sprawach wielkich. Przed wojną bronił bogatych i biednych, bez względu na ich przekonania polityczne. W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej bronił zarówno bezpartyjnych jak członków Partii, zawsze jednak tylko z wyboru osób bezpośrednio zainteresowanych, które miały do niego zaufanie.

Broniąc oskarżonych Hejmowski przemawiał do sądów, jednak głos jego często przenikał mury sal rozpraw i docierał do opinii publicznej miast, województw, całej Polski, a w dwu sprawach — dotarł do całego świata.

Niewielu adwokatów śmierć wyrwała z szeregów w równej aureoli zawodowych dokonań. Zapewne nikt bezstronnie nie mógłby zaprzeczyć, że Hejmowski umierał jako jeden z największych obrońców karnych w Polsce. Wielu twierdziło, że był wręcz największym swego pokolenia. A jednak nad grobem nie padły słowa uznania. Nie słyhać było głosu przedstawicieli sądownictwa, naczelnych władz adwokatury, nawet głosu — własnego zespołu adwokackiego. Rozlegały się tylko odgłosy ceremoniału pogrzebowego Kościoła Katolickiego, którego Hejmowski był gorliwym wyznawcą.

Oddajmy więc Stanisławowi Hejmowskiemu co mu się należy.

Urodził się w Libawie jako syn adwokata. Gimnazjum skończył w Petersburgu. Od dzieciństwa mówił pięcioma językami. Od zarańia wykształcenia prawniczego na Uniwersytecie Warszawskim marzył, by zostać obrońcą karnym. Rozumiał świetnie, że dobry

karnik musi być także znawcą prawa cywilnego. Po uzyskaniu magisterium prawa na Uniwersytecie Warszawskim kontynuując studia na Poznańskim, otrzymując doktorat na podstawie dysertacji z prawa cywilnego.

Po złożeniu egzaminu sędziowskiego pod koniec lat dwudziestych został mianowany podprokuratorem Sądu Okręgowego w Poznaniu. Już na tym pierwszym i jedynym piastowanym stanowisku urzędowym wykazuje niecodzienną w wystąpieniach odwagę — dla zapewnienia poszanowania prawa i praworządności. W związku z wejściem w życie w tych latach Ustawy o ustroju sądownictwa urzędujący wówczas prezes Sądu Apelacyjnego w Poznaniu popełnił błąd prawny przy obsadzaniu karnych zespołów sądzących w sądach okręgowych. Hejmowski, świeżo upieczony podprokurator, dostrzegł zaraz błąd i domaga się na rozprawie jego usunięcia i odpowiedniej zmiany w składzie sądczym. Gdy sąd wnioski oddała, zakłada apelację w obronie prawa w każdej kolejnej sprawie — bez względu na to czy wyrok jest skazujący czy uwalniający.

Zapachniało skandalem prawnym. Prasa całej Polski doniosła o „strajku” podprokuratora Hejmowskiego w obronie prawa. Ministerstwo Sprawiedliwości telegraficznie poleciło usunięcie błędu w obsadzie sądu. Młodziutki podprokurator Hejmowski już w zaraniu kariery prawniczej zdobył ostrogi w zmaganiach o praworządność.

W przedwojennej Rzeczypospolitej Polskiej był adwokatem niespełna dziesięć lat. Krótki to okres dla rozwoju kariery adwokackiej. Wystarczył jednak Hejmowskiemu by zająć czołowe miejsce wśród adwokatów Poznańskiej Izby Adwokackiej.

Już w pierwszym roku adwokatury bronił wraz ze swym współnikiem profesora Czesława Znamierowskiego, oskarżonego o symboliczne spoliczkowanie innego profesora Uniwersytetu Poznańskiego, którego uważał za przywódcę manifestacji studentów, awanturujących się na literackim odczynie Kaden-Bandrowskiego, dlatego tylko że był legionistą i czynnym zwolennikiem Józefa Piłsudskiego. Proces stał się kulturalną *cause célèbre*. Sprawa poszanowania wolności słowa przez profesora uniwersytetu i wychowywaną przezeń młodzież stała się centralnym zagadnieniem postępowania.

Wielu przedstawicieli nauki i literatury śledziło przebieg procesu na sali rozpraw wraz z licznymi przedstawicielami prasy. Hejmowski bronił sprawy poszanowania dla wolności słowa z talentem i oddaniem. Sprawa ta i inne jednały rozgłos i uznanie w Polsce.

Najazd Hitlera położył czasowy kres rozwojowi talentu adwokata Hejmowskiego. Władze hitlerowskie skreśliły go wraz z innymi z listy adwokackiej w Poznaniu, wypędziły z mieszkania i zmusiły do opuszczenia miasta. Lata okupacji spędził w Warszawie.

Po pogromie Niemiec Hejmowski wraca do Poznania. Jest znów adwokatem i obrońcą w sprawach karnych. W warunkach

powojennych wysuwa się na czoło obrońców karnych całej Polski. Sprawy w których bronił trzeba liczyć na setki, jeśli nie tysiące. Dla scharakteryzowania go jako obrońcy karnego wystarczy przypomnieć dwa procesy karne o światowym rozgłosie, w których Hejmowski odegrał rolę naczelną.

Pierwszy — to proces Arthura Greisera, przedwojennego prezesa Senatu gdańskiego, a w czasie wojny namiestnika Hitlera na Poznańskie, nazywane przez okupantów Warthegau. Amerykańskie władze okupacyjne Niemiec wydały Greisera władzom polskim jako podejrzanego o popełnienie zbrodni wojennych — dla ewentualnego sądenia przez sąd miejsca przestępstwa. Greiser stanął przed Najwyższym Trybunałem Narodowym Rzeczypospolitej Polskiej jako oskarżony o liczne zbrodnie, popełnione przez hitlerowskie władze w czasie jego urzędowania w charakterze prezesa senatu w Gdańsku przed wojną i szefa hitlerowskiej administracji na obszarze Poznańskiego, okupowanego podczas wojny.

Najwyższy Trybunał Narodowy wyznaczył Stanisława Hejmowskiego jako obrońcę Arthura Greisera z urzędu (współ z adw. Kręglewskim). Dwukrotnie Hejmowski prosił o zwolnienie z obowiązku obrony Greisera, pisząc m.in.:

„Ja osobiście zostałem na skutek zarządzenia niemieckich władz okupacyjnych wypędzony w grudniu 1939 r. z Poznania do tzw. Generalnej Guberni, przy czym pozbawiono mnie dorobku 10-letniej pracy zawodowej. W czasie wojny straciłem z rąk niemieckich dwóch rodzonego braci. Doprawdy, trudno wymagać ode mnie, ażebym obecnie był obrońcą Artura Greisera”.

Dwukrotnie Najwyższy Trybunał Narodowy odmówił prośbie obrońcy wyznaczonego z urzędu, stawiając go wobec głębokiego konfliktu wewnętrznego.

Z jednej strony poczucie bezmiaru zbrodni popełnionych przez okupacyjne władze hitlerowskie na narodzie polskim: Oświęcim i Majdanek, łapani i masowe egzekucje na miejscu bez sądu, obozy pracy przymusowej, wygładzanie ludności, blisko 3 miliony zabitych Polaków, 3 miliony zabitych Żydów... Jako adwokat o wielkiej inteligencji i wnikliwości Hejmowski zdawał sobie sprawę z tego wszystkiego bez porównania dokładniej, niż ogół społeczeństwa.

Jako doświadczony obrońca wiedział, że Arthur Greiser, sądzony przez Najwyższy Trybunał Narodowy w pierwszym procesie zbrodniarzy wojennych w Polsce, stanie się w świadomości społecznej całego narodu polskiego symbolem wszystkich potworności popełnionych przez hitlerowców, mobilizując zbiorowe uczucia nienawiści i pragnienia odwetu, które mogą łatwo polaryzować z oskarżonego na jego obrońcę, nawet obrońcę z urzędu, wypełniającego ciężki obowiązek, nałożony przez Najwyższy Trybunał Narodowy. Hejmowski rozumiał dobrze te uczucia. Nie były mu obce osobiście.

Z drugiej strony Hejmowski, przeniknięty poczuciem praworządności i zadań swego zawodu, rozumiał że jako obrońca Grei-

sera musi wnieść się ponad zbiorowe, powszechne uczucia, przeciwstawić się nieodpartej wprost presji, jaką wywierają na jednostkę, opanować własne emocje i spełnić sumiennie i uczciwie nałożony nań obowiązek obrońcy.

Trudne to zadanie, wręcz ponad siły wielu. Jednak Hejmowski bronił Greisera w sposób, który przyniósł chlubę polskiemu prawnictwu i polskiej palestrze w opinii świata. Wystarczy przypomnieć, że sam Arthur Greiser, skazany na karę śmierci przez powieszenie, napisał do Hejmowskiego list dziękczynny, stwierdzając, że jako obrońca zrobił wszystko co było w ludzkiej mocy. Należy podziwiać charakter i oddanie zawodowe. Ilu obrońców potrafiłoby wnieść się na te wyżyny?

Proces Arthura Greisera odbył się w dniach od 21 czerwca do 9 lipca 1946 roku w wielkiej auli Uniwersytetu Poznańskiego, tej samej sali, która była miejscem licznych wystąpień politycznych Greisera jako Reichsstaathaltera Warthelandu.

Stenogram rozprawy przed Najwyższym Trybunałem Narodowym został wydany w postaci książki, obejmującej 418 stron ścisłego druku tititem (bez dowodów rzeczowych i z opuszczeniem formalizmów proceduralnych i zeznań nie wnoszących nic nowego). Książka daje doskonały wgląd w przebieg całego 14-dniowego procesu.

Oto słowa Hejmowskiego, wyjęte z przemówienia, — jak rozumiał rolę obrońcy w procesie karnym:

„Polska doznała tylu krzywd. Tylko niewielki ułamek naszej martyrologii narodowej został tutaj na sali sądowej ujawniony... To wszystko, co się tutaj na sali sądowej o cierpieniach narodu polskiego mówiło, zostało związane z nazwiskiem Greisera. W ten sposób stał się on niejako symbolem tych cierpień. Rola Greisera uległa wyolbrzymieniu. W nim widzi społeczeństwo polskie promotora i sprawcę swoich krzywd.

Szczególna etyka naszego zawodu nie pozwala nam, obrońcom, patrzeć na oskarżonego w ten sposób. Dla nas oskarżony jest tylko człowiekiem, który cierpi. Ustanowieni obrońcami Greisera woła Najwyższego Trybunału Narodowego, mamy obowiązek włożyć w jego obronę całą naszą wiedzę fachową, cały wysiłek zawodowy. Gdybyśmy tego nie uczynili, zawiedlibyśmy zaufanie, jakim obdarzyła nas najwyższa polska instancja sądowa, symbolizująca sumienie całego narodu”.

Wcielając w życie te zasady, Hejmowski zanalizował poszczególne punkty oskarżenia, obejmującego 36 stron druku i wnoszący o uniewinnienie Greisera. A w apelu końcowym do Najwyższego Trybunału Narodowego powiedział:

„... Na wołanie o głowę Greisera odpowiadam: Nie jest ważną sprawą, czy Greiser żyć będzie... Ale ważne są pewne zasady prawne i moralne. Chodzi o czystość polskiej myśli prawniczej, której nie wolno poświęcić dla zaspokojenia chwilowej potrzeby zemsty. Gdyby śmierć Greisera mogła wskrzesić chociaż jedną ofiarę gestapo, otrzeć jedną łzę polskiego dziecka — sam bym za nią głosował. Ale to jest niemożliwe. Więc po co ta śmierć? Dla zemsty?... Nie wierzę w drogę do lepszej przyszłości ludzkości, nad którą, jak brama tryumfalna, wznosić się ma szubienica!

Nie byłaby to droga nowa. Wszystkie nieba Azji i Europy widziały śmierć

zwycięzonych wodzów. Na wszystkich pobojuwiskach świata rozbrzmiewa od wieków wołanie: *vae victis!*

Wyrok śmierci nie byłby krokiem naprzód... lecz krokiem wstecz. Naród polski głowy Greisera nie potrzebuje! Kroczy od wieków wielki i wspaniały poprzez chwałę swojej historii. Naszym tytułem do narodowej dumy nie są podboje, orężne rozprawy, władztwo nad innymi narodami i krew przelana, lecz nieśmiertelne zalety polskiego ducha; miłość ojczyzny, tolerancja, wyrozumiałość i ta zdolność przebaczenia doznanych krzywd, która jest najpiękniejszym wykwitem naszej wiary...

... A jeżeli ktokolwiek powie, że Niemcy dla nas nie mieli serec i nie znali litości, to powiedzcie mu, Panowie Sędziowie, w treści swego wyroku: Tak, Niemcy skazaliby Greisera na śmierć. Ale gdybyśmy mieli robić tak, jak Niemcy, nie mielibyśmy moralnego prawa ich sądzić. Prawo to czerpiemy z czystości naszej myśli prawniczej, z naszej moralności narodowej i wiecznie żywego zmysłu prawa, zakorzenionego głęboko w sumieniu polskiego sędziego".

Najwyższy Trybunał Narodowy Rzeczypospolitej Polskiej skazał Arthura Greisera na karę śmierci przez powieszenie, uznając go winnym wszystkich czynów, objętych aktem oskarżenia, jednakże z tym ważnym ograniczeniem, że „zabójstw, uszkodzeń cieleśnych i znęcań się Arthur Greiser osobiście nie dokonywał”.

Dziesięć lat później, w 1956 roku, Hejmowski znowu odegrał dużą rolę jako obrońca w procesie o światowym rozgłosie. Bronił w głównym, pierwszym z trzech procesów, które przeszły do historii pod nazwą procesów poznańskich. Zbliżającemu się ich rozpoczęciu *New York Times* poświęcił artykuł redakcyjny, stwierdzając na wstępie:

„W Poznaniu zaczęły się w tym tygodniu równocześnie trzy procesy karne, które mogą stać się najważniejszymi procesami politycznymi, jakie świat znał w ciągu ubiegłych wielu lat”.

Amerykański tygodnik *Life* pisał:

„Cała Polska i naprawdę cały świat przysłuchują się procesom uczestników poznańskich rozruchów”.

Cieszący się zaś międzynarodowym uznaniem brytyjski adwokat Frederick Elwyn Jones, Queen's Counsel, członek brytyjskiego parlamentu z ramienia Partii Pracy, oświadczył w wywiadzie, udzielonym polskiej i zagranicznej prasie:

„Procesy poznańskie mogą się okazać jednymi z ważnych procesów całego XX stulecia”.

Cóż tak wyróżniło procesy poznańskie? Co nadało im znaczenie procesów historycznych, światowych, ważnych dla całego stulecia? Złożyło się na to wiele elementów.

Odbływały się w okresie pełnej „odwilży” politycznej w Polsce, tuż przed tzw. rewolucją październikową, a po słynnym przemówieniu Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR.

Były to procesy naprawdę jawne w przeciwstawieniu do poli-

tycznych procesów w komunistycznej części świata. W ciągu pierwszego procesu poznańskiego było obecnych na sali sądowej 12 korespondentów największych pism państw zachodnich, którzy codziennie nadawali długie, niecenzurowane sprawozdania z przebiegu procesu, drukowane przeważnie na pierwszych stronach dzienników. Cały świat zachodni był szczegółowo informowany o procesie.

Rozprawie przysłuchiwało się również trzech adwokatów państw zachodnich: wspomniany już Frederick Elwyn Jones z Wielkiej Brytanii, Alfred Fernand, profesor Wydziału Prawa Uniwersytetu w Montpellier, oraz Jules Wolf z Brukseli, członek Ligi Obrony Praw Człowieka. Międzynarodowy świat polityczny reprezentowali przedstawiciele ambasad w Warszawie, a między nimi ambasady amerykańskiej. Na sali sądowej, największej jaką sąd w Poznaniu dysponował, było obecnych 200 osób, wśród nich najwybitniejsi przedstawiciele społeczeństwa, nie mówiąc o rzecznikach partii i rządu. Ta sala sądowa stała się ośrodkiem natężonej uwagi i pełnego zainteresowania całej Polski. Była też bacznie obserwowana przez światową opinię publiczną.

Procesy poznańskie prowadzono zupełnie inaczej, niż dotychczas. Nie według zasady „społecznego niebezpieczeństwa”, tzn. „niebezpieczeństwa dla mas pracujących w okresie przejściowym do socjalizmu”, lecz z zachowaniem zasady faktycznej niezawisłości sądu, kierującego się prawdą materialną i ideałem sprawiedliwości. Ocena taka znalazła wyraz od samego początku procesu w sprawozdaniach korespondentów pism zagranicznych oraz wyrazach uznania, wypowiedzianych przez adwokatów zachodnich, obserwatorów procesu, — wobec dziennikarzy, zarówno polskich jak zagranicznych.

New York Times opatrzył obszerne korespondencje sprawozdawcy Sydneya Grusona z pierwszych dwu dni procesu tytułami na pierwszej stronie: „Dwa procesy poznańskie rozpoczynają się, wykazując obiektywizm postępowania sądowego”. — „Sąd Poznański pozwala oskarżonym mówić o rozruchach z całą swobodą”. Również na pierwszej stronie *New York Times'a* ukazała się fotografia z procesu poznańskiego z napisem, zawierającym zdanie: „Zachodni obserwatorzy dopuszczeni na salę sądową donoszą, że proces był prowadzony niezwykle obiektywnie i jawnie — jak na państwo o rządzie komunistycznym”. Adwokat belgijski Jules Wolf stwierdził wobec polskich i zagranicznych dziennikarzy: „Procesy poznańskie stanowią przykład dla polskich sądów i sądów innych krajów”.

Istotnie — oskarżeni odwołali swe zeznania i przyznania złożone wobec policji, jako wymuszone przemocą. Oskarżający prokurator uznał fakt stosowania wymuszeń przez policję w pierwszej fazie dochodzeń i zapowiedział pociągnięcie do odpowiedzialności winnych policjantów. Sąd odmówił przyjęcia w poczet dowodów zeznań złożonych w dochodzeniach i oparł ustalenia faktyczne wyłącznie na dowodach, przeprowadzonych na sali sądowej.

Obroncy oskarżonych, w pierwszym rządzie Hejmowski, skorzystali z nowego klimatu, pozwalającego na rzeczywistą obronę oskarżonych. W przededniu rozpoczęcia procesu pisał *New York Times* w zakończeniu artykułu wstępnego:

„Głównym zagadnieniem procesów poznańskich będzie prawo ludności do demonstrowania przeciw uciskowi i głodowi. Zobaczymy czy obrońcy oskarżonych w tych procesach — adwokaci których kariera i życie zależą od polskiego rządu — zdobędą się na to, aby przynajmniej próbować to uczynić”.

Wątpliwości okazały się całkowicie nieuzasadnione. Hejmowski wraz z innymi obrońcami poszedł dalej, niż najśmielsze nawet przypuszczenia pozwalały oczekiwać. Skorzystali z całą od wagą z powstałej sytuacji i stali się głównymi postaciami procesu. Wśród nich naczelną rolę odegrał Hejmowski. Dzięki umiejętności zaofiarowanym dowodom odślonięto motywy działania oskarżonych, to rozruchów poznańskich i ciężkie położenie ludności.

Trzech oskarżonych w pierwszym procesie poznańskim odpowiadało za udział w zbrodniach przez tłum kaprała U.B., podejrzanego o zabicie kobiety i dwojga dzieci. Tylko ci oskarżeni zostali zidentyfikowani. Odślaniając motywy działania oskarżonych, podłoże wypadków poznańskich i położenie robotników — obrońcy, z Hejmowskim na czele, zamienili proces o zabójstwo kaprała U.B. w wielki proces polityczny.

„Obroncy namiętnie zaatakowali reżym w obecności zachodnich dziennikarzy, adwokatów i dyplomatów w postępowaniu sądowym nie mającym precedensu w komunistycznym wymiarze sprawiedliwości”.

Amerykański tygodnik *Life* (z 15. X. 56) pisał m.in.:

„Głównymi postaciami procesu byli obrońcy oskarżonych, którzy umiejętnie wykazali wszystko co demonstranci chcieli powiedzieć światu”.

Sydney Gruson zaś donosił w korespondencji z Poznania (28. IX. 56):

„Obroncy zwalczyli punkt widzenia prokuratora z największym wigorem, jaki widziały sale sądowe od czasu zakończenia drugiej wojny światowej”.

Wyrazem uznania dla obrońców były ich fotografie, zamieszczone w czasopiśmie amerykańskich z *Life*'em na czele. Tygodnik *Newsweek* umieścił pod zdjęciem ławy oskarżonych i ławy obrońców z Hejmowskim na pierwszym planie napis zawierający słowa: „Bohaterowie Poznania”.

Hejmowski przemawiał w obronie oskarżonego 20-letniego robotnika. W istocie bronił również praw olbrzymiej większości narodu polskiego i jego klasy robotniczej. Sam powiedział to publicznie w końcowym przemówieniu obronczym:

„Jestem winien tę obronę robotnikom Poznania i narodowi polskiemu”.

Przemówienie adwokata Hejmowskiego było nadane w całości przez rozgłośnię poznańską Polskiego Radia. Oto kilka ustępów, cytowanych przez korespondentów zagranicznych w sprawozdaniach z procesu (tłumaczenie moje):

„... Wydarzenia poznańskie przejdą do historii. Do historii przejdzie również wyrok tego sądu. A wyrok skazujący byłby wyrokiem skazującym nie tylko oskarżonych, lecz także nas wszystkich. Oskarżeni są bowiem wytworem sytuacji w kraju...”. „... Jakież to przykłąd dawaliśmy oskarżonym w ciągu ubiegłych kilku lat? Obecnie wszyscy się zgadzają co do błędów, popełnionych w minionym okresie. Nie zdoła to jednak wymazać skutków tego minionego okresu, w którym ci młodzi ludzie cierpieli tak wiele. Obecnie wszyscy mówią o gwałceniu praworządności. Ileż jednak też, cierpień i nie-szczęść kryje się poza tymi słowami?...”

Amerykański tygodnik *Time* z 15 października 1956 roku tak pisał o przemówieniu Hejmowskiego w procesie poznańskim:

„Przedstawiając postawę ludności w Polsce wobec rozruchów, obrońca Stanisław Hejmowski stwierdził, że przypominała mu słynny obraz malarza Delacroix, symbolizujący rewolucję francuską. Przedstawiał on młodą kobietę na barykadzie, a obok dwu młodych ludzi z pistoletem i karabinem w ręku. Gdyby ówczesna policja królewska zwyciężyła w walce, prokurator owych czasów postawiłby tych młodych ludzi przed sądem, nazywając ich chuliganami i elementem występny. Ponieważ rewolucja zwyciężyła, zostali bohaterami narodowymi, a obraz ich przedstawiający stał się symbolem rewolucji”.

Społeczeństwo poznańskie okazało wdzięczność swemu utalentowanemu obrońcy. Dziesiątki bukietów kwiatów, setki telegramów i listów były tego wymownym wyrazem. Na ulicy nawet obcy uchylali kapelusza...

O tzw. październikowej rewolucji w Polsce i wypadkach ją poprzedzających ukazało się w Stanach Zjednoczonych szereg książek i wiele artykułów. Każda książka obszernie omawia procesy poznańskie, podkreślając doniosłą rolę spełnioną przez obrońców. Większość opracowań wymienia Stanisława Hejmowskiego z nazwiska i cytuje ustępy z jego przemówienia obronczego.

Hejmowski odgrywał zbyt doniosłą rolę w adwokaturze, by nie znajdować się w jej organach. Przez szereg lat był wybierany do Naczelnej Rady Adwokackiej i był członkiem Odwoławczej Komisji Dyscyplinarnej dla adwokatów, dopóki adwokatura w Polsce zachowywała charakter wolnego zawodu, mimo wprowadzanych ograniczeń.

W historii zmagania z absolutyzmem władzy wykonawczej adwokatura zapisała świetne karty zarówno w Polsce, jak innych krajach Europy i Ameryki. Wolność zawodu adwokata zawiera tradycyjne trzy elementy: pełną wolność słowa w wystąpieniach zawodowych, osobisty stosunek adwokata i klienta, oparty na osobistym zaufaniu i szeroki samorząd zawodowy adwokatów, samodzielnie uprawiających swój zawód. Stosując te sprawdziany, nie można oprzeć się wnioskowi, że adwokatura w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej doznawała systematycznego ograniczania, któ-

re znalazło kulminacyjny wyraz w obecnie obowiązującej ustawie z 19 grudnia 1963 roku o ustroju adwokatury (Dz. U. Nr 57 poz. 309).

Z jej postanowień wynika, że adwokaci w Polsce przestali w istocie być członkami wolnego zawodu i z reguły zostali pracownikami umysłowymi z ograniczoną bardzo swobodą wypowiedzi, załatwiającymi przydzielone im sprawy. Poddani przy tym zostali ścisłej kontroli, w szczególności ministra sprawiedliwości, która jest wręcz całkowita — zarówno nad poszczególnymi adwokatami, jak i organami adwokatury.

W jakim stopniu adwokat w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej korzysta z wolności słowa i pisma przy wykonywaniu zawodu? Oddajmy głos ustawie. Art. 69 wspomnianej Ustawy o ustroju adwokatury stanowi:

„1. Adwokat korzysta przy wykonywaniu zawodu adwokackiego z wolności słowa i pisma w granicach, określonych przez zadania adwokatury, przez przepisy prawne i rzeczową potrzebę.

2. Nadużycie tej wolności, stanowiące ściganą z oskarżenia prywatnego zniewagę strony, jej pełnomocnika lub obrońcy, świadka albo biegłego, podlega ściganiu tylko w drodze dyscyplinarnej.

3. Wszelkie inne nadużycie tej wolności podlega ściganiu w drodze sądowej i dyscyplinarnej”.

Wolność słowa i pisma adwokata jest więc ograniczona. Linie graniczne, wytyczając trzy pojęcia ujęte bardzo ogólnie, rozciągłowie, nadają się do różnorodnej interpretacji. Broniąc klienta, adwokat stale musi odpowiadać sobie samemu na pytanie, czy jego obrona mieści się w ramach „zadań adwokatury”, czy jest zgodna z „przepisami prawnymi” oraz czy nie wykracza poza „rzeczową potrzebę”. A jeśli tak ograniczoną wolność słowa i pisma adwokat przekroczy, grozi mu nawet ściganie karne albo ściganie dyscyplinarne, w którym mogą być wymierzone kary — do wydalenia z adwokatury łącznie.

Trudno rozważyć szczegółowo zadania adwokatury, wyznaczające jedno z trzech ograniczeń wolności słowa i pisma adwokata. Wystarczy wspomnieć, że wśród „zadań adwokatury”, nad czym mają czuwać jej organy, jest także „zapewnienie jej właściwej postawy społecznej” (art. 1 ustęp 2 ustawy o ustroju adwokatury). Adwokat musi więc dostosowywać obronę praw klienta do wymagań „właściwej postawy społecznej”. Interesy klienta sprzeczne z taką „właściwą postawą społeczną” są prawnie pozbawione pieczy adwokata.

Ponadto adwokat winien udzielać pomocy prawnej nie tylko zgodnie z prawem, lecz także zgodnie z „interese mas pracujących” (art. 2 tejże ustawy), a więc nie zawsze i nie wyłącznie zgodnie z interesem klienta. Za postępowanie sprzeczne z „interese mas pracujących” podlega też odpowiedzialności karnej lub dyscyplinarnej, a w takim trybie mogą być orzeczone kary łącznie z wydaleniem z adwokatury.

Dalsze ograniczenie swobody słowa i pisma adwokata w wy-

konywaniu zawodu stanowi nałożony nań ustawowy obowiązek, by nie wykraczać poza „rzeczową potrzebę”. Co znaczą dokładnie te słowa w zastosowaniu do sposobu obrony praw i interesów klienta? Jaki jest sprawdzian „rzeczowej potrzeby”? Kto go stosuje? Jak może adwokat z góry wiedzieć co odpowiada „rzeczowej potrzebie” a co nie? Gdzie jest tego miara?

Narzucone adwokatowi ograniczenia wolności słowa i pisma w wykonywaniu zawodu bardzo łatwo prowadzą do wolności tej przekreślenia.

Spójrzmy teraz na rolę adwokata w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z punktu widzenia drugiego sprawdzianu, jakim jest stosunek do klienta.

Według wspomnianej ustawy o adwokaturze podstawową jednostką organizacyjną adwokatury jest nie adwokat lecz zespół adwokacki (art. 4), posiadający osobowość prawną. Umowę z klientem zawiera kierownik zespołu w imieniu tegoż zespołu, uwzględniając życzenia klienta co do wyboru adwokata, chyba że obciążenie pracą wybranego adwokata uniemożliwia mu podjęcie się prowadzenia sprawy (art. 20). Adwokat może wypowiedzieć pełnomocnictwo dopiero po uzyskaniu zgody kierownika zespołu (art. 23 ust. 1). Adwokat może też pracować w społecznych biurach pomocy prawnej na warunkach określonych umową o pracę (art. 5).

ZA udzielenie klientowi odpłatnej pomocy bez wiedzy kierownika zespołu albo za przyjęcie od klienta korzyści materialnej grozi postępowanie dyscyplinarne, przy czym nie może być wymierzona kara niższa niż pozbawienie prawa wykonywania zawodu. A przy powtórnym dokonaniu przez adwokata czynu określonego w ust. 1 i po uprzednim ukaraniu za taki sam czyn nie może być wymierzona kara niższa niż wydalenie z adwokatury.

Postanowienia te wykazują, że przestała obowiązywać zasada osobistego, opartego na wzajemnym zaufaniu stosunku między adwokatem a klientem.

Ograniczony też został ogromnie samorząd zawodowy adwokatury.

Adwokaci zostali poddani ścisłej i rygorystycznej kontroli ministra sprawiedliwości, a więc czynnika administracyjnego. Oto kilka ważniejszych postanowień, które ilustrują administracyjną kontrolę nad adwokatem.

O wpisaniu na listę adwokatów decyduje Wojewódzka Rada Adwokacka, jednakże minister sprawiedliwości posiada prawo prewencyjnego weta przeciwko każdej decyzji o wpisie. Sprzeciw ministra sprawiedliwości jest ostateczny. Wymaga tylko złożenia go z uzasadnieniem w ciągu 30 dni od otrzymania uchwały Rady Adwokackiej o wpisie nowego adwokata na listę (art. 67 i 68 Ustawy).

Adwokat może być w każdym czasie skreślony z listy adwokatów

„gdy nie daje rękojmi wykonywania zawodu adwokata zgodnie z zadaniami

adwokatury w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej" (art. 78. ust. 1 lic. 8 Ustawy).

Od odmownej uchwały Rady Adwokackiej w takiej sprawie minister sprawiedliwości może odwołać się do Sądu Najwyższego (art. 81 ust. 2 wspomnianej Ustawy).

Minister sprawiedliwości może:

1) polecić wszczęcie postępowania dyscyplinarnego przeciwko adwokatowi lub aplikantowi adwokackiemu,

2) po zapoznaniu się z wyjaśnieniami obwinionego zawiesić tymczasowo w wykonywaniu czynności zawodowych adwokata lub aplikanta adwokackiego przeciwko któremu toczy się postępowanie dyscyplinarne, jeżeli tego wymaga interes społeczny (art. 99 Ustawy),

3) uchylać uchwały organów adwokatury sprzeczne z prawem lub interesem społecznym i przekazać sprawę do ponownego rozpoznania, przy czym przekazując sprawę do ponownego rozpoznania minister sprawiedliwości ustala wytyczne co do sposobu jej załatwienia (art. 14 ust. 1 i 2 Ustawy),

4) zwrócić się do wojewódzkiej rady adwokackiej lub Naczelnej Rady Adwokackiej o podjęcie uchwały w określonej sprawie należącej do zakresu jej działalności; uchwała powinna być podjęta nie później niż w ciągu jednego miesiąca (art. 15 ust. 1 i 2 Ustawy),

5) ze względu na interes społeczny zawiesić w sprawowaniu funkcji poszczególnych członków organów adwokatury i zwrócić się do właściwego organu samorządu o ich odwołanie (art. 11 ust. 4 Ustawy).

Stanisław Hejmowski nie należał do żadnego organu adwokatury po zreorganizowaniu jej na zasadach Ustawy o ustroju adwokatury z 19 grudnia 1963 roku. Ani nie kandydował ani też nie mógłby być wybrany.

Co więcej — gdyby ta ustawa obowiązywała w 1956 roku, Hejmowski nie mógłby prawnie spełnić swej roli obrońcy w procesie poznańskim tak jak ją spełnił.

Stanisław Hejmowski zmarł 31 maja 1969 roku na wylew krwi do mózgu w wieku lat 69. Do samego końca pozostał wierny sobie i zasadom, którym służył całe życie.

Józef GIDYŃSKI

Czarna lista

Mirosław Derecki: *Londyńskie spotkania*. Ukazujące się w lubelskiej *Kamienie*.

Edmund Orkiszewski: *Polacy w świecie*. Drukowane w „Żołnierzu Wolności”.

Wiktor Weggi: *Mistycy i intelektualiści*. „Panorama Północy” z 16 list. 1969.
(m) Dziennikarz paxowski prowadzący w „Kierunkach”, rodzaj kroniki tygodnia, specjalizujący się w podawaniu preparowanych wiadomości antyczeskie bijących o głowę pozostałą prasę PRL a nawet prasę sowiecką co jest naprawdę dużo powiedziane. Prosimy naszych czytelników krajowych o podanie jego nazwiska.

Włodzimierz T. Kowalski: *Kształtowanie się międzypaństwowych stosunków polsko-radzieckich*. (Refleksja historyczna), „Nowe Drogi”, nr 12 grudnia 1969.

Z prasy krajowej

ZREWIDUJ MNIE DRŻĄCĄ RĘKĄ

A gdyby tak ujawnić stan kont tak zwanych twórców w ZAIKS i porównać wartość plodów ich „twórczości” z zawartością ich portfeli? — pyta docent prawa, Kazimierz Kąkol, proponując w „Życiu Literackim” różne formy walki ze wszystkim. A gdyby tak nie grzebać w cudzych zarobkach, wydatkach, rozmowach i innych sprawach, które nie są jawne — czy nie byłoby bardziej demokratycznie? Przecież stawki płacone za twórczość — jeśli ludziom do tego powołanym wydadzą się za wysokie — można obniżyć bez rewizji osobistej. Co będzie, jeśli ktoś wysunie propozycję, by ujawnić i porównać dochody K. Kąkole z jego twórczością? (Or).

Polityka Nr 49 z 6 grudnia 1969.

PANORAMA RACŁAWICKA

We Wrocławiu od kilku lat buduje się rotundę dla Panoramy Racławickiej Kossaka i Styki. Było już kilka terminów otwarcia, ostatnio mówiło się o roku 1970. Teraz władze budowlane stwierdziły, że dobrze będzie jeśli otwarcie nastąpi za trzy lata i że maszyna matematyczna musi obliczyć, jak Panoramę oświetlić. Nasuwają się dwie uwagi: pierwsza, że Panorama jest wcześniejsza niż maszyny matematyczne i długie lata była oświetlana bez angażowania mózgów elektronicznych. Druga, że ongiś Wrocław toczył zaciekle bój z Krakowem o Panoramę, a kiedy wygrał zobowiązując się błyskawicznie wystawić dla niej przytulisko, tamtejsza prasa musi apelować, żeby „miejscowe czynniki kulturalne zainteresowały się serdeczniej Panoramą”.

Polityka Nr 49 z 6 grudnia 1969.

O religii bez namaszczenia

Refleksje katolickie

Kilkanaście lat temu mieszkałem w powiatowym miasteczku w Polsce. Mieściła się tam siedziba kurii biskupiej. Pewnego razu dość dla mnie niespodziewanie zostałem zaproszony na herbatkę do biskupa. Trudno było nie pójść, choć będąc człowiekiem wierzącym, nie chciałem brać udziału w tzw. życiu katolickim poza ściśle religijnym. Spotkanie z biskupem było bezbarwne i właściwie bez treści, rozmowy konwencjonalne, nikt nie wypowiedział myśli bardziej ogólnej, przekraczającej partykularne sprawy diecezji i powiatu.

Jednak już następnego dnia odwiedziło mnie dwóch smutnych panów, zalecając systematyczne uczęszczanie na herbatki do biskupa i referowanie im potem ich treści. Ponieważ odmówiłem, więc wkrótce straciłem posadę, latami odmawiano mi paszportu, nachodzono mnie tak długo, aż w końcu musiałem się wynieść z mego rodzinnego miasteczka.

Przygoda ta dała mi dużo do myślenia. Zrozumiałem, że nawet w najbardziej banalnym, beztreściowym katolicyzmie reżym wietrzy straszliwe niebezpieczeństwo.

W powojennej Polsce Kościół stał się nie tylko ostoją oporu, niezależności myślenia, opozycji światopoglądowej, lecz także politycznej. Złożyło się na to wiele. Przede wszystkim głupota marksistów, którzy chcieli szybko i prymitywnie podkopać pozycję Kościoła i zdławić postawy religijne. Spotkało ich tu fiasco całkowite. Trudno się temu dziwić, gdyż partia jakby zaprzysiężyła sobie postępować nonsensownie. Czując się z początku w kraju przeraźliwie słaba kokietowała najpierw katolicyzm. Wicepremierzy chadzali pod rękę z kard. Hlondem w procesjach religijnych, pozwolono na otwarcie licznych pism katolickich, nie dopuszczając do głosu kierunków liberalnych. Stworzono sytuację w której po upadku Mikołajczyka zostali w Polsce tylko marksiści i katolicy. Innych kierunków nie przewidziano. W ten sposób powstał automat czyniący z Kościoła alternatywę partii.

Ponieważ zaś partia najpierw podkreślała znaczenie Kościoła, a potem zaczęła go bezwzględnie gnębić, więc katolicyzm nieustannie rósł w siłę społeczną. Opozycja została najpierw tam skanalizowana, a potem podjęto z nią walkę tak beznadziejnie nieinteligentnie, że zyskiwała coraz powszechniejsze zaplecze społeczne. Kiedy zlikwidowano kolejno Stronnictwo Pracy, *Tygodnik Warszawski* i wreszcie w 1953 r. bardzo ostrożny *Tygodnik Powszechny*, Caritas, prasę diecezjalną, stowarzyszenia katolickie, przedszkola i szkoły i w ogóle wszystkie instytucje katolickie, trwający w oporze Kościół stawał się natchnieniem społeczeństwa, a na Kardynała Wyszyńskiego zwrócone były wszystkie oczy w Polsce.

Kardynał zaś nie był człowiekiem, który dałby się biernie ponosić nurtowi wydarzeń. Przeciwnie, miał on swoją koncepcję, co na tle przeciętności właściwie całego polskiego Episkopatu było wielkim ewenementem. Opór kardynała miał podłoże nie tylko religijne, ale także narodowe. Uważał się za *interrex'a*. Był gotów ponieść każdą ofiarę włącznie z męczeństwem w imię swojej koncepcji oporu. Można podziwiać zrządzenie opatrności, czy też mądrość Watykanu, która sprawiła, że najodpowiedniejszy dla danej chwili człowiek znalazł się na czele Kościoła. W chwili, kiedy było zapotrzebowanie na męczennika zjawił się człowiek gotów na męczeństwo, zupełnie w tym kierunku zdeteminowany.

Kardynała nie umęczono, lecz izolowano, co postawiło w cieniu jego osoby całą wewnętrzną politykę polską. Wyszyński wyrósł na olbrzyma, szczególnie wobec małości wszystkich innych włącznie z biskupami, którzy następnego dnia po jego aresztowaniu zaparli się go i poszli na kompromis.

Tymczasem monopol na życie katolickie oddano PAXowi fałangisty Piaseckiego, co opinia katolicka przyjmowała ze zgrozą i obrzydzeniem. Szczególnie, że Piasecki deklamował o wieloświatopoglądowości i współzrządzeniu nie uchylając się zarazem przed najhaniebniejszym donosem, dywersją i jawną akcją antykościelną.

Wobec tego wszystkiego duch Kardynała Wyszyńskiego zapanaował wszechwładnie w świecie katolickim, na jego obraz i podobieństwo kształtowano kler i postawy ludzi wierzących. Nic też dziwnego, że jednym z pierwszych aktów przewrotu październikowego 1956 roku musiało być zwolnienie Kardynała, że tylko on mógł ratować partię przed gniewem ludu, a Polskę przed wielkimi zaburzeniami.

Mniej więcej w tym czasie dokładnie zapoznałem się z poglądami Kardynała, wyrażonymi w rozmowie z pewnym moim przyjacielem. Wyszyński miał zupełnie słuszne poczucie swojej totalnej wygranej moralnej i politycznej. Wygranej dla Kościoła i, co podkreślał z naciskiem, dla narodu. Wspomniana rozmowa uświadomiła mi jednak, że jego aktualna rola nie stoi w żadnej proporcji do jego postawy myślowej. Kardynał mówił, że jest socjologiem katolickim, o swoich niewydanych pracach na temat

katolickiej nauki społecznej, o roli Kościoła w życiu narodu polskiego o nierozdzielności religii i polskości. Na ostrożną uwagę swego rozmówcy przestrzegającą przed integralizmem, na sugestię, że poza katolikami i marksistami widać w Polsce także postawy trzecie, początki pluralizowania się społeczeństwa, reakcja była gniewna. Dalsza rozmowa straciła sens. Przyjaciel mój wyniósł z niej przemożne poczucie, że jego wysoki interlokutor przebywa duchowo w atmosferze poprzedniej epoki, ideałem jego jest model społeczeństwa niemal teokratycznego. Najwyraźniejszą nicią w jego myśleniu przewijały się kategorie narodowe, aż do skrajnej przesady splecione z religijnymi. Wyrażał pod tym względem swoisty historyzm, zapatrzenie wyłącznie w tradycję, pozbawione poczucia rzeczywistości i zmysłu futurologicznego. Jednocześnie z człowieka tego emanowała silna wola, nie cofająca się przed narzuceniem swego zdania i swego autorytetu. Pomyślałem wtedy pierwszy raz, że skończyła się epoka stwarzająca zapotrzebowanie na Kardynała Wyszyńskiego.

Pogląd ten jednak nie raz jeszcze musiałem rewidować. Dochodziłem do wniosku że wobec poziomu partyjnej polityki wyznaniowej Kardynał, jeśli chodzi o strategię wobec reżymu, jest nadal jedyny, najlepszy i niedościgniony, tak był nieustraszony i zwycięski. Tylko, że życie katolickie nie może ograniczać się do potyczek z reżymem, który zresztą po 56 roku znacznie udoskonalił i wysubtelnił metody swej walki z Kościołem. Kościół przestał być prześladowany, ale nieustannie jest szykanowany, ograniczany, krępowany, i spychany ze swego stanu posiadania. Kardynał czerpie z tego wszystkiego mocne przekonanie o słuszności swojej linii i postawy.

W międzyczasie przyszedł jednak Sobór Watykański II, jeden i drugi synod biskupów. Nawet w Polsce musiano zdać sobie sprawę, że Kościół to nie tylko naród, że jest on Powszechny. Kardynałowi nie było to nazbyt miłe i szybko oraz zdecydowanie ustawił się na skrajnie prawym skrzydle episkopatu światowego. Wraz ze sobą ustawił tam wszystkich biskupów i cały Kościół polski, nie bardzo pytając kogokolwiek o zdanie. Ciekawy w intencji, ale niezręcznie zaaranżowany list do biskupów niemieckich był kolejnym faktem podważającym *prestige* Wyszyńskiego. Ponieważ jednak partia, inspirowana tu już wyraźnie przez konspirację moczarską postanowiła prymitywnie i po chamsku wykorzystywać wymianę listów z biskupami niemieckimi, Kardynał rychło z przegranej stał się zwycięzcą. Następnie w cuglach wygrał demonstracje milenijne, w które Gomułka zaangażował się, nieopatrznie podbechtany przez nieżyczliwych mu już wtedy partyzantów.

Tryumf Kościoła był całkowity, a wielkość Kardynała w oczach Polaków niemal posągowa. Mistrzowsko, po raz nie wiadomo który, rzucił rządzących komunistów na kolana. Pokazał kto ma rząd dusz w Polsce. Nic dziwnego, że znów pogłębiło się w nim poczucie słuszności własnej linii i wrodzona mu arbitralność.

Uświadomiłem sobie to wszystko kilka miesięcy temu, gdy

przyjechałem na pewien czas na Zachód i zetknąłem się z polemiką „kościelną” na emigracji. Przeciętny katolik pochłonięty życiem zawodowym nie ma warunków na stałą generalną refleksję na temat sytuacji i linii Kościoła w Polsce. Polemiki emigracyjne były na mój gust zbyt marginesowe, dotyczyły problemów lokalnych, czy peryferyjnych, jak np. sprawy księży z paszportami PRL. Logiczne wywody Mieroszewskiego w tej sprawie nie wytrzymują krytyki z punktu widzenia jednej ewentualności praktycznej. Jeśli księża zaczęli oddawać paszporty PRL-u, to reżym przestanie ich z kraju wypuszczać. Ma to raczej zasadnicze znaczenie, pomijając już fakt, że księża ci zostali wychowani w Polsce i dla niejednego z nich zerwanie więzów z krajem byłoby poważnym dramatem. Z drugiej strony zaś emigracja i wychodźstwo nie ma wystarczającej ilości powołań, żeby obejść się bez pomocy duchowieństwa z kraju. Ale zostawmy w tej chwili ten peryferyjny, choć z pewnością skomplikowany wielostronnie problem. Dyskusja na emigracji uświadomiła mi głębsze tło całej sprawy, które podświadomie wyczuwałem już wcześniej.

Najpierw trzeba odpowiedzieć na pytanie skąd brała się niezwykła siła oporu i determinacja kardynała Wyszyńskiego. Dlaczego presji reżymu nie uległ on, a ulegli jej różni wybitni przedstawiciele opinii polskiej, dawnej lewicy demokratycznej i kół liberalnych, wielcy pisarze, naukowcy, ludzie kultury. Większość z nich jest dzisiaj w opozycji ale niemal wszyscy — z nielicznymi wyjątkami jak np. Kisielewski — w różnych okresach poszli na kompromisy moralne, ulegali, przystosowywali się, nie byli w stanie intelektualnie lub moralnie wytrzymać próby ciśnienia totalizmu.

Jeden kardynał Wyszyński wytrzymywał ją zawsze i opierał się zwycięsko. Pomińmy w tej chwili aspekt nadprzyrodzony tej sprawy, który przecież dla katolika nie jest sprawą banalną. Pomińmy cechy charakterologiczne Kardynała, które miały nie mały wpływ na jego postawę. Moim zdaniem decydujący wpływ miały jednak poglądy i formacja ideowa Kardynała.

Była i jest to formacja klerykalno-nacjonalistyczna, politycznie prawicowa, przeciwna tendencjom liberalnym i pluralizmowi współczesnego społeczeństwa. Porządek komunistyczny w Polsce był tej formacji zawsze obcy i odrażający. Nigdy nie miała ona pokusy dialogu, czy zbliżenia z międzynarodowym komunizmem narzuconym Polsce. Pokusie tej ulegali natomiast demokratyczni lewicowcy, liberalni humaniści, a także różni klasyczni endecy. Sprofilowany w kierunku nacjonalistyczno-klerykalnym kardynał Wyszyński pokusy takiej nie miał. Przez to dużo łatwiej było mu być niezłomnym i trwać w oporze.

Lecz oto niespodziewanie dla wielu opór Kardynała drgnął, gdy w Polsce pojawiła się narodowo-komunistyczna alternatywa komunizmu międzynarodowego. Oczywiście sprawę tej nie wolno przedstawiać w sposób wyolbrzymiony, niezgodny z prawdą. Kardynał Wyszyński nie poszedł na żaden kompromis, nie zmienił dotąd swej linii zasadniczej. Stał się tylko wyjątkowo, jak

na niego, ostrożny i wstrzemięźliwy zarówno wobec wydarzeń marcowych, akcji antysemickiej jak i agresji na Czechosłowację. Tylko bardzo płytkie spojrzenie na politykę Kardynała może prowadzić do wniosku, że w tych wypadkach chodziło mu o zwykły realizm, o to aby nie wmieszać Kościoła w konflikt polityczny. Kardynał przez ponad 20 lat nie robił nic innego, jak wiązał sprawę Kościoła z polską polityką narodową, taką jak on sam ją widzi.

Toteż w ostatnich latach wstrzemięźliwość Kardynała nie wynika tylko z realizmu. Po prostu przygląda się on z uwagą narodowej alternatywie międzynarodowego komunizmu w Polsce. W niektórych wystąpieniach dawał nawet publicznie wyraz zadowoleniu, że w Polsce zaczyna się więcej mówić o narodzie. Proszę czytelnika, żeby nie posądzał tu Kardynała o naiwność, o branie na serio każdego propagandowego hasła patriotycznego partii. W gruncie rzeczy Kardynał jest nadal ostrożny i nieufny wobec wszystkich komunistów, ma po prostu duże doświadczenie. Ale orientacja narodowa w partii, jako pewien wariant teoretyczny, bardzo go interesuje. Tak bardzo, że może nawet podświadomie krępuje jego reakcje polityczne.

Naturalnie nie należy przypuszczać, żeby Kardynał przewidywał powstanie zbieżności między swoim rozumieniem spraw narodowych, a lansowanym dziś przez partię „patriotyzmem socjalistycznym”. Powtarzam raz jeszcze, na to jest zbyt mądry i doświadczony. Ale ponieważ żyje przeświadczeniem, że komunizm znajduje się w stanie zupełnego rozkładu, uważa zapewne powstanie prądów narodowych za pewien przejściowy etap, w stopniowym załamywaniu się reżymu. Wobec tego, jeśli nawet pozytywnie nie sprzyja tym prądom w partii, patrzy na nie nie wątpliwie życzliwiej niż na inne kierunki wewnątrzpartyjne.

Nie da się zaprzeczyć, że dynamika problematyki narodowej rozsądza współczesny komunizm międzynarodowy. Jednakże w skali problemów wewnątrzno-polskich prądy nacjonalistyczne w partii wiążą i regenerują siły dogmatyczne i totalitarne biurokracji partyjnej. Wobec tego powodują one opozycję wszystkich środowisk myślących humanistycznie i liberalnie, nie wyłączając katolickiego „Znaku”. Kardynał Wyszyński znalazł się w ten sposób po raz pierwszy w obliczu opozycji, której on sam nie uosabia i która jest mu obca ze względu na jego nacjonalistyczno-klerikalną formację. Do tego dochodzi wzrost kontrowersyjności sprawy odnowy Kościoła w Polsce, której na ogół sprzyjają przedstawiciele tendencji liberalnej i humanistycznej w opinii polskiej. To pogłębia jeszcze przepaść między Kardynałem a „liberałami”. Kontrowersje wokół odnowy są jedyną sprawą, która zdolna jest wyprowadzić umiarkowanego kardynała Wyszyńskiego całkowicie z równowagi. Tego jednego nie jest już w stanie znieść zaprzysięgły konserwatysta kościelny. W konsekwencji wygrywając stale politycznie z reżymem zaczyna boleśnie przegrywać ze światłą opinią polską. Kardynał został całkowicie skłócony z grupą „Znak”, z pewnością najświatlejszą w polskim katoli-

cyzmie, choć tak bardzo wąską i zamkniętą społecznie, oraz zupełnie pozbawioną szerszej inicjatywy. Konieczne trzeba tu dodać, że opisywane zjawisko nie jest tylko kwestią osobistej postawy Kardynała. Wspomniałem już na początku, że na jego obraz i podobieństwo kształtowano całe polskie duchowieństwo. Poza wyjątkami, ostatnio zresztą coraz liczniejszymi, jest ono orientacji nacjonalistyczno-klerikalnej i konserwatywnej. Taką postawę ma także większość jeśli nie wszyscy biskupi.

Powstaje więc paradoksalna sytuacja, że środowiska liberalne mają przeciwko sobie nie tylko dogmatyczny i totalitarny narodowy komunizm partii, ale także nie obdarza ich zbyt dużą sympatią nacjonalizm katolicki. Stan ten można uważać za alarmujący i zgoda dramatyczny, gdy zakłada się kilka rzeczy, które mogą się wcale nie sprawdzić.

Po pierwsze zupełnie nie jest powiedziane, że Kościół i kardynał Wyszyński będą sprzyjali kierunkowi nacjonalistycznemu w partii, szczególnie jeśli nie będzie on ewoluował. Kardynał może kłócić się ze „Znakiem” o odnowę Kościoła, może słuchać sugestii moczarowców, że porozumieją się z Kościołem, może nawet znośić umizgi PAXu, podkreślającego, że nie chce walczyć o odnowę religijną. Ale kardynał Wyszyński jest ostatnim człowiekiem, który da się oszukać i wywieść w pole. Nigdy dotąd nie zrezygnował z niezależności swojej polityki. A na pokrewieństwo ideowe z narodowym komunizmem z całą pewnością nie liczy.

Dруга sprawa to oblicze owego komunizmu narodowego. Nie jest wcale powiedziane, że na zawsze pozostanie ono niezmienione w wersji totalitarnej. Narodowy komunizm już obecnie jest kierunkiem nie tylko jednej z frakcji w górze partyjnej ale także większości młodej biurokracji. Losy narodowego komunizmu mogą być w Polsce jeszcze bardzo różne.

Nie wykluczałbym możliwości że wyda on z siebie np. polskiego Dubczeka, choć dzisiejszy jego stan ideowy bynajmniej tego nie zapowiada. Sytuacje jednak tworzą ludzi. A Polska w najbliższych latach musi przejść przez sytuację przełomową, choćby w związku ze zmianami międzynarodowymi, ze skutkami konfrontacji politycznej rosyjsko-chińskiej i z nadchodzącym w kraju kryzysem systemu gospodarczego.

Dlatego przestrzegam przed patrzeniem na sprawy polskie przez pryzmat prostego schematu, w którym ścierają się tylko ciemne siły marksistowskiej i katolickiej nacjonalistycznej reakcji z jednej strony, a z drugiej nieliczne, światłe, demokratyczne i liberalne środowiska lewicy. Obraz nie jest tak nieskomplikowany, choć rzeczywiście wydarzenia marca i całego roku 1968 w Polsce były zjawiskiem przerażającym, choć totalitaryzm narodowego komunizmu w jego znanej nam wersji budzi najgorsze obawy. Jednak procesy uniwersalne w świecie komunistycznym i czekające kraj wstrząsy gospodarcze nie mogą nie wpłynąć rewolucjonizująco na bieg spraw w Polsce i na oblicze prądów wewnątrz partii.

Osobnym zagadnieniem pozostaje naturalnie stan polskiego

katolicyzmu. O ile jestem przekonany, że kardynał Wyszyński nie stanie się nigdy narzędziem w rękach żadnej polityki reżymu a w ogóle pod względem politycznym sprawy rozegra zawsze zgodnie z obiektywnymi możliwościami i potrzebami niezależności duchowej ludzi wierzących, o tyle zasadnicze moje wątpliwości budzą jego poglądy i stan katolicyzmu polskiego.

Narodowy klerykalizm by, jak dotąd, wielką siłą, z którą komuniści nie mogli sobie poradzić. Ale wobec procesów urbanizacji i stałego wzrostu przeciętnego wykształcenia Polaków może stać się głęboko niewystarczającą alternatywą odnowy Kościoła w Polsce w duchu Vaticanum II. Więcej, zaryzykowałbym tezę, że katolicyzm polski nie dostosowując swego oblicza duchowego do warunków rozwijającego się społeczeństwa pluralistycznego, może wejść w bardzo głęboki kryzys. Jak dotąd ratowała go przed tym obłędną polityką nieustającego administracyjnego nękania ze strony partii. Ale jeśli komuniści zmadrzeją, jeśli zastosują kiedyś lansowaną po Październiku przez Władysława Bieńkowskiego tezę — o zostawieniu Kościoła samemu sobie — konsekwencje mogą być nieobliczalne. Już zresztą teraz, mimo stałej podjazdowej walki administracji z Kościołem, w postawach światopoglądowych społeczeństwa zaznaczają się niepokojące zmiany. Narodowy klerykalizm nie jest żadnym programem religijnym dla dzisiejszego, nowoczesnego, zindustrializowanego społeczeństwa. Czy Kościół polski zdobędzie się na inny program, na inną koncepcję i myśl przewodnią? Straszliwie dużo od tego zależy.

Jan KRAJEWSKI

Kościół wobec emigrantów

Migracja jednostek i całych ugrupowań etnicznych i politycznych jest jednym z ważniejszych objawów historyczności człowieka, który żyje w czasie i przestrzeni. Fakt ten, złożony w swej istocie i bogaty w swej treści, przybierał w ciągu wieków różne formy, począwszy od mniej lub więcej dobrowolnych „wędrowek ludów”, poprzez ucieczki, zsyłki, deportacje, a skończywszy na wolnym i nieprzymuszonym wyborze osobistym.

Migracja stała się ulubionym przedmiotem studiów dla socjologów, obiektem kalkulacji dla ekonomistów i przetargu dla polityków, ale zapomina się bardzo często o rzeczy zasadniczej, że dla wychodźcy, jako człowieka, jest ona zawsze dramatem wewnętrznym i często nawet tragedią osobistą! Wychodźca szuka poza „ziemią swych ojców”, czyli poza naturalnym kontekstem swego pierwotnego współżycia ze światem i ludźmi, możli-

wości dalszego istnienia. Dramat zmienia się w tragedię osobistą wtedy, kiedy nawet na obcej ziemi nie może być sobą — kiedy tu uważa się go za istotę bez znaczenia, lub zmusza się go do wyzbycia się tego wszystkiego, co dotychczas stanowiło jego rację bytu.

Kościół zetknął się z faktem migracji już w zaraniu swych dziejów i będąc sam instytucją misyjną, migracyjną i pielgrzymującą, pojął i odczuł ten problem w jego głębokiej rzeczywistości ludzkiej — w jego dramatyczności — i zgodnie ze swym posłannictwem, starał się nim zająć zwłaszcza od strony moralnej i religijnej.

Nie jest moim zamiarem przedstawiać, choćby w formie skrótu, historii stosunku Kościoła do migracji i do emigrantów. Ograniczę się tylko do dwóch ostatnich dokumentów rzymskich, które ukazały się w ciągu ostatniego dwudziestolecia. Są nimi: Konstytucja Apostolska „*Exsul Familia*” (Rodzina wygnańcza), wydana przez Piusa XII 1 sierpnia 1952 r. i Instrukcja Kongregacji dla Biskupów „*Pastoralis migratorum cura*” (Opieka duszpasterska nad wychodźcami) wydana przez Pawła VI i poprzedzona specjalnym listem papieskim, zwanym „*motu proprio*” dnia 15 sierpnia 1969 r. Obydwa dokumenty, a zwłaszcza ostatni, starają się objąć całość problemu — nakreślić zasadnicze linie postępowania moralnego wobec emigrantów i nadać opiece duszpasterskiej strukturę prawną.

Przyzwyczajiliśmy się do krytyki centralizmu rzymskiego. Wiele pragnie decentralizacji władzy w Kościele, zmniejszenia autorytetu papieskich kongregacji rzymskich, ale kiedy się czyta rzymskie orzeczenia o emigrantach i kiedy się cierpi z powodu zaściankowego partykularyzmu wielu biskupów miejscowych i krajowych konferencji biskupów wtedy stwierdzamy, że uniwersalizm i pluralizm rzymski jest może jedynym prawdziwym obrońcą wolności i godności osobistej emigranta.

Rzym podchodzi do emigranta nie tylko jak do człowieka cierpiącego na kompleks wyobcowania, któremu należy stworzyć pomyślnie warunki, by w ten sposób jak najszybciej zapomniał o swej tragedii, przez asymilację do nowego środowiska — ale także, a może nawet przede wszystkim, widzi w każdym wychodźcy osobę ludzką, która pragnie pozostać sobą nawet w obcym środowisku, mimo całej przyjaźni do nowych ludzi z którymi musi żyć i współżyć. Nie można przenieć człowieka, którego w pierwszej młodości uwarunkował specyficzny „obraz ojca” i wszystkie rozumowania są tu bezskuteczne, bo operują tylko na powierzchni irracjonalnych, biopsychicznych energii człowieka, które współdziałają później w tworzeniu naszej osobowości. Niezapomniany W. Gombrowicz walczył całe życie z „sarmatyzmem” swej młodości. Z tej walki powstały jego wspaniałe dzieła, które nie wyrosły na grobie sarmatyzmu, ale na jego krytycznej sublimacji.

Uniwersalizm rzymski jest bardzo realistyczny, kiedy twierdzi, że opieka religijna nad wychodźcami nie może być skuteczna

„jeżeli nie weźmie się pod uwagę dorobku duchowego i kulturalnego emigrantów, a szczególnie ich własnego języka ojczystego, którym wyrażają swoje myśli, swoją mentalność i własne przeżycia religijne” (PMC — Wstęp¹).

Biskupi różnych narodów upominają się z natarczywością o „kolegialność rządów” Kościoła. Być może, że przy takim sprawowaniu rządów nauczą się od Rzymu uniwersalizmu, który jest jednością w różnorodności. Wtedy nie będą już likwidować parafii narodowościowych na swoich terenach i odmawiać innym grupom etnicznym prawa do swego kapłana, ani nie będą szukać „cnotliwego alibi” jedności Kościoła, dla usprawiedliwienia swego zachłannego patriotyzmu.

Orzeczenia rzymskie, zwłaszcza ostatnia instrukcja, stawiają zagadnienie opieki duszpasterskiej nad emigrantami na właściwym poziomie — najpierw ludzkim, a potem religijno-kościelnym.

Z punktu widzenia *ludzkiego* emigrant jest człowiekiem, który nie może zapomnieć o tym skąd przyszedł i dlatego każda przymusowa asymilacja kaleczy głębię jego jaźni. Ten, który mówi o asymilacji żąda od wychodźcy wyzbycia się wszystkiego czym był dotychczas i przyjęcia innego sposobu przeżywania wartości ludzkich i historycznych. W takim żądaniu jest zawsze dużo pretensjonalności, ksenofobii i niedoceniań innych. Dokumenty rzymskie są przeciw asymilacji, najpierw dlatego, że uznają wartości kulturalne i religijne wszystkich narodów i starają się stworzyć całą sieć opieki duchowej nad nimi.

Z drugiej jednak strony, przypomina się emigrantom, że winni sobie cenić tradycję, język i zwyczaje kraju do którego przybywają (PMC n. 10). Mają się uczyć nowego języka, włączyć się w społeczność, by i w tych nowych warunkach, być pełnowartościowymi ludźmi. Ale, żeby nie było nieporozumień, zaraz w następnym paragrafie przypomina się im, że mają sobie „bardzo cenić, to co przynieśli ze sobą, a więc, swą mentalność, mowę, kulturę, religię”. Z tego wynika, że dokumenty rzymskie są za integracją, przeciwko wszelkiego rodzaju gettom etnicznym. Taka integracja suponuje możliwość, czy nawet konieczność, dalszego kultywowania dorobku duchowego kraju z którego wyszli. Mogą mieć swe kościoły, kaplice, domy, ogniska i stowarzyszenia (PMC n. 34), w których omawiają swoje sprawy i żyją swoim dorobkiem kulturalnym i narodowym. To jednak nie powinno im przeszkadzać w pełnym uczestniczeniu w życiu kraju który ich przyjął (PMC n. 10). Problem odrębnej szkoły nie został poruszony. Istnieje jakieś zasadnicze nieporozumienie między emigrantem i jego nowym otoczeniem, czy środowiskiem i odwrotnie. To ostatnie pragnie go wchłonąć bez reszty i daje mu z konieczności, czy z litości, pewien margines czasu potrzebny do włączenia się weni bez gwałtu moralnego i przymusu psychologicznego — a z drugiej strony, emigrant ulega pokusie pozosta-

nia sobą, takim jakim by był w kraju swego pochodzenia. To są tendencje jednokierunkowe i jednowymiarowe. Emigrant, który pragnie pozostać sobą winien się nauczyć żyć w dwóch wymiarach i stworzyć jedność swego bytu na wyższej płaszczyźnie, niż przeciętny obywatel jednego kraju. Nie można być w ten sam sposób Słowakiem czy Polakiem w kraju i na emigracji. PMC rozwija przed nami pluralistyczną wizję dynamistycznej koegzystencji różnych grup nie tylko na płaszczyźnie ogólnie światowej, ale także w granicach poszczególnych krajów, diecezji i parafii. Cały rozdział pierwszy nowej instrukcji rzymskiej pt. „Zasady ogólne” zasługuje na specjalne przemyślenie i omówienie, bo na nim, jak na fundamencie, opiera się cała kodyfikacja kościelna duszpasterstwa emigracyjnego.

Przejdźmy teraz do aspektu ściśle *kościelnego*. Fakt, że w ciągu niespełna dwudziestu lat wydał Rzym dwa bardzo poważne dokumenty na temat opieki duszpasterskiej nad emigrantami świadczy o tym, że nie wszystko w tej dziedzinie było w najlepszym porządku. EF była odpowiedzią papieża na liczne skargi i prośby emigrantów, zwłaszcza włoskich, którym biskupi wielu krajów odmawiali prawa do pełnej opieki duchowej ich własnych kapłanów. Dlatego dwa ostatnie rozdziały są poświęcone tylko sprawie włoskiej.

PMC zrodziła się najpierw z konieczności dostosowania EF do wskazań ostatniego soboru i z chęci uwzględnienia, tak żądań biskupów jak i samych emigrantów. EF była aktem osobistym ostatniego papieża przedsoborowego. Pius XII z właściwym sobie poczuciem autorytetu jedyne i nieograniczonego, wydał EF jako „Konstytucję Apostolską”, bez zbędnego oglądania się na kolegialność rządów Kościołem. Bardzo charakterystyczne, z tego punktu widzenia, jest samo zakończenie konstytucji: „Każdy, który odważy się sprzeciwić się powyższym nakazom, niech wie, że zasługuje na gniew Boga wszechmogącego i błogosławionych Apostołów Piotra i Pawła”. A więc dekretuje — Bóg w niebie i papież na ziemi!

PMC jest bardziej ogłębna w wyrażeniach. Z właściwą sobie prostotą Paweł VI powołuje się na ostatni sobór, na Krajowe Konferencje Biskupów i mocą swego autorytetu ogłasza, nie konstytucję, ale instrukcję, którą przygotowała Kongregacja rzymska dla Biskupów, przy współudziale Najwyższej Rady dla Spraw Emigracji.

Po wydaniu EF biskupi krajów imigracji uważali, że Rzym zbyt ogranicza ich władzę, bo on, a nie oni, mianuje duszpasterzy i rektorów misji dla emigrantów. Nadto, bardzo krzywym okiem patrzyli na samą instytucję rektoratów misji. Emigranci zaś i ich duszpasterze upominali się o zniesienie klauzuli, niezgodnej według nich, z prawem naturalnym, która ograniczała ich władzę „do emigrantów i ich potomków w linii prostej, pierwszego stopnia, bez względu na ich naturalizację” — (EF; IV, 40, 2). Pretensjom jednych i prośbom drugich stało się zadość.

PMC reorganizuje strukturę duszpastersko-prawną w następu-

1. Dla uproszczenia, będę używał skrótów: *Exsul Familia* = EF; *Pastoralis migratorum cura* = PMC.

jący sposób: Na szczeblu międzynarodowym całego Kościoła znajduje się Kongregacja Biskupów, która ma do swej dyspozycji Najwyższą Radę Migracyjną z Komisją Studiów i Urząd dla Spraw Migracyjnych. Ale Kongregacja rzymska nie mianuje już, ani misjonarzy, ani rektorów. Wydaje tylko instrukcje ogólne i czuwa nad całością. Cała władza przeszła na szczebel krajowy. Tutaj najwyższym organem w sprawach migracyjnych jest Krajowa Konferencja Biskupów i jej organy: Komisja Biskupia, albo przynajmniej jeden biskup z sekretarzem, który zwykle obejmuje funkcję Dyrektora Krajowego dla duszpasterstwa migracyjnego. Na szczeblu diecezjalnym: Biskup miejscowy i jeżeli zachodzi potrzeba, do jego dyspozycji specjalny urząd do spraw opieki nad emigrantami. Rektorzy zostali zniesieni. Przewiduje się na ich miejsce tzw. „delegatów misjonarzy” w krajach, gdzie pracuje większa ilość duszpasterzy emigracyjnych. Ich nominacja zależy od Krajowej Konferencji Biskupów, a ich prerogatywy zostały bardzo uszczuplone. W ten sposób Krajowe Konferencje Biskupów zyskały większą niezależność w stosunku do Rzymu i duszpasterstwo emigracyjne zostało poddane ich władzy, trosce i roztropności. Rzym jednak nie jest tak naiwny, by wierzyć, że każdy biskup postąpi tu jak najlepiej i zgodnie z prawdziwym dobrem emigrantów, dlatego nie szczędzi sugestii, rad, wskazań i nawet nakazów. We wszystkich widać prawdziwą troskę o, poszanowanie praw i aspiracji emigrantów. Przepisy straciły jednak dawny charakter apodyktyczny. Biskupom powierzono ich interpretację i adaptację do warunków miejscowych.

Emigranci i ich duszpasterze zyskali to, że z definicji migranta usunięto klauzulę pierwszego pokolenia. MPC uważa za wychodźców nie tylko tych, którzy wyemigrowali z powodów ekonomicznych lub politycznych, aby osiąść na stałe w innym kraju, ale również robotników czasowych i sezonowych, techników przedsiębiorstw, którzy pracują w „Trzecim Świecie”, urzędników zatrudnionych w organizacjach międzynarodowych, cudzoziemskich studentów — i wszystkich tych, którzy z jakiegokolwiek przyczyny znaleźli się poza swoim normalnym środowiskiem, a którzy, zwłaszcza z powodu różnicy języka, potrzebują specjalnej opieki duchowej” (PMC n. 15). Prawo do własnego języka, do własnej kultury i do własnego duszpasterza nie jest więc ograniczone do pierwszego, czy drugiego pokolenia, ale jest uzależnione od wyboru samego emigranta. Przy tej okazji zaznaczę, że owa niefortunna klauzula pokoleń nie widniała w pierwszym wydaniu EF, które ukazało się w dzienniku watykańskim *Osservatore Romano*, ale wprowadzono ją dopiero w oficjalnym wydaniu w „Aktach Stolicy Apostolskiej” — i to podobno na skutek interwencji wielu krajowych Konferencji Biskupów. W ten sposób PMC usunęła przyczynę wielu niepotrzebnych nieporozumień i tarć. Oprócz tego postawiła duszpasterza emigracyjnego na tym samym poziomie prawnym i ekonomicznym co i miejscowy kler diecezjalny. Jest to duże osiągnięcie.

Jeżeli nowa instrukcja poddaje całkowicie duszpasterzy emi-

gracyjnych jurysdykcji biskupów miejscowych i Krajowych Konferencji Biskupów, to dlatego, by ułatwić integrację. Biskupi miejscowi mieli słuszne zastrzeżenia do migranckich organizacji kościelnych, które stawiały się poza nawiasem życia kościelnego ich diecezji i wykonywały chętniej programy biskupów ich kraju pochodzenia, niż programy miejscowe. Rzadko kiedy troszczono się o to, by godzić jedno z drugim. Nie widzę żadnej racji dla której emigrant musiałby rezygnować z troski o potrzeby kościoła miejscowego. Ciągły apel tylko do programów kraju pochodzenia, wyobcowuje emigrantów z ich aktualnego środowiska, w którego atmosferze żyją na codzień. Można się w nie włączyć po polsku, czy po słowacku itd.! Ponieważ w tej dziedzinie nie mamy jasno określonych programów, dlatego należy się spodziewać, że uczynią to za nas biskupi miejscowi, z mniej lub więcej trafnym rozeznaniem naszej sytuacji.

PMC jest mniej klerykalna niż EF — to znaczy oddaje świeckim cały wachlarz odpowiedzialności, które dotychczas spoczywały na barkach duszpasterza emigracyjnego. Świeckim daje instrukcja wielkie pole do działania. Na nich składa troskę o język ojczysty emigrantów, o ich kulturę rodzimą i sprawiedliwość społeczną; PMC n. 57. Od świeckich zależeć będzie dzisiaj, czy biskup miejscowy uzna za pożyteczną i konieczną obecność duszpasterza emigracyjnego wśród nich, dlatego dobre zaznajomienie się z treścią nowej instrukcji, jest dla nich sprawą równie konieczną, jak i dla duszpasterzy emigracyjnych. Bez tego zawiodą nas tam gdzie nie chcemy iść. Nie należy żądać od drugich zrozumienia naszych problemów, kiedy sami nie przykładamy do nich większej wagi.

Integracja, którą przewiduje i do której prowadzi ostatnia instrukcja rzymska wymaga dłuższego okresu swobodnego dojrzwania podwójnych wartości w duszy emigranta — wartości kraju swego pochodzenia i wartości kraju, który go gości. Dlatego unika określania terminów czasu i generacji i eliminuje jakiegokolwiek przymus. Zaznacza także, że pewne kategorie emigrantów integrują się bardzo powoli. Do nich zalicza uchodźców politycznych, deportowanych i wygnanych z własnej ojczyzny. Istnienie parafii narodowościowych, czy personalnych, w miejscowościach gdzie przebywa większa ilość emigrantów tej samej etni i języka, ocenia się jako środek skuteczny sprawniejszej opieki religijnej i dlatego poleca się biskupom ich zakładanie. Uznaje się także możliwość nominacji specjalnego prałata „nullius” z władzą biskupią nad pewnymi skupiskami emigracyjnymi. Emigracja polska ma dzisiaj tylko jednego, prałata tej kategorii w osobie Ks. Infułata E. Lubowieckiego w Niemczech. Posiada on zwyczajną władzę biskupią nad emigrantami polskimi w NRF. Niestety władze kościelne polskie nie umiały skorzystać z okazji, by postarać się dla niego o sakrę biskupią, bo jak wszystkim wiadomo, nie było żadnych przeszkód, ani zahamowań ze strony episkopatu niemieckiego.

Emigranci należący do obrządków wschodnich są w innej i ko-

rzystniejszej dla nich sytuacji. Mają bowiem kilku własnych biskupów z władzą ordynariuszów diecezjalnych. Ale odrębność obrządku była tu dużym ułatwieniem.

Zdaje sobie sprawę z tego, że powyższe, schematyczne omówienie tak ważnego dla emigracji dokumentu nie jest wyczerpujące i wymaga pogłębienia poszczególnych aspektów zagadnienia. Sądzę, że inne pisma polskie o charakterze bardziej kościelnym poświęcają więcej miejsca, tak żywotnej dla nich sprawie.

Dokumenty rzymskie bronią emigrantów i ich praw, ale także zapraszają nas do przemyślenia naszego bytowania na emigracji. Nie możemy kopiować niewolniczo tego co się dziś robi w Polsce, czy w innych krajach naszego pochodzenia, ale winniśmy wypracować własny schemat życia, w którym zmieszczą się i nasze ideały narodowe i pełny udział w życiu kraju, który nas gości.

Instrukcja rzymska stara się wyczulić sumienia biskupów krajowych na problem emigrantów i mniejszości narodowych, ale od nas zależy czy to wyczulenie wyda swe owoce. Jeżeli w nas nie znajdują rozmówców światłych i partnerów zdecydowanych, to przeprowadzą bez nas to, co sami będą uważać za najlepsze. Miejmy nadzieję, że nasze duszpasterstwo emigracyjne, które dotychczas, mimo całego poświęcenia, żyło raczej siłą faktu i nostalgia kopiowania tego, co się robiło i robi w ojczyźnie, wypracuje nareszcie jakiś harmonijny plan pracy, lepiej odpowiadający naszemu uwarunkowaniu emigracyjnemu. Wypracowanie takiego planu winno być dziełem zainteresowanych — tak duchownych jak i świeckich.

Ks. Viktor JURIK



ZJAZD DUCHOWIEŃSTWA POLONIJNEGO W RZYMIE

(PAP) 10 bm. rozpoczął się w Rzymie zjazd przedstawicieli polskiego duchowieństwa katolickiego, pracującego w ośrodkach polonijnych na Zachodzie. W obradach, które otworzył przebywający w Rzymie na rekonwalescencji Prymas Polski ks. kardynał Stefan Wyszyński, uczestniczą rektorzy Polskich Misji Katolickich i Seminarium Duchownych oraz księża z dużych parafii polskich przybyli ze wszystkich krajów Europy Zachodniej a także przedstawiciele duchowieństwa polskiego w USA. Dwudniowe obrady poświęcone są omówieniu nowej instrukcji wydanej przez Watykan na temat działalności duchowieństwa na emigracji.

(Do chwili zamknięcia numeru nie został ogłoszony żaden komunikat ze sfer kościelnych na ten temat — tak żywo przecież interesujący emigrację. Świeccy przedstawiciele emigracji nie byli zaproszeni. Nie jest to najlepszy prognostyk dla wciągnięcia świeckich do współpracy, o czym wspomina ks. Jurik) (Redakcja).

Sprawy i troski

W sprawie Muzeum Polskiego w Chicago

W styczniowo-lutowym numerze *Kultury*, Edward Puacz ogłosił artykuł dyskusyjny na temat muzeum Zjednoczenia Polskiego Rzeczypospolitego w Chicago. Wywody autora wymagają uzupełnień, i bardziej wszechstronnego naświetlenia tematu, co zapewne uczyni ktoś z szeregow tw. Starej Emigracji. Zabieram głos jedynie w sprawach wchodzących w zakres moich dokumentacyjnych zainteresowań.

Muzeum, o którym Puacz pisze, jest zestawem pięciu różnych zbiorów. W jego skład wchodzi: 1) biblioteka książek wydanych w Polsce, poloników amerykańskich, oraz angielsko-języcznych druków o Polsce; 2) archiwum Zjednoczenia Polskiego Rzeczypospolitego w Chicago; 3) zbiór czasopism Polonii amerykańskiej, który autor w ogóle przemilcza; 4) galeria sztuki, składająca się z przypadkowo zebranych płócien, kilku pięknych rzeźb, przedmiotów artystycznych kutych w żelazie, oraz paru witraży; wreszcie 5) zbiór tzw. pamiątek narodowych, na które składają się przedmioty użytku, dokumenty, korespondencja, fotografie, etc. związane z postaciami historycznymi, Haimanem, Kościuszką, Modrzejewską, Paderewskim, Pułaskim, i innymi Polakami. Pozostałe eksponaty, jak zbiór monet, okazy strojów ludowych, itp., nie stanowią, liczbowo biorąc, samoistnej grupy w ramach całości.

Ostatni dział, określony tutaj ogólnikowo mianem pamiątek narodowych, jest najbardziej kontrowersyjny, i do niego to przede wszystkim odnoszą się owe sarkastyczne uwagi krytyków, w rodzaju „lamus”, „antykwarjat”, *hobby shop*, i inne jeszcze. W każdym małym muzeum regionalnym, dział ten sprawia kustoszowi najwięcej kłopotów. Muzea tego typu, powstałe z chwałebnej troski o upamiętnienie dla potomnych kultury środowiska i jego dziejów, opierają swe zbiory głównie na darowiznach, a istnienie swe na donacjach pieniężnych otoczenia. Kustosz nie może zrażać czy lekceważyć ofiarodawców, bo nie wiadomo czy

ofiarodawca, razem z przyniesionym ulubionym krzesłem babki, nie wręczy mu czeku na sto dolarów, lub czy następnym razem nie przyniesie mu naprawdę wartościowego historycznie obiektu, czy cennego obrazu, tym bardziej, że Polonia nasza posiada zdumiewającą ilość wartościowych „pamiątek” w swoich domach, na probostwach, po kościołach, szkołach, i domach zgromadzeń zakonnych.

Rzecz charakterystyczna, ale właśnie ten dział pamiątek narodowych stanowi najbardziej atrakcyjną, żywą część muzeum, gdyż przemawia bezpośrednio do mentalności i patriotyzmu szerokiej warstwy rodaków, i cieszy się zainteresowaniem. Ten sam dział dostarcza eksponatów na okazyjne czy rocznicowe wystawy, organizowane sprawnie przez kustosa Waltera, już to w muzeum, już to poza jego murami w ramach imprez kulturalnych ogóln amerykańskich, czy międzynarodowych.

Odwaga selekcji, o którą Puacz woła, jest rzeczą konieczną, ale zarazem skomplikowaną, i z punktu widzenia psychologicznego drażliwą. Wydaje mi się, że droga do podniesienia poziomu eksponatów regionalnego muzeum prowadzi nietyle przez uprządkowanie (czytaj: wyrzucenie części) zbiorów, ile przez uświadamianie środowiska, za pomocą prasy, radia, prelekcji i demonstracji, czym jest muzeum, i jaka jest jego rola. Podkreślam ten czynnik wychowawczo-społeczny muzeum Polonii nie tylko ze względu na jego znaczenie w procesie kształtowania i utrwalania łączności z polskim *background* kilku milionów Amerykanów polskiego pochodzenia, ale także dlatego, że jest to w gruncie rzeczy najważniejsza rola, jaką to muzeum regionalne odgrywa, czy odgrywać powinno. Bo do tego, aby równocześnie odgrywało ono rolę naukowo-badawczej placówki, brak tej instytucji kilku zasadniczych danych, przede wszystkim zaś stałych, i na długą metę zapewnionych funduszy.

Puacz ma słuszość, akcentując potrzebę uporządkowania zbiorów, zanim przystąpi się do ewentualnego budowania nowego muzeum. Czytelnik dowiaduje się od niego przy tej okazji o pertraktacjach między Muzeum Narodowym w Warszawie, i Polskim Zjednoczeniem Rzymsko-Katolickim w Chicago, oraz prof. Mierzwą, w wyniku których, Fundacja Kościuszkowska przyznała roczne stypendium krajowemu historykowi sztuki, na przyjazd i pobyt w USA, celem uporządkowania przez niego zbiorów muzeum Polonii. Sprawa postąpiła naprzód tak daleko, że prof. Lorenz wydelegował jednego ze swych współpracowników do Chicago. Muzeolog na miejsce nie dotarł „na skutek zawieszenia pod koniec roku 1968 wymiany kulturalnej z Polską”, jak nas informuje autor artykułu.

Sądzę, że decyzja powzięta przez Z.P.R.K. jest mało celowym, i nieprzemyślanym krokiem. Jak już na wstępie wspomniałem, Muzeum Z.P.R.K. w Chicago, składa się w trzech piątach ze zbiorów archiwalno-bibliotecznych, a w dwu piątach z eksponatów podpadających pod kompetencję muzeologa. Aby chicagowskie muzeum uporządkować naukowo, potrzeba zespołu fachowców,

a więc: historyka-archiwisty, bibliotekarza-bibliografa, prasoznawcy, no i rzecz jasna, historyka sztuki. Przyjazd samego historyka sztuki problemu nie rozwiązuje, zaś na sfinansowanie sprowadzenia rzeczzonego zespołu specjalistów z Kraju, Fundacji Kościuszkowskiej chyba nie stać, jako że statut jej przewiduje finansowanie innych także celów kulturalnych.

Nie sądzę zresztą, aby Kraj taki zespół ludzi mógł wysłać. Jednym z najbardziej zaniedbanych działów muzeum Polonii, jest cenny zbiór czasopism. Nieodżałowanej pamięci Haiman, kustoszujący całemu muzeum, uprawiający badania naukowe własne, publikujący książki, piszący artykuły do prasy i załatwiający korespondencję, nie miał czasu (podobnie zresztą jak i jego następca zajęty wystawami) na uporządkowanie kolekcji, zaś po jego śmierci, władze muzeum zapomniały o zbiorze do tego stopnia, że do dziś dnia, o ile wiem, muzeum nie posiada nawet spisu tytułów czasopism swej kolekcji. Znam zaledwie dwie osoby w Kraju, którym można by powierzyć z zaufaniem zadanie naukowego opracowania tego zbioru. Są to Józef Skrzypek, autor studium o początkach prasy polskiej w Ameryce, oraz Władysław Chojnacki, znany historyk Ziemi Zachodnich i bibliograf z powołania. Ponieważ obaj piastują zaawansowane stanowiska w Polskiej Akademii Nauk, nie sądzę aby stopień zaangażowania w pracach dokumentacyjnych jakie w Warszawie prowadzą, pozwolił im na dłuższą podróż naukową do USA.

Zagadnienie posiada także drugą stronę medalu. Choćby nawet znalazły się fundusze na sprowadzenie zespołu naukowców, a Kraj znalazł kompetentnych ludzi do tej akcji, to pomyśł taki należy uważać za błąd w stosunku do kół intelektualnych samej Polonii, co więcej, za zmarnowanie okazji do zaangażowania tych kół, do prac na „własnym podwórzu”. Nie sądzę aby można uskarżać się na brak nazwisk. Ogłoszony niedawno temu w Nowym Jorku rejestr naukowców i artystów polskich czy polskiego pochodzenia, podaje np. w dziale „Library Science” 38 nazwisk, w dziale „History” 48 nazwisk, zaś w dziale wszystkich sztuk pięknych łącznie, 80 nazwisk. Wynikałoby z tego, że Polonia sama dysponuje dostateczną ilością sił naukowych, które zadania rozpracowania zbiorów Muzeum w Chicago mogłyby się podjąć.

Dla drugiego pokolenia naukowców polonijnych, tych którzy zaczynają rozluźniać czy zrywać pewną więź z etniczną kulturą, byłaby to wręcz doskonała okazja, do zainteresowania ich z powrotem polonijną tematyką. Oczywiście pracę tę należy im wynagrodzić, podobnie jak się to czyni w stosunku do stypendystów z Kraju, i jak to jest w zwyczaju w ojczyźnie dolara.

W dotychczasowych dyskusjach na „muzealny” temat pomija się z reguły zbiór prasy. Puacz w artykule swoim również pomija fakt istnienia takiego zbioru. A tymczasem jest to jedna z najcenniejszych kolekcji polsko-amerykańskiej prasy jaką Polonia posiada. W tych późółkowych rocznikach pism zagrzebana jak ruda w pokładzie gliny, leży cała burzliwa, bujna, i nad wy-

raz interesująca historia polskiej emigracji do USA. Nie tylko jej historia, także socjologia, psychologia, ekonomia, i polityka tej Polonii. Proces integracji, przeobrażenia jakim ulegał jej język, rozwój jej kościołów i szkół parafialnych, jej stosunek do starej Ojczyzny, ba nawet wpływ polityczny tej emigracji, na bieg historii jej Macierzy poza oceanem, wszystko to utrwalano się na łamach tej prasy, jak na czułej fotograficznej płycie. Żaden poważny badacz polskiej kultury i folkloru, żaden historyk nie będzie mógł pominąć tego źródła.

Niestety stan tych zbiorów budzi poważne obawy. Fatalne termiczno-wentylacyjne warunki panujące na „poddaszu muzeum” gdzie prasa ta jest głównie przechowywana, zresztą sam wiek papieru, nie rokuja foliantom tym długowieczności. Stąd też najpilniejszym zadaniem władz Zjednoczenia związanych z przyszłością muzeum powinno być, sporządzenie przynajmniej roboczego katalogu zbioru prasy, i zmikrofilmowanie roczników ważniejszych i ciekawszych czasopism dla utrwalenia ich przyszłym badaczom. Nie tak dawno temu prasa polonijna w Chicago donosiła o pertraktacjach z amerykańską instytucją naukową mających na celu zmikrofilmowanie zbioru tej prasy dla archiwów amerykańskich, przy równoczesnym sporządzeniu kopii dla Muzeum Polinii. Od kilku miesięcy dyskusje te zamarły. Prawdopodobnie zamiary rozbiły się, jak to zwykle bywa, o finansowe przeszkody. Jakoś łatwiej przychodzi nam trwonić zebrany grosz publiczny na produkowanie problematycznej wartości książek pamiątkowych zamiast zużyć go na ratowanie wartości kulturalnych, posiadających wartość historycznego źródła.

Jan KOWALIK

Polska sinologia

Notatki poniższe nie są kompletne, ale nawet takie, jakie są, mogą się przydać ludziom, którzy mają najmniejsze nawet zainteresowanie sinologią, czyli nauką o Chinach, choćby dlatego, że zdaje się nikt na emigracji o tym jeszcze nie pisał.

W roku 1948 powstał we Wrocławiu *Przegląd Orientalistyczny*. Podtytuł tego przeglądu brzmiał „Rocznik naukowo-społeczny” — a dalsza informacja brzmiała: „Dawniej: Myśl Karaimska”.

W roku 1953 *Przegląd Orientalistyczny* przekształcono w kwartalnik, i w tej formie wychodzi do dnia dzisiejszego, w objętości mniej więcej 120 stron w każdym numerze.

Nie jest to przegląd „sinologiczny”, porusza bowiem tematy związane nie tylko z Chinami oraz takimi krajami jak Mongolia, Korea, Japonia lub Wietnam, ale nawet z takimi jak Abisynia i Tunis, nie mówiąc już o krajach Bliskiego Wschodu. Tematy chińskie nie zajmują w nim ani 20 procent, a w ostatnich latach może nawet mniej niż 10 procent.

Do roku 1957 najczęściej pisywał o Chinach Witold Jabłoński. Były to artykuły informacyjne a po części programowe. Do takich należy artykuł pt. „Nowa Problematyka Sinologii”, zamieszczony w roku 1950. Skarży się tam Jabłoński na brak nawet małej grupki „sinologów-informatorów” (nie wyjaśnia jednak co przez te słowa rozumie) oraz na brak materiału bibliotecznego.

Tenże autor pisał ponadto o warunkach rozwoju chińskiej myśli naukowej (1948), o zmierzchu tradycyjnej myśli chińskiej (1949), o kaligrafii chińskiej (1950), o starożytnych Chinach w pojęciu filozofa (taoisty) nazwiskiem Czuang-tse, żyjącego mniej więcej w latach 360-280 przed Chr. On też pisał o sławnym poecie Cü-yüan, który żył mniej więcej w tym samym czasie co Czuang-tse, napisał wiele przepięknych utworów lirycznych i zginął tragicznie: utopił się z rozpaczy, widząc ruinę królestwa, któremu chciał służyć wiernie. Ze śmiercią tego poety wiąże się urządzenie w okresie wiosennym (piąty dzień piątego miesiąca) „Festiwal Smoka”. Jabłoński zmarł w Chinach w roku 1957 jako pierwszy konsul PRL w Pekinie. Był to jeżeli nie najlepszy, to na pewno najchętniejszy do pióra sinolog.

Zarówno z *Rocznika* jak i z *Przeglądu Orientalistycznego* oraz z *Prac Orientalistycznych* PAN dowiadujemy się o kilku innych sinologach polskich. Aleksy Dębicki wydał w roku 1956 dłuższe omówienie stosunków społecznych w epoce dynastii Czou (1122-249 przed Chr.) na podstawie tak zwanych „Roczników Bambusowych”, spisanych na bambusowych tabliczkach. Roczniki te były zagubione w czasie przewrotów politycznych i odnalezione później w grobowcu. Pracę tę ogłosił autor w języku angielskim i podał cytaty używając chińskich znaków pisemnych.

Z *Przeglądu Orientalistycznego* dowiadujemy się o sporej liczbie przekładów z języka chińskiego na język polski. Niektóre przekłady zostały dokonane z języków europejskich (jako przekłady wtórne), ale innych dokonano wprost z oryginałów chińskich. Warto tu wymienić kilka nazwisk tych właśnie tłumaczy: Witold Jabłoński, Halina Smiśniewicz, Olgierd Wojtasiewicz, Aleksy Dębicki, Krystyna Czyżewska, Teresa Lechowska. Nie jest to na pewno lista kompletna.

W drugim numerze *Przeglądu Orientalistycznego* za rok 1965 Leszek Czyżyk zamieścił artykuł „W sprawie bibliografii literatury chińskiej w przekładach polskich”, podając równocześnie listę znanych mu przekładów. W uwagach wstępnych informuje nas Czyżyk, że tłumacze nie trzymają się żadnej ustalonej transkrypcji nazwisk chińskich i że „w tej dziedzinie panuje chaos”. Dowolna transkrypcja utrudnia nawet identyfikację autorów.

W dziale recenzji można znaleźć sporo informacji o polskich pracach sinologicznych, przeważnie magisterskich, i o próbnych podręcznikach sinologicznych. Jadwiga Osiak napisała na przykład pracę pt. *Dramat Okresu Ming*, a Ludwika Rodziewicz skrypt szkolny o historii sztuki chińskiej. Omawiane są też nowsze prace sinologów zagranicznych.

Z innych prac dowiadujemy się o małej reformie pisma chińskiego zarządzanej przez obecne władze ChRL: dekretem rządowym nakazano zastąpić w druku 798 często używanych a skomplikowanych „hieroglifów” znakami uproszczonymi, które zresztą były już dawno przyjęte w piśmie ręcznym. Jest też mowa o próbach, jak dotąd dalekich od realizacji, zmierzających do zastąpienia znaków pismem alfabetycznym.

Jak dotąd nie opracowano jeszcze ani słownika chińsko-polskiego ani zarysu historii Chin ani dziejów literatury chińskiej. Jak się dowiadujemy z pracy Leszka Czyżyka nie ma też ustalonej transkrypcji nazw i nazwisk chińskich. W tej dziedzinie istnieje zresztą chaos również w książkach pisanych po angielsku.

Z lektury artykułów zamieszczanych w polskim *Przeglądzie Orientalistycznym* wynika, że pisarze polegają zbyt często na transliteracji francuskiej.

Tam gdzie ucho chwyta wyraźnie dźwięk zbliżony do naszego „dź” lub „dzi” piszą „ki”, a tam gdzie nasze ucho chwyta dźwięk „si” lub „sji”, oni piszą „hi”. To już jest zbyt duże trzymanie się francuskiego fartuszka, który się w tym wypadku okazuje bardzo ubogi w dźwięki. Polska transkrypcja powinna być polską a nie francuską lub angielską. Można się pogodzić z ogólnie przyjętą pisownią „Peking” chociaż każdy Chińczyk wymawia „Pei-dzing”, ale dlaczego pisać „Tao to king” lub „Tao të king” (tytuł klasycznej książki taoistów) kiedy słowo „king” każdy Chińczyk, mówiący językiem mandaryńskim a nie jakimś południowym dialektem, wymawia to słowo jako „dzing” lub „dzjing”? Dlaczego pisać Liu Kia-huai, kiedy środkowe słowo wymawia się „dzia” lub „dzja”, a nie żadne Kia. Czy to nasza wina, że Francuzi nie mają liter na oznaczenie dźwięku „dz” lub „dź”?

Krótko mówiąc — pierwsze kroki są w dziedzinie sinologii zrobione, ale są to kroki nieśmiałe, niewspółmierne do potrzeb zupełnie realnych, stojących przed Polską.

Ks. Wojciech SOJKA C.M.

JÓZEF CZAPSKI

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

Nowe wydanie uzupełnione drugą częścią pt.: „Walka”.

W oprawie płóciennnej i celofanowej obwolutie.

Str. 420.

Cena egz. F. 35 lub £. 2.10.00.

Koszt przesyłki 3 sh.

Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej
9, Charleville Rd., London W.14.

Kronika kulturalna

List do Ferdurkistów

W związku z ukazaniem się w ramach „Biblioteki Kultury” Ferdurki — jako I-go tomu „Dzieł Zebranych” Witolda Gombrowicza, uważamy za stosowne zamieścić poniższy, mało znany tekst Gombrowicza z 1947 roku.

Jeżeli jeszcze zipie który z was, ferdurkiści, to niechaj nie traci nadziei — bo ja nie umarłem. Nieco oddalony i odosobniony, wiodę wątpliwą i uboczną egzystencję tam, gdzie Ameryka wtyka swój palec pomiędzy trzy oceany. Lepiej może przemilczeć, czemu oddawałem się przez te długie lata: przekłeta moja skłonność do kieliszka sprawiła, iż oddawałem się wyłącznie pijaństwu — i pijany jak bela, w sztok zalany, rozwałkoniony i rozwałęsany, zataczałem się w gronie dwuznacznych „przyjaciół”, wybuchając nieutuloną czkawką pijackich konwulsji i zarazem rzewnie płacząc pod stolikiem, a także tępe spojrzenie grążąc w równie tępe Niebo, oraz wyłudzać drobne sumy pieniężne i płaszczyć się przed równie drobnymi urzędnikami. Byłe kto mnie na twarz siadał. W tym skwarowym i nieco wilgotnym klimacie drzewo natury mojej niespodziewane i nader wątpliwe wypuściło kiełki, ku przerażeniu i osłupieniu wszystkich, którzy mnie znali... Wszelako, ferdurkiści, nie traćcie nadziei. Oto ponownie ocknął się Rozum, przywalony górą głupstwa, i oko zamglone, nowym i przenikliwym zapala się światłem. Ten trup nie umarł — i wkrótce niezwykle, a dotąd nieznane, melodie zapukają do wrót waszych uszu.

Nie, nie ujrzyście na łamach prasy krajowej mych felietonów i korespondencji — to nie zda się na nic. W tak namiętnej i tak zasadniczej jestem sprzeczności z duchem estetyki współczesnej, iż spór ten nie może być załatwiony w paru słowach; a nie chcę

się hańbić, łącząc się z chórem, który fałszywie, zdaniem moim, śpiewa. Nadejdzie godzina, w której spuszczone ze smyczy sfora moich artykułów rzuci się na owe fałsze i niedociągnięcia, jak psy rzucają się na tłustą owcę. I wówczas okaże się kto jest wariatem, głupcem, snobem i figlarzem: ja, czy też kupa moich uroczyстых wrogów. Ale to na potem. Wpierw — ukończyć muszę to, co mam na ukończeniu.

Wytrwajcie zatem, wyznawcy św. Ferdurki. Przyznać trzeba, iż życie silną nam wstawiło pikę. Godność nasza była na śmietniku, dom — zburzony, a śmiech idioty jawił się na naszych okrwawionych wargach. Lecz to się skończyło i dziś — ku nowej zmierzamy twórczości. Oby twórczość owa była naprawdę twórczością, oby nie była nędznym naśladownictwem, drugorzędnym podpisywaniem, marnym przelewaniem z pustego w próżne, śmieszną namiastką twórczości, ale istotną pracą ducha, który szuka swojego wyrazu. Wiercie mi: choć tak dziwny jestem, nawet — tak szalony, choć zaiste w dziwnej skąpany jestem niepowadze, przecież jasno widzę i wiem na pewno, że z nowej zupełnie musimy zacząć beczki. I śmiem stwierdzić, że jeśli na własną rękę i własny rachunek nie rozwiążemy szeregu drastycznych problemów, które spiętrzyły się przed naszym rozwojem, to nigdy głos Polaka nie rozlegnie się na obszarach świata oraz w obliczu natury, z przynależną mu siłą i niezależnością; lecz na zawsze będzie to głos słabowity i niepewny siebie, stłumiony, lub nazbyt wrzaskliwy, sztuczny, niemrawy oraz zasromany jakby, ach, koszulę miał w zębach... I choćbyście nie wiem ile szkół pozakładali, choćby kraj cały samochodami czarownie zakwitnął i choćbyście, wyrzuciwszy za okno resztki zatęchłych przesądów, w najśłodszej idylli powszechnemu oddawali się zbratanii to, powtarzam, póki tych spraw nie załatwicie, nigdy, przenigdy głos wasz nie stanie się istotnie ważny i stanowczy, potężnie szczery i rozstrzygający w obliczu świata oraz niechętniej natury.

Oto — zadanie polskiej literatury, tej przynajmniej, która nie lęka się ze światem zmierzyć. Ale tych problemów, tych chorób sekretnych stylu naszego i postawy naszej nie odkryje wam lektura książek przeszłości (gdyż kultura nasza na marginesie rozwijała się naszego losu), ani też nie odnajdziecie ich w cudzoziemskich krajach — a tylko we własnym sumieniu. Ja nędznym jestem osłem i, poza tym, tchórzem. Boże przebac — właściwie jestem tylko małym dzieckiem. Lecz żyje we mnie wprost piekielna duma i, tej to dumy uczepiony, na najtrudniejsze rzuce się przeskody.

Nie traćcie przeto nadziei. Niechaj rozgrzeje was wiadomość, że już wkrótce dumny okręt Ferdurki wpłynie na wody morza hiszpańskiego (dwadzieścia sześć osób biedziło się nad przekładem tej św. i niepokalanej księgi), a potem, jak mi nie mam, na-

wiedzi brzegi francuskie i angielskie, ze wszystkich dział prażąc w rozdziawione gęby pocziwych tubylców. Sławne i okropne oczekują nas walki, straszliwe zmagania. Znów będę musiał poddać ciężko doświadczony grzbiet mój chłopców publicznej i znowu będzie powiedziane o mnie, że komiczny wariat, a o was, ferdydurkiści, że w fałszywego wierzycie proroka. Lecz prędzej czy później runą zmurszałe mury starego Jerycha, wstrząśnięte zwycięskim rykiem trąb prawdziwie żywych. Albowiem (i tu wam zdradzę św. tajemnicę) ferdydurkizm nie jest niczym innym, jak tylko wolą twórczości, a ferdydurkistą jest ten, kto się domaga od sztuki, ażeby TWORZYŁA. A więc nie traćcie nadziei.

Nowiny Literackie Nr 6, Rok I.

Warszawa, niedziela 27 kwietnia 1947 r.

Str. 4.

SUBSKRYPCJA NA „DZIEŁA” W. GOMBROWICZA

(LISTA NR 3)

- | | |
|--|---|
| A. B. Sandbergs Bokhandel, Stockholm. | L. Preble, Chicago. |
| Dr Lidia Adamkiewicz, Montreal. | Franciszek Rozwadowski, Somerset West, Afr. du Sud. |
| Georg Bajor, Longmeadow, Mass. | Vincent Jordan-Rozwadowski, Swaziland. |
| Helena Borkowska, Pittsburgh, Pa. | The Royal Library, Kopenhaga. |
| Tomira Buxell, Wellesley, Mass. | Marian Rybczyński, Boulogne-sur-Seine. |
| Grant & Cutler Ltd., London. | Antoni Siemak, Rosemead, Cal. |
| Dr Maciej Jarema, Berkeley, Cal. | Władysław Stuczaniowski, Johannesburg. |
| Maria Jarochońska, Winnipeg, Man. | S. Stachelski, Johannesburg. |
| Dr Z. F. Jaworski, Ottawa. | Mrs Charles Taylor, Montreal. |
| Dr Zofia Kamieniecka, Kopenhaga. | Marian Turski, Ste Anne de Belleville, P.Q. |
| S. Komorniecki, Johannesburg. | Université d'Ottawa, Ottawa. |
| Allan Kosko, Paryż. | Dr A. M. Urban, Caro, Mich. |
| M. M. Lipowski, Göteborg. | Bohdan M. Uzarowski, Chicago. |
| Jerzy Lubiejewski, Caracas. | Vistula Ltd., Sydney (2 przedpł.). |
| Olga Łaskiewicz, Hyde Park So. (Australia). | Bartosz Zgrzyt, Uppsala. |
| Anna Nowicka, Albany. | „Związkowiec”, Toronto, Ont. (3 przedpł.). |
| A. Nowicki, Winnipeg. | Tadeusz Zuchowski, Winnipeg. |
| E. Neustein, Tel Aviv (dalsze 2 przedpłaty). | |
| Peter Oberschelp, Tübingen. | |
| Lucjan Perzanowski, Monachium. | |

Pożegnanie humanisty

Od dawna istnieje w *Kulturze* zwyczaj odnotowywania strat wybitnych przedstawicieli polskiej kultury. Być może zakres ten warto niekiedy rozszerzyć obejmując nim nie tylko bezpośrednich twórców, ale także wybitnych propagatorów dorobku kulturalnego, który niestety wciąż w zbyt wielkim stopniu pozostaje „wartością lokalną”, nieznaną szerzej społeczeństwom zachodnim.

Wśród ludzi francuskiej nauki takim właśnie wybitnym propagatorem był Pierre Mesnard (1900-1969), zmarły niedawno znakomity historyk doktryn politycznych, założyciel i wieloletni dyrektor „Centre d'Études Supérieures de la Renaissance” w Tours.

Profesor Mesnard jako propagator polskiej myśli nigdy nie należał do jej oficjalnych „ambasadorów”, ani też nie był działaczem tak rozpowszechnionym we francuskim społeczeństwie *amitiés* (nie ma chyba kraju, który by tu takiego „towarzystwa przyjaźni” nie posiadał). Właściwie też nie był kimś, kogo zwykliśmy nazywać przyjacielem Polski czy Polaków, a co przeważnie sprowadza się do gotowości wypowiedzenia przy każdej nadarzającej się okazji kilku banałów czy też uczestniczenia, a lepiej jeszcze „prezydowania” jakiemuś okolicznościowemu zebraniu czy obchodowi.

Mesnard będąc „człowiekiem zaangażowanym” niczym nie przypominał historyków (a jest ich wielu) żyjących we wyniosłej i doskonałej izolacji od problemów współczesności najdalszy był też od manifestowania swej postawy formami zdawkowymi.

Jeśli jako przedstawiciel nauki położył wielkie zasługi w propagowaniu wartości polskiej myśli politycznej nie wynikało to bynajmniej z pobudek emocjonalnych. Uważał, że na to zasługuje ze względu na rolę, jaką odegrała w przeszłości. Jako historyk Mesnard był zwolennikiem „wielkiej” a nie „małej” Europy, był najdalszy od rozpowszechnionego dziś na Zachodzie przeświadczenia, że Europa i jej problemy kończą się nad Odrą lub Wartą, aby w odmiennej postaci ponownie aktualizować się nad Dnieprem i Moskwą.

W historii krajów Europy Wschodniej Mesnard widział nie marginalny nurt wydarzeń, ale zespół faktów i zjawisk, nie tylko odgrywających istotną rolę w kształtowaniu spraw ogólnoeuropejskich, ale dostarczających często klucza do poznania mechanizmu tych zjawisk. Interesowały go nie tyle oderwane problemy historii poszczególnych krajów, ale zjawiska wspólne całemu regionowi, który — choć położony na styku odziedziczonych po starożytności cywilizacji Wschodu i Zachodu i w ciągu czterech stuleci nieustannie bądź redukowany, bądź zagrożony presją tu-

recką — brał mimo tych przeszkód bezpośredni udział w rozwijaniu kluczowych zagadnień cywilizacyjnych.

To stanowisko Mesnarda wynikało z bezpośredniej znajomości krajów naddunajskich, zdobytej w początkach samodzielnej pracy naukowej.

Pierre Mesnard urodził się w roku 1900 jako syn zawodowego oficera, stąd też pochodzi zapewne jego zainteresowanie dla spraw wojskowych połączone z gruntowną wiedzą i znajomością przedmiotu — nie tylko teoretyczne. Po raz pierwszy Mesnard zetknął się z realiami życia wojskowego w roku 1917 gdy jako siedemnastoletni ochotnik wziął udział w ostatniej fazie działań frontowych. Zdemobilizowany w roku 1919, po krótkim pobycie w Niemczech, do spraw wojskowych powrócił w niespełna dwadzieścia lat później najpierw jako autor szeregu studiów, opublikowanych na łamach „Études” jesienią 1938 roku, w których przedstawiał zagrożenie wynikające z układu monachijskiego.

Kampanię roku 1940 odbył jako oficer lotnictwa, a następnie przeniesiony do Algierii odegrał ważną rolę w formowaniu francuskich jednostek lotniczych; pod koniec wojny brał udział w lądowaniu na Korsyce i w Prowansji latem 1944 roku. Ale nie te marginesowe tereny działalności znakomitego humanisty stanowią przedmiot obecnej charakterystyki. Po wojnie Mesnard odsunął się zresztą od bezpośredniego udziału w życiu politycznym, co nie oznaczało aby na jego wydarzenia był obojętny. W ubiegłym roku np. inwazja Czechosłowacji i przyjęcie jej przez Zachód jako wydarzenia w niczym nie zakłócającego rozpoczętego procesu poszukiwania porozumienia z Rosją stały się dlań punktem wyjścia dla pesymistycznych prognoz politycznych na nadchodzące lata. W przeciwieństwie jednak do roku 1938 nie na ten temat nie publikował, być może w przeświadczeniu, że odwoływanie się do opinii może w obecnej sytuacji i realiach życia społecznego mieć znaczenie wyłącznie symboliczne.

Jako historyk doktryn posiadał zapewne zbyt wielką znajomość przedmiotu, aby być wyznawcą programu któregoś z działających we Francji stronnictw. Mimo bezkompromisowej postawy w czasie wojny nie stał się po jej zakończeniu ani stronnikiem gaullizmu, ani ugrupowań opozycyjnych.

Powróćmy jednak do zasadniczego tematu — do związków Mesnarda z krajami Europy Wschodniej. Z ich problemami zetknął się już we wczesnej młodości. Do Polski trafił niemal nazajutrz po zakończeniu wojny roku 1920 co musiało zaważyć na jego wrażeniach. Był to pobyt poświęcony bezpośredniemu poznaniu polskiej kultury, jej zabytków i bibliotek, a poza tym interesowała niedawnego absolwenta szkoły artylerii właśnie zakończona kampania wojenna. Jej przebieg z techniczno-militarnego punktu widzenia był zaskoczeniem dla zachodnich obserwatorów, dla których typowo ruchoma strategia była całkowitym zaprzeczeniem ich własnej doktryny wojennej. Do roku 1920 Mesnard powrócił w czasie ostatniej wojny, gdy jako oficer sztabu gen. Weygand'a (z którym i po wojnie utrzymywał bliskie sto-

sunki) zdobył odeń z pierwszej ręki świadectwo na temat bezzasadności mitu jakoby Weygand był istotnym twórcą ówczesnego polskiego sukcesu militarnego. Szkoda że świadectwa te nie zostały w żaden sposób opublikowane, zwłaszcza że wyolbrzymianie roli Weyganda (która według jego własnych relacji dotyczyła konsultacji w wielu szczegółowych zagadnieniach, ale nie tworzenia zasadniczego planu strategicznego) typowe jest nie tylko dla zachodniej publicystyki, ale jako sfabrykowany *ad usum Delphini* dogmat sowieckiej wersji „Historii wojny interwencyjnej” trafiło dość szeroko do opinii rozpowszechnionych także w Polsce, które do dziś nie znajdują przeciwwagi w postaci dostępnego a wiarygodnego opracowania.

W latach 1920-24 Mesnard oprócz ukończenia na Sorbonie studiów filozoficznych, zaznajomił się z podstawami języków słowiańskich w paryskiej „Ecole des langues orientales”, a w roku 1925 objął stanowisko docenta na uniwersytecie w rumuńskich Jassach. Pięcioletni pobyt w Rumunii pozwolił mu nie tylko poznać problematykę historyczną samej Rumunii, ale umożliwił mu podróże na Węgry, do Austrii i Jugosławii. Na Węgry miał Mesnard zresztą powrócić na kilka lat przed śmiercią (w roku 1964) celem weryfikacji trasy podróży z ojczystych Węgier do Francji przodka Ronsarda, podróży, którą poeta — zapewne na podstawie rodzinnej tradycji — przedstawił z wielką dokładnością w swej rymowanej autobiografii.

Oczywiście jednak nie w tych marginesowych faktach szukać należy śladów zainteresowania Mesnarda Europą Środkową, a szczególnie Polską. Znajdujemy je przede wszystkim w jego dziele. Bibliografia jego prac, zresztą jeszcze niekompletnie opracowana, obejmuje około dwustu pozycji reprezentujących głównie historię doktryn i idei religijnych i politycznych, studia i monografie z zakresu historii filozofii, przekłady tekstów filozoficznych oraz tak pozornie odległą od tamtych dyscyplin charakterologię.

Jako historyk idei Mesnard zajmował się przede wszystkim renesansem, a ściślej biorąc wiekiem XVI-tym. Jako filozof natomiast bliższy był nowożytności. Był niewątpliwie jednym z najwybitniejszych we Francji znawców Kirkegaarda, którego myśli poświęcił dwie książki* a wśród dokonanych przez niego przekładów znajdujemy rzeczy tak różne i od siebie odległe jak „Wstęp do krytyki czystego rozumu” Kanta (1933) czy „Pochwała głupoty” Erazma z Rotterdamu (1969).

Rzecz paradoksalna — pisząc o Mesnardzie propagatorze polskiej myśli nie znajdujemy w jego tak bogatej bibliografii ani jednego tytułu pracy wyłącznie temu tematowi poświęconej. Być może jednak za znacznie cenniejszy musimy uznać fakt, że

* *Le vrai visage de Kirkegaard*, Paryż, 1946.

Kirkegaard, sa vie, son œuvre, sa philosophie, Paryż, trzy wydania — 1954-68.

wschodnioeuropejska, a szczególnie polska tematyka obecna jest w głównych jego pracach z zakresu historii doktryn.

Fundamentalne dzieło z tej dziedziny „*L'Essor de philosophie politique au XVI^e siècle*”, które ukazało się w trzech znacznie różniących się pod względem redakcji wydaniach w latach 1936, 1952, 1969, zawiera najobszerniejszą i chyba najwnikliwszą w obcej literaturze analizę polskiej myśli politycznej epoki Odrodzenia, a szczególnie koncepcji Frycza-Modrzewskiego.

Pogłębienie tej analizy znajdujemy następnie w dwutomowej monografii „*Il pensiero politico rinascimentale*” (1964).

A wreszcie trwająca przeszło czterdziestolecie dydaktyczna działalność Mesnarda była dlań wielokrotnie okazją do dyskusowania spraw polskich, chociaż nigdy nie prowadził wykładów poświęconych wyłącznie tematyce Środkowo-Wschodniej Europy. Sprawy te, jak już wspomniałem, nie oznaczały dlań specyfiki regionu, ale stanowiły jedno z ważnych centrów zagadnień ogólnoeuropejskich. Przykładami z historii Polski Mesnard ilustrował często przebieg zasadniczych przemian historycznych, widząc na przykład w końcowej erze monarchii piastowskiej zaawansowany bardziej niż gdziekolwiek na Zachodzie proces przechodzenia od państwa dynastycznego do narodowego, od koncepcji monarchii będącej celem samym w sobie do modelu władzy, służącej celowi nadrzędnemu jakim jest zapewnienie ciągłości państwa.

Mesnard lubił szeroko zakrojone i śmiałe syntezы uwidoczniające wielokrotnie nieoczekiwane aspekty spraw.

Jednym z przykładów była całkowicie negatywna ocena (tak odmienna od poglądu tradycyjnej polskiej historiografii) aktu Unii Lubelskiej. W niej bowiem, zdaniem Mesnarda, tkwi zasadnicze źródło rozwoju sytuacji w XVII i XVIII stuleciu, owej szczególnej „neofeodalizacji” kraju. Twierdził on mianowicie, że stworzenie dwóch równorzędnych organizmów państwowych, opartych na tych samych założeniach ustrojowych ale nakładających się na całkowicie różne tradycje polityczne, prowadzić musiało w konsekwencji do zasadniczych mutacji podstaw systemu. Polska „Republika”, choć dla pisarzy XVI stulecia wy maga jąca wielu „napraw” była według niego wynikiem trwającej kilka stuleci tradycji i dla Polaków faktem niepodlegającym dyskusji. Na Litwie natomiast jej niejako „zwierciadlane” odbicie ulec musiało deformacji. Wobec zaniknięcia nadrzędnej roli Wielkiego Księcia, Litwa przekształciła się nie w „republikę” ale w zespół domen (*fiefs*), „familii” magnatów i ich „klientów”. Rozszerzenie wpływu tych struktur na całość kraju zepchnęło go stopniowo „na powrót do średniowiecza”. Teoria może ryzykowna, ale w wielu punktach zbieżna z analizą którą znajdujemy w „Rzeczypospolitej Obojga Narodów” Jasienicy, jednego z najwybitniejszych dziś znawców przedmiotu.

Rzecz znamienna, Mesnard często powoływał się również na polskich pisarzy politycznych epoki Oświecenia, którzy — jak mogłoby się wydawać — traktowali o sprawach specyficznie pol-

skich, nie znajdujących rezonansu na tak wówczas różnym od Polski zachodzie Europy. Jak widać, jeszcze raz potwierdza się tu zasada, że nie ma tematów „uniwersalnych” i „partykularnych”, istotny jest jedynie sposób ich traktowania.

W ostatniej fazie swej działalności Mesnard uczynił może największą dla propagandy spraw i nauki wschodnioeuropejskiej jako założyciel (w roku 1958) „*Centre d' Etudes Supérieures de la Renaissance*”. Instytut ten poświęcony wyłącznie badaniom wszelkich zagadnień nauki i kultury Odrodzenia szybko zyskał międzynarodowe znaczenie. W organizowanych przezeń corocznych letnich sesjach systematycznie zaczęli brać udział przedstawiciele nauki krajów Wschodniej Europy, w pierwszym rządzie Polski, Węgier oraz rządzie Rumunii, Czechosłowacji i Jugosławii, a sporadycznie również ZSSR.

W wygłaszanych referatach czy dyskusjach omawiali oni zazwyczaj problemy własnych krajów. W roku 1963 cała sesja poświęcona była wyłącznie problemom Renesansu w Europie Wschodniej.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że we współpracy z krajami Europy Wschodniej Mesnard stosował politykę opartą na przesłankach ściśle naukowych, nie dopuszczając do korygowania jej założeń „polityką zbliżenia”, stąd też nie mieliśmy tu tak typowego dla zachodnich instytucji naukowych „rusocentryzmu”. W doborze zapraszanych naukowców starał się Mesnard unikać „oficjalnych delegatów” (choć przyznać trzeba, że nie zawsze mu się to udawało) i zapewnić uczestnictwo tych, którzy mieli najwięcej do powiedzenia.

Szkoda niewątpliwie, że prace instytutu w Tours nie zyskały zainteresowania polskiej emigracyjnej humanistyki, ale to już chyba przede wszystkim wina jej anglojęzycznej „monokultury”.

Czy kierunek nadany przez Mesnarda znajdzie kontynuację — trudno przewidzieć, to co jednak zdołał zaszczerpić swym uczniom jest dla nas pierwszorzędą i długotrwałą wartością.

Adam SUTKOWSKI

Muzyka w Europie Wschodniej (dok.)

Zjawiskiem chyba nieoczekiwanym, zwłaszcza przez zachodnich twórców i teoretyków muzyki współczesnej, było wejście na forum międzynarodowe awangardy wschodnioeuropejskiej. Co więcej, owo wejście dokonało się przed blisko piętnastu laty pewną

stopą, bez będącego zawsze przedsięwzięciem jałowym „nadrobienia zaległości”, czy też paraliżującego „kompleksu prowincji”.

Rzecz oczywista okres kilkunastoletni nie tworzy należytej perspektywy historycznej oceny tego faktu, ani też nie przesądza ostatecznie o jego trwałości. Najbliższe lata powinny przynieść ugruntowanie osiągniętej pozycji, lub też przeciwnie stanowić mogą próbę, której oprócz się zdoła twórczość kilku najwybitniejszych, a co z kolei oznaczałoby historyczną porażkę, „szkoły” jaką jest dziś wschodnioeuropejska awangarda. Przyszłość jej zależy zarówno od pogłębienia wartości stylistycznych stworzonych przez jej głównych przedstawicieli, jak i od pojawienia się nowych, oryginalnych talentów.

Nie posiadając obecnie żadnych racjonalnych przesłanek do przewidywać rozwoju wydarzeń w jednym lub drugim kierunku, skupić się warto na bardziej szczegółowej charakterystyce zjawiska, jakim jest muzyczna awangarda Wschodniej Europy.

Wydaje się, że trzy zasadnicze elementy wymagają tu szczególnego podkreślenia; a) fakt że mówić tu możemy o pewnym skryształizowanym kierunku stylistycznym, b) jego założenia stylistyczne, sformułowane zostały w jawnej opozycji do zasad „estetyki marksistowskiej”, c) praktyczna nieobecność w tworzeniu tego kierunku kompozytorów ZSSR, a szczególnie kompozytorów rosyjskich.

W tworzeniu pierwszego zjawiska: ukształtowaniu pewnego rodzaju „szkoły”, zasadniczą rolę odegrały: „Warszawska Jesień” (festiwal po raz pierwszy zorganizowany pamiętnej jesieni roku 1956) oraz wzorowane na niej „Zagrzebskie Biennale”.

Drugi zresztą z tych festiwali, chociaż wkrótce wysunął się na pierwszy plan okazałością programu i blaskami wykonawstwa upodobił się do „wielkich” festiwali zachodnich, nie odegrał w kształtowaniu stylu tej roli, jaką możemy przypisać „Warszawskiej Jesieni”.

Ta ostatnia skutek tendencji do ograniczania jej oddziaływania drogą systematycznych restrykcji i „cięć” budżetowych stała się od wielu już lat w pierwszym rzędzie „impresją środowiskową”, — forum konfrontacji osiągnięć kompozytorów, działającym w asyście ograniczonego, głównie warszawskiego, kręgu słuchaczy.

„Warszawska Jesień” choć po okresie blasków jej pierwszych lat przestała przyciągać znaczniejsze ilości zachodnich melomanów, nie straciła bynajmniej atrakcyjności w oczach twórców zachodniej awangardy.

Wreszcie łatwa dostępność tego festiwalu dla muzyków pozostałych krajów wschodnioeuropejskich mimo rezerwy czynników partyjnych i częstych napaści oficjalnej krytyki zapewniła mu szeroki krąg oddziaływania.

„Warszawska Jesień” zrodziła się jako praktyczna konsekwencja pogrzebania w latach 1955-56 „sorealizmu”, jako świadoma inicjatywa zmierzająca do przewyciężenia jego skutków. Pierwsze też lata festiwalu były najdonioślejsze. Dokonał on w pierw-

szym rzędzie funkcji informacyjnej zaznając młode zwłaszcza pokolenie muzyków i słuchaczy z wartościami które „zaocznie potępione” były im niemal nieznane. Stąd też pierwsze lata „Warszawskiej Jesieni” obok stosunkowo niewielu dzieł najnowszych ukazały „klasykę współczesności” ze Strawińskim, Schoenbergiem, Webernem czy też mniej nieznanym Bartókiem.

W sumie była to lekcja nader celowa i owocna w przewidywaniu spustoszeń „socrealizmu” i kierowaniu twórczości na właściwe drogi. Toteż kompozytorzy — wśród których w większości krajów wschodnioeuropejskich (z wyjątkiem ZSSR) nie było zbyt wielu przekonanych i bojowych „socrealistów” — wykorzystali długotrwałą dezorientację ideologów epoki chruszczowskiej celem uwolnienia się od doktrynalnej kurateli.

Przewidywanie kryzysu ujawniło także w pełni jego rozmiary, bo chociaż działanie „socrealizmu” poza ZSSR nie przekraczało kilku lat, zdołał on nie tylko skutecznie zahamować stylistyczny rozwój współczesnej twórczości, ale także w postawie wielu utalentowanych kompozytorów wyłobił rysy niełatwe do szybkiego usunięcia.

Wolna miała być od nich całkowicie dopiero twórczość pokolenia uformowanego w latach sześćdziesiątych.

W przeciwieństwie do „Warszawskiej Jesieni” „Zagrzebskie Biennale” miało postać bardziej okazałą i w dobrym sensie „komercyjną”. Doskonałe zorganizowany i trafnie rozkładający proporcje między awangardą a „klasyką współczesności” oraz oprawiony w efektowne ramy spektakli baletowych i operowych, zagrzebski festiwal przyciągał tak znaczną liczbę zachodnich melomanów jak „gwiazdy” wykonawstwa z całego świata.

W sumie więc oba festiwale uzupełniały się wzajemnie stając się istotnym katalizatorem zjawiska, które możemy dziś nazwać wschodnioeuropejską szkołą muzyki współczesnej. Odegrały one bardzo istotną rolę w propagowaniu jej osiągnięć.

Krystalizowaniu tego kierunku sprzyjały także inne czynniki jak „dekonzentracja” ośrodków twórczości na Zachodzie a nade wszystko nieobecność w jego nurcie muzyki rosyjskiej.

Ten ostatni fakt zapewniał równorzędność kompozytorów, a nade wszystko wolność od nacisków. W istniejącej sytuacji sowieckie czynniki ortodoksyjne ograniczać się musiały do ubolewania a w miarę „krzepnięcia sytuacji” do inwektyw i „zaleceń” pod adresem lokalnych czynników partyjnych, nie były jednak w stanie przedstawić jakiegokolwiek modelu pozytywnego — przykładu „socjalistycznej sztuki” możliwego do naśladowania bez popadania w całkowicie jałową anachroniczność...

Trzeba zresztą przyznać, że „Warszawska Jesień” była stale przedmiotem spontanicznego zainteresowania muzyków sowieckich, zwłaszcza z Leningradu i krajów bałtyckich. Po cichym zniesieniu w Rosji zakazów wykonywania dzieł „klasyków współczesności” wnieśli oni do koncertów festiwalowych wiele dobrych wykonanych dzieł Strawińskiego, Bartóka czy Schoenberga, podczas gdy twórczość sowiecka nie zdołała wyjść poza festiwalowe

marginesy. Natomiast wschodnioeuropejska awangarda, wobec nieobecności „oficjalnego” hegemonu, mogła kształtować swój styl w oparciu o przesłanki wyłącznie artystyczne i w atmosferze „wolnej konkurencji”, przedstawiając się Zachodowi jako zespół zindywidualizowanych kierunków i sylwetek, a nie jedynie przybudówka muzyki rosyjskiej.

Oczywiście, nie wszystkie kraje Wschodniej Europy w jednokowej mierze uczestniczą w kształtowaniu oblicza awangardy. Prócz istotnego czynnika tradycji historycznej i elementu „aleatorycznego”, jakim jest obecność w danym momencie wybitnych talentów, ogromną rolę odegrał stopień uniezależnienia się od ograniczeń doktrynalnych.

Czynniki natury materialno-instytucjonalnej jak rozpowszechnienie i poziom szkolnictwa muzycznego czy ośrodków wykonawstwa są we wszystkich interesujących nas krajach w przybliżeniu na podobnym poziomie.

Proporcjonalnie do stopnia uniezależnienia „ideologicznego” awangarda polska, węgierska i jugosłowiańska wysunęły się niemal natychmiast na czoło, podczas gdy jej ośrodki w Czechosłowacji uaktywniły się dopiero na początku lat sześćdziesiątych.

Marginesowy udział w niej muzyki rumuńskiej i bułgarskiej był niewątpliwie funkcją polityki kulturalnej, — w Bułgarii ortodoksyjnego „socrealizmu”, niewolniczo kopiującego wzory rosyjskie, a w Rumunii, mimo większej samoistości, również opartej o rygory marksistowskiej estetyki.

Późniejszy rozwój polityczny Rumunii sprzyjał w większej mierze odnowieniu i rozwinięciu bezpośrednich związków z Zachodem, szczególnie z Francją i Włochami.

Za historyczne novum możemy tu uznać powstanie kierunku twórczości wschodnioeuropejskiej, kierunku odznaczającego się dynamizmem i w znacznej mierze własnym obliczem stylistycznym.

Aby jednak móc bardziej szczegółowo scharakteryzować styl awangardy wschodnioeuropejskiej lat sześćdziesiątych niezbędne jest sięgnięcie do tradycji międzywojennego dwudziestolecia, stanowiących w naturalny sposób punkt wyjścia przynajmniej dla starszego pokolenia twórców tego kierunku.

Byłoby oczywiście uproszczeniem widzieć w tradycjach muzyki Janačka, Szymanowskiego czy Bartóka i Kodaly’ego zaczątek świadomie tworzonej „szkoły wschodnioeuropejskiej”, tym niemniej taki właśnie charakter nadał im w pewnej mierze *ex post* bieg wydarzeń. Rok 1918 przyniósł późniejszej Wschodniej Europie zmiany najistotniejsze. Niemniej silnie uwidoczniły się one na mapie kulturalnej. Rozpad habsburskiej monarchii przekreślił dominację wiedeńskiej metropolii na rzecz równorzędności Pragi i Budapesztu. W tym samym czasie muzyka polska zyskała nieporównywalne z okresem poprzednim możliwości rozwoju, podczas gdy muzyka rosyjska, będąca u szczytu swej awangardowej ekspansji w przededniu pierwszej wojny światowej, straciła swych najwybitniejszych twórców na rzecz Zachodu.

Igor Strawiński miał w stosunkowo niedługim czasie całkowicie od niej odejść, a Sergiusz Prokofiew chociaż z końcem lat trzydziestych powrócił z emigracji, nękany przez resztę życia presją „socrealizmu” (dodajmy, że się jej nigdy całkowicie nie poddał), stworzył w tym okresie tylko jedno wybitne dzieło: balet „Romeo i Julia” w roku 1940. Rzecz jasna nie miał on wpływu na kształtowanie młodego pokolenia kompozytorów.

Okres międzywojenny był w pierwszym rzędzie „złotym wiekiem” muzyki węgierskiej. Dwudziestolecie mieści w sobie bowiem niemal całość dojrzałej twórczości Beli Bartóka (zm. w roku 1945 w Nowym Jorku) oraz najlepsze lata Zoltana Kodaly’ego, zapewniając muzyce węgierskiej czołowe miejsce w twórczości europejskiej pierwszej połowy stulecia.

W tym samym czasie sytuacja w Polsce i Czechosłowacji była o wiele mniej korzystna. Muzyka polska, w której dominowała indywidualność Karola Szymanowskiego, tak bardzo dziś w historycznej perspektywie kontrowersyjną dopiero w latach trzydziestych zyskała większą ilość wybitniejszych talentów, których znaczna część niebawem zagubiła się w jałowych meandrach paryskiego „neoklasycyzmu”.

Czeskiej muzyce dwudziestolecia zabrakło dominującej osobowości (Słowacja w tym czasie tworzyła dopiero zręby własnej osobowości kulturalnej), gdyż tradycja Janačka — choć jego twórczość wkracza głęboko w lata dwudzieste — nie miała już cech stylistycznej aktualności, możliwej do kontynuowania przez młode pokolenie.

Wprawdzie okres międzywojenny przyniósł Czechosłowacji kompozytora światowej miary w osobie Bohuslava Martinu, jednakże jego właściwa twórczość i międzynarodowy zasięg oddziaływania rozpoczęły się w pełni dopiero w latach czterdziestych, w czasie pobytu kompozytora na emigracji, z której nigdy już nie miał na stałe powrócić mimo że jego muzyka nie tylko uważana jest za narodowe dziedzictwo kulturalne przez czeskie środowisko kulturalne, ale pełniła nawet w okresie „kampanii antyformalistycznej” rolę niemal oficjalnego „ambasadora” muzyki Czechosłowacji.

Okres międzywojenny przyniósł wreszcie pojawienie się na forum międzynarodowym muzyki rumuńskiej i bułgarskiej w pierwszym rzędzie dzięki twórczości Enesco i Władigerowa. Wprawdzie tak w jednym jak drugim wypadku twórczość ta nie wносиła odkrywczych wartości, budziła jednak zainteresowanie swym folklorystycznym kolorytem, połączonym ze sprawnością techniki kompozytorskiej.

Wydaje się jednak, że nie tyle indywidualne osiągnięcia kompozytorów ile wyraźnie rysująca się tendencja do tworzenia pewnego rodzaju „kręgu kulturowego” miały być szczególnie istotne dla dalszej przyszłości.

Mimo zawitych przeważnie stosunków politycznych między krajami interesującego nas regionu Europy istniała między nimi niewątpliwa intensywność wymiany kulturalnej. Dość tu wspo-

mnąć, że Praga była w stopniu większym niż Warszawa zainteresowana twórczością Szymanowskiego, który zwłaszcza muzycznym teatrom Pragi zawdzięczał większość „światowych premier” swych utworów scenicznych. Ogromna była rola Bartóka, nie tylko kompozytora, ale także etnografa, znakomitego badacza i wydawcy folkloru muzycznego Węgier, Rumunii i Jugosławii. Przykłady te są zresztą jednymi z wielu; w sumie, po wojennej przerwie, zacieśnienie współpracy kulturalnej krajów wschodnioeuropejskich było w dużym stopniu powrotem do skryształowanej już tradycji.

Jakaż jest więc dziś muzyka Wschodniej Europy, muzyka ukształtowana pod wpływem tak szczególnych okoliczności i zeterminowana tak różnorodnymi tradycjami bliższej i dalszej przeszłości?

Jak wspomnieliśmy już, jej właściwa historia rozpoczyna się w połowie lat pięćdziesiątych zasadniczym fermentem, odrzucającym ograniczenia i trafnie sięgającym po najnowsze środki muzycznej ekspresji. Ruch ten był powszechny, obejmujący tak kompozytorów, którzy mieli dopiero ukazać skalę swych możliwości, jak i wielu posiadających już wybitny dorobek. Najbardziej może charakterystycznym przykładem owego „nawrócenia” była stopniowa ale szybka metamorfoza Witolda Lutosławskiego, który bez zaprzeczania sobie i bez kopiowania kogokolwiek stał się jednym z najoryginalniejszych twórców o awangardowym obliczu.

Przeskok stylistyczny, który dokonał się w twórczości wschodnioeuropejskich kompozytorów (tych przynajmniej którzy odznaczali się dostateczną skalą inwencji, umiejętności i ambicji) dowodzi niewątpliwie, że środowisko to osiągnęło stopień dojrzałości, umożliwiając mu aktywny udział w tworzeniu wartości stylistycznych naszej epoki w charakterze jednego z najaktywniejszych w Europie ośrodków twórczości. Dzieła kompozytorów jak Kelemen (Jugosławia) czy Kabelac (Czechosłowacja), Penderecki, Lutosławski, Bogusław Schaeffer czy przedstawicieli awangardy węgierskiej, jak Gyorgy Ligeti i Zoltan Szokolay, znajdujemy dziś stale wśród nagrań i w programach koncertów we wszystkich ośrodkach kultywujących muzykę współczesną nie mówiąc o bardziej sporadycznie wykonywanych dziełach tych, którzy nie osiągnęli dotąd tak ugruntowanej pozycji.

Udział wschodnioeuropejskich kompozytorów i teoretyków w tworzeniu oblicza awangardy jest tym ważniejszy, że стоимy dziś wobec zjawiska nieznanego muzyce europejskiej od epoki baroku, tj. uniwersalności i zasadniczej jednolitości języka muzycznego. Determinantą tego zjawiska jest podstawowy typ techniki komponowania mimo uprawianego eksperymentatorstwa w dziedzinie postaci brzmieniowej utworów opartego o zasady *serialności* będące pochodną schoenbergowskiej *dodekafonii*.

System ten, sformułowany pod względem teoretycznym jeszcze w latach dwudziestych, długo nie znajdował szerokiego uznania mimo że, historycznie biorąc, nie był dowolnie dokonanym wy-

nalazkiem ale logiczną konsekwencją ewolucji techniki komponowania, dokonującą się na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Wśród prekursorów dedekafonii znajdujemy Skriabina, Debussy'ego czy, jak chcą niektórzy, nawet Wagnera. W istocie dedekafonia w wersji Schoenbergowskiej znalazła niewielu kontynuatorów a nawet sam jej twórca porzucił ją pod koniec życia. Odrodzenie przyszło po wojnie wraz z „odkryciem” kapitalnej twórczości austriackiego kompozytora Antona Weberna, twórczości typowo „szufladowej”, powstałej niemal w całości w okresie hitlerowskiego *Anschluss'u*. Sam Webern nie doczekał wprawdzie tryumfu swego dzieła (zginął w czasie przypadkowej strzelaniny w roku 1945), dzieło to jednak ukazało uniwersalizm dedekafonii mogącej, jak kontrapunkt w minionych epokach, stanowić zasadniczy kościół dla krańcowo nieraz różnych konstrukcji brzmieniowych dzięki organizującej funkcji konstrukcji serialnej. Późne lata czterdzieste oraz okres następny stały się powszechnie epoką nowej dedekafonii w ramach której mieszczą się tak pozornie różne zjawiska jak twórczość Pierre Bouleza, Luigi Nono i Lutosławskiego, czy też radykalizm dźwiękowy Xenakisa i wczesnych dzieł Pendereckiego na równi z „eksperymentami” muzyki elektronicznej.

Udział „szkoły” kompozytorów wschodnioeuropejskich w tym oszałamiającym bogactwie zjawisk i w ich tworzeniu jest faktem najnowszej historii kultury, faktem który możemy dziś jedynie zanotować i ocenić w skali całokształtu muzycznej współczesności. Jego historyczne konsekwencje i perspektywy kryją nie wiadome trudne do przewidzenia.



Sądzić można, że międzynarodowe znaczenie i perspektywy wschodnioeuropejskiej awangardy zależeć będą w najbliższych latach w pierwszym rzędzie od stwarzanych przez nią wartości stylistycznych; od tego czy zdoła ona w sposób trwały stać się odkrywczą nowych horyzontów, czy też będzie poprzestawać na przyswajaniu sobie inspiracji zachodnich.

Trudno tu o jednoznaczne prognozy. Wiele zależy od stylistycznego rozwoju kompozytorów, rozpoczynających dziś „karierę międzynarodową”, jak również od możliwości kontynuowania w krajach Wschodniej Europy twórczości awangardowej. To ostatnie zależy zresztą w o wiele większej mierze od układu stosunków wewnętrznej polityki kulturalnej niż od postawy środowiska muzycznego.

Rzecz oczywista ponowne narzucenie izolacji lub też nowej formuły „sorealizmu” spowodować by musiało zahamowanie stylistycznego rozwoju i w perspektywie konieczność nowego uaktualniania twórczości. Nie posiadając żadnych jednoznacznych przesłanek do przewidywań rozwoju wydarzeń, warto dokonać przeglądu wartości przez wschodnioeuropejską awangardę już osiągniętych.

Jak już wspomniałem, głównymi jej ośrodkami są obecnie Polska i Jugosławia, a w mniejszej mierze Węgry i Czechosłowacja. Wydaje się też, że mimo wszelkich zastrzeżeń jakie by tu można wnieść wspólność cech stylistycznych wschodnioeuropejskiej awangardy pozwala mówić o niej łącznie, jako o pewnego rodzaju „szkole”. Nie jest ona wyjątkiem na tle całokształtu kierunku twórczości awangardowej. Pomimo daleko idącej unifikacji stylistycznej, cechującej muzykę europejską ostatniego dwudziestolecia, widoczne są w jej nurcie pewne tradycje lokalne. Jako przykłady wystarczy tu przytoczyć choćby twórczość Pierre Bouleza, mimo skrajnego eksperymentatorstwa silnie tkwiącą we francuskiej tradycji (szczególnie Debussy'ego), czy też specyficzną odrębność szkoły Włoskiej (Nono, Evangelisti, Berio).

Odrębność „szkoły wschodnioeuropejskiej” powstała niejako spontanicznie, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę dążność kompozytorów do zacieśniania stosunków z Zachodem oraz fakt że wielu z najwybitniejszych jej przedstawicieli jak György Ligeti (Węgry) czy Ivo Malec (Jugosłowianin) działa bezpośrednio w ośrodkach zachodnich — (Kolonja i Paryż). Powstanie więc odrębności należy przypisać sile działania scharakteryzowanych poprzednio tradycji.

Mimo powszechnego zainteresowania twórczością wschodnioeuropejskiej awangardy trudno byłoby twierdzić, że na Zachodzie towarzyszy jej zrozumienie i trafna ocena tworzonych przez nią wartości. Chociaż czołowi kompozytorzy wschodnioeuropejscy, jak Ligeti, Lutosławski, Kelemen czy Penderecki, zdołali zdobyć mocną pozycję, opinie krytyków zachodnich nie wolne są często od jaskrawych dowodów niezrozumienia. Dotyczy to nie tyle oceny poszczególnych utworów, z natury rzeczy bardzo subiektywnej, ale w szczególnej mierze nietrafności ocen zjawisk zasadniczych, w pierwszym rzędzie genezy stylu, upatrywania jego źródeł bądź w jednostronnej zależności od inspiracji zachodnich, bądź też przeciwnie, widzianych przez pryzmat tradycji rosyjskich.

Starając się choć częściowo scharakteryzować dotychczasowy dorobek wschodnioeuropejskiej awangardy uwzględnić musimy dwa zasadnicze czynniki: odkrywczą jej języka muzycznego oraz ilość dzieł o niewątpliwie wartości. Mimo trudności kwalifikacji odpowiedź na te pytania wydaje się możliwa.

Mierząc tradycyjnymi normami można by uznać stosunek powstałych utworów do tych, które zyskały trwałą pozycję za nie budzący entuzjazmu. Pamiętajmy jednak, że twórczość awangardy to także laboratoryjne poszukiwanie nowych środków, nowych struktur dźwiękowych, czy nawet nowych źródeł muzycznej materii. Poszukiwania te często też dopiero po wielu próbach wcielają się w kształt utworów, łączących nowość środków z pełnią muzycznej ekspresji.

Pod tym względem wiele „produkcji festiwalowych” prezentowanych tak na Wschodzie jak na Zachodzie ukazuje bardziej kierunek poszukiwań niż ich ostateczny wynik. Ale w ocenie

twórczości istotne są nie tylko ostateczne osiągnięcia, ale też poszukiwania dróg do nich wiodących.

Pod tym też względem wschodnioeuropejska awangarda nie ogranicza się bynajmniej do asymilowania doświadczeń Zachodu, idzie ona drogą równoległą, mimo zbieżności stylistycznej akcentując odmienne rozwiązania.

Zasadniczą różnicą między poszukiwaniami kompozytorów Wschodu i Zachodu był odmienny stosunek do pojęcia dzieła muzycznego. W przeciwieństwie do znacznej grupy kompozytorów zachodnich — widzących rozszerzenie wachlarza środków muzycznych poprzez inkorporację zjawisk dźwiękowych uważanych dotąd za pozamuzyczne ale posiadających wartości ekspresyjne na zasadzie kojarzenia lub kontrastu (krajowy przykład — „Koncerty ciszy” Cage’a) — kompozytorzy Wschodniej Europy nie rezygnując z rozszerzenia materiału dźwiękowego poszli w kierunku tworzenia nowych „abstrakcyjnych” struktur dzieła. I dlatego muzyka elektronowa, odgrywająca na Zachodzie bardzo istotną rolę, w twórczości szkoły wschodnioeuropejskiej zajmuje miejsce raczej marginesowe, mimo że przy wielu rozgłoszeniach radiowych i wytwórniach filmowych powstały studia, umożliwiające twórczość w tej dziedzinie.

Ta przewaga „muzyki czystej” w procesie eksperymentowania znalazła odbicie w tym, co słusznie możemy uważać za reprezentatywną twórczość kompozytorów wschodnioeuropejskich. Mimo znacznej ilości utworów wokarno-instrumentalnych nie można ulegać złudzeniu „programowości” tej muzyki, w istocie bowiem zastosowanie partii wokalnych czy deklamacji tekstów poetyckich służy częściej celom kolorystyki dźwiękowej niż „programowości” w tradycyjnym sensie.

Źródłem kolorystycznych odkryć jest w pierwszym rzędzie tworzenie nowej techniki instrumentalnej, wykorzystującej bogatą skalę szmerów i „dźwięków preparowanych” czy też kontrastujące z tradycyjnymi zestawy zespołów instrumentalnych (np. złożone wyłącznie z instrumentów perkusyjnych).

Charakterystyczną cechą twórczości wielu kompozytorów są ponadto wahania od eksperymentalizmu ku pewnej tradycyjności, polegającej na nowym „widzeniu” tradycyjnych form i technik. Odwrót Pendereckiego — niedawno jednego z najbardziej odkrywczych eksperymentatorów — ku oratorium i operze jest najlepszą ilustracją tego zjawiska. Uproszczeniem byłoby widzieć w tym jedynie dostosowanie się do koniunktury.

Przykład Pendereckiego choć najpełniej obrazujący to szczególne zjawisko — nie jest bynajmniej jedyny...

W sumie awangardy Wschodu i Zachodu uzupełniają się wzajemnie. Może najbliższe lata przyniosą syntezę reprezentowanych przez nie tendencji. Jeśli tak się stanie muzyka — choć rzadko traktowana jako próba oceny procesów kulturalnych — będzie „memento” dla tych, którzy skłonni są widzieć przyszłość kultury jedynie w perspektywie „małej Europy”.

Adam SUTKOWSKI

Muzyka polska na Festiwalu Paryskim

Paryż, którego życie muzyczne przez cały okres powojenny było niemal symbolem konserwatyizmu i komercyjności doczekało się wreszcie swojego festiwalu muzyki współczesnej*. Niesposób jeszcze ocenić czy będzie on oznaczał trwały odwrót od dotychczasowej tendencji, budzącej wiele protestów w paryskim świecie muzycznym, a których najbardziej manifestacyjnym wydarzeniem stała się przed kilku laty „emigracja” Pierre Boulez’a do Szwajcarii, a następnie do Niemiec Zachodnich.

Prób wprowadzenia żywszego nurtu współczesności nie brakowało i poprzednio, żeby wymienić pionierską działalność „apostoła dodekafonii”, René Leibowitza, jednakże sukces tych inicjatyw był w najlepszym razie połowiczny i nie prowadził do trwałych wyników.

Pełne powodzenie omawianego obecnie festiwalu, odbywającego się w sali teatru *Théâtre National Populaire*, świadczy dobitnie, że muzyczna współczesność interesuje bardzo szeroki krąg odbiorców i że od dawna chyba należało przestać ją uważać jedynie za domenę grup „wtajemniczonych”. Obecny stan rzeczy jest w pierwszym rzędzie zasługą długofalowej akcji muzycznego programu francuskiej radiofonii (*France Musique*), która wzięła na siebie zadanie zapewnienia muzyce współczesnej miejsca w kręgu francuskiej kultury.

Mimo to paryski festiwal nie miał cech awangardowości. Prezentowano na nim dzieła w ogromnej większości nie należące do nurtu poszukiwań stylistycznych i „laboratoryjnych” eksperymentów, ale twórczość kompozytorów o ustalonej pozycji, twórczość pod każdym względem „sprawdzoną”, niekiedy będącą „klasiką współczesności”.

Jednocześnie skoncentrowano się nietylko na węzłowych utworach ostatniego okresu, ale na pełnych sylwetkach kompozytorów. Jak zwykle w podobnych okazjach szczególnie uwypuklono twórczość własną, reprezentowaną przez Olivier Messiaen’a, André Jolivet’a, Bilberta Amy, czy uznanego za paryżanina Greka, Iannis’a Xenakis’a.

Muzyka Messiaen’a, a bardziej jeszcze Jolivet’a to zjawiska stylistycznie zamknięte, od wielu lat nie ulegające istotniejszej ewolucji. Na większą uwagę zasługują natomiast sylwetki kompozytorów zagranicznych, w pierwszym rzędzie Hansa Wernera Henze i Witolda Lutosławskiego.

* „Journées de musique contemporaine”, 23-30 października 1969.

Twórczość Lutosławskiego znalazła się zdecydowanie na pierwszym planie gdyż poza „monograficznym” koncertem jego dzieł, danym w sali TNP przez zespoły Filharmonii Krakowskiej (28. X. 69), program „France Musique” nadał dwa obszernie „bloki”, poświęcone wybranym przez Lutosławskiego dziełom dawnej i współczesnej muzyki polskiej oraz przeszło godziną dyskusję z udziałem kompozytora.

Możemy to uznać za dowód zakończenia wieloletniego procesu zdobywania przez muzykę Lutosławskiego pozycji międzynarodowej, procesu który stopniowo i nieprzerwanie trwał od lat czterdziestych, i nie przekształcając się nigdy w olśniewający skok nagłej kariery, doprowadził jednak do obecnej sytuacji. Uznanie które przyszło późno — zapewne — ale jeśli porównamy je z dziejami innych nowatorów, jak np. Bartóka czy Varése’a, trudno uznać je za spóźnione.

Szczególnie ważny jest fakt, że sukces Lutosławskiego wyraża się stałą obecnością na zachodnich estradach nie tylko jego ostatnich dzieł, ale praktycznie całego dotychczasowego dorobku, sięgając aż po utwory z lat czterdziestych. Jest to istotne nie tylko jako dowód ugruntowania się pozycji kompozytora w międzynarodowym życiu muzycznym, ale także z przesłanek czysto artystycznych gdyż cała twórczość Lutosławskiego stanowi niezwykle logicznie powiązany łańcuch dzieł, tworzących pewne grupy, w których określone założenia stylistyczne znajdują stopniową realizację ewoluującą od początkowego impulsu stylistycznego aż po wyczerpanie tego kierunku inspiracji (oczywiście w indywidualnej skali kompozytora).

W dotychczasowym dorobku Lutosławskiego możemy kolejno wyróżnić jak gdyby „okres konstruktywistyczny”, znajdujący swój stylistyczny wyraz przede wszystkim w „Wariacjach na temat Paganiniego” na dwa fortepiany, w „Wariacjach Symfonicznych” oraz w „Pierwszej Symfonii”, następnie (w latach 1949-56) okres folklorystyczny, do którego należy znaczna liczba utworów od „Małej Suity” na orkiestrę kameralną i „Melodii Ludowych” na fortepian, zamknięta monumentalnym „Koncertem na Orkiestrę”, jednym z najdoskonalszych dzieł symfoniki lat pięćdziesiątych. Wreszcie, po jak gdyby interludium w postaci „Muzyki Żałobnej” (1956), trwający od roku 1967 okres „awangardowy”, znaczący bezpośrednią przynależność kompozytora do nurtu twórczości, ukształtowanego pod znakiem eksperymentów festiwalowych „Warszawskiej Jesieni”.

Ten okres twórczości obejmuje największą ilość dzieł Lutosławskiego, należących niemal bez wyjątku do pozycji stale obecnych w międzynarodowym życiu muzycznym.

Omawiając ten rozdział twórczości kompozytora na łamach *Figaro Littéraire* (10-16. XI. 69) Claude Rostand trafnie za główną jego wartość uznał równowagę między elementami czerpanymi z udziału w poszukiwaniach awangardy a tradycją, przede wszystkim tradycją własnego stylu.

Koncert muzyki Lutosławskiego w sali TNP wraz z jego ra-

diowym uzupełnieniem uwidocznił ciągłość zasadniczej postawy kompozytora znajdująca wyraz w dziełach tak pozornie różnych jak pochodzący z okresu folklorystycznego „*Concert na orkiestrę*” i ostatnie utwory; „*Druga Symfonia*” (1967) czy „*Livre pour orchestre*” (1969). To co jest im wspólne, umyka zresztą analizie; zespół środków, którymi te dzieła zrealizowano jest całkowicie odmienny. Zatem ta, na pierwszy już rzut oka dostrzegalna, ciągłość stylistyczna jest dowodem siły indywidualności kompozytora i stałej realizacji od dawna skrytalizowanej estetyki.

Nie jest jednak celem tych rozważań analizowanie właściwości stylistycznych muzyki Lutosławskiego — możliwe jedynie przy zastosowaniu środków „hermetycznej” krytyki muzycznej — chodzi tu raczej o jej recepcję i o perspektywy, jakie ona stwarza.

Niewątpliwą słabością współczesnej muzyki polskiej jest fakt, że na estrady zachodnie wkracza ona sama, bez szerokiego „zaplecza” w postaci dzieł polskich kompozytorów poprzednich okresów. Wyjątkowa i odosobniona niemal pozycja Chopina nie stanowi tu alternatywy.

Istniejąca sytuacja może się wydać dziwna, ponieważ nikt ani w Polsce ani za granicą nie kwestionuje wartości dawnej, przede wszystkim, polskiej muzyki, a nieliczne jej „światowe” wykonania spotykały się z dużym sukcesem.

Tym niemniej większość kompozytorów pochłonięta sprawami własnej muzyki niezbyt zdaje się rozumieć mechanizm zdobywania trwałej pozycji, niezbyt zdaje się nawet wyciągać wnioski z historii recepcji muzyki Szymanowskiego, który działając w pojedynkę — mimo sukcesów osiągniętych za życia — po wojnie stracił „rangę światową”, aczkolwiek wartość przynajmniej znacznej części jego dorobku niczym tego faktu nie usprawiedliwiła.

Faktem jest, że w Polsce w działalności monopolisty wydawnictw muzycznych — krakowskiego PWM — dawna muzyka zajmuje od lat niezmiennie marginesową pozycję a zespoły specjalizujące się w wykonywaniu dawnej muzyki biorą znikomy udział w wyjazdach zagranicznych, organizowanych przez oficjalne agencje artystyczne lub Ministerstwo Kultury i Sztuki. Dzieje się tak mimo, że przeważnie reprezentują interesujące osiągnięcia artystyczne i że ten rodzaj muzyki ma dziś szczególną koniunkturę w międzynarodowym życiu muzycznym.

Tym większą zasługę przysługiwać należy Lutosławskiemu, że swój „dzień” na paryskim festiwalu wykorzystał dla propagandy nie tylko swej własnej twórczości, ale szerzej potraktowanych wartości polskiej muzyki.

Jak już wspominałem, „dzień” Lutosławskiego składał się nie tylko z festiwalowego koncertu, poświęconego jego twórczości, ale także dwu „bloków” programowych „France Musique”, poświęconych utworom przezeń wybranym i z przeszło godzinnej dyskusji z kompozytorem w całości transmitowanej przez radio.

Odpowiadając na pytania słuchaczy i przedstawicieli francuskiego życia muzycznego (wykonawców i krytyków) Lutosławski

w wyczerpujący sposób przedstawił problemy własnej twórczości, warunki w których się rozwija twórczość współczesnych kompozytorów oraz własny stosunek do przeszłości muzycznej.

Wśród poruszanych w dyskusji problemów nie brakowało spraw drażliwych, szczególnie dotyczących związków i uwarunkowań twórczości od ideologii. Trzeba przyznać, że opinie Lutosławskiego musiały budzić szacunek. Choć z ogromnym umiarem i aemocjonalnie, podkreślił on zasadnicze znaczenia wolności dla twórczości artystycznej i poddał wnikliwej analizie wszelkie postaci „dworskiej sztuki”. Dużo też mówił o swej postawie w okresie „socrealizmu”, podkreślając odrzucenie wszelkich koncesji — co równało się zejściu z estrady. Subiektywnie jest to prawdziwe, ale czy istotnie realia tego okresu w niczym nie wpłynęły na twórczość kompozytora? Niewątpliwie Lutosławski pozostawał całkowicie na marginesie życia muzycznego w okresie największego nasilenia nacisku, gdy od kompozytorów żądano powielania „pozytywnych” wzorów sowieckich „dworskich mistrzów” — czy jednak tak było w ciągu tego całego okresu?

Jest faktem, że początek „socrealizmu” oznacza w muzyce Lutosławskiego zwrócenie się ku folklorowi („Mała Suita”, 1950) a koniec tego okresu przynosi „Koncert na Orkiestrę” (1954), dzieło o tej samej inspiracji. Oczywiście żaden z tych utworów nie może być uznany za koncesję na rzecz stylistyki „socrealizmu”, ale czy zwrócenie się ku muzyce ludowej, tak odległej pierwszemu okresowi twórczości kompozytora, nie było w pewnym stopniu wynikiem realiów?

W okresie złagodzenia kryteriów wykazanie, że środki stylistyczne o „formalistycznej” postaci mają swe źródło lub analogię w folklorze otwierały utworowi estrady. W każdym razie widoczne jest tu poszukiwanie wyjścia z zabójczego na dłuższą metę „pisanie do szuflady”.

Niemniej interesujące niż przedstawienie poglądów na tematy twórczości były wybrane przez Lutosławskiego utwory, w kontekście których ukazał własną twórczość.

Z muzyki XVI i XVII wieku usłyszeliśmy Psalmi Mikołaja Gomółki, utwory polskich lutnistów: Wojciecha Długoraja i Diomedesa Cato, pieśni z niedawno odkrytego w Bibliotece Jagiellońskiej rękopisu oraz koncertujący, barokowy motet Marcina Mielczewskiego „*Dixit Dominus*” a następnie kompozycje polskich symfoników z początku XIX stulecia: Wańskiego, Kurpińskiego i Lessla. Z muzyki współczesnej „*I-szy Koncert Skrzypcowy*” Szymanowskiego i Kazimierza Serockiego „*Fresk Symfoniczny*”.

Wybór, jak zresztą każdy, dyskusyjny ale koncerty radiowe spełniły tu niesłychanie ważną rolę przekonywując zainteresowanego słuchacza, że współczesna muzyka polska nie wyrasta z historycznej próżni. Tym bardziej szkoda, że efekt został w znacznej mierze obniżony faktem, że „Polskie Radio” przysłało na tę okazję nagrania (Gomółka, Mielczewski, Lessel) wykonani wątpliwych pod względem stylu, zrealizowanych przed wielu laty, a pod względem fonograficznym pełne elementarnych usterek.

Trudno jednak za to winić kompozytora. „Dzień Lutostawskiego” w Paryżu ocenić trzeba jako ważne wydarzenie w procesie wprowadzania polskiej kultury na drogę wiodącą do uznania jej uniwersalnych wartości.

Piotr JARZEMSKI

Festiwal filmowy w San Francisco

Tegoroczny międzynarodowy festiwal filmowy w San Francisco był raczej przeglądem tendencji i prądów współczesnej kinematografii, niż jej najlepszych kreacji. Maniacka pogoń za oryginalnością, kompletny brak estetyki w operowaniu kolorami i dźwiękiem nadały festiwalowi ton taniego jarmarku.

Galowe otwarcie odbyło się zgodnie z tradycją miasta mieniącego się być stolicą światową hippisów. Wytwornie ubrani przybywający goście zostali obrzuceni przez tychże wymienionych hippis imitacją tortów kremowych. Mniej więcej 160 takich prezentów wylądowało na toaletach i twarzach przybywających dygnitarzy; większość z nich była nieco zaskoczona serdecznością powitania, ale jeden widocznie nieobeznany z nowymi, miejscowymi obyczajami rzucił „hipkiem” w szklane drzwi wejściowe uzyskując nieporównany efekt pękającego kryształu. Zwróciło to nawet uwagę policji która aresztowała 11-tu nieproszonych brodaczy kładąc kres interesująco zapowiadającemu się incydentowi. Dziwnym zbiegiem okoliczności żaden z tortów nie trafił w lico znanego przecież z dwulicowości mayor miasta, który wszedł na salę bocznym wejściem; wyraził on za to potem swoje oburzenie, ale nie z powodu pominięcia jego dostojnej osoby, lecz z powodu niefortunnie obmyślanego powitania.

Powyższy wstęp wywołał jednak odpowiednią atmosferę, która utrzymała się przez cały czas trwania festiwalu. W biurze prasowym włochate i przypominające tylko sylwetką normalnych ludzi, indywidua, załatwiała formalności. Podobne istoty wyróżniające się jaskiniowym owłosieniem i trudnym do zniesienia fetorem, przeważyły niejednokrotnie ilością wśród publiczności na widowni.

Posiadając bezpłatny, na szczęście, bilet prasowy obejrzałem, a w większości wypadków, przetrwałem 6 filmów: *Wszystko na Sprzedaż* (Polska), *Antonio das Mortes* (Brazylia), *Popcorn* (Australia), *Death of a Jew* (Izrael), *A Nest of Gentlefolk* (ZSSR) oraz *Ma Nuit chez Maud* (Francja).

Wszystko na Sprzedaż reżyserii Andrzeja Wajdy z A. Łapickim, D. Olbrychskim, Beatą Tyszkiewicz i Elżbietą Czyżewską w ro-

lach głównych, posiadał wyjątkowo trafnie dobrany tytuł, który też prawdopodobnie wyrażał opinię producentów, iż każdą szmierz można sprzedać. Scenariusz przedstawiał historię reżysera, któremu w momencie rozpoczynania filmu ginie tragicznie główny aktor i który wobec tego postanawia nakręcać film poświęcony pamięci tegoż aktora. W rzeczywistości intencją filmu było uczczenie pamięci Zbigniewa Cybulskiego, a rezultat smutny, gdyż jakość i reżyseria na niskim poziomie. Prawdę mówiąc szkoda, bo Cybulski był dobrym aktorem, a Wajda potrafi być dobrym reżyserem.

Tutaj goni zaś Wajda za jakąś chimerą oryginalności, lepiąc nie trzymający się całości scenariusz. Całość rażąca improwizacją i fragmentaryzmem, które sprawiają, że film mógłby skończyć się w każdym momencie i widz nawet nie domyśliłby się zastosowania skrótu.

Operowanie kamerą to istny taniec św. Wita. Skutek był taki, że na przykład głowa Beaty Tyszkiewicz skakała po ekranie we wszystkich możliwych kierunkach wywołując niemożliwe do zniesienia zmęczenie wzroku. Inny przykład: robienie scen trwających na ekranie jedną sekundę (normalnie 5-6 sekund) dosłownie odurzało widza. Jest to technika stosowana w filmach nakręconych przez hippis o efekcie identycznym do oślepienia latarką w ciemnościach nocy.

Trudno też ocenić grę większości artystów nie określając jej jako nienaturalną, pełną przesady i z silnym naciskiem na zbyt staranną dykcję; przypominała klasyczny okres kreacji z początków lat trzydziestych. Wina jednak znowu leżała częściowo po stronie operatorów, szafujących bez umiaru zbliżeniami kamery (*close up*). Często i gęsto ukazywały się na ekranie twarze o kilkumetrowej powierzchni lekceważąc naturę, która nikogo nie stworzyła doskonałym. Niewielu tylko aktorów na świecie może sobie pozwolić na podobne zdjęcia, ale i to nawet nigdy na ujęcie *en face*, bez starannego retuszu świetlnego. Tutaj chodziło prawdopodobnie o podkreślenie wdzięku takich atrybutów piękności jak piegi czy brodawki.

Tyle o filmie krajowym.

Wysiłek w formie filmu brazylijskiego *Antonio das Mortes* wydawał się apelem do widza o cierpliwość, tj. obejrzenie go do końca. Pomysł w rodzaju sceny erotycznej na świeżo zaszytym ciele poprzedniego amanta trudno aprobować z punktu widzenia elementarnej przyzwoitości czy też estetyki; nawet jeżeliby posiadało się hippisów w rodzinie. Kompletna jałowość treści, w połączeniu z nieumiejętnością scenicznego przekazania prymitywnych myśli autora scenariusza, była jedną z mniejszych niedociągnięć filmu.

Jednakowoż australijski *Popcorn* był rekordem. Nakręcony przez hippisów i o hippisach. Opisać tego niesposób — coś w rodzaju dostarczenia kompletnego ekwipunku kinematograficznego wraz ze światłami do domu wariatów z poleceniem dla jego pensjonariuszy: kręćcie film, panowie. I rzeczywiście nakręcili. Kła-

syk z Tworek — jakby powiedzieli rodacy w kraju. W oficjalnym programie festiwalu był ten film przedstawiony jako „cudowny eksperyment w dziedzinie koloru, muzyki i dźwięku”.

Odpoczynkiem jednak był film francuski *Ma Nuit chez Maud*. Dobra obsada w osobach Jean-Louis Trintignant, Françoise Fabian, Marie-Christine Barrault i Antoine Vitez. Film bez specjalnie zarysowanej akcji, ale doskonały w niespotykane wysokim poziomie treści dialogów. Jednakże widzowie nie znający języka francuskiego wiele stracili, gdyż tłumaczenie angielskie (nadpisy) było bardzo niedokładne pozbawiając je odczucia finezji myśli i sposobu ich wyrażania w oryginale. Pomimo to, warto film zobaczyć.

Niespodzianką, że tak powiem ideologiczną, był film rosyjski (*Szlacheckie Gniazdo*) i izraelski (*Śmierć Żyda*). Pierwszy, bo nie zawierał wszechobecnych dotychczas w filmach sowieckich akcentów propagandy antyreligijnej, przy ukazywaniu scen odzwierciedlających tego rodzaju uczucia czy sytuacje, a drugi, że pomimo trwającego konfliktu, przedstawił Arabów w sposób humanitarny podkreślając wyższość uczucia miłości bliźniego nad nienawiścią i szowinizmem.

Czesław SEYFERT

Nieznana Maria Dąbrowska

W październiku br. minęła 80 rocznica urodzin Marii Dąbrowskiej. Z tej okazji w *Czerwonym Sztandarze*, dzienniku w języku polskim który ukazuje się w Wilnie, w nrze 255 z 1 listopada 1969 r. ukazał się artykuł Jadwigi Staniekowicz, współpracowniczki Instytutu Sławiastyki i Bałkanistyki Akademii Nauk ZSSR, z którego przedrukujemy poniższy fragment:

„W kraju Rad jej książki są znane i kochane, cieszyliśmy się też ogromnie z poznania samej pisarki. We wrześniu 1953 roku Maria Dąbrowska w składzie delegacji literatów przyjechała do Związku Radzieckiego. Na Dworcu Białoruskim w Moskwie wysiadła z wagonu niewysoka, elegancko, a jednocześnie z prostotą ubrana kobieta. Krótkie włosy, mały bererek, szybkie ruchy nadawały całej jej postaci coś dziarskiego, pełnego życia, prawie młodzieńczego; trudno było uwierzyć, że jest przedstawicielką starszej generacji polskich pisarzy.

Zapoznawała się z życiem ludzi radzieckich. O swych pierwszych wrażeniach tak mówiła na wieczorze w Centralnym Domu Literata w Moskwie 14 października 1953 r.:

„Przyjaciele! Opowiadać wam o waszych wspaniałych osiągnięciach w budownictwie socjalistycznej kultury i gospodarki — znaczyłoby to, co powtarzać rzeczy doskonale znane zarówno nam, jak i wam. A jednak na jedno trzeba koniecznie zwrócić uwagę. Zdawało się nam, że z prasy, literatury, radia i filmów znamy i Moskwę, i Leningrad, i Kijów. Jednakże nie może zastąpić bezpośredniego wrażenia. Dlatego dobrze się stało, żeśmy tu

przyjechali. Wasza rzeczywistość przekroczyła wszystkie, przynajmniej moje, pojęcia o was, bez względu na to, że byłam przygotowana iż zobaczę wiele rzeczy niezwykłych. Żadna propaganda nie jest w stanie należycie odmalować ani jedynej w swym rodzaju fantastycznej barwności i burzliwej dynamiki Moskwy, ani surowej elegancji przepięknego Leningradu, ani słonecznego blasku i gorącego entuzjizmu czarującego Kijowa. I nie nie potrafił prze-kazać oszołamiącego bogactwa i oryginalności waszych ludzi radzieckich. Skarby dawnej kultury, które przechowuje się z takim pietyzmem i jednocześnie tak dostępne dla wszystkich, wspaniałe dzieła waszej nowej socjalistycznej kultury materialnej i moralnej, wszystko to jest owocem pracy rąk waszych ludzi... I nie jest dziełem przypadku, że twarze waszych ludzi są tak wyraziste, że każda z nich ujrzana raz, pozostaje w pamięci na zawsze. Wyraziste są bowiem wasze charaktery i wasze temperamenty. W waszych ludziach nie ma nic niejasnego, sztucznego, banalnego. Jesteście pełni wielkiej siły, poważnego stosunku do wszystkich spraw życiowych, wielkiej śmiałości i namietności w myślach i czynach. A jednocześnie ileż w was delikatności, subtelności, ileż ufności do zupełnie zda się, obcego człowieka, ileż wzruszającej gościnności i serdeczności, ileż prawie dziecięcej prostoty i bezpośredniości! Wszystkimi tymi uczuciami hojnie obdarzyliście nas i czuliśmy się wród was, jak wśród bliskich ludzi".

Dąbrowska oceniła uwagę, jaką ludzie radzieccy przywiązują do książek, do kultury.

„Pragnęłabym, aby jeżeli nie dzisiaj, to chociaż kiedykolwiek w przyszłości — mówiła przez Radio Moskiewskie 28 września 1953 roku — moja twórczość przydała się również czytelnikom radzieckim. Czytelnikom, których miłość do drukowanego słowa znałam dotychczas jedynie ze statystyki. Teraz w Moskwie mam możność zaobserwowania jej osobiście. Widzę ją: w Bibliotece Leninowskiej, której stoły ciasno otoczył krąg ludzi, w metro, najżybszym środku komunikacji miejskiej, gdzie zda się, że nie ma na to czasu, widzę kilku pasażerów jednocześnie, czytających książki. Jakaż to radość i zagrzewający widok dla pisarza, który się stara służyć ludziom pracy w budowaniu szczęśliwego świata!"

Komunikaty

FUNDUSZ STYPENDIALNY IM. GEN. SOSNKOWSKIEGO

W dniu 11 października 1969 r. zmarł w Kanadzie śp. Generał Kazimierz Sosnkowski, b. Wódz Naczelny Polskich Sił Zbrojnych, żołnierz i mąż stanu, którego życie było nieprzerwaną służbą Polsce. Śmierć Generała zamyka pamiętny okres naszej historii.

Zmarły był wieloletnim członkiem i przyjacielem Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, założonego w czasie ostatniej wojny w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Instytut ten stał się w ciągu lat ośrodkiem szerzenia kultury polskiej na społeczeństwo amerykańskie, a zarazem centrum łączącym świat naukowy i inteligencję polską. Instytut przyłączył się z całego serca do ogólnej żałoby po Generale Sosnkowskim.

Ostatnim życzeniem Zmarłego było, by zamiast kondolencji i kwiatów

składano za pośrednictwem Oddziału w Kanadzie Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce datki na ufundowanie stypendium dla młodego naukowca polskiego, który by podjął prace badawcze z zakresu najnowszej historii Polski.

W wykonaniu woli Zmarłego Oddział w Kanadzie ustanowił FUNDUSZ STYPENDIALNY IM. GENERAŁA KAZIMIERZA SOSNKOWSKIEGO.

Czeki i przekazy prosimy wystawiać na „The Polish Institute of Arts and Sciences, Canadian Branch” i przysłać je na adres: 3479 Peel Street, Montreal 112, Quebec, Canada.

POLSKI INSTYTUT NAUKOWY W AMERYCE ODDZIAŁ W KANADZIE

STYPENDIA FUNDACJI KOŚCIUSZKOWSKIEJ

W porozumieniu z Uniwersytetem Jagiellońskim w Krakowie, Fundacja Kościuszkowska zamierza zainaugurować Trzeci Rok Studiów w Polsce, poczynając od roku akademickiego 1970-71. Zgodnie z tym programem każdy kwalifikujący się student amerykański, uczęszczający na prawnie uznane kolegium czy uniwersytet w Stanach Zjednoczonych, może ubiegać się o stypendium, które umożliwi mu kontynuowanie normalnego trzeciego roku studiów na Uniwersytecie w Krakowie.

Wybrany kandydat otrzyma zwolnienie od opłat akademickich (czesnego), mieszkanie i 2.400 złotych miesięcznie na koszty utrzymania i inne wydatki. Jedyne koszty, jakie musi pokryć to podróż do Polski w obie strony.

Jednym z warunków do przyznania stypendium jest znajomość języka polskiego równa dwuletniemu studium w amerykańskim kolegium lub na uniwersytecie. Nadto wybrani kandydaci będą musieli przejść dodatkowy intensywny sześćotygodniowy kurs języka polskiego przed rozpoczęciem roku akademickiego. Koszt tego kursu będzie również pokryty przez Fundację Kościuszkowską w ramach tegoż programu.

Pierwszeństwo mieć będą studenci Alliance College i innych polsko-amerykańskich instytucji wyższego nauczania oraz ci, którzy kontynuują studia z zakresu wiedzy o Polsce.

Formularze zgłoszeniowe można otrzymać w Fundacji Kościuszkowskiej, 15 East 65th Street, New York, New York 10021. Ostateczny termin wnoszenia podań upływa z dniem 1 lutego 1970 roku.

PÓŁWIECZE ISTNIENIA POLSKIEJ ŁOŻY „KOPERNIK”

„Macierzysta łoża polska pod nazwą Kopernik” obrządku szkockiego obchodzi jubileusz swego 50-ciolecia licząc od czasu założenia jej w Warszawie pod tą nazwą w roku 1919, u zarania odzyskanej niepodległości. Jubileusz ten zbiega się z obchodem 30-tolecia jej istnienia w Paryżu po odtworzeniu jej w roku 1939, nazajutrz po klęsce wrześniowej. Nawiązała ona do tradycji historycznych Wolnomularstwa polskiego z XVIII i początków XIX stulecia, stanowiąc kontynuację łoż tego okresu: grupowała ona przez tych 50 lat szereg bardzo wybitnych przedstawicieli polskiego życia intelektualnego, politycznego i gospodarczego i jako ośrodek w latach 1920-1938 „Wielkiej Łoży Narodowej Polski” promieniowała na kraj, świadcząc przed światem o ciągłości dziejów wolnomularskich w Polsce niepodległej. Świeżo dokonano

w kraju próby spisania najwybitniejszych jej członków, w ramach odnajdywanych materiałów (patrz „Najnowsze dzieje Polski, 1914-1939”, tom XIV/1969, monografia Ludwika Hassa „Rozwój Wolnomularstwa w Polsce międzywojennej”) co pozwala sobie zdać sprawę z uczestniczenia w ruchu wolnomularskim jednostek o najwyższym poziomie moralnym i odgrywających w życiu kulturalnym i społecznym Polski pierwszorzędną rolę. Działając od roku 1939 w ramach organizacyjnych „Wielkiej Łoży Francji” jako „macierzysta łoża polska”, zapewnia ona obecnie łączność i współpracę polskich łoż na obu półkulach oraz poszczególnych wolnomularzy Polaków w szeregu krajów osiedlenia, póki los jej nie pozwoli powrócić do wolnej stolicy.

KOMITET UCZCZENIA PAMIĘCI ST. STARZYŃSKIEGO

Komitet uczczenia pamięci prezydenta Stefana Starzyńskiego, który powstał w Londynie, we wrześniu 1958 r., ogłosił sprawozdanie ze swej działalności.

Zebrało kwotę £stg. 446.04.11. Suma ta okazała się niewystarczająca na zakup bloków granitowych potrzebnych do wzniesienia trwałego pomnika według projektu śp. prof. Pnińskiego, ale wystarczyła na pokrycie kosztów najważniejszej części tego projektu a mianowicie krzyża. Zakup granitu i wykonanie krzyża miały miejsce w Szwecji. Montaż krzyża wykonano w 1968 r.

Komitet w komunikacie, ogłoszonym dopiero w listopadzie ub.r., zamykając swoją działalność dziękuje wszystkim ofiarodawcom.

„KOMITET NAARDEN — CZECHOSŁOWACJA”

W 377 rocznicę urodzin J. A. Komeniusa, odbył się w Naarden w Holandii — gdzie został pochowany — zjazd przedstawicieli emigracji czeskiej i słowackiej liczącej obecnie na świecie ok. 1.500.000. Delegaci ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Australii, Nowej Zelandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Holandii, Belgii i Luksemburga stworzyli 18-osobowy „Komitet Naarden-Czechosłowacja”. Przewodniczącym został dr Jan Lang, a sekretarzem generalnym dr Svoboda. Komitet wydał deklarację, w której nawiązując do tradycji Komeniusa i Deklaracji Praw Człowieka Narodów Zjednoczonych apeluje do narodów świata a specjalnie do narodów Centralnej Europy o prowadzenie wspólnej walki przeciw narzucaniu siłą obcych ideologii, ograniczeniom wolności prasy, słowa i okupacjom wojskowym.

ZJAZD KADETÓW

Latem 1970 r. jest projektowany Światowy Zjazd byłych Wychowanków Korpusu Kadetów Nr 3 w Rawiczu z okresu istnienia szkoły tj. lat 1930-1939.

Zainteresowani proszeni są o listowne porozumienie się z: Marianem Czarneckim, 45 bd Gouvion St. Cyr, 75-Paris (17^e), Francja. Kamilem Czarneckim, 16, Barton Court, Barons Court Rd., London W.14., Wielka Brytania. Romanem Bąbczyńskim, 15717 Woodruff Av., S.P. 44, Bellflower, Calif. 90706, U.S.A.

Książki

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie

Socjologia. Nauki polityczne. Ekonomia

130. *Przemiany Polaków*. Ankiety zainicjowali i do druku podali Tadeusz Drewnowski i Maciej Krasicki. Warszawa, 1969, Iskry, 1969 (3).

29 krótkich odpowiedzi na ankietę „Polityki” z r. 1968. M.in. wypowiedzi prof. Józefa Chałasińskiego („schłopieliśmy”), prof. Wit. Doroszewskiego (odejście od myślowego stereotypu „żołnierza”), Tad. Hołuja (wytworzenie się typu „Polaka międzyklasowego”), Jarosława Iwaszkiewicza (nie uległ zmianie polski patriotyzm), prof. Tad. Kotarbińskiego (złe i dobre tradycje polskości, ostrzeżenie przed „ciemnymi odruchami wstecznej prądności”), Jerzego Putramenta („wyszliśmy z krajowego zaścianka”), red. Jerzego Turowicza (postępy procesu demokratyzacji i egalitaryzmu społecznego, odejście od postawy romantycznej), Melchiora Wańkowicza („Socjalizm wchodzi podświadomie w krwiobieg przez realną zmianę stosunków”), Wojciecha Żukrowskiego (upolitycznienie szerokich rzesz, wzrost szacunku dla pracy, usamodzielnienie kobiety związane jednak z zanikiem poszanowania kobiet).

131. *Zbawidowcy*. Tradycje i zadania. (Warszawa), 1969, Wyd. Zarządu Gł. Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, s. 477, ilustr.

Nakład 30.000 egz. Kilkadziesiąt krótkich artykułów o „tradycjach walki o niepodległość” nadto tablice typu: „Kolejność noszenia odznaczeń” („1. Order Budowniczych Polski Ludowej, 2. Krzyż wielki orderu Odrodzenia Polski, 3. Krzyż wielki orderu Virtuti Militari itd.”); kilkanaście fotografii Moczarsa, Cyrankiewicza, Gomułki (kolejność według ilości fotografii i zajmowanej przez nie powierzchni w cm²) i towarzyszy.

132. JASZUŃSKI, Grzegorz: *Szpiedzy?* Warszawa, 1969, Czytelnik, s. 362 (2).

Autor opisuje przebieg spraw sądowych Roberta Oppenheimera, Mortona Sobella i Algera Hissa, stawiając sobie pytanie czy istotnie byli szpiegami. Uważa, iż Oppenheimer był ofiarą gry politycznej „reakcyjnych kół amerykańskich”, a proces jego określa jako „pokazowy”, zorganizowany dla na-

straszenia naukowców. Skazanie Sobella uważa za „naruszenie praworządności” a Alger Hiss jest w jego oczach kandydatem do procesu rehabilitacyjnego.

Sztuki plastyczne. Teatr. Film. Radio

133. KOZAKIEWICZ, Stefan, red.: *Słownik terminologiczny sztuk pięknych*. Pod redakcją... Warszawa, 1969, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 395 (53), ilus., plansze.

Rezultat wieloletniej pracy grona starannie dobranych specjalistów z zakresu urbanistyki i architektury, malarstwa, grafiki, rzeźby, ceramiki, meblarstwa, kostiumologii, tkactwa, uzbrojenia, pojazdów, sztuki ogrodowej itd. Obejmuje terminy związane bezpośrednio ze sztukami plastycznymi oraz licznymi działami kultury materialnej. Opisy zwięzłe i jasne, dobre ilustracje.

134. TOEPLITZ, Jerzy: *Dwadzieścia pięć lat filmu Polski Ludowej*. Warszawa, 1969, PWN, 238 (4). (Wydział I Nauk Społecznych PAN, Studia o Polsce współczesnej pod red. Stefana Żółkiewskiego).

Autor dzieli omawiany okres na rozdziały obejmujące lata 1943-9, 1950-4, 1955-60 — powstanie „szkoły polskiej” i 1960-66 „koniec szkoły polskiej i stabilizacja”. To ostatnie określenie jest eufemizmem: w praktyce znaczy obniżenie poziomu polskiej produkcji filmowej.

135. KRZYSZTOŃ, Jerzy, red.: *Teatr wyobraźni*. Stuchowiska radiowe. Wyboru dokonał Jerzy Krzysztoń. (Aleksander Małachowski: Słowo wstępne). Warszawa, 1969, Iskry, s. 439 (3).

16 stuchowisk: Jarosław Abramow: Na szosie, H. Bardijewski: Schody, Stan. Grochowiak: Kaprysy Łazarza, Zb. Herbert: Lalek, J. Janicki: Kończymy tę wojnę, Tym. Karpowicz: Kiedy ktoś zapuka, Janusz Krasiński: Filip z prawdą w oczach, J. Krzysztoń: Alibi, A. Mularczyk: Oddaj buty, W. Odziejewski: Patrzymy na siebie, A. Piotrowski: Urodziny pana Karola, Z. Posmyś: Tor, K. Salaburska: Oni, A. Szypulski: Brzuch, Wład. Terlecki: Przyjdź do pani znów za rok, M. Tonecki: Panie zabijają panów.

Literatura piękna (poezja, powieść, dramat, eseje)

136. FICOWSKI, Jerzy: *Ptaka poza ptakiem*. (Warszawa), 1968, Czytelnik, s. 106 (4).

Tom wierszy nasuwających liczne i dla autora kłopotliwe analogie z utworami Wierzyńskiego o podobnej tematyce i budowie. Tak np. w wierszu pt. „Tożsamość” zastosowana jest technika powtórzeń początków wersów w „schodkowym” wyliczeniu (por. Wierzyńskiego „Pożegnanie”, „Znaki zapytania”, „365 razy” itd.). Wśród „słów-kluczy” Wierzyńskiego poczesne miejsce zajmują ptaki. U Ficowskiego, poza tytułem tomu, pojawiają się one w wierszach beztytułowych imitujących Wierzyńskiego. Przykład: *Prośba do szarych gęsi*:

Nie gęgajcie w moim imieniu
nie wyguszajcie pałkami swych szyi
gęsią skórę kryjące w pozorach skrzydlatych
nie poddawajcie mi tonu
zaśpiewały nie kapitoliniskie
soltysy
pustki
idącej

gęsiego
Mam własny język
którym milczę.

(„Prośba do szarych gęsi”)

Warto zestawzić ten wiersz z „Dziadami” Wierzyńskiego z zakończeniem stosującym ten sam chwyt („Sam się ubawię. Niech was nie widzę”). Ficowski przenosi zrzęcznie doświadczenia Wierzyńskiego do swoich wierszy. Nie pierwszy i nie ostatni. Ale w sytuacji obecnej, gdy oryginalny znany są tylko drobniemu odłamowi czytelników, kopie wyprzedzają mistrza — i w tym właśnie jest coś wysoce niesmacznego.

137. HERTZ, Paweł: *Śpiewnik podróżny i domowy*. 1935-1967. (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 229.

Wybór wierszy z siedmiu tomików wydanych w większości po wojnie. Po wczesnym okresie wyraźnych wpływów Skamandrytów (zwłaszcza Lechoń) Hertz poszedł dalej od swych mistrzów w kierunku stylizacji klasycznej (sonety, ody, elegie, treny), by wreszcie wypracować styl własny w oparciu o znakomitą wiedzę o wierszu polskim zdobytą w toku przygotowań monumentalnej antologii poezji polskiej XIX wieku.

138. KONWICKI, Tadeusz: *Zwierzoczekoupiór*. Ilustrowała Danuta Konwicka. Warszawa, 1969, Czytelnik, s. 276 (1).

Trudny orzech do zgryzienia. Symbol na symbolu symbolem pogania. Pies — symbol, ogrodzenie parkowe — symbol, biała dziewczyna — symbol, kolega-żarłok — symbol??, gra w pitaczka — symbol???, miasto — symbol??? Z pracowitych usiłowań autora nie wynika, niestety, ani „Ala w krainie czarów” ani „Cyril, gdzie jesteś” — tylko pokraczny, pretensjonalny „zwierzoczekoupiór” — „to jest takie coś, które nas przez całe życie osacza”. Książka-niewypał. Radzę ją omijać, by nie psuć wspomnienia „Sennika współczesnego”.

139. TERLECKI, Władysław: *Gwiazda Piołun*. (Warszawa, 1968), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 223 (1).

Akcja powieści toczy się we wrześniu 1939, gdy autor był kilkuletnim dzieckiem. Jest to więc, na pewien sposób, powieść historyczna z bohaterem nasuwającym niewątpliwie pokrewieństwo z Witkacym. Obraz wydaje się wierny, choć autentyczny Witkacy związał zapewne mocniej decyzję samobójstwa z inwazją sowiecką. Autor przeciwstawia interesująco wędrówkę bohatera powieści ku Polsce u kresu I wojny światowej tragicznemu marszowi na wschód we wrześniu 1939 r. Dobrze nakreślona sylwetka „dziewczyny”, towarzyszący bohater — a przede wszystkim niezwykle wiernie oddany klimat klęski i chaosu.

140. ŻAKIEWICZ, Zbigniew: *Ród Abaczów*. Warszawa, 1968, Czytelnik, s. 155 (2).

Krajowy odpowiednik „Doliny Issy” Miłosza. Dobra powieść, osadzona na Wileńszczyźnie wśród jeszcze jednych „ostatnich” ze szlacheckiego zaścianka zaludnionego przez Abaczów, Zubrowiczów, Cieciorów, spowinowacanych ze sobą siatką prawych i nieprawych związków. Autor, urodzony w r. 1933 w Wilnie, rusycysta z Gdańska, oparł się rzekomo na wspomnieniach rodzinnych. Mimo tej niewątpliwiej pomocy ze strony domowych tradycji wykazał fenomenalną znajomość środowiska i krajobrazów. („A w polu pachnie spóźniona gryka, liniejąc już i twardniejąc w swych ziarenkach, co zawisły na łądogach niby tłuczony żwir, i druga konieczna dodaje mocy

tym zmęczonym zapachom — rosista i puszysta, z listkiem na szczęście, którego nikt nie umie odnaleźć").

141. PRUSZYŃSKI, Ksawery: *Podróże po Polsce. — Podróże po Europie*. (Poprzedzone przedmową Kazimierza Wyki pt. „Droga pisarska Ksawerego Pruszyńskiego”). Kraków, 1969, Wydawnictwo Literackie, s. XXXII, 479 — Nasi nad Tamizą. J. w., s. 615.

Dwutomowy wybór felietonów z okresu przedwojennego (ze znamienym pominięciem „W czerwonej Hiszpanii”) oraz okresu II wojny światowej, powrotu do Kraju w wędrowek po dawnych pobojuwiskach w Norwegii i Włoszech; nadto fragmenty nieukończonych monografii o Kościuszcze. „Mixed bag” przynoszący mieszane wrażenia. Znaczna część dorobku pisarskiego Pruszyńskiego nie wytrzymała próby czasu, razi jej kształt brulionowy i stylistyczna łtwinia. Redaktorzy wyboru, operując szeroko metodą skrótów i kropek, sporządzili preparat, który prawdopodobnie nie uzyskałby aprobaty autora za życia. Przedmowa prof. Wyki upraszcza ewolucję Pruszyńskiego od „antyfaszystowskiego” konserwatyzmu „Sarajewa 1914, Szanghaju 1932, Gdańska 1937” do zawołania „Na lewo, bardziej na lewo, trzymajcie się wciąż lewej strony”. To był lepiej urodzony Mackiewicz, gorszy Sienkiewicz, panicz z Wolicy Kierkieszynej, Krakauer i kresowiec w jednej osobie, zjawisko niepowtarzalne i warte wnikliwszej, niż podjęta przez Wykę, analizy.

Zyciorysy, pamiętniki, listy

142. KARBOWSKI, Władysław: *Zygmunt Padlewski (1835-1863)*. (Warszawa, 1969), Ministerstwo Obrony Narodowej, s. 447 (1), mapy i szkice, bibliogr. (Wojskowy Instytut Historyczny, Zakład Historii Dawnego Wojska Polskiego).

Monografia oparta na materiałach archiwalnych polskich i sowieckich, opracowana sumiennie i fachowo. Autor jej wydał przed wojną w r. 1935 w Grodnie monografię Ludwika Narbuta i ma za sobą poważny dorobek w zakresie historii powstania styczniowego.

143. BIERNACKI, Kazimierz: *Józef Węgrzyn*. (Przedmowa Eugeniusza Szwankowskiego). (Kraków, 1969), Wydawnictwo Literackie, s. 214 (4), ilustr., bibliogr.

Autor monografii znał Węgrzyna ze sceny i życia osobistego, oparł się na bogatym materiale recenzyjnym i relacjach współczesnych. Sądzi, że „marnowano wielki talent”, powierzając Węgrzynowi pomniejsze role.

144. RUSINEK, Michał: *Opowieści niezmąszone*. Wspomnienia literackie. Kraków, 1969, Wydawnictwo Literackie, s. 525 (1), ilustr.

Wspomnienia utrzymane w tzw. „lekkim” stylu: „Jestem ślubnym synem nieślubnego syna” itd. przez kilkaset stron. Lektura zdecydowanie męcząca.

Geografia. Opisy podróży. Reportaże krajoznawcze

145. KYDRYŃSKI, Juliusz: *Tapima*. Kraków (1969), Wydawnictwo Literackie, s. 209 (3).

Tajemnicza Tapima z tytułu książki jest nazwą klubu w Tarnobrzegu i powstała przez połączenie początkowych sylab nazw trzech miejscowości: Tarnobrzeg, Piaseczno i Machów, rozwijających się obecnie w zawrotnym tempie w związku z powstaniem zagłębia siarkowego („Złotej Doliny”). Książ-

ka jest zbiorem reportaży z zagłębia i okolicy, stron rodzinnych autora. Na tle dalszym jest Dzików, ukazany prymitywnie i propagandowo.

146. WOLANOWSKI, Lucjan: *Z zapartym tchem*. (Rysunki Mieczysława Majewskiego). Warszawa, 1969, Iskry, s. 378 (2), ilustr. (W serii: Łowcy sensacji).

Reportaże z wędrowek o szerokim zasięgu geograficznym: od ulic Warszawy do australijskiego buszu i Nowej Gwinei. Autor przystaje na dłużej w Monte Carlo i Paryżu, gdzie w toku studiów nad zgnilizną kapitalistyczną sumiennie zwiedza kasyno gry i co lepsze restauracje.

Dzieje Polski przedrozbiorowej

147. BERDECKA, Anna i TURNAU, Irena: *Życie codzienne w Warszawie okresu Oświecenia*. Warszawa, 1969, Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 343, ilustr.

Książka z serii „Życie codzienne w...” wzorowanej na analogicznych cyklach wydawniczych francuskich i angielskich. Poprzedziły ją dwie pozycje polskie: A. Jelicz: „Życie codzienne w średniowiecznym Krakowie” i M. Boguckiej „Życie codzienne w Gdańsku, w. XVI-XVII”. Rzecz wartościowa, ilustrująca nie tylko życie umysłowe i obyczajowe, ale i funkcjonowanie władz miejskich, szkół, szpitali itp. Bardzo dobre rozdziały o „roku polskim”: „Rodzinny dzień świąteczny”, „Uroczystości religijne”, „Zabawy publiczne”. Bogato i dobrze ilustrowana.

148. ŁOJEK, Jerzy: *Polska inspiracja prasowa w Holandii i Niemczech w czasach Stanisława Augusta*. Warszawa, 1969, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 318 (2). (Pracownia Hist. Czasopiśmiennictwa Polskiego XIX i XX w. PAN. Materiały i Studia do Historii Prasy i Czasopiśmiennictwa Polskiego, zes. 12).

Ciekawa charakterystyka „międzynarodowej” prasy XVIII-wiecznej typu „Le Courrier du Bas-Rhin” (Clèves) i „Nouvelles Extraordinaires de Divers Endroits” (Leyden) i ich wpływu na formowanie opinii publicznej w Europie. Autor analizuje polonica i stara się dociec, jakimi drogami informacje o Polsce docierały do redakcji pism i jak były przez nie interpretowane.

149. SKOWRONEK, Jerzy: *Antynapoleońskie koncepcje Czartoryskiego*. Warszawa, 1969, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 379 (3), ilustr., bibliogr.

Autor analizuje poglądy i działalność ks. Adama Jerzego Czartoryskiego w oparciu o materiały archiwalne ze zbiorów Czartoryskich w Krakowie, Archiwu Wnieśliwej Polityki Rosji w Moskwie i innych archiwów moskiewskich i leningradzkich i archiwów wiedeńskich. Autor sądzi, iż przeżany Rewolucją Francuską arystokrata-liberał szukał rozwiązania narastających konfliktów społecznych i politycznych „w gruntownym przekształceniu stosunków międzynarodowych, w wyeliminowaniu niebezpieczeństwa wielkich wojen, ale także wstrząsów rewolucyjnych grożących radykalnymi zmianami w zakresie struktur politycznych i społecznych”.

Druga Wojna Światowa

150. ŁUCZAK, Czesław: *Wysiedlenia ludności polskiej na tzw. ziemiach ucieclonych do Rzeszy*. Wybór źródeł i opracowanie... Poznań, 1969, Instytut Zachodni, s. 133, ilustr., bibliogr. (W serii: Documenta Occupationis, VIII).

Bardzo wartościowa publikacja, przynosząca teksty zarządzeń władz okupacyjnych, zestawienia statystyczne, materiały dowodowe dotyczące konfiskat, egzekucji itd.

151. *W jednym szeregu*. Wspomnienia uczestników walk partyzanckich na Białorusi, 1941-1944. (Kolegium redakcyjne: Emma Jazykowicz, Miecz. Juchniewicz, Paweł Lipiło, Tadeusz Stępnowski. Wyboru dokonał zespół pracowników naukowych pod kier. Juliana Tobiasza i Grigorija Szewiely). (Warszawa, 1969). Ministerstwo Obrony Narodowej, s. 470 (4), ilustr. (Wyd. pod patronatem: Wojskowego Instytutu Historycznego, Instytutu Historii Partii przy KC Komunistycznej Partii Białorusi, Oddz. Instytutu Marksizmu-Leninizmu przy KC PZPR, Inst. Historii Akademii Nauk BSSR).

Wstęp wspomina Białorusinów spod „Grodna, Lidy, Baranowicz, Mołodeczna, Pińska, Brześć i z innych rejonów Zachodniej Białorusi”, którzy we wrześniu 1939 r. walczyli jako żołnierze Wojska Polskiego. „Po klęsce wrześniowej wielu polskich działaczy politycznych i patriotów znalazło gościnę i opiekę na ziemi białoruskiej” (sic!). Wspomnienia dotyczą działaczy Komunistycznej Partii Białorusi i „podziemia partyjnego”, operacji z roku 1943 objętych kryptonimami „Rielsowaja wojna” i „Koncert”, obejmowanych wspólną nazwą „bitwa o szynę”. Kilka wspomnień dotyczy Mińszczyzny. Działalność AK zbyta jest krótką wzmianką przypisującą AK taktykę „stania z bronią u nogi”.

152. SKARŻYŃSKI, Aleksander: *Polityczne przyczyny powstania warszawskiego*. Wyd. III. Warszawa, 1969, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 434, plan Warszawy.

Autor pisze we wstępie, iż opierał się na: 1) opublikowanych zbiorach dokumentów (w tym sowieckiej „Wniesznoj politice SSSR”, Moskwa 1944), 2) wydawnictwach poświęconych powstaniu (w tym londyńskich „Polskich Siłach Zbrojnych” określonych jako „cenne źródło dokumentów”), 3) literaturze pamiątkarskiej, a nadto archiwaliach przechowywanych w Warszawie w Archiwum Min. Spraw Wewnętrznych.

Nadesłane nowości wydawnicze

RAINA (Peter). *Władysław Gomułka*. Zyciorys polityczny. Str. 160. (Wyd. Polonia Book Fund Ltd., Londyn, 1969).

PRZYGODA (Zdzisław). *W służbie Polonii Kanadyjskiej (1964-1969)*. Str. 147 i 1 nłb. Artykuły, listy, odczyty z przedmową Zygmunta Rusinka. (Nakładem Autora, Toronto, Ont. Kanada, cena egz. dol. can. 5,00).

JURKIEWICZ (Mieczysław). *Hitler na tle swego narodu i epoki*. Cz. I.: „Gdy Hitler sięgał i gruntował swą władzę”. Str. 92. (Maszynopis). (Paryż, wrzesień, 1969).

A l'ombre de leur Dieu. Anthologie du récit polonais contemporain (zawiera opowiadania: M. Dąbrowskiej, K. L. Konińskiego, J. Zawieyskiego, K. Pruszyńskiego, A. Gołubiewa, J. Andrzejewskiego,

J. Dobraczyńskiego, H. Malewskiej, W. Zukrowskiego, L. Elektowicza, J. Krzysztania). Opracowali Maria Jasińska i Stefan Sawicki. Str. 360. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1969).

TIGRID (Pavel). *La chute irrésistible d'Alexander Dubcek*. Przeł. z angielskiego Jean Bloch-Michel. Str. 318 i 2 nłb. (Wyd. Calmann-Lévy, Paryż, 1969).

WYRWA (Tadeusz). *L'Evolution Constitutionnelle au Mexique*. Str. 187-201. (Nadbitka z „Politique”, Tome XI, No 41-44, année 1968, Paryż, 1969).

30th Anniversary of Fighting Poland. 26th Anniversary of The Warsaw Uprising. 1939-44-1969. Str. nłb. 52. (Wyd. B. i W. B. Szmajdowicz, Philadelphia, Pa. USA).

WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Metaphysics and Epistemology: a Reflection on Philosophical Pluralism and the Intersubjectivity of Knowledge*. Str. 567-574. (Odbitka z aktów XIV. Internationalen Kongresses Für Philosophie. Wien, 2-9 September, 1968).

KRUKOWSKI (T.). *Canadian Private Ethnic Schools*. Str. 199-203. (Nadbitka z Pergamon Press, vol. 4, no 3, June 1968, Oxford-New York-London-Paris).

BROWN (J. F.). *Rumunia Today*. Str. 8-17 & 32-38. (Nadbitka z „Problems of Communism”, January-February and March-April, 1969 issues).

BUJNOWSKI (Józef). *Neue Strukturen in der gegenwärtigen polnischen Poesie*. Str. 193-214. (Nadbitka z „Die Welt der Slaven”, Jahrgang XIV, Heft 2, Otto Harrassowitz, Wiesbaden, 1969).

STROBEL (Georg W.). *Innenpolitische Problemstellungen der Parlamentswahlkampagne in Polen*. Str. 39. Powielacz (Nr 34/1969 „Berichte des Bundesinstituts für Ostwissenschaftliche und Internationale Studien, Köln).

WIWATOWSKI (Casimiro). *Monte Cassino en el 25 aniversario de la historica batalla*. Str. 146 i 2 nłb. (Wyd. Comité de la Commemoración del 25 aniversario de la batalla de Monte Cassino, Buenos Aires, Maj, 1969).

Poésie du Québec Contemporain. Poésie du présent Kuebeku. Pod redakcją Konstantyna Bidy, przedmowa Cécile Cloutier Wojciechowskiej. W językach francuskim i ukraińskim. Str. 195 i 11 nłb. (Wyd. Księgarnia DEOM, Montreal, 1968).

SULIMA-BŁOCHYN (.). *Kwitka i Kulisz. Osnowopoložnyky ukrajinškoji noweli*. Str. 102. (Wyd. Ukr. Techn.-Hospodarskij Instytut, Monachium, 1968).

TESLA (Iwan) i JUZYK (Pawło). *Ukrainci w Kanadi. Jich rozwytyk i dosiahnennia*. Str. 78. (Wyd. Ukr. Techn.-Hospodarskij Instytut, Monachium, 1968).

IWANIS (Wasył). *Borot'ba Kubani za nezaležnist'*. Str. 140. (Wyd. Ukr. Techn.-Hospodarskij Instytut, Monachium, 1968).

SZAJAN (Wołodymyr, prof.). *Najwyższe Światło*. Studia pro Swaroha i Chorsa. Str. 54. (Wyd. ORDEN, London-Toronto, 1969).

KRUSZYNA (Ryhor). *Chwytyna rozdumu*. (Poezje). Str. 71. (Wyd. New York-Monachium, 1968).

Dwa zjizdy. Str. 142 i 20 nłb. (Wyd. Spilka Ukr. Zurnalistiw Ameryki (SUZA), New York, 1969).

BYKOWSKYJ (Łew). *Wyd pryworotiu do Trapezundu*. Spomyny 1895-1918. Str. 133. (Wyd. Dnirowa Chwyla, Monachium, 1969).

MARUNCZAK (Mychajło dr.). *Ukrainci w Rumuniji, Czecho-Słowaczyni, Polsczi, Juhoślawiji*. Str. 64. (Wyd. Zahalna Biblioteka, Winnipeg, 1969).

RIPECKYJ (Nestor). *Pisni datelkich ostrouiu*. Prespiwy z japonškoji liryki. Str. 46. (Toronto, 1969).

Naukowi Zapysky. XV (XVIII). Str. 101. (Wyd. Ukr. Techn.-Hospodarskij Instytut, Monachium, 1968).

Naukowi Zapysky. XVI (XIX). Str. 64. (Wyd. Ukr. Techn.-Hospodarskij Instytut, Monachium, 1968).

Naukowi Zapysky. XVII (XX). Str. 143. (Wyd. Ukr. Techn.-Hospodarskij Instytut, Monachium, 1968).

BARTOSZEK (Karel). *Pražské powstanie 1945.* Str. 299 i 5 nlb. (Wyd. Osveta, Bratislava, 1962).

Svetova Literatura 1969. Z 2. Str. 256. Zawiera m.in. „Gucia zaczerpniętego” Czesława Miłosza, w przekładzie Vlasty Dvorníčkovéj.

Slovník spisovatelů. Asie a Afrika. T. I (A-J) str. 452, T. II (K-Z) str. 456. (Wyd. Odeon, Praha, 1967).

Slovník spisovatelů. Španělsko-portugalsko. Str. 428. (Wyd. Odeon, Praha, 1968).

STANKIEWICZ (W. J.). *In Defense of Sovereignty.* Str. 305 z Indexem. (Wyd. Oxford University

press, New York-London-Toronto, 1969).

The Conditions for Peace in Europe. Problems of Detente and Security. Edited by David S. Collier & Kurt Glaser. Str. 204, zawiera m.in. pracę Jerzego Hauptmanna pt.: „The Problem of Partition”. (Wyd. Public Affairs Press, Washington, D.C. 1969, cena \$ 6,00).

Glossary of Polish-English Meteorological Terms. February 1968. Compiled by Doman A. ROGOY-SKI. Str. 301 i 3 nlb. (Wyd. Aerospace Technology Division. Library of Congress. (Do nabycia: Clearinghouse for Federal Scientific & Technical Information. U.S. Dept. of Commerce, Springfield, Virginia 22151. Cena dol. 2,00; Autor nie ma żadnych korzyści materialnych ze sprzedaży).

The Art of KASAK. Album reprodukcji. Z przedmową Roberta Kramera i komentarzami. Str. 96. (Wyd. October House, Inc. New York, cena dol. 14,75).



Livres actualité

Pierwsza we Francji wyczerpująca i skomentowana bibliografia wszystkich książek tłumaczonych z polskiego na francuski, będących w sprzedaży u wydawców francuskich belgijskich i szwajcarskich

POLOGNE

obejmuje ponad 350 tytułów z historii (okres 1914-1939, wojna 1939-1945) getta w Warszawie i Wilnie, obozy koncentracyjne w Oświęcimiu i Treblince, sprawa granic, Polska komunistyczna, Kościół, muzyka, nauki ścisłe, literatura dawna i współczesna od Adama Mickiewicza do J. Andrzejewskiego, K. Brandysa, Jana Dobraczyńskiego i in. z kraju oraz Cz. Miłosza, W. Gombrowicza i M. Hłasko i in. na emigracji.

Cena egz. F. 5; 1 egz. wraz z uzupełnieniami w ciągu 3 lat F. 15.

Zamówienia i wpłaty należy przysyłać na adres:

I.P.E.C., 31, RUE JOUFFROY, PARIS, 17^e.
(C.C.P. 1121-11 PARIS).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-11-69

W Rzymie zmarła przełożona gen. Zgromadzenia SS Felicianek, matka M. A. Kucharska, urodzona w Buffalo (USA). Bezpośrednio przed śmiercią brała udział w publicznej sesji zakończenia procesu apost. o beatyfikację założycielki Zgromadzenia Marii, Angeli Truszkowskiej. ■ Katolicki Uniwersytet Lubelski przystępuje do wydania 12-tomowej Encyklopedii Katolickiej. Na przełomie r. 1969/70 ukaże się tom pierwszy.

17-11-69

W Kielcach rozpoczął się Ogólnopolski Zjazd młodych pisarzy. W PRL jest 12 kół młodych, przy oddziałach Związku Literatów grupujących ok. 220 członków. ■ Doroczną nagrodę Zaiksu za najlepsze przekłady z literatury polskiej otrzymali: Wojciech Muchalik za tłumaczenia na język słowacki oraz Maksym Tank za przekłady na język białoruski. ■ Sekretariat KC partii czeskiej wykluczył z partii publicystów i dziennikarzy: M. Jungmana, J. Lederera, M. Lakatosę, Al. Svobodu, J. Rumla i L. Velenego. Nagane otrzymali I. Stuca i Vl. Stuchl. ■ Ministerstwo Spraw Wewn., Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy oraz Zarząd Główny Związku Literatów ogłaszają konkurs dla upamiętnienia 25-lecia istnienia Służby Bezpieczeństwa. Konkurs przeprowadzony będzie w dwu grupach: utwory literackie oraz publikacje dziennikarskie. Nagrody ufundowane przez M.S.W. dla pierwszej grupy wynoszą: 15.000 zł, 10.000 zł i 7.000 zł, dla drugiej 12.000, 8.000 i 5.000 zł. Konkurs trwa do 31 marca 1970 r. W konkursie mogą brać udział jedynie członkowie SDP i ZLP. ■ Stoł. Rada Narodowa i Oddz. W-wski Zw. Lit. Polskich ogłaszają konkurs otwarty na nowelę lub opowiadanie związane tematycznie z powojennymi dziejami Warszawy. Nagrody: 10.000, 7.000 i 4.000 zł. Termin nadsyłania prac 1 marca 1970 r. ■ Biuletyn Zw. Literatów Nr 13 donosi o skreśleniu z listy członków: Romana Karsta, Dawida Sfarda, Adama Tarna, E. Zytomirskiego i Marii Paczowskiej. ■ Z opóźnieniem dowiedzieliśmy się, że w marcu 1969 r. odbyła się we Lwowie akademia ku czci St. Wyspiańskiego, zorganizowana przez Katedrę Filologii Słowiańskiej Uniw. Lwowskiego, Bibliotekę Literatury Zagr. i Lwowski Teatr Ludowy. Przemawiali: dyr. I. Łoziński, prof. Gębarowicz oraz poeci ukraińscy ze swymi przekładami wierszy Wyspiańskiego.

24-11-69

W Gdańsku rozpoczął się XII Zjazd Polskich Artystów Plastyków z udziałem 200 delegatów. ■ P. Bożena Krzywobłocka mianowana ostatnio docentem przygotowuje pracę naukową o Stronnictwie Pracy. Będzie się ona nazywała „Partia gen. Sikorskiego”.

26-11-69

Na zjeździe kolchoźników w Moskwie Breżniew stwierdził, że tegoroczne urodzaje były złe. Ujawniono również, że Gromyko zakupił ostatnio w Kanadzie 135 milionów buszli zboża. ■ Na zaproszenie Komitetu sesji naukowej zorganizowanej w Krakowie z okazji 500-lecia urodzin Machiavellego przybył do Polski dr Carlo Schmidt, wiceprzewodniczący zach. niem. parlamentu. ■ Pełnomocnikiem rządu sowieckiego dla spraw pobytu wojsk sowieckich w Polsce jest gen. płk. Tankajew. Pełnomocnikiem rządu polskiego dla spraw pobytu wojsk sowieckich w Polsce jest gen. dyw. Czesław Czubryt-Borkowski. ■ Ponad 3 tys. cudzoziemców opuściło już łódzkie Studium

Języka Polskiego, które pozwala na podjęcie normalnych studiów w Polsce. Najwięcej było wśród nich Wietnamczyków i Arabów. ■ Wrocławski zakład hydrogeologiczny skonstruował urządzenie, dzięki któremu można przekładać rury pod ziemią bez rozkopów na powierzchni. Obecnie maszyna przechodzi próby w Warszawie. ■ Przedstawiciele Programu Rozwoju na Europie (przy ONZ) omawiali w Polsce projekty kompleksowej regulacji Wisły oraz projekty poszukiwań soli potasowych. ■ Ministerstwo Handlu Wewnętrznego zaleca przekazywanie agentom małych sklepów różnych branż. ■ W ciągu ostatnich czterech lat liczba zachorowań na choroby weneryczne wzrosła w Polsce trzykrotnie. ■ Pod względem szybkości pociągów Polska znajduje się na przedostatnim (przed Grecją) miejscu w Europie. ■ W Czechosłowacji notuje się ostatnio duże trudności na rynku mięsnym. Brak też smalcu i słoniny. ■ 64 procent eksportu państw zachodnioeuropejskich przypada na ich wymianę towarową między sobą; analogiczny odsetek dla europejskich krajów socjalistycznych wynosi 61 procent. Udział europejskich krajów socjalistycznych w obrotach handlowych Europy zachodniej wynosi 4,5 procent, natomiast kraje zachodnioeuropejskie uczestniczą w handlu krajów socjalistycznych w 20 proc. Trzy czwarte eksportu krajów socjalistycznych do Europy Zachodniej stanowią żywność, paliwa i surowce. ■ Przeciętna wieku dziennikarzy polskich wynosi 53 lata. ■ Gen. Kulikow mianowany został — na miejsce gen. Koszewoja — dowódcą wojsk sowieckich w NRD.

29-11-69

8 pisarzy z Al. Twardowskim red. *Nowa Mira* zażądało ponownego rozpatrzenia decyzji wykluczenia ze Zw. Pisarzy Al. Sołżenicyna. Do petycji dołączył się poeta Je. Jewtuszenko i pisarze Aleksy Garbuzow i Al. Stein. Podanie zostało odrzucone. ■ Rewelacje o masakrze w Song My, wiosce południowowietnamskiej, której ludność została wymordowana przez oddział żołnierzy amerykańskich wstrząsnęły opinią Stanów Zjednoczonych. W związku z tym por. Calley, dowodzący tym oddziałem, został postawiony w stan oskarżenia.

3-12-69

Zmarł sowiecki marszałek Kliment Woroszyłow. Żył 88 lat. ■ W Moskwie rozpoczęła się konferencja przedstawicieli państw Paktu Warszawskiego. ■ W Centralnym Domu Pisarzy w Moskwie odbył się wieczór poświęcony marsz. K. Rokossowskiemu. „Talent stratega i wojskowego myśliciela” jak go określił inny marszałek — Żukow. W wieczorze wzięła udział grupa polskich oficerów z wiceministrem Spraw Wojsk. i nac. Sztabu Gen. gen. B. Chochą. ■ W Polsce rejestruje się przeciętnie rocznie 40.000 wypadków zachorowań na gruźlicę. ■ W PRL w ciągu 25-lecia opublikowano 155.000 tytułów o łącznym nakładzie 2 miliardy 11 milionów egzemplarzy. Cyfry te podano na posiedzeniu Zarz. Gł. Stow. Księgarzy Polskich i Bibl. Nie podano ile w tych imponujących cyfrach zajmuje miejsce makulatura polityczna jak np. pisma Stalina, Lenina, przemówienia Gomułki i in. ■ Przyrost naturalny w ZSSR spadł z 17,8 promille w 1960 r. do 9,8 promille w 1967 (w RFRR nawet do 6,5 promille). ■ *Lenińskie Znamia* piszą: „...niektóre organizacje partyjne w szeregu wypadków wykazują tolerancję stosunek do faktu uczestniczenia przez poszczególnych członków partii w praktykach religijnych”.

4-12-69

Zmarł w Poznaniu prof. Bohdan Winiarski, b. członek rządu RP w Londynie w okresie wojny, w latach 1946-66 sędzia Międzynarodowego Trybunału w Hadze.

5-12-69

Kardynał Wyszyński złożył władzom PRL memoriał domagający się przyznania Kościołowi tytułów własności majątku kościelnego na Ziemiach Odzyskanych. Jednocześnie przedłożył memoriał w Watykanie, proszący o formalne zatwierdzenie polskiej admin. kościelnej na Ziemiach Odzyskanych. Watykan odnosi się do tego postulatu z rezerwą bojąc się reakcji katolików niemieckich. ■ St. Stomma i T. Zabłocki z grupy „Znak” bawili ostatnio w Niemczech Zachodnich gdzie przeprowadzili szereg rozmów z hierarchią i organizacjami katolickimi niemieckimi. ■ Ukazał się 21 numer *Roman-Gazety* (Moskwa, nakład 2 miliony 300 tys. egz.) zawierający opowiadania pisarzy Demokracji Ludowych. Z polskich pisarzy figurują: Wojciech Żukrowski, St. Zieliński i Wł. Machajek.

6-12-69

W Krakowie rozpoczęło się V polsko-brytyjskie spotkanie dyskusyjne okrągłego stołu. Tematem jest wkład obu krajów w sprawy bezpieczeństwa i współpracy w Europie. Delegacja brytyjska liczy 20 osób. ■ Przewodniczący Związku Młodzieży Socjalistycznej Andrzej Żabiński wręczył, jako wyraz uznania, 40 pracownikom M.O. odznaki im. Janka Krasińskiego. W szeregach ORMO działa obecnie 20.000 członków ZMS. ■ W związku z niepokojącym wzrostem chorób wenerycznych w kraju ma być powołany do życia Instytut Wenerologii.

10-12-69

Rozpoczęły się obrady intelektualistów sowieckich należących do Związków: Literatów, Artystów, Filmowców i Kompozytorów, z udziałem przedstawicieli Biura Politycznego i KC. Zjazd uchwalił „zachowanie leninowskich zasad w wytycznych partii oraz ducha narodowego w literaturze i sztuce. Zaaprobowano usunięcie ze Zw. Pisarzy Sołżenicyna. Ponadto Rybakow, redaktor nac. pisma *Teatr* został usunięty za zbyt liberalizm. ■ Rząd japoński zażądał od rządu sowieckiego rozpoczęcia rokowań w sprawie zwrotu Wysp Kuryleńskich, okupowanych przez ZSSR po ostatniej wojnie. Ostatnio Stany Zjednoczone zwróciły Japonii Okinawę i archipelag Ryukyu. ZSSR odrzucił propozycję japońską. ■ Zmiany w prasie warszawskiej: na miejsce usuniętego Arnolda Mostowicza redaktorem naczelnym *Spilek* został T. K. Toepfritz, jego zastępcą Maciej Wierzyński. Redaktorem naczelnym *Przekroju* na miejsce Mariana Eile został p. Kieta. ■ Artysta-plastyk prof. T. Kulisiwicz obchodził jubileusz 70-lecia urodzin. ■ Na IV ogólnopolskim festiwalu teatrów jednego aktora nagrodę otrzymał Ryszard Filipiński z Krakowa za przedstawienie „Co jest za tym murem” J. Stwory. Nagrodzono również M. Kościółkowską z Krakowa, Halinę Stojewską i Henryka Abbe z Gdańska.

11-12-69

Zmarła w Warszawie popularna pisarka Izabella Czajka-Stachowicz.

14-12-69

Zakład Odbioru Jakościowego Towarów w Łodzi zareklamował (wycofał ze sprzedaży?) w trzech kwartałach tego roku mięsa i kiełbas o wartości 62 mln. zł, tj. 9,8 % kontrolowanych towarów. Kontrolerzy stwierdzili m.in. niedowędzenie, niedostateczne podsuszanie, luźną konsystencję. (*Walka Młodych*, nr 50). ■ Na 100 mieszkańców przypada w Polsce zaledwie 5 telefonów (średnia światowa — 6,4; średnia europejska — 11,2). Równocześnie systematycznie maleje udział nakładów inwestycyjnych na łączność w ogólnej kwocie nakładów inwestycyjnych. ■ W ruchu turystycznym między Polską i ZSSR zniesione zostaną wizy. ■ Zmarł na poczt. b.m. poeta Stanisław Czernik, redaktor „Okolicy Poetów” w latach 1935-1939. Żył lat 70.

15-12-69

Rozpoczęły się obrady Plenum KC PZPR, zwołane przed zimową sesją Rady Najwyższej Związku Sowieckiego.

ZACHÓD — EMIGRACJA

17-11-69

Prix Goncourt 1969 została przyznana Félicien Marceau za powieść „Creezy” wyd. przez Gallimard’a, zaś prix Renaudot Max Olivier-Lacamp za powieść „Les feux de la colère”, wyd. przez Grasset’a. ■ Wystawiono „Operetkę” W. Gombrowicza w Teatro Stabile dell’Aquila w reżyserii Antonio Salenda. Była to prapremiera światowa. ■ Polskie Towarzystwo Historyczne w Australii z siedzibą w Adelajdzie wydaje w najbliższym czasie następujące prace: „Katalog pamiątkowych kopert milenijnych wydanych w Australii (zapoznany dorobek)”, „w opracowaniu Mariana Szczepanowskiego, „Osiedlenie się dzieci polskich w Nowej Zelandii” Krystyny Skwarko oraz pamiątkową książkę o Polakach w Poł. Australii. ■ Society of Polish Arts and Letters zorganizowało „Wystawę 69” malarstwa i rzeźby polskiej lub pochodzenia polskiego artystów mieszkających w Chicago. Ostatnia wystawa miała miejsce w 1967 r. ■ Amerykanin polskiego pochodzenia, Tom Gola, dotychczasowy poseł do legislatury stanu Pennsylvania został wybrany, w wyborach miejskich, kontrolerem miasta Filadelfia. ■ Nowym zarządcą wydawnictw Związku Narodowego Polskiego w Chicago został p. Józef H. Gajda. ■ W Cleveland zmarł zasłużony działacz polonijny, sędzia Józef F. Sawicki. Zaznaczył się on swoją działalnością w Wydziale Narodowym i był ostatnim prezesem PROSA, spadkobiercy po Wydziale Narodowym. ■ Mayorom m. Chicopee, Mass., został obrany Edward J. Ziembra; mayorom m. Garfield Heights, Ohio, Raymund Stachowicz, mayorom m. Westfield, Mass., Jan J. Pałczyński. ■ Stosownie do uchwały Kongresu Stanów Zjednoczonych, od nowego roku dwunastoletnich chłopców amerykańskich będzie się powoływało do wojska drogą losowania.

24-11-69

Prix Femina została przyznana Jorge Semprun za książkę „La deuxième mort de Ramon Mercader”, prix Médicis otrzymała Helen Cixous za powieść „Dedans” (Grasset), Grand Prix National des Arts et Lettres otrzymali: Jules Roy — pisarz, Etienne Hajdu — rzeźbiarz i Henri Barraud — muzyk.

27-11-69

W Lindenfels odbył się doroczny zjazd historyków polskich i niemieckich pod przewodnictwem prof. dr. G. Rhode. ■ W związku z wykluczeniem z partii — przez KC austriackiej partii komunistycznej — Fritza Zapfa, przewodniczącego kom. ruchu młodzieżowego, 27 członków KC opuściło VIII plenum KC, które odbywało się w Wiedniu, oświadczając że w przyszłości nie wezmą udziału w pracach KC. ■ Druga wyprawa na księżyc skończyła się pełnym powodzeniem. Kosmonauci w sumie spędzili 7 godzin 45 minut na księżycu. M.in. zainstalowali na księżycu laboratorium geofizyczne i małą elektrownię atomową.

30-11-69

Karol Stryja dyr. art. Filharmonii Śląskiej w Katowicach, został dyrektorem duńskiej orkiestry symfonicznej w Odense. ■ Kazimierz Dejmeke został reżyserem Narodowego Teatru w Oslo. ■ Prof. dr I. Małecki specjalista w dziedzinie elektroakustyki został dyrektorem Depart. Polityki Naukowej

i Rozwoju Nauk Podstawowych w sekretariacie UNESCO w Paryżu. ■ W Izraelu utworzono Katedrę Literatury Polskiej. Objął ją niedawno przybyły Samuel Sandler.

1-12-69

Dr Andrzej Ruszkowski został dyrektorem Institut des Communications Sociales przy uniwersytecie św. Pawła. Dr Ruszkowski pracował dotąd w Peru. ■ Jerzy C. Walter przestał być kustoszem Muzeum Polskiego w Chicago. Nowy kustosz nie został jeszcze mianowany.

2-12-69

Prix Interallié została przyznana w br. Pierre Schoendoerffer’owi za książkę „L’adieu au roi” (Grasset). ■ B. premier Kanady, który niedawno był z wizytą w Związku Sowieckim zapowiedział, m.in. wystąpienie z wnioskiem o utworzenie konsulatu kanadyjskiego w Kijowie. Wniosek swój motywował tym, że Ukraina jest niezależnym krajem, gdyż ma swoje przedstawicielstwo w Narodach Zjedn., oraz tym, że w Kanadzie mieszka 600 tys. Kanadyjczyków pochodzenia ukraińskiego.

6-12-69

W Londynie odbyło się posiedzenie Rady Jedności Narodowej, na którym dokonano wyboru Rady Trzech (gen. Wł. Anders, amb. E. Raczyński i Alfred Urbaniczak), oraz przyjęto do Rady Jedności Narodowej Polskie Stronnictwo Ludowe.

7-12-69

Zmarł w Genewie gen. Wacław Scaevola-Wieczorkiewicz w wieku lat 79.

10-12-69

Wznowiono w Bonn rokowania gospodarcze polsko-niemieckie. Na porządku dnia jest sprawa przyznania Polsce kredytów w wysokości 2 miliardów DM. Kredyt ten ma być przeznaczony na sfinansowanie importu instalacji przemysłowych niemieckich do Polski.

12-12-69

Na posiedzeniu Komitetu ministrów Rady Europejskiej, poświęconemu Grecji (rozpatrzenie wniosku złożonego przez 11 państw domagających się zawieszenia Grecji w prawach członka do czasu restytucji demokracji w tym kraju) Grecja oświadczyła, że wycofuje się z Rady Europejskiej.

15-12-69

W Chicago odbyła się konferencja przedstawicieli czołowych organizacji polonijnych i żydowskich w USA. Omawiano sprawę stosunków tych dwóch grup etnicznych. Postanowiono stworzyć stałą Komisję Porozumiewawczą. Pierwsze zebranie Komisji ma się odbyć w lutym 1970. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej i Związek Narodowy Polski w Ameryce przesłały prez. Nixonowi rezolucję, wyrażającą poparcie dla polityki wietnamskiej prezydenta. Rezolucja oskarża środki masowego przekazu o tendencyjne informowanie opinii publicznej. ■ Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie nosi się podobno z zamiarem przeniesienia Chicagowskiego Muzeum Polskiego do Orchard Lake. Czy nie byłoby bardziej celowe, by Muzeum przejęła Fundacja Kościuszkowska lub Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku, gdzie eksponaty byłyby bardziej dostępne dla badaczy i publiczności?

Proszę naszych Prenumeratorów o odnowienie abonamentów na rok 1970 przypominamy, że prenumerata „Kultury” wynosi obecnie:
 we Francji: rocznie F. 60,00; półrocznie F. 32,00;

rocznie wraz z „Zeszytami Historycznymi” — F. 90,00.
 Za granicą: rocznie \$.USA 12,00; \$.can. 13,00 lub równowartość;
 półrocznie: \$.USA 7,00; \$.can. 8,00 lub równowartość;
 rocznie wraz z „Zeszytami Historycznymi” \$.USA 18,00;
 \$.can. 19,00 lub równowartość.

REDAKCJA

Listy do Redakcji

Nowy Jork, 17 listopada 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jako Mistrz Katedry Łoży „Kościusko” nr 1085 Wolnych i Uznanych Mularzy na wschodzie Nowego Jorku pozwalam sobie zwrócić się w imieniu Braci lożowych tą drogą do Czytelników *Kultury* w następującej sprawie.

W trosce o utrwalenie i przekazanie przyszłym pokoleniom tradycji polskiego wolnomularstwa staramy się zbierać oraz zabezpieczać materiały dotyczące dziejów Bractwa, zapewniając dostęp do nich historykom. Archiwa wielu łóż polskich zaginęły podczas wojny, tym większego więc znaczenia nabierają materiały znajdujące się w rękach prywatnych. Zwracamy się więc z apelem do Czytelników *Kultury*, posiadających dokumenty, wydawnictwa a zwłaszcza wspomnienia osobiste dotyczące polskiego wolnomularstwa, o skomunikowanie się z nami oraz o ułatwienie nam zapoznania się z ich treścią.

Chciałbym przy okazji dodać że Łoża „Kościusko” nr 1085 wchodząca w skład Wielkiej Łoży Stanu Nowego Jorku, którą w okresie międzywojennym łączyły ścisłe więzy z Wielką Łożą Narodową „Polacy Zjednoczeni” na wschodzie Warszawy, ma już za sobą ponad 40 lat pracy na chwałę Wielkiego Budowniczego Świata.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Dr William BORAK,
 47 West 34th Street,
 New York City, N.Y. 10001.
 U.S.A.

New York, 15 listopada 1969 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jeśli chodzi o artykuł Mieroszewskiego w listopadowej *Kulturze* to uważa on jeszcze w większym stopniu niż ja, iż potęga nuklearna Chin nie może budzić wątpliwości, choć właśnie ten problem jest źródłem ustawicz-

nej pociechy u Amerykanów, którzy z uporem wierzą, że jeszcze długo-długo Chińczycy nie będą zdolni zagrozić im bronią nuklearną.

Wydało mi się, że od wielu lat Stany Zjednoczone żyją w świecie złudzeń, jeśli chodzi o rozpoznanie tempa rozbudowy arsenału militarnego swych przeciwników. Pierwszy kalendarz amerykański, przewidujący na okres znacznie późniejszy budowę pierwszej bomby nuklearnej przez Rosjan niż miało to rzeczywiście miejsce, nie był dla nich dostateczną nauką. Obecnie nadmierne nadzieje przywiązują do zacofania gospodarczego Chin. To prawda, że budowa nowoczesnych środków masowego zniszczenia, a zwłaszcza typu pocisków MIRV wymaga nie tylko sztabu uczonych, laboratoriów ale i potężnego przemysłowego zaplecza. Błędem agencji wywiadowczych USA jest, jak sądzę, lekceważenie zasadniczego faktu: przemysł zbrojeniowy a zwłaszcza budowy broni nuklearnych wraz ze wszystkimi pomocniczymi zakładami jest w krajach komunistycznych przemysłem wydzielonym, pracującym często na innych zasadach ekonomicznych niż reszta gospodarki i podporządkowany innym ośrodkom dyspozycyjnym. Gdyby jakość uzbrojenia sowieckiego a zwłaszcza ich broni nuklearnych mierzyć jakością sowieckich butów, tekstyliów lub innych artykułów codziennego użytku, USA nie miałyby powodu traktować ZSSR jako poważnego konkurenta w wyścigu zbrojeń. W stosunku do Sowietów Ameryka wyzbyła się szczęśliwie tych złudzeń. Wie doskonale, że ich arsenał nie ustępuje w niczym albo w niewielkim stopniu arsenałowi amerykańskiemu mimo ogólnego zacofania gospodarczego Rosji.

W stosunku do Chin, złudzenia trwają nadal. Nie twierdzą bynajmniej, że Chiny są zaawansowane w zbrojeniach nuklearnych tak jak pozostałe dwa mocarstwa. Dla strategów kluczową obecnie kwestią jest zdolność zadania „drugiego ciosu” czyli zachowania środków odwetowych przez kraj już po zaatakowaniu go bronią nuklearną przez napastnika. Zdolność zadania „drugiego ciosu” jest wyższym etapem zbrojeń. Wielu specjalistów amerykańskich wątpi czy Chiny posiadają możliwość nawet pierwszego uderzenia wobec braku międzykontynentalnych pocisków. Terminy wyznacza się na późne lata siedemdziesiąte.

Nadzieje wzrosły zwłaszcza po „Rewolucji Kulturalnej”, która zahamowała postęp gospodarczy Chin. To ostatnie jest prawdą, ale nie dotyczy wydzielonej dziedziny zbrojeń nuklearnych, gdzie młodzi humbeinowie nie zostali dopuszczeni i gdzie pracujący prawdopodobnie dniem i nocą chińscy naukowcy obywają się bez książeczek z cytataми Mao Tse-tunga. Należy się obawiać, że kalendarz amerykański, wyznaczający etapy zbrojeń, może się okazać równie zawodny w stosunku do Chin jak okazał się kiedyś wobec ZSSR.

Amerykanie są niezmiernie dumni ze swego wywiadu, zwłaszcza od momentu kiedy to ciężkie zadanie powierzyli zminiaturyzowanemu satelitom. Z dumą powiadają, że przelatujący nad Rosją amerykański sputnik może bezbłędnie odczytać numery rejestracyjne samochodów krążących po ulicach Moskwy. Jest to niewątpliwie duży sukces techniki wywiadowczej, który nabiera jednak nieco cech groteskowych jeśli się zważy, że ten sam wywiad amerykański, który z powodzeniem odczytuje nazwy ulic i numerów samochodów w ZSSR, nie wiedział absolutnie nic o wielkiej ofensywie NLF, rozpoczętej w Lunar Year w lutym 1968 roku, w przeddzień tej wielkiej operacji, będącej punktem zwrotnym w dziejach wojny wietnamskiej.

Mieroszewski uważa, że w interesie Ameryki jest zachowanie absolutnej neutralności na wypadek zbrojnego konfliktu sowiecko-chińskiego i że ewentualna „cicha pomoc” dla Rosjan byłaby „błędem stulecia”. Twierdzi w dodatku, że tylko przy zachowaniu takiej ścisłej neutralności, która doprowadziłaby do wzajemnego osłabienia się dwóch przeciwników, utworzyłaby się szansa dla Europy Wschodniej.

Myszę, że ten pogląd, który podziela Redakcja *Kultury*, jest bardzo ry-

zykowny. Możliwe, że taką postawę wobec konfliktu, jaką postuluje Mieroszewski, przyjęliby rządzący USA ludzie na wypadek zbrojnego starcia chińsko-sowieckiego, ale przy wyborze polityki absolutnej neutralności żadna szansa dla ludów Europy Wschodniej nie zdążyłaby się nawet zarysować. Powiadam „nie zdążyłaby” ponieważ Rosjanie nie weszliby w żaden konflikt z Chinami, nie zabezpieczwszy sobie swej wschodniej flanki. Wiedzą co mogłoby im ewentualnie grozić z tej strony w wypadku przedłużającej się wojny. Kiedyś słyszałem, że w latach pięćdziesiątych w planie obrony Zachodu przed atakiem sowieckim było stworzenie pasa radioaktywnego o szerokości 200-300 kilometrów od Bałtyku do Bałkanów, który by chronił państwa Zachodu przed inwazją lądowych wojsk sowieckich. Ten pas miał przebiegać poprzez Polskę, Czechosłowację i Węgry. Nie wiem czy taki barbarzyński plan rzeczywiście zrodził się kiedykolwiek w głowach strategów Zachodu, ale mogę doskonale wyobrazić sobie, że taką formę zabezpieczenia swej zachodniej flanki zarówno przed rebelią ludów podległych jak i ewentualnymi próbami dywersji ze strony zachodnich mocarstw mogą na wypadek wojny wybrać Rosjanie. Wojna z Chinami byłaby wojną na śmierć i życie, tak jak wojna z Hitlerem i odbywałaby się w warunkach gorszych, bo bez aliantów i bez pomocy, która ratowała Rosjan przed postępiem armii niemieckiej. Że dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa na tyłach — na terytoriach państw satelickich, którym Sowiety nie ufają — użyliby oni jak najbardziej drakońskich środków — nie ma wątpliwości. Może nie będzie to żaden pas radioaktywny, może nie zdobędą się na to nawet oni, ale w takim wypadku posłużą się starą wypróbowaną metodą deportacji, bo poza Syberią mają jeszcze sporo miejsc zsyłkowych. Liczebnie przekroczyłyby one wówczas wszelkie dotychczasowe cyfry. Jeśli do tego dojdzie, to zanim obydwie mocarstwa zdążą się wzajemnie osłabić, komu wówczas będą potrzebne dobrodziejstwa liberalizacji? Żeby dobrać się do wolności, trzeba biologicznie przetrwać. Rosjanie nie są takimi pocziwcami, żeby pozwolić czekać spokojnie Polakom, Węgom i Czechom na swoją klęskę, skoro ludy te znajdują się w zasięgu ich potęgi. Przedtem postarają się je wyniszczyć, a „ściśle neutralny” Zachód na pewno niczemu nie będzie mógł przeciwdziałać. Dlatego, według mnie, w interesie ludów Europy Wschodniej jest zaoferowanie pomocy Rosji przeciw Chinom, ale pod warunkami, które by uwzględniły ochronę, narodów podporządkowanych ZSSR. Może to być nawet w interesie Ameryki skoro nie jest dla nikogo już tajemnicą i z tą tezę zgadza się redakcja *Kultury*, że Ameryka z dwójga złego woli mieć jako kontrahenta Rosję niż Chinę, a nie ma bynajmniej żadnej gwarancji, że „osłabionym” zwyciężcą w wojnie chińsko-sowieckiej nie mogą okazać się Chiny. ZSSR był też „osłabiony” w wyniku II Wojny Światowej, a mimo to wyrósł na groźną dla Ameryki potęgę. Przynajmniej do połowy lat pięćdziesiątych, zanim umarł Stalin a biurokracja sowiecka nie porosła w pierze.

Droga warunkowej pomocy dla Rosjan na pewno jest bezpieczniejsza dla Polaków, a z punktu widzenia bardziej dalekowzrocznej polityki, zgodna jest pryncypialnie z amerykańską racją stanu.

W artykule Mieroszewskiego, który jak zawsze jest bardzo inteligentny i wysoce kontrowersyjny, jest sporo innych nieuzasadnionych twierdzeń. Podtrzymuje on tezę, że interwencja sowiecka w Czechosłowacji była posunięciem nieracjonalnym. Nieracjonalnym — z jakiego punktu widzenia? Była głupio przeprowadzona, ponieważ nie uwzględniła stanu umysłu Czechów, którzy w przekonaniu Rosjan mieli paść plackiem przed czołgami sowieckimi. Niemniej, militarne rozwiązanie było jedynym, z punktu widzenia interesów biurokracji komunistycznych. Na co miał czekać cały gang Breżniewa, Gomułki i Ulbrichta? Na to, żeby ujawniona przez Rosjan słabość i bezradność wobec Czechosłowacji doprowadziła do rozszerzenia się „zarazy” na Polskę, a co gorsza na Niemcy Wschodnie? Ponadto Mieroszew-

ski wraca w dalszym ciągu do starej tezy, że Rosjanie swą interwencją w Czechosłowacji i podeptaniem postanowień Paktu Warszawskiego skompromitowali się ostatecznie. Oni się bezustannie kompromitują, od procesów leningradzkich poprzez zsyłki, deportacje, masowe mordy, pakiety z faszystami, tłumienie powstania węgierskiego, najdidiotyczniejszymi w świecie kłamstwami — i co w sumie tracą? To co mogli, dawno już stracili. Po ilu klientach prostytutka traci opinię? Po 30 czy po 300. Chyba nie robi to wielkiej różnicy.

Czym w ostatecznym efekcie zaszkodziła Rosjanom interwencja czeska? Chyba tylko tym, że przez pierwsze dwa miesiące partie komunistyczne na Zachodzie straciły trochę głosów, ponieważ pewna ilość nieco rozsądniejszych ich sympatyków pojęła obłudę ich oficjalnego potępienia interwencji przy faktycznej aprobacie. Chyba najbardziej dosadnym przykładem hipokryzji było stanowisko KPF, która potępiła interwencję, a uznała „Układ moskiewski”. Mimo to właśnie ta Partia odniosła ostatnio duży sukces wyborczy. Zresztą to wszystko już tak bardzo nie obchodzi Kremla. Gdyby nawet w wyniku interwencji w Czechosłowacji nastąpiło dalsze trwałe osłabienie ruchu komunistycznego na świecie, straty te byłyby wielokrotnie powetowane skutkami interwencji. Doprowadziła ona do dalszej apatii i kompletnego niemal paraliżu wszystkich potencjalnych rebeliantów w całym obozie komunistycznym. Dla takich korzyści warto się „kompromitować”, choćby 10 razy do roku.

W innym miejscu Mieroszewski wspomina, że doktryna Breżniewa podważa postanowienia Paktu Warszawskiego. Jest rzeczą zdumiewającą jak dalece serio traktują niektórzy publicyści Zachodu — w tej liczbie Mieroszewski — wewnętrzne pakiety między państwami komunistycznymi. Pakt Warszawski był w roku 1950 czystą demonstracją. W efekcie nie zmienił niczego. Gdy go zawierano, armie krajów satelickich podporządkowane były dowództwu sowieckiemu, i pozostały nimi nadal. Zmiana polegała na stworzeniu szyldu i powołaniu do życia czysto dekoracyjnych instytucji. Jeśli niektóre państwa jak Rumunia uzyskały względną niezależność od sowieckich dowódców (do pewnych granic w wypadku Rumunii), a inne — jak Albania faktycznie wyłamały się spod zwierzchnictwa ZSSR, nastąpiło to niezależnie od istnienia szyldu w postaci Paktu Warszawskiego, ale w wyniku wewnętrznego rozbitcia obozu komunistycznego. Pakt Warszawski — miał jeszcze jeden dość naiwny cel, o którym pisze Monat (b. inspektor polskich militarnych attachatów). Miał rzekomo służyć do przetargów w postaci propozycji ze strony Rosjan pod adresem Zachodu: „My rozwijemy Pakt Warszawski, a wy zlikwidujecie NATO”. To było pomyślane w latach pięćdziesiątych, kiedy NATO nie było osłabione faktyczną secesją Francji i przeżywało swój rozkwit. Oczywiście tego typu rachuby były naiwne, ponieważ zachodnie sztaby zdawały sobie sprawę z tego, że Pakt Warszawski jest tylko formą podporządkowania armii satelickich Rosji i że będzie on istnieć nadal z Paktem czy bez Paktu, podczas gdy NATO było rzeczywistym sojuszem, wprawdzie nierównych militarnie partnerów, ale którym USA nie mogły narzucać swej woli.

O tym, że Pakt Warszawski był zwykłą „lipą” zdawał i zdaje sobie sprawę każdy funkcjonariusz komunistyczny. Trudno sobie wyobrazić, żeby nie rozumiał jego czysto dekoracyjnego i oszukańczego charakteru tej miary publicysta co Mieroszewski. Nie można się jednak oprzeć temu wrażeniu skoro mówi on, że „ulegalizowanie doktryny Breżniewa wymagałoby skreślenia pierwszego artykułu Paktu Warszawskiego, który wyraźnie wyłącza zagrożenie siłą czy użycie siły w stosunkach międzypaństwowych”.

„Prawodawcy” komunistyczni rzadko kiedy coś zmieniają w swoich fundamentalnych prawach. Jeżeli — to po to, żeby brzmiały jeszcze bardziej

demokratycznie, Konstytucja sowiecka, o ile się orientuję, zezwala również na oderwanie się republik. Proszę bardzo, niechby która spróbowała.

W innym miejscu Mieroszewski pisze również w związku ze sprawą Czechosłowacji: „Stało się bowiem nagle jasne, że o ile Sowiety w stosunkach z państwami kapitalistycznymi przestrzegają na ogół norm i zwyczajów prawa międzynarodowego — o tyle w swojej własnej sferze wpływów hołdują prawu dżungli”. To wszystko stało się wprawdzie jasne, ale nie „nagle” i nie w roku 1968, ale chyba co najmniej od momentu wkroczenia Armii Czerwonej do Polski we wrześniu 1939 roku. Poza tym ZSSR stosuje te same prawa dżungli we własnym obozie jak i w stosunkach z Zachodem. W dżungli lampart zarżnie antylopę, ale nie zaatakuję lwa, z którym zmuszony jest utożycić stosunki na zasadzie koegzystencji. Ostatnio zresztą lampart stał się tłusty, stary i trochę tchórzliwy. Trzyma się swoich łowisk i nie poszukuje nowej atrakcyjnej zwierzyny.

Wspominam o najważniejszych rzeczach, które uderzyły mnie w artykule Mieroszewskiego. Poza tym kilka drobnych spraw. Mieroszewski pisze, że Chiny posiadają wewnętrzny stabilizator w postaci 600 milionów chłopów, którzy są konserwatywni i żyją cyklami uprawy ziemi. W drugim miejscu Mieroszewski pisze, że gdyby „drogą operacji chirurgicznej” Rosja zniszczyła Chinom ich arsenał atomowy, doprowadziłoby to Chińczyków do stanu wzburzenia, ponieważ z niczego nie są tacy dumni jak właśnie ze swych atomowych osiągnięć. Kto byłby wzburzony i jakby zareagowało na to 600 milionów chłopów działających jak stabilizator, których broń atomowa nie absolutnie nie obchodzi? Jest w tym sprzeczność, polegająca na tym, że 600 milionów chłopów chińskich nie jest żadnym stabilizatorem. W ogóle, nie liczą się, tak jak się nie liczyli w okresie, gdy Chinami rządili mandaryni.

Łączę wyrazy poważania,

Zbigniew BYRSKI

Dulwich Hill, Sydney, 24 listopada 1969.

Szanowny Panie Redaktorze!

W redakcyjnym artykule „Skandal” (*Kultura* nr 9/364, „Sprawy i troski”), za przykład jak daleko zakradła się reżymowa penetracja, w środowiska polskie na emigracji, postawiona jest Australia. A to dlatego, że jakoby „masowo jest tam rozsyłana” broszura, będąca zbiorem „najbardziej antysemickich artykułów z prasy krajowej... wypowiedzi Gomułki, Cyrankiewicza, Rusinka, Walichnowskiego czy innych” i to „głównie rozsyłana do Polaków i Żydów a nie do Australijczyków”. Dowiadujemy się również, że „w tej sprawie Andrzej Chciuk ogłosił w *Tygodniku Polskim* w Melbourne z 16 sierpnia r.b. list otwarty, domagając się wyjaśnień od Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, Związku Polskiego w Newcastle, który figuruje jako rzekomy wydawca, oraz *Wiadomości Polskich* w Sydney, które tę broszurkę oceniły pozytywnie”.

Z tego gotowy wniosek, że Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii co najmniej przez palce patrzy na antysemickie wysoki swoich terenowych, a *Wiadomości Polskie* takim wysokom przyklaskują. W obecnej obsesji oczyszczania polskiego imienia z domniemanie najpotworniejszej, jaka może skazić charakter narodowy, plamy antysemityzmu — byłby to skandal nie lada. Na szczęście wylął się tylko z polemicznej werwy Andrzeja Chciuka, pisarza z polotem, lubującego się w naginaniu rzeczywistości do dramatycznych efektów. Jak udało nam się sprawdzić, nakład owej broszurki

był raptem trzysta egzemplarzy, a ponieważ Polaków i Żydów jest w Australii grubo ponad sto tysięcy, więc o masowym jej rozsyłaniu lepiej nie mówić. Nie jest też jasne dlaczego byłaby mniej szkodliwa, gdyby ją rozesyłano do Australijczyków, a nie do Polaków i Żydów. Czym się kierował Andrzej Chciuk w żądaniu wyjaśnień od Rady Naczelnej — nie chcę dociekać. Rada Naczelna — opierając się wyłącznie na rewelacjach jego „listu otwartego” i bez straty czasu na *audiatum et altera pars* — zawiesiła Związek Polski w Newcastle w prawach członka Rady, do czasu aż specjalnie w tym celu zwołane nadzwyczajne walne zebranie tego związku nie wyciągnie odpowiednich konsekwencji, w stosunku do autora czy autorów broszury. Takie zebranie się odbyło, Związek Polski w Newcastle zastosował się do zaleceń Rady Naczelnej i z powrotem jest jej pełnoprawnym członkiem.

Jeśli chodzi o *Wiadomości Polskie*, to zamieściły wzmiankę o ukazaniu się broszury, w cotygodniowej rubryce „Z naszego podwórka”, w której podaje się nadesłane nowiny z działalności polskich organizacji. Redakcja nie opatrzyła tej wzmianki żadną oceną. Najpierw dlatego, że redaktor nie znał treści broszury, a następnie — po otrzymaniu „okazowego” egzemplarza — ponieważ uznał ją za bezwartościową, a omawianie jej na łamach *Wiadomości Polskich* za zbyteczną reklamę dla odosobnionego objawu kabotyństwa. Dopiero gdy Andrzej Chciuk rozdmuchał znaczenie tej poronionej publikacji do rozmiarów narodowego przeniewierstwa, piszący te słowa — ufając iż nie ma dymu bez ognia — zamieścił w *Wiadomościach Polskich* artykuł, w którym niedwuznacznie sklasyfikował osławioną broszurę jako produkt wykoślawionej mentalności zbalamuconych półgłówków.

Wypada tu jeszcze dodać, że skandal w Newcastle nie zasługuje zaraz na miano skandalu w Australii, jak niekoniecznie skandalem w Europie byłby jakiś skandal np. we Frankfurcie, Tuluzie czy Rotterdamie. Sądząc z obfitych wiadomości, jakie mamy o życiu i sprawach Polonii na innych kontynentach, Polacy w Australii są bardziej jednolici w zapatrywaniach na cele i zadania emigracji.

Z poważaniem,

Bolesław KOPROWSKI

Mediolan, 27 listopada 1969.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Dostałem, dzisiaj, listopadowy numer *Kultury*. M.in. przeczytałem „Czarną listę” i zrobiło mi się nieprzyjemnie. Wprawdzie powtarzam sobie, że jestem przeczulony, że nikt o mnie nie myślał, to jednak piszę bo bardzo nie chciałbym żeby Pan Redaktor miał jakieś wątpliwości. Otóż ze wspomnianym tam Andrzejem Jędrkiewiczem nie mnie nie łączy poza, niestety, wspólnym imieniem i nazwiskiem. O ile mi wiadomo, nie jest to żaden mój krewny.

Z wyrazami szacunku,

inż. Andrzej JĘDRKIEWICZ

Toronto, 24 listopada 1969.

Do Redakcji *Kultury*.

Proszę uprzejmie o wykreślenie mnie z kartoteki prenumeratorów, albowiem *Kultura* od lat kilku przekształciła się na *Politykę*. Ataki na Episkopat Polski idą po linii polityki reżymu, a to mi zupełnie nie odpowiada.

Z poważaniem,

M. MAŁACHOWSKA

Forest Hills, N.Y., listopad 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z górą półtora roku temu zwróciłem się listem umieszczonym w *Kulturze* (Nr 3/1968) do p. B. Miedzińskiego, który przygotował do druku II-gie wydanie „Najnowszej Historii Politycznej Polski”, W. Pobóg-Malinowskiego, z prośbą o wskazanie źródeł historycznych, na podstawie których zostały zacytowane oświadczenia Wojciecha Korfanteo w jego rozmowach z marsz. Piłsudskim, a które nasuwają poważne wątpliwości co do ich autentyczności.

Pragnę ponownie skorzystać z gościnnych łamów *Kultury*, by tą drogą zawiadomić reszcie jej czytelników w kraju i zagranicą, dla których pamięć czynu politycznego Wojciecha Korfanteo jest drogą, że brak reakcji ze strony p. B. Miedzińskiego potwierdza tezę sfabrykowania tych „cytatów” w sposób, który, w międzyczasie, p. J. Płoski w artykule pt. „Wojciech Korfanteo” (*Myśl Polska*, sierpień 1969) nazwał „uraganiem wszelkim pojęciom o prawdzie historycznej”.

Z wyrazami poważania,

Tadeusz ULLMANN

Jerzy W. Krantze. State University, New York, zarzuca *Kulturze*, że jest „kawiarnianym miesięcznikiem, nienaturalnie przetransplantowanym na grunt obcy”, „cierpi na brak informacji z USA”, troszkę antysemita..., ani słowa o sukcesach na Zachodzie Żydów polskich: Kotta, Kosińskiego, Idy Kamińskiej. Stawia *Kulturze* za nieosiągalny wzór miesięcznik Ormian, mieszkających w USA, pt. *Ararat*.

J. Nosal, Berkisch, Neukirchen, ma wrażenie — po przeczytaniu artykułu Al. Grabowskiej — że „jest już w Izraelu”; zarzuca *Kulturze* pomijanie przestępstw żydowskich wobec Polski i doradza, by „*Kultura*” wydawała specjalne numery na Izrael, podobne artykuły miałyby tam powodzenie”.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZINSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 1^{er} Trimestre 1970.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.

Téléphone : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocza	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krollkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	6,00 F	35,00 F	66,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odianicki-Poczebuto, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762		145 szyl. a	280 szyl. a
BELGIA : Janina Karab Brzosowska-Cosky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guara 143, villa Pompela, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURA » i w księgarniach polskich w Paryżu	6,00 F	32,00 F	60,00 F
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Post giro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaze-Dabicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel.: 482-4673; B. Krasuski, 857 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel.: 586-3825; Józef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikicluk, 8 München 45, Gabelnstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lublinski, Klommenstengt 8, Moas. ..	6,50 F	35,00 F	66,00 F
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tel.: 33 34 20, Nr konta poczt. 12.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kaliskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Delerzykowski, 2402 Chermoyas Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Woburn, Mass. 02172; Adam J. Gallinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, Polish Amer. Book Co., 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; E. Poeyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Press, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave, Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel.: 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.		£ 2.07.00	£ 4.10.00
WŁOCHY : Witold Zaherski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tel.: 75-67-241	700 L	3.400 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 3 F półrocznie i 6 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,50 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 180 — SERIA „DOKUMENTY”

KOMUNIZM Z LUDZKĄ TWARZĄ

Pełne teksty „Programu Akcji” i „2000 słów”, będących u podstaw rewolucji czechosłowackiej. Słowo wstępne *Juliusza Mieroszeńskiego*.
Str. 88 Cena egz. F. 10 (dol. 2,25; 18 sh. 6 d.)

TOM 181 — WITOLD GOMBROWICZ

FERDYDURKE

Tom I-szy „DZIEŁ ZBIOROWYCH”, niedawno zmarłego Autora.
Str. 292 Cena egz. F. 24 (dol. 5; 40 sh.)

TOM 182 — FRANCISZEK KALINOWSKI

LOTNICTWO POLSKIE W W. BRYTANII (1940-1945)

Obszerny zarys historii Lotnictwa Polskiego z lat 1940-1945, opracowany na podstawie źródłowych materiałów polskich i angielskich. „Battle of Britain” — Pomoc lotnicza dla Kraju, ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego. Zestawienia statystyczne wysiłku bojowego każdego rodzaju lotnictwa, zwycięstw dywizjonów i indywidualnych, straty w poszczególnych rodzajach lotnictwa.

Indeks zawierający ponad 1.000 nazwisk. Przypisy.
Str. 372 Cena egz. F. 36 (dol. 7,50; 60 sh.)

TOM 183 — SERIA „DOKUMENTY”

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

MOTORY I HAMULCE SOCJALIZMU

Analiza „błędów i wypaczeń” systemu rządów Polski Ludowej, przeprowadzona przez jedną z czołowych postaci polskiego komunizmu.
Str. 128 Cena egz. F. 12 (dol. 2,50; 20 sh.)

Cena 9,00 F